

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

OGNIEM I MIECZEM

TOM II

Tower Press 2000

COPYRIGHT BY TOWER PRESS, GDAŃSK 2000

ROZDZIAŁ I

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładyńki posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przedzie, o kilkadziesiąt kroków przed innymi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do strażowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali ze sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę – i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

– Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku zaledwie posuwając się naprzód.

Na koniec wysunąwszy się zza wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów wszedł na przestwór oblany światłem księżyca i wtedy to można było zrozumieć ostrożność pochodu: oto w środku karawany idące obok siebie dwa konie dźwigały przywiązaną do siodełek kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bladą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać Kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali się niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt końskich i wołanie jednego z dwóch jadących na przedzie jeźdźców, który od czasu do czasu powtarzał swą przestrozę:

– Pomału! ostrożnie!

Na koniec zwrócił się do swego towarzysza.

– Horpyna, daleko jeszcze? – spytał.

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewczką, popatrzył w gwieździste niebo i odrzekł:

– Niedaleko. Będziemy przed północą. Miniemy Wraże Uroczyszcze, miniemy Tatarski Rozłóg, a tam już zaraz Czortowy Jar. Oj! źle by tam przejeżdżać po północy, nim kur zapieje. Mnie można, ale wam źle by było, źle! – Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

– Wiem ja – rzekł – że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

– Czort nie czort, a sposobu nie ma – odparła Horpyna. – Żeby ty, sokole, na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, to by ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północy nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka, póki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani Lachy, ani Tatary, ani nikt, nikt. Czortowy Jar straszny, sam zobaczysz.

– Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

– Byleś w dzień przychodził.

– Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

– Ech, Bohun! Bohun!

– Ej, Dońcówna, Dońcówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort czy nie weźmie, to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swoimi czortami, jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ni czorty, ni upiory nie wydrą.

– Raz mnie już topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę goił, a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźnią dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

– A ty, sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu ty mi hukala nad uchem: „Lach przy niej! Lach przy niej!”?

– To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powrózę na wodzie w kole młyńskim. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzeć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies: powiedzcie ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz...

Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy dochodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić – podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

– Horpyna – rzekł po chwili.

– Czego?

– Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka czy jak?

– Lubystka. Ale na twoją biedę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała, to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz, co się stanie?

– Co?

– To jeszcze bardziej tego innego pokocha.

– Przepadnijże ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

– To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się go napije, dwa dni i dwie noce jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja jej ziela dam – a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwił w czarownicy swe świecące w ciemności oczy.

– Co ty kraczesz? – spytał.

– Taj hodi! – zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia klaczy, śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogim echem w rozpadlinach jarów.

– Suko! – rzekł watażka.

Po czym oczy jego gasły stopniowo, popadał znów w zamyślenie, na koniec począł mówić, jakby sam do siebie:

– Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i łeb strzaskać każdemu, kto by się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła – i teraz o bożym świecie nie wie. Dotknę jej ręką, to się znów pchnie albo do rzeki skoczy, nie upilnujesz, nieszczęsny!

– Ty w duszy Lach, nie Kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

– Żeby ja był Lach! – zawołał Bohun – żeby ja był Lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

– Musiała cię urzec ta Laszka – mruknęła Horpyna.

– Ej, chyba urzekła! – odrzekł żałośnie. – Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce!

– Durny! – zawołała z gniewem Horpyna – toć ty ją masz!

– Stulże ty pysk! – zawołał z wściekłością Kozak. – A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, łeb o kamień rozbije, ludzi będę gryzł jak pies! Ja by duszę za nią oddał, sławę kozacką oddał, uciekłby za Jahorlik hen! od pułków za świat, aby z nią, z nią żyć, przy niej zdychać... Ot, co! A ona się nożem pchnęła. I przez kogo? przeze mnie! Nożem się pchnęła! słyszysz?

– Nic jej nie będzie. Nie umrze.

– Jakby umarła, to ja by ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

– Mocy ty żadnej nad nią nie masz.

– Nie mam, nie mam. Ja by wolał, żeby ona mnie nożem pchnęła; niechby i zabiła, byłoby lepiej.

– Głupia Laszka. Ot by po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

– Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugi. My w Barze wzięli łupu niemało i przedtem brali.

– Ty bogaty jak książę Jarema – i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

– Co mnie z tego, koły serdce bołyt...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki stawał się coraz dzikszyszy, pustszyszy. Białe światło księżyca nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Na koniec Horpyna rzekła:

– Tu Wraże Urocyszczce. Trzeba razem jechać.

– Czemu?

– Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z nimi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

– Spyt? – spytał.

– Spyt – odpowiedział stary Kozak – słodko jak detyna.

– Ja jej na sen dała – odrzekła wiedźma.

– Pomału, ostorożno – mówił Bohun wlepiając oczy w uspioną – szcoby wy jej nie rozbudowały. Misiac jej prosto w łyczko zahładaje, serdeńku mojemu.

– Tycho śwityt, ne rozbudyt – szepnął jeden z mołojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli nad Wraże Urocyszczce. Było to wzgórze leżące tuż przy rzece, niskie i obłe, jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświetlając białe, porozrzucane po

całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieśgdzie leżały one pojedynczo, gdzieśgdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakichś budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne pozasadzane końcem w ziemi na kształt nagrobków na cmentarzyskach. Całe wzgórze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiełłowych, krzewiło się tu życie ludzkie; dziś wzgórze owo i cała okolica, aż po Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, a nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiął się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew zmienił się w prawdziwy wicher, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posepnym, złowróżbnym świstem, i wówczas mołojcom wydało się, że między owymi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie westchnienia, jakby wychodzące z ugniecionych piersi, jakieś żalose jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenia dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnymi głosami. Zza kamieni zdawały się wyglądać wysokie, ciemne postacie; cienie dziwacznych kształtów prześlizgiwały się cicho między glazami; w dali, w pomroce błyskały jakieś światełka podobne do oczu wilczych; na koniec z drugiego końca wzgórza, pomiędzy najgęstszych kup i zawałisk, ozwało się niskie, gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

– Siromachy? – szepnął młody Kozak zwracając się do starego esaula.

– Nie, to upiory – odpowiedział esaul jeszcze ciszej.

– O! Hospody pomyłuj! – zawołali z przerażeniem inni zdejmując czapki i żegnając się pobożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna jadąca na czele orszaku mruczała półgłosem niezrozumiałe słowa, jak gdyby pacierz diabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła:

– No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zakłębem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun z Horpyną wysunęli się znów naprzód, a mołojcy, którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

– Żeby nie Horpyna, to my by nie przeszli – mówił jeden.

– Mocna wid'ma.

– A nasz ataman i did'ka ne boitsia. Nie patrzył, nie słuchał, jeno się na swoją mołodycię oglądał.

– Żeby jemu się to zdarzyło, co mnie, to by nie był taki bezpieczny – rzekł stary esaul.

– A co się wam zdarzyło, ojczu Owsiwuju?

– Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulajpola, a jechał nocą koło mogił. Wtem baczu, hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko – sineńkie, bladeńkie!... Widno Tatary z matką w jasyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu goreją jak owieczki i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O Hospody! upiór. Alem to na Wołoszy długo służywał, gdzie upiorów więcej niż ludzi i tam są na nie sposoby. Zeskoczyłem z konia i gindzałem w ziemię. „Zgiń! przepadnij!” a ono jęknęło, chwyciło się za głownię od gindzała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

– To na Wołoszy tyle upiorów, ojczu?

– Co drugi Wołoch, to po śmierci będzie upiór – i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukołaki.

– A kto mocniejszy, ojczu: did'ko czy upiór?

– Did'ko mocniejszy, ale upiór zawziętszy. Did'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczego, tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze did'ko nad nimi ataman.

– A Horpyna nad did'kami reimentaruje.

– Pewnie, że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad nimi władzy, to by jej ataman swojej zazuli nie oddał, bo brukołaki na dziewczynską krew najłakomsze.

– A ja słyszał, że ony do duszy niewinnej nie mają przystępu.

– Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

– Oj! szkoda by krasawicy! Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko, co w Barze brać.

Owsiwuj językiem klasnął.

– Nie ma co mówić. Zołotaja Laszka...

– A mnie jej, ojczu, żal – mówił młody Kozak. – Jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosyła i prosyła: Ubij, każe, ne huby, każe neszczastływoj!

– Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horpyny.

– Hej, mołojcy – rzekła wiedźma – to Tatarski Rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy Jar i mój chutor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru biegnącego prostopadle od rzeki, a tak wąskiego, że ledwie czterech konnych mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica mieniać się w świetle księżycowym jak wąz i biegnąc wartko do rzeki. Ale w miarę jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieśgdzie pokryty był wysokimi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie, czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżyca świeciły mocno jakieś białe, okrągłe lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc od czasu do czasu krzyżami piersi i czoła. Wtem w dali

błysło spomiędzy drzew światelko, a jednocześnie nadbiegły dwa psy, straszne, ogromne, czarne, ze świecącymi oczyma, szczekając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać wokoło jeźdźców chrapiąc przy tym i charcząc ze zdyszenia.

– Niesamowite – szeptali mołojcy.

Tymczasem zza drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata na pozór była porządna i duża, w oknach jej błyszczało światło.

– To moja sadyba – rzekła do Bohuna Horpyna – a tamto młyn, co zboża nie miele, jeno nasze, ale ja worożycha, z wody na kole wróżę. Powrózę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać:

– Czeremis! huku! huku! Czeremis!

Jakaś postać z pękiem zapalonego łuczywa w ręku wyszła przed chatę i wzniosłszy ogień w górę poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Był to stary człek, potwornie szpetny, mały, prawie karzeł, z płaską, kwadratową twarzą i skośnymi, podobnymi do szczelin oczyma.

– Co ty za czort? – spytał go Bohun.

– Ty jego nie pytaj – rzekła olbrzymka – on ma język obcięty.

– Pójdź tu bliżej.

– Słuchaj – mówiła dalej dziewczka – a może by mołodycię do młyna zanieść? Tu mołojcy będą przybierać świetlicę i ćwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy zsiadłszy z koni poczęli odwiązywać ostrożnie kołyskę. Sam Bohun czuwał nad wszystkim z największą troskliwością i sam dźwignął w głowach kołyskę, gdy przenoszono ją do młyna. Karzeł, idąc naprzód, świecił łuczywem. Kniaziówna, napojona przez Horpynę odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła łuczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołysały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu podobnego do pogrzebu. Bohun patrzył na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. – Mylenka moja, zazula moja! – szeptał cicho i groźnie, choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stopy.

Idąca obok Horpyna mówiła:

– Gdy się z tego snu rozbudzi, zdrowa będzie. Rana się jej goi, zdrowa będzie...

– Sława Bohu! sława Bohu! – odpowiadał watażka.

Tymczasem mołojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyładowywać zdobycz wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, inni przystosowywali je do drewnianych ścian izby. Bohun nie tylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, by ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznośną. Wkrótce też nadszedł ze młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słychać jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Na koniec, gdy już ściany były obwieszane, a tok wymoszczony, przyniesiono na powrót senną kniaziównę i złożono ją na miękkich wezglowach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu podobne do końskiego rżenia: to młoda wiedźma baraszkując na sianie z mołojcami rozdawała im kułaki i całusy.

ROZDZIAŁ II

Słońce było już wysoko na niebie, gdy nazajutrz dzień kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo, po czym obiegił całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się wzięła i w czyjej jest mocy? Czy śni jeszcze, czy widzi na jawie? Co znaczy ten przepych, który ją otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili straszne sceny wzięcia Baru stanęły nagle przed nią jakby żywe. Przypomniła sobie wszystko: rzeź tysięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic i dzieci – pomazane krwią twarze czerni, szyje i głowy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane wrzaski, ów sądny dzień wycinanego w pień miasta – na koniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypomniła sobie i to, jak w chwili rozpaczki padła na nóż nadstawiony własną ręką – i zimny pot operlił teraz jej skronie. Widać nóż ześliznął się jej po ramieniu, bo czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje, że wraca jej siła i zdrowie, pamięta wreszcie, że długo, długo wieziono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej jak w chacie chłopskiej małe, kwadratowe, i światła przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłażby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżyce; ściany niezbyt przestronne, ale całkiem przybrane w makaty; na podłodze leży różnowzory kobierzec, jakby żywymi kwiatami usłany. Okap na kominie pokryty perskim tyftykiem, wszędy złote frędzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian pułapu aż do poduszek, na których spoczywa jej głowa. Jasne światło dzienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu tworząc jakąś uroczą tęczę pomrokę. Kniaziówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

– Święta-Przeczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukaże, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę doszły do niej płynące z daleka dźwięki teorbanu i jednocześnie jakiś głos począł nucić do wtóru znaną pieśń:

Oj, cei lubosti
Hirsze od słabosti!
Słabost' perebudu,
Zdorowże ja budu,
Wirnoho kochania
Po wik ne zabudu.

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia; wreszcie krzyknęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się widocznie również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściła i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbielełe i trzęsące się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

– Jezus Maria! Jezus Maria!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował niejedne oczy dziewczęce, bo aż luna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Diamentowe guzy jego żupana migotały jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od

klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz podwoiły piękność jego smagłego oblicza – i tak stał przed nią, wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone jakby gwiazdy tumanem przysłonięte i patrzył na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić niskim i smutnym głosem:

– Nie bój się, kniaziówno!

– Gdziem jest? gdziem jest? – pytała poglądając na niego przez palce.

– W bezpiecznym miejscu, daleko od wojny. Nie bój się, duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi albo od wojny. Już tam nikogo w Barze nie żywili Kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

– Co tu waćpan robisz? dlaczego mnie prześladujesz?

– Ja ciebie prześladuję! Mój Boże miły! – i watażka ręce rozłożył, i począł głową kiwać jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

– Ja się waćpana boję okrutnie.

– I czemu się boisz? Jeśli każesz, ode drzwi się nie ruszę: ja rab twój. Mnie tu na progu siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła nie chcę: za co ty mnie nienawidzisz? Hej, Boże miły! ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno знаła i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Błade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

– Bom wołała śmierć niż hańbę – rzekła – i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień – i widział watażka, że nie ma co żartować z tą krwią Kurcewiczowską, książęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego, czym grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

– Bądź ty spokojna. – rzekł. – Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić? Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palanki.

Kniaziówna milczała.

– Popatrzę na cię – mówił dalej – oczy krasnym liczkami ucieszę, taj pójdę.

– Wróć mnie wolność! – rzekła dziewczyna.

– Albo ty w niewoli? Ty tu pani. I gdzie chcesz wracać? Kurcewiczowie wyginęli, ogień pożarł wsie i grody, kniazia w Łubniach nie ma, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno Kozaków i ordyńców, i żołnierstwa. Kto cię uszanuje? kto się ciebie uzali, kto cię obroni, jeśli nie ja?

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspomniła, że przecie jest ktoś na świecie, kto by przygarnął i uzalił się, i obronił – ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić – jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, za którym tęskniła jej dusza? Będąc w Barze wiedziała, że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło jej uszu nazwisko pana Skrzetuskiego wraz z wieściami o zwycięstwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć bitew, ile osiągnąć go niebezpieczeństw! Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki:

– Zali mam więznie tu pozostać? – pytała z jękiem. – Com ja waćpanu uczyniła, że chodzisz za mną jak nieszczęście?

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słyhać:

– Co ty mnie uczyniła, ne znaju, ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Żeby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny jak wiatr w polu i na sercu swobodny, i na duszy swobodny, a sławny jak sam Konasewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ni mnie wola miła, ni sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła! Raz ja wziął galere z najkrajniejszymi mołodycami, bo je sułtanowi wieźli – i żadna serca nie zabrała. Poigrały Kozaki-braty, a potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic – wojną na pogan chodził, łup brał – i jak kniaz w zamku, tak ja był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu – i rab, o dobre słowo u ciebie zebrzę i wyzebrać nie mogę – i nie słyszał go nigdy, nawet i wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj, żeby ty, dziewczyno, była dla mnie inna, żeby ty była inna, nie stałoby się to, co się stało; nie byłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał, ale przez ciebie ja rozum stracił. Ty by mnie, gdzie chciała, zawiodła – ja by ci krew oddał, duszę by oddał. Ja teraz ot, cały we krwi szlacheckiej ubroczone, ale dawniej ja tylko Tatarów bił, a tobie łup przywoził – żeby ty w złocie i klejnotach chodziła jak cheruwym bożyj – czemu ty mnie wtedy nie kochała? Oj, ciężko, oj, ciężko! żal sercu mojemu. Ni z tobą żyć, ni bez ciebie, ni z dala, ni z bliska – ni na górze, ni na dolinie – hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No, daruj ty mnie, że ja przyszedł po ciebie do Rozłogów po kozacku, z szabłą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił – zbój nieszczęsny. A potem, jak ty mi uciekła, tak ja po prostu jak pies wył i rany bolały, i jeść nie chciał, i śmierci-matki prosił, żeby zabrała – a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię na nowo – hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladeła. Im więcej niezmierniej miłości było w słowach Bohuna, tym większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A Kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

– Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana – to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł – proś, czego chcesz – złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje, i Krzywonos nie pożałuje, ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję – bo choć ja Kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, pode mną dziesięć tysięcy mołojców chodzi, więcej niż pod kniazim Jarema. Proś, czego chcesz, byleś nie chciała uciekać ode mnie – byleś została ze mną, hołubko, a pokochała!

Kniaziówna podniosła się na poduszkach, bardzo blade – ale jej słodka, przecudna twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejszą była w tej chwili do orlęcia.

– Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz – rzekła – to wiedz, iż choćbym miała wiek w twojej niewoli przeżyć, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

– Ty mi takich rzeczy nie mów! – rzekł chrapliwym głosem.

– Ty mi o swym kochaniu nie mów, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

– A dla kogo-że ty, kniaziówno Kurcewiczówno? a czyja by ty była w Barze, żeby nie ja?

– Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i niewolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

– I ty myślisz, żeby cię chłopcy zabiły? Strach myśleć!...

– Nóż by mnie zabił, tyś mi go wydarł!

– I nie oddam, bo ty musisz być moja – wybuchnął Kozak.

– Nigdy! wolę śmierć.

– Musisz i będziesz.

– Nigdy.

– No, żeby ty nie była ranna, to po tym, co ty mi rzekła, ja by dziś jeszcze pchnął mołojców do Raszkowa i mnicha za łeb kazał przyprowadzić, a jutro ja by był twój mąż. Taj co? Męża grzech nie kochać i nie przyhołubić! Hej! Ty panno wielmożna, tobie miłość kozacka obraza i gniew. A kto ty taka, że ja dla ciebie chłop? Gdzie twoje zamki i bojary, i wojska? Czemu tobie gniew? czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął, ty branka. Oj, żeby ja był chłop, ja by cię najajem po białych plecach rozumu nauczył i bez księdza by się twoją krasą nasycił – żeby ja był chłop, nie rycerz!

– Anieli niebiescy, ratujcie mnie! – szepnęła kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała na twarzy Kozaka i gniew chwycił go za włosy.

– Ja wiem – mówił – czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna! Dla innego chowasz swój wstyd dziewczicy – ale nic z tego, jakom żyw, jakom Kozak! Szlachcic hołota! oczajdusza! Lach nieszczery! Na pohybel-że jemu! Ledwie spojrział, ledwie w tańcu zakręcił i całą wziął, a ty, Kozaczce, cierp, łbem tłucz! Ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzeć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na Lachów, a ja idę z nim – i twego hołubka odnajdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażą jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany, wzruszenie, przestrasz zabrały ją siłę – i słabość niezmierna rozeszła się po wszystkich jej członkach, oczy i myśli jej zgasły – i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś blade z gniewu, z pianą na ustach; wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie i z ust jego wyrwał się ryk prawie nie ludzki:

– Wże po nej! Horpyna! Horpyna! Horpyna!

I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co ducha do świetlicy.

– Szczo z toboju?

– Ratuj! ratuj! – wołał Bohun. – Zabił ja ją, duszu moju, światło moje!

– Szczo ty, zduriw?

– Zabił, zabił! – jęczał watażka i ręce nad głową łamał.

Ale Horpyna zbliżywszy się do kniaziówny wnet poznała, że to nie śmierć, jedno omdlenie ciężkie, i wyprawiwszy za drzwi Bohuna zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

– No, doniu, nic ci – mówiła czarownica. – Ty się widać jego przelekleła i pomroka cię chwyciła, ale pomroka przejdzie, a zdrowie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze na świecie żyć i szczęścia używać.

– Ktoś ty jest? – spytała słabym głosem kniaziówna.

– Ja? sługa twoja, bo on tak kazał.

– Gdzie ja jestem?

– W Czortowym Jarze. Szczera tu pustynia, nikogo tu nie zobaczysz prócz niego.

– Czy i ty tu mieszkasz?

– Tu nasz chutor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę – i będę cię pilnowała w tej komnacie złocistej. Z chaty terem! aż łuna bije! to on dla cię wszystko to przywiózł.

Helena popatrzyła w hożą twarz dziewczki i twarz ta wydała jej się pełną szczerości.

– A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłyśły w uśmiechu.

– Będę. Zaśbym nie była! – rzekła – ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, w końcu wybuchnęła śmiechem.

– Precz! – krzyknęła kniaziówna.

ROZDZIAŁ III

Rankiem w dwa dni później Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą wedle młyńskiego koła i patrzyli na pieniającą się na nim wodę.

– Będziesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, żeby nigdy z jaru nie wychodziła! – mówił Bohun.

– U jaru ku rzece wąska szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

– Czymże wy tu żyjecie?

– Czeremis pod skałami kukurydzę sadzi, wino sadzi i ptaki w sidła łapie. Z tym, co ty przywiózł, nie będzie jej niczego brakowało, chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

– Ja im kazał przysiąc. Oni wierni mołojcy, nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła; że tu ludzie przychodzą do ciebie jako do worożychy.

– Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem, jak zasłyszą, to i Bóg wie skąd. Ale zostają przy rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

– Ty ich mordowała?

– Kto mordował, to mordował! Chce kto wróżby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzyła, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

– Byłeś co złego nie obaczyła.

– Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. I tak byś lepiej nie jechał.

– Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do, Baru pisał, żeby ja wracał, i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą, więc i my musimy do kupy.

– A kiedy wrócisz?

– Ne znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo Lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli my pobijemy, to wrócę po moją zazulę i do Kijowa z nią pojedę.

– A jak zginiesz?

– Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

– A jak zginiesz?

– Raz maty rodyła.

– Ba! A co ja mam z dziewczyną wtedy robić! Głowę jej ukreć czy jak?

– Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec.

Watażka zamyślił się ponuro.

– Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyła.

– Hej, newdiaczna to Laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, ja by ci nie była oporna – hu! hu!

To mówiąc, Horpyna trąciła po dwakroć kulakiem w bok watażkę i pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

– Idźże ty do czorta! – rzekł Kozak.

– No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole, jakby sam chciał sobie wróżyć.

– Horpyna? – rzekł po chwili.

– A co?

– Jak ja pojedę, czy ona będzie za mną tużyła?

– Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić, to może i lepiej; że sobie pojedziesz.

– Ne chcuzu, ne mohu, nie smiju! Ja wiem, że ona by umarła.

– To może i lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię widzi, nie chce cię i znać, ale jak posiedzi ze mną i z Czeremisem miesiąc, dwa – będziesz jej zaraz miłszy.

– Żeby ona była zdrowa, tak wiem, co by ja zrobił. Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub dać, ale teraz się boję, bo jak się przelęknie – duszę odda. Samaś widziała.

– Dajże ty pokój! A po co tobie pop i ślub? Nieszczery ty Kozak – nie! Ja tu nie chcę ni popa, ni księdza. W Raszkowie stoją Tatarzy dobrudzczy, jeszcze by ty ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak tyle by widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło? Jedźże sobie i wracaj.

– A ty patrz w wodę i mów, co ujrzysz. Mów prawdę, a nie łżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrzała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i podniosła drugą zastawę wstrzymującą wodę krynicznego wodospadu; wnet wartka fala napłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybciej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę piana kłębiła się pod kołem jak ukrop.

Wiedźma wbiła swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

– Huku! huku! pokaż się! W kole dębowym, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty czy dobry, pokaż się! Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

– Widzę! – krzyknęła wiedźma.

– Co widzisz?

– Śmierć mojego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

– Do czorta z twoim bratem! – mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słychać było tylko hurgot koła obracającego się jakby z wściekłością.

– Sina u mego brata głowa, sineńka, kruki go dziobią! – rzekła wiedźma.

– Co więcej widzisz?

– Nic... O, jaki siny! Huku! Huku! w kole dębowym, w pianie białej, w tumanie jasnym, pokaż się!... Widzę.

– A co?

– Bitwa! Lachy uciekają przed mołojcami.

– A ja gonię?

– Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hur! hur! hur! Ty się małego rycerza strzeż.

– A kniaziówna?

– Nie ma jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczery.

Bohun pożałował oczyma to piany, to Horpynę – i jednocześnie pracował głową, by pomóc wróżbom.

– Jaki druh?

– Nie widzę. Nie wiem, stary czy młody.

– Stary! pewno stary!

– Może i stary.

– To wiem, kto to. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białym okiem. Na pohybel-że jemu! Ale on mnie nie druh.

– On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czekaj! jest i kniaziówna! jest, w wianku rucianym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

– To ja.

– Może i ty. Jastrząb... Czy sokół? Jastrząb!

– To ja.

– Czekaj. Już nie widać... W kole dębowym, w pianie białej... O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkimi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

– A kniaziówna przy mnie?

– Nie ma jej, ty w obozie.

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Koło huczało, aż się cały młyn trząsał.

– Hej, co tu krwi, co tu kwi! co trupów, wilcy nad nimi, krucy nad nimi! – zaraza nad nimi. Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy, nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwał tuman z koła – a jednocześnie wyżej nad młynem ukazał się potworny Czeremis z wiązką drzewa na plecach.

– Czeremis, załóż stawidło! – zawołała dziewczka.

To rzekłszy poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamyślony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

– Ty nic więcej nie widziała? – spytał ją.

– Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

– A nie łżesz?

– Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą. Wołami za nogi naciagną. Mnie jego żal. Hej, nie jemu jednemu śmierć pisana! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam! będzie wielka wojna na świecie.

– A ją ty widziała z jastrzębiem nad głową?

– Tak jest.

– I ona była w wianku?

– W wianeczku i w białej sukni.

– A skąd ty wiesz, że ten jastrząb to ja? Ja tobie o tym młodym Lachu szlachcicu powiadał – może to on.

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

– Nie – rzekła po chwili wstrząsając głową – kołyby buw Lach, to by buw oreł.

– Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

– Tak i koniecznie pojedziesz.

– Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze w piśmie od Chmiela czytała.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego, bo nie chciał za prostaka uchodzić.

– To i jedź – rzekła wiedźma – Ty szczęśliwy – hetmanem zostaniesz: ja ot, tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę!

– I hetmanem zostanę, i kniaziównę za żinku wezmę – mnie nie chłopkę brać.

– Z chłopką ty by inaczej gadał – ale tej ci wstyd. Ty powinien być Lachem.

– Jaze ne hirszy.

To rzekłszy Bohun poszedł do stajni, do mołojców – a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce niesporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców w świetlicy, z teorbanem w rękę i patrzył na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunawszy się w drugi kąt izby odmawiała cicho różaniec nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak jakby go wcale w świetlicy nie było. On, przeciwnie, śledził spod ściany oczyma każdy jej ruch, łowił uszami każde westchnienie – i sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę, i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmiała go twarz blada, milcząca; z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimo woli przypomniał sobie podobne wieczory w Rozłogach, i stanęły mu w myśli jakoby żywe: jako siadali on i Kurcewicze naokół dębowego stołu. Stara kniahini łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka – on wpatrywał się w śliczną kniaziównę, tak jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas gdy opowiadał swe wyprawy z siczowymi – ona słuchała i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchyłone usta malinowe świadczyły, z jakim słucho zajęciem. Teraz ani spojrziała. Wówczas, bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała, i patrzyła, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on przecie teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica – może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższym jej, i równiejszym jej stanem! Kurcewicze byli jego bracia, więc ona, ich siostra, była mu nie tylko zazulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemiłosierna. Ej, gniew w nim wrze! Pokazałby on jej, co to Kozaka poniewierać, ale on tę niemiłsierną panią kocha – krew by za nią wytoczył, a ile razy gniew go za pierś pochwyti – to jakby jakaś niewidzialna ręka chwyta go za czub, jakiś głos huknie w ucho: „Stój!” Zresztą, ot, wybuchał już jak płomień i potem łbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się Kozaczysko, bo czuje, że on jej cięży w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała – to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swoją zgrzyotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Żeby to on jej dawniej nie znał, żeby to była Laszka wzięta z pierwszego szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości – ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi, i wszystko, co miał, chciał oddać. Tym mu większy wstyd chłopem być przy niej, tym mniej do niej śmiały.

Czas upływa, sprzed chaty dochodzi szmer rozmów mołojców, którzy pewnie już na kulbakach siedzą i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień łuczycywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban – a ona żeby choć spojrziała! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno, i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiego by z duszy pragnął, boi się, że odejdzie z goryczą, z gniewem, z bólem.

Ej, żeby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tym miłsza!...

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

– Kniaziówno – rzekł – już mnie czas w drogę.

Helena milczała.

– A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

– Jedź waćpan z Bogiem! – rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to, czego chciał; ale on chciał inaczej.

– No, wiem ja – rzekł – że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszy by był dla ciebie ode mnie. Ja cię tu przywiózł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodził się z tobą, jak się godziło, jak z korolewną? Sama powiedz. Czy to ja już taki zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

– W bożej jestem mocy – rzekła z tą samą jak i poprzednio powagą – ale że waćpan się przy mnie hamujesz, dziękuję i za to.

– To już pojedę chociaż z takim słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

– Żal cię tu samą zostawiać – mówił Bohun – żal odjeżdżać, ale mus. Lżej by było, żeby ty się uśmiechnęła, żeby krzyżyk ze szczyrego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

– Wróć mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści i ja ci odpuszczę i błogosławić ci będę.

– No, może jeszcze będziesz – rzekł Kozak – może ty jeszcze pożałujesz, żeś taka była dla mnie sroga.

Bohun chciał kupić chwilę pożegnania choćby za półobietnicę, której dotrzymać nie myślał – i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość z jej twarzy znikła. Splotła dłonie przy piersiach i utkwiała w niego wzrok jasny.

– Byłżebyś ty...

– No, ne znaju... – rzekł cicho Kozak, bo go i wstyd, i litość chwyciły jednocześnie za gardło. – Teraz ja nie mogę, nie mogę... – orda w Dzikich Polach leży, czambuły wszędy chodzą – od Raszkowa dobrudzey Tatarzy idą – ne mohu, bo strach, ale jak wrócę Ja przy tobie detyna. Ty ze mną, co chcesz, zrobisz. Ne znaju!... ne znaju!...

– Niech cię Bóg natchnie, niechże cię Święta Przczysta natchnie... Jedź z Bogiem!

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpił w nią wargi – nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny – i rękę puścił. Natomiast cofając się ku drzwiom bił pokłony w pas, po kozacku, bił jeszcze we drzwiach, i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar rozmowy, brzęk broni, a później słowa pieśni rozłamanej na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna
Pomez Kozakami,
Pomez druhami,
Na dowhija lita,
Do kińca wika...

Głosy i tętent oddalały się i cichły coraz bardziej.

ROZDZIAŁ IV

– Cud jawny już Pan Bóg raz nad nią okazał – mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbięty siedząc w kwaterze Skrzetuskiego. – Cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z tych rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzec; ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szeptem, że on ją znowu porwał. Bo, uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Pułjanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został – żeby go diabli sprawili! – a więc przy wzięciu Baru musiał być.

– Mógł jej nie odnaleźć w owym tłumie nieszczęsnych; przecie tam dwadzieścia tysięcy ludu wycięto – rzecze pan Wołodyjowski.

– To jego waść nie znasz. A ja bym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóz nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował i gdzieś wywiózł.

– Niewielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych rękach zostawać.

– I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohańbiona...

– Desperacja! – rzecze Wołodyjowski.

– Och, desperacja! – powtórzył pan Longinus.

Zagłoba począł szarpać wąs i brodę, na koniec wybuchnął:

– A żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcypieski! żeby z ich bebechów poganie cięciwy pokręcili!... Bóg stworzył wszystkie nacje, ale ich diabeł takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiły!

– Nie znałem ja tej słodkiej panny – mówił smutnie pan Wołodyjowski – ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościęło.

– Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy ją wspomnę, z żalu żyć hadko! – rzekł pan Longinus.

– To wam! – wołał pan Zagłoba – a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował i z toni takiej wyprowadził?... – Cóż mnie?

– A cóż panu Skrzetuskiemu? – pytał Wołodyjowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pograżyli się w milczeniu.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

– Zali już nie ma rady? – spytał.

– Jeśli rady nie ma, to obowiązek jest pomścić – odpowiedział Wołodyjowski.

– Oby Bóg dał prędzej walną bitwę! – westchnął pan Longinus. – Mówią o Tatarach, że już się przeprowadzili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

– Nie może być, abyśmy ją, niebogę, tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie podejmując. Dość ja już się po świecie starych kości natłukłem, lepiej by mi teraz gdzie w spokoju w jakiej piekarni dla ciepła legiwać, ale dla tej niebogi pójde jeszcze choćby do Stambułu, choćbym na nowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorbana wziąć, na któren bez abominacji spojrzeć nie mogę.

– Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co – rzekł pan Podbięty.

– Siła mnie już sposobów przez głowę przechodziło. Żeby choć połowę takich miał książę Dominik, to by już Chmielnicki, wypatroszony, za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówiłem już o tym i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Boleść się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomieszał. Często się trafia, że od wielkich smutków *mens* poczyna robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

– Bywa to, bywa! – rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał:

– Jakież tedy są waści sposoby?

– Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona, nieboga najmilsza – niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego! – żywa jeszcze, a dowiedzieć się możemy dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcymi Kozakami ludzi wiernych i pewnych, którzy się podejmą niby to do Kozaków uciec, pomieszać się między Bohunowymi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć...

– Ja mam dragonów Rusinów! – przerwał Wołodyjowski. – Ja takich ludzi znajduję.

– Czekaj waść... albo złapać języka z tych hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego diabelska fantazja podoba: pieśni o nim śpiewają – żeby im gardziele poropiały! – i jeden drugiemu bają o tym, co zrobił, i o tym, czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed nimi nie ukryło.

– To można i ludzi posłać swoją drogą, i o języka się starać swoją drogą – zauważył pan Podbipięta.

– Trafieś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje – to jest najgłówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerym sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej doświadczenia. Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył – a jak raz będziemy wiedzieć; to już głowa moja w tym, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał – no, to by nas matki rodzone potem nie poznały, ale waszmościów obydwóch nie widział.

– Mnie widział – rzekł pan Podbipięta – ale mniejsza z tym.

– Może też jego Pan Bóg poda w nasze ręce? – zawołał pan Wołodyjowski.

– Już ja go tam nie chcę widzieć – mówił dalej Zagłoba. – Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział, a już to ręczę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

– Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą. Jeśli tylko książę pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

– Książę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię. Posłuchajcie, waszmościowie: przychodzi mi do głowy i drugi sposób, oto, abyśmy zamiast ludzi wysyłać albo języków łapać, sami poprzezbierali się po chłopsku i ruszyli nie mieszkając.

– O, nie może to być! – zakrzyknął pan Wołodyjowski.

– Czemu nie może być?

– To chyba waść służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie *nemine excepto* stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzysz ci nie pójdzie wtedy permisji odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest największy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po bitwie walnej, gdy nieprzyjaciel rozproszony, można, ale nie przedtem. I uważaj waść: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać i lecieć, i ratować, a ani pary nie puścił. Reputację on już ma, książę go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak tam gdzie indziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody niebywała rzecz: permisja przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycją do księcia.

– Rzymianin on jest i rygorysta, wiem – mówił pan Zagłoba – ale żeby tak kto księciu podszeptał, może by jemu i waszmościom z własnej woli dał permisję.

– Ani to jemu w umyśle nie postoi! Książę całą Rzeczpospolitą ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się ważą, całego narodu tyjące, żeby on się czyjąś prywatą zajmował? A choćby też, co jest niepodobne, nie proszony permisję dał, tedy, jak Bóg na niebie, nikt by z nas teraz z obozu nie wyruszył; bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

– Wiem ci ja o tym, wiem, i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, niewiele byśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigani, gdy własne gardła będą tylko ratować, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy, i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jak najprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czołhańskim Kamieniem zamartwimy. Żeby tak przy naszym księciu była komenda, już byśmy ruszali, ale książę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd nie ma.

– We trzech dniach już się go spodziewają.

– Dajże go, Boże, jak najprędzej! Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

– Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś: boleść z kamienia wykowała, taki bił od nich chłód i spokój.

Dziwno było patrzeć na tę twarz młodą, a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie powstał, i zgadłeś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do pół piersi, w której to brodzie wśród czarnego jak krucze pióra włosy wylały się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przytomny, na pozór spokojny, w służbie swej żołnierskiej jeszcze prawie niż zwykle pilniejszy i cały bliską wojną zajęty.

– Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jest i nasze – rzekł pan Zagłoba – gdyż Bóg świadkiem, nieczym się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment, gdybyśmy waćpanu lży jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

– Bóg zapłać – rzecze pan Skrzetuski.

– Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego – mówił pan Wołodyjowski poglądając niespokojnie na przyjaciela.

– Bóg zapłać – powtórzył pan Jan.

– Wiemy – mówił Zagłoba – żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski siadłszy na ławie oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic – aż złość porwała pana Zagłobę. „Zaliby on miał zamiar jej zaniechać? – pomyślał. – Jeśli tak, niechże mu Bóg sekunduje! Nie masz, widzę, ani wdzięczności, ani pamięci na świecie. Ale znajdują się tacy, którzy będą ją jeszcze ratowali, chyba bym wprzód ostatnią parę wypuścił.”

W izbie zapanowało milczenie przerywane tylko westchnieniami pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię.

– Skąd wracasz? – rzekł.

– Od księcia.

– I co?

– Wychodzę na noc podjazdem.

– Daleko?

– Aż pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga.

Wołodyjowski spojrział na Zagłobę i zrozumieli się od razu.

– To ku Barowi? – mruknął Zagłoba.

– Pójdziemy z tobą.

– Musisz iść po permisję i spytać, jeśli księżę innej ci roboty nie przeznaczył.

– To chodźmy razem. Mam też i o coś innego spytać.

– I my z wami – rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera księżęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali też pełno oficerów spod różnych chorągwi, bo wojska zewsząd nadciągały do Czołhańskiego Kamienia, wszyscy zaś biegle służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim wraz z panem Podbipiętą przed obliczem pańskim stanąć mogli, ale za to księżę od razu pozwolił i samym jechać, i dragonów Rusinów kilku wysłać, którzy by, zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do Bohunowych Kozaków i tam się o kniaziównę wypytywali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

– Sam ja funkcje różne Skrzetuskiemu wynajduję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nic-że on wam o niej nie mówił?

– Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między Kozaków na oślep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie *nemine excepto* stoją i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkim ratować trzeba, i dlatego u waszej księżęcej mości wcale nie był. Bóg jeden wie, co się w nim dzieje.

– I doświadcza go też ciężko. Czuwajże wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nisko i wyszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia wojewoda kijowski z panem starostą stobnickim, z panem Denhofem, starostą sokalskim, i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

– I cóż? – spytał go Skrzetuski.

– Jadę z tobą, jeno w pierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

– Chodźmy razem.

Wyszli, a za nimi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego spotkali pana Łaszczę idącego, a raczej taczającego się na czele kilkunastu szlachty, gdyż i on, i towarzysze byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem koronnym z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne jak dwie krople wody. Pan Łaszczę bowiem, choć rycerz straszliwy, dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, któren czas od bitew, modlitew, zajazdów i zabijatyk wolny lubił nade wszystko spędzać w kole takich ludzi jak pan Zagłoba, pić na umór i krotofil słuchać. Był to warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju., tyle razy przeciw prawu wykroczył, że w każdym innym państwie byłby dawno głową nałożyl. Ciężyla też na nim niejedna kondemnata, ale on nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tym bardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był jeszcze pod Rosołowami i niemałe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu stał się prawie nieznośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą nikt by nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał z wielką gospodarza uciechą, któren też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba sposepniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet pan Łaszczę, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu rękę i rzekł:

– Witamże waćpana. Czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

– Panu Skrzetuskiemu towarzyszę – odparł posepnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie w Zbarażu, w czasie której wieść przyszła o wzięciu Baru. Ale jako z

natury człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i chwyciwszy porucznika za guz od żupana, spytał:

– To acan za panną płaczesz?... a gładka była? co?

– Puść mnie waszmość pan! – rzekł Skrzetuski.

– Czekaj.

– Za służbą idąc nie mogę być rozkazom jego mości pana powolny.

– Czekaj! – mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka. – Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazania nie ma.

Po czym znizywszy głos powtórzył pytanie:

– A gładka była? co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

– Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiej by nie tykać.

– Nie tykać?... Nie bój się. Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego powlokła się śmiertelną bladością, ale się pohamował i rzekł:

– Mości panie... bym nie zapomniał, z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

– Co to? grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki?

– Ruszajże, mości strażniku, w swoją drogę! – huknął trzęsąc się ze złości stary Zaćwilichowski.

– A wy chłystki, szaraki, sługusy! – wrzeszczał strażnik. – Mości panowie, do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył z nią do Skrzetuskiego, ale w tymże mgnieniu oka żelazo świsnęło w rękę pana Jana i szabla strażnika furknęła jak ptak w powietrzu, on zaś sam zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię. Pan Skrzetuski nie dobił, jeno stał blady jak trup, jakby odurzony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: „Bij! bij!” Wielu nadlatywało nie wiedząc, o co idzie. Szable poczęły szczękać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście towarzysze Łaszcza, widząc, iż coraz przybywało wiśniowieczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić:

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innym, mniej karnym wojskiem, byłiby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwilichowski oprzytomniawszy krzyknął tylko: „Stój!” – i szable schowały się do pochew.

Niemniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza iż pan Kuszel, będąc na służbie, wpadł do izby, w której książę z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował, i krzyknął:

– Mości książę, żołnierze szablami się siekają!

W tej chwili pan strażnik koronny, blady i bezprzytomny z wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

– Mości książę! sprawiedliwości! – wołał. – W tym obozie jak u Chmielnickiego, ni na krew, ni na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych siekają! Jeśli mi wasza książęca mość sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skąszesz, to ja sam sobie ją wymierzę.

Książę porwał się zza stołu.

– Co się stało?... kto waszmości pana napastował?

– Twój oficer... Skrzetuski.

Prawdziwe zdumienie odbiło się na twarzy księcia.

– Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwilichowski.

– Mości książę, ja byłem świadkiem! – rzekł.

– Ja tu nie racje dawać przyszedłem, jeno kary żądać! – wołał Łaszcz.

Książę zwrócił się ku niemu i utkwiał w niego oczy.

– Powoli, powoli! – rzekł z cicha i z przyciskiem.

Było coś tak straszego w jego oczach i przyciszonym głosie, że strażnik, choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił, a panowie aż przybledli.

– Mów waś! – rzekł książę do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym nie tylko dygnitarza, ale i szlacheica sentymentem powodowany, pan strażnik począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił, jaką moderację, jego wiekowi prawdziwie niezwykłą, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręza poprzestając; na koniec staruszek tak skończył:

– A jako mnie wasza książęca mość zna, iż do siedemdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalało i póki żyw będę, nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacji mojej zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przy tym zbyt dobrze znał Łaszcz. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy spojrzął na pana strażnika.

– Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona – rzekł.

Pan strażnik usta otworzył i chciał coś mówić, ale słowa mu jakoś nie dopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

– Żeleński! – rzekł książę – oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco widząc wchodzącego książęcego pacholika, był bowiem pewny, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list i nic nie mówiąc wyszedł, a Skrzetuski przeczytawszy go podał przyjacielowi.

– Czytaj – rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrzął i wykrzyknął:

– Nominacja na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikostwo w husarskiej chorągwi było niemal dygnitariatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmistrzem był sam książę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już stary i dawno z czynnej służby wybyły. Pan Jan od dawna sprawował *de facto* obowiązki i jednego, i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w których dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytułarnymi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrzem królewskiej chorągwi bywał sam król, prymasowskiej prymas, porucznikami w obydwóch wysocy dygnitarze dworscy – sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu w zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwano. Takim faktycznym porucznikiem *vel* pułkownikiem był pan Jan. Ale między faktycznym sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną była jednak wielka różnica. Obecnie na mocy nominacji pan Skrzetuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozplywali się z radości winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę i pozostała tak samo surową i kamienną; bo już nie było takich godności a dostojęństw na świecie, które by mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwaterze zacierając rękę.

– No, no! – mówił – porucznik nominowany w husarskiej chorągwi! W takich młodych latach jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

– Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście! – rzekł Zagłoba.

– Ot, co jest! ot, co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

– Wolałby się on tego zrzec – rzekł pan Longinus.

– Mości panie – westchnął Zagłoba – cóż dziwnego! Ja bym oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem nimi chorągiew zdobył.

– Tak to, tak!

– Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć? – zauważył Wołodyjowski.

– Pewnie, że umarł.

– Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcję sprawuje.

Pytanie to pozostało nie rozstrzygnięte; ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

– Mości panie – rzekł do pana Podbipięty – książę mianował waści namiestnikiem.

– O Boże! Boże! – jęknął pan Longinus składając jak do modlitwy rękę.

– Tak samo mógłby jego inflancką kobylę mianować – mruknął Zagłoba.

– No, a podjazd? – spytał pan Wołodyjowski.

– Jedziemy nie mieszkając – odpowiedział pan Skrzetuski.

– Siła kazał książę ludzi wziąć?

– Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięciuset ludzi.

– Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę.

– W drogę, w drogę! – powtórzył pan Zagłoba. – Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniem.

W dwie godziny później, równo z zachodem słońca, czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czolhańskiego Kamienia ku południowi, prawie zaś jednocześnie opuszczali obóz wraz ze swymi ludźmi pan strażnik koronny. Patrzyło na ten odjazd mnóstwo rycerstwa spod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i urągania; oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, którego opowiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło.

– Ja mu nosiłem rozkaz księcia – mówił pan Kuszel – i wierzajcie waszmościowie, iż *periculosa* to była misja, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczeć jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziaka porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał Niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę, i moich dragonów z bandoletami w rękę. Dopiero wziął krzyżeć: „Dobrze! dobrze! odejdę, kiedy mnie wypędzają!... Pójdę do księcia Dominika, którego mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomszczę (krzychał), jakem Łaszcz! jakem Łaszcz!... i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcję!” Myślałem, że go jad zaleje – a stół to dziobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, że nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem nie ma żartów. Zawzięty to jest człek i dumny, którego jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, a odważny i przy tym dygnitarz.

– Co się zaś ma Skrzetuskiemu trafić *sub tutela* księcia pana! – rzekł jeden z oficerów. – I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik nie wiedząc nic o ślubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, oddalał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ozygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień powarzył liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła, jak w lipcu, bo taki to już był cały ów rok, w

którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat legiwał jeszcze głęboki śnieg na stepach. Po dość mokrym lecie pierwsze miesiące jesieni nastąpiły suche a łagodne, o bladych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze; nie strażując zbyt mocno, bo byli jeszcze zbyt blisko obozu, aby jaki napad miał grozić; jechali żwawo: namiestnik z kilkunastoma końmi na przedzie, a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

– Obaczcie no, waszmościowie, jako się światło miesiąca kładzie na owym wzgórzu – szeptał pan Zagłoba – przysiągłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze wyszły z ciał łbów sobie nie rozbijały po ciemku o drzewa, jako wróble w stodole o krokwie, i łatwiej drogę znalazły. Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

– Żeśmy to już przecie wyjechali i jakowys ratunek przedsięwzię, to grunt! – rzecze Wołodyjowski.

– Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć – mówił dalej Zagłoba – gdy na koń siędziesz, zaraz ci desperacja od trzęsienia się coraz niżej zlatuje, aż ją w końcu i zgoła wytrzesiesz.

– Nie wierzę ja – szepnął Wołodyjowski – aby tak wszystko można wytrząść; *exemplum*; afekt, który się niby kleszcz w serce wpija.

– Gdy jest szczyry – rzecze pan Longinus – to choćbyś się z nim jako z niedźwiedziem borykał, zmoże cię.

To rzekłszy pan Longinus ulżył wezbranej piersi westchnieniem podobnym do sapnięcia miecha kowalskiego, zaś mały Wołodyjowski podniósł oczy ku niebu, jakby szukał między gwiazdami tej, która księżniczce Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocztowi odpowiadali im: „Zdrów, zdrów!” – potem uciszyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos począł śpiewać w tylnych szeregach:

Jedziesz na wojnę, nieboże,
Jedziesz na wojnę!
Noce ci będą na dworze,
A dzionki znojne...

.....

– Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze prychają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk jeszcze powiadał – rzekł Wołodyjowski.

– Coś mnie jakby w ucho szepce, że nie na próżno jedziemy – odpowiedział Zagłoba.

– Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otucha w serce wstąpiła – westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić jak człowiek, który z jakąś myślą się nie może uporać, a na koniec ozwał się:

– Całkiem mnie co innego w głowie siedzi i muszę się już chyba przed waćpanami z tej myśli spuścić, gdyż mi jest wcale nieznośna: oto czyście waściowie nie zauważyli, że od niejakiego czasu Skrzetuski – nie wiem, może dysymuluje – ale taki jest, jakby najmniej z nas wszystkich o salwowaniu onej niebogi myślał.

– Gdzie zaś! – odpowiedział Wołodyjowski – humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wyznać. Nigdy on nie był inny.

– To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przypomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazowali, mówił „Bóg zapłać!” i mnie, i waćpanu tak *negligenter*, jakby o lada jaką sprawę chodziło, a Bóg widzi, czarna by to była z jego strony niewdzięczność, bo co się ta nieboga za nim napłakała i natęskniła, tego by na wołowej skórze nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrząsnął głową.

– Nie może to być, aby on jej zaniechał – rzekł – choć prawda; że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozłogów ów diabeł porwał, desperował tak, iżśmy się o jego mentem obawiali, a teraz daleko więcej okazuje upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał – to i lepiej. Jako szczyry przyjaciele, powinniśmy się z tego cieszyć...

To rzekłszy Wołodyjowski konia spiął i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu wedle pana Podbipięty.

– Czy wasze nie tego mniemania, co i ja, że gdyby nie amory, siła złego nie stałaby się na świecie?

– Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie – odparł Litwin.

– A waćpan to nigdy g’rzeszy nie odpowiesz. To inna sprawa, a to inna. Przez cóż Troja zburzona? he? Albo to i ta wojna nie o ryż kosę? Zachciało się Chmielowi Czaplńskiej czy też Czaplńskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręcimy.

– Bo to niepoczciwe amory; ale są i zacne, od których chwała boża się przymnaża.

– Teraz się waćpan lepiej utrafił. A prędkoż sam w onej winnicy pracować pocziesz? Słyszałem, żeć szarfą na wojnę przewiązano.

– Braciaszku!... braciaszku!...

– Ale trzy głowy na zawadzie stają, co?

– Ach! tak ono i jest!

– To ci powiem : machnij dobrze i utnij od razu : Chmielnickiemu, chanowi i Bohunowi.

– Żeby się to tylko chcieli ustawić! – odrzekł rozrzuwionym głosem pan Longin wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu spod hełmu na jego martwą twarz, aż wreszcie trącił strzemiem w jego strzemię.

– Janie – rzekł – źle, że się tak zapamiętywasz.

– Ja się nie zapamiętywam, jeno się modłę – odpowiedział Skrzetuski.

– Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił z wolną swoją męczeńską twarz ku Wołodyjowskiemu i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacji głosem:

– Powiedzże, Michale, co mnie pozostaje więcej, jak habit?...

– Pozostaje ci ją ratować – odpowiedział Wołodyjowski.

– Tak też i uczynię do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie za późno? Strzeż mnie, Boże, bo o wszystkim mogę myśleć, tylko nie o tym, strzeż, Boże, rozumu mojego! Już ja niczego więcej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli bożej nie było... Daj mnie się modlić, Michale, a krwawiącej rany nie tykaj...

Wołodyjowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze, było, go pocieszać, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło; i jechali dalej w głuchym milczeniu, tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał widocznie myśli okropne odpędzić, a małego rycerza, gdy spojrział przy świetle księżycy na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędziała przez posty i umartwienia.

A wtem ów głos znowu zaczął śpiewać w tylnych szeregach:

Znajdziesz po wojnie, nieboże,
Znajdziesz po wojnie,
Pustki z powrotem w komorze,
Ran w skórze hojnie.

ROZDZIAŁ V

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając strażę, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przede wszystkim zbierał wieści o nieprzyjacielu, po czym wychodził nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było: dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swymi czterdziestoma tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też rzuciwszy bezowocne oblężenie idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej: co robią dobrudrzy Tatarzy? – czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzywonosem, czy z tamtej strony jeszcze leżą? Ważne to były dla obozu polskiego wiadomości i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom, do głowy, przeto książe wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeli by bowiem pokazało się, że Krzywonos wraz z białogrodzkimi i dobrudzkimi hordami porzucił oblężenie nie zdobytego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył – tedy należało jak najprędzej na tego ostatniego uderzać, zanimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem generał-regimentarz, książe Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się i w chwili wyjazdu Skrzetuskiego dopiero za dwa lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie ucztował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijała najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego i książe Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzoną będzie, to nie tylko Krzywonos i ordy zadniestrzańskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam chan na czele wszystkich sił perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że chan już Dniepr przebył i że w dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książe Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszym, że wojska stojące pod Czołhańskim Kamieniem muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą i że w razie klęski regimentarzy nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej, pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tym był niebezpieczniejszy, że na wypadek gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on, idąc spod Kamieńca wprost na północ aż pod Konstantynów, mógł im zagrozić odwrót, a w każdym razie wówczas byłiby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nie tylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go i powstrzymać. Przejęty ważnością swego zadania, od którego spełnienia los całego wojska w części zależał, ważył porucznik chętnie życie swoje i swoich żołnierzy; jednakowoż przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywanym być by mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępnym bojem w pięćset ludzi powstrzymać czterdziestotysięczną Krzywonosową watahę posiłkowaną przez białogrodzkie i dobrudzkie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucić – i wiedział doskonale, że w razie bitwy w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszków – chwycił się więc innych środków. Oto naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizji strasznego księcia, i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich chutorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotrycza, Studzienicy, Uszki, Kałusiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca aż do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocimiu i Zaporozcy w Jampolu, i Tatarzy w Raszkowie. I znów rozległ się ów znany okrzyk: „Jarema idzie!”, od którego zamierały serca zbuntowanego ludu, którego drżał z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił w prawdę wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jarema na Krzywonosą – to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni i większe siły, a jednak zostali pobici, dziesiątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego mołojcy będą się bili jak wściekły przeciw każdym innym wojskom Rzeczypospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale za zbliżeniem się Jaremy – pierzchną jak stado łabędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen! ku Braclawowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kołując, na czas nie zdąży, ale przynajmniej na czas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit; puszczał je – jak i poprzednie – umyślnie pan Skrzetuski; wówczas w pierwszej chwili nie wiedział już nieszczęsny watażka, co począć.

Następnie postanowił tym bardziej na wschód ruszyć, jak najdalej się w stepy posunąć: może też spotka Tatarów i przy nich się schroni?

Ale przede wszystkim chciał się upewnić, dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogo by znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło, i trzeba było koniecznie znaleźć takiego człowieka, który by na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela, ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni łamany kołem, nie wydał planów ucieczki.

Na koniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohuna i rzekł mu:

– Słyszysz, Jurku, mój przyjacielu! Idzie na nas Jarema z potęgą wielką, zginąć przyjdzie nieszczęsnym!

– Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami, bat'ku, o tym mówili; ale czemu nam ginąć?

– Nie zderzmy. Innemu by zdzierzyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

– A ja się jego nie boję, ja mu pułk w Wasilówce na Zadnieprzu wyciął.

– Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka, mołojcka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kiścieni rzucali, że ich na rzeź chcę prowadzić.

– To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

– Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

– Temu ja nie wierzę, ojczu Maksymie. Chmiel lis, bez Tatarów nie uderzy na Lachów.

– Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedy by my wrażego Jaremę obesłi i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, ja by mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

– Ja pójdę, ojczu Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojckiej!

– Ty drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będiesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad Kozakami, nad dobrymi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idźże ty, sokole, a potem, czego chcesz, żądaj. No, ja ci powiem: żeby ty nie poszedł, to ja by poszedł sam, ale mnie nie można.

– Nie można, bo jakbyście wy, ojczu, wyszli, tak by mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete, i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójdę, tak im serca przybędzie.

– A siła komunika ci dać?

– Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść... ale z pięciuset dobrych mołojców dajcie, a już moja głowa, że wam języków przywiozę, i nie pocztowych, ale towarzyszków, od których się wszystkiego dowiecie.

– Jedźże zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spalenie Lachom, a na pohybel nam, niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Mołojcy jego, jako nieodmiennie bywało w takich okazjach, pili na zabój, „nim śmierć-matka przytuli”, on zaś pił z nimi, aż parsknął gorzałką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegciu zatoczyć i jak był w altembasach i sajetach, rzucił się w nią we wszystkim, zanurzył się raz, drugi, wraz z głową – i wykrzyknął:

– Czarny ja teraz jako noc-matka, lackie oczy nie dojrzą!

I wytarawszy się na perskich kobiercach zdobycznych, skoczył na koń i pojechał, i za nim poczapłali wśród pomroki nocnej wierni mołojcy przeprowadzani okrzykiem:

– Na sławu! na szczastie!

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarmoliniec; tam trafiwszy na opór, sprawił krwawy chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz kniaź Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudzonym koniom i żołnierzom.

Po czym zebrawszy na naradę towarzyszków rzekł im:

– Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgoła mają nas za przednią straż książęcą i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie obaczyli widząc, iż jedna kupa wszędzie chodzi.

– A długoż my tak będziemy chodzić? – spytał pan Zagłoba.

– Póki o Krzywonosie nie będziemy wiedzieć, co postanowił.

– Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

– Być to może... – odrzekł pan Skrzetuski.

– Mości panie, wielcem z tego nierad – rzekł szlachcic. – Zaprawiło się trocha ręce na hultajstwie pod Konstantynowem, zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha!... palce świerzbią...

– Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz – odparł poważnie pan Skrzetuski.

– O! a to *quo modo*? – pytał dość niespokojnie Zagłoba.

– Bo lada dzień możemy się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagradzać, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materii: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku

miejscach na raz o nas wiedziano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

– Tak i ja mniemam – rzecze Wołodyjowski – będziem im się w oczach mnożyć, i ci, co uciekną do Krzywonosy, o krociach będą gadali.

– Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź – rzekł Podbipięta.

– Pójdę ja na Zinków ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to dalej – mówił Skrzetuski. – Waćpan, mości namiestniku Podbipięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom; ty, Michale, podejdz pod Kupin, a pan Zagłoba dotrze do Zbrucza koło Satanowa.

– Ja? – rzecze pan Zagłoba.

– Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, to czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

– Weźmie, ale pod moją komendą! – zawołał Zagłoba, którego nagle olśniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału. – Jeślim się pytał dlaczego, to, że mi się żal było z wami rozłączać.

– Czy jeno masz waćpan eksperyencję w rzeczach wojskowych? – spytał Wołodyjowski.

– Czy mam eksperyencję? Jeszcze żaden bocian nie myślał o tym, aby z waści prezent ojcu i matce zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotąd bym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata siedział. Musiałem za bezoarem do Galaty jeździć, o której peregrynacji szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

– Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puszczej, że Chmielnicki już pobit i że księżę Płoskirów już minął – rzekł pan Skrzetuski. – Lada jakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy spod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzy by o Krzywonosie mogli dać wiadomość, bo ci, których mamy, dają relacje sprzeczne.

– Obym samego Krzywonosy napotkał! niechby mu przysłała chętką na podjazd wyjechać, zadałżebym mu pieprzu z imbierem! Nie bójcie się, waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać – ba, nawet i tańcować!

– We trzech dniach zjedziem się na powrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę! – rzekł Skrzetuski. – A ludzi proszę waszmościów oszczędzać.

– We trzech dniach w Jarmolińcach! – powtórzyli Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

ROZDZIAŁ VI

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam na czele swego oddziału, zrobiło mu się zrazu jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno, i dużo byłby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męstwo.

Jechał więc z początku dość posepnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć, i mruczał:

– Zawsze raźniej by było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego go stworzył; a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy dzbanie albo jako rybom we wodzie. W to im graj. Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie i wiem, jako jest *peritus*. Tak on trzepie ludzi, jak mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów Litwin, co własnej głowy nie ma, a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi być nie lada, miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał – osa to musi być! Szczęściem, niedaleko on ode mnie ciągnie i myślę, że najlepiej zrobię, jak się z nim połączę, bo jeśli wiem, dokąd iść, to niech mnie kaczki zdepczą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie, aż się sam swej samotności uzalił.

– Tak to, tak! – mruczał. – Każdy ma się na kogoś obejrzeć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki. Sierotam jest – i kwita!

W tej chwili wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu :

– Mości komendancie, dokąd idziemy?

– Dokąd idziemy? – powtórzył Zagłoba – co?

Nagle wyprostował się w siodle i węża pokręcił.

– Do Kamieńca, jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu?

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruczał dalej:

– Jeśli do Kamieńca pójde, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie, więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolałbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz za dużo nas, by fortelami wojować, a za mało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przysła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I gdzie ja pójde? Wiem, co za mną, ale kto mnie powie, co przede mną, i kto mi zaręczy, czy diabli tam jakiej pułapki nie ustawili? Krzywonos i Bohun! Dobra sfora! Żeby ich diabli obłuszczyli! Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie się z nim spotkać – wysłuchaj go, Panie! Życzę mu tego, czego sobie sam życzy, bom mu przyjaciel... – amen! Dotrę do Zbrucza i wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej im przywiodę, niż sami chcą. O to nietrudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

– Mości komendancie, jakowychś jeźdźców za wzgórzem widać.

– Niech jadą do diabła! Gdzie? gdzie?

– Ano tam, za górą. Znaki widziałem.

– Wojsko?

– Zdaje się, wojsko.

– Niech ich psi kęsają. A siła ich?

– Nie wiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli potęga za wielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, strzały usłyszysz i na pomoc skoczysz.

Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy jak wino. Być może, że to desperacja dała mu taki do czynu pochop; być może nadzieja, że pan Wołodjowski jeszcze blisko, dość, że gołą szablą błysnęła, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

– Ukryć się za skały! Wpadniemy na nich niespodzianie! Pokażemy tym hultajom!...

Sprawni żołnierze księżący z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; na koniec dał się słyszeć gwar zbliżających się ludzi, echo niosło nutę wesołych pieśni, a po chwili jeszcze do uszu czatujących w zasadzce doszły odgłosy skrzypek, dud i bębena. Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

– To nie wojsko, panie komendancie, nie Kozacy; to wesele.

– Wesele? – rzekł Zagłoba. – Zagramże ja im, niech poczekają!

To rzekłszy ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

– Za mną! – krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła klusem, potem galopem – i okrążywszy skałę stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

– Stój! stój! – wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konną dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj „dowbysze”, trochę już pijani, wycinając od ucha skoczne kołomyjki. Za nimi panna młoda, hoża dziewczyna w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Otaczały ją družki śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce – a wszystkie dziewczki na koniach, siedzące po męsku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały z dala jak zastęp kraśnych Kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody wśród družbów z wieńcami na długich, podobnych do spis tyczkach; orszak zamykali rodzice nowożeńców i goście, wszyscy konno. Jedynie beczi z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich, wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

– Stój! Stój! – wołano z obu stron, po czym orszak weselny pomieszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi družbowie skoczyli naprzód, by piersiami zasłonić młodziec przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczeć:

– Ha! skurczybyki, psie chwosty, rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, łajdaki? na przespiegi jeździe? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę ręce podnosicie? Dam ja wam, pieskie dusze bezecne! W dyby pokuć każę, na pal powbijając, o szelmy! o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb družba zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemie począł kłaniać się w pas a błagać:

– Zmiłujcie się, jasny rycerzu, nie gubcie biednych ludzi, Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy; my z cerkwi, z Husiatyna, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem...

– To niewinni ludzie, panie – szepnął wachmistrz.

– Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosy na wesele przyszli! – huknął Zagłoba.

– Kołyb jeho trastia mordowała! – zawołał starzec. – My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zmiłujcie się, jasny panie, dozwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

– Do Jarmoliniec w łkach pójdziecie!...

– Pójdziemy, gdzie każecie, panie! Wam rozkazywać; nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołmirom, żeby oni nam zła nie czynili, a sami – wybaczone prostakom – i ot, bijem czołem pokornie: wypijcie z nami na szczęście uwieńczonym... Wypijcie, wasza miłość, na radość prostym ludziom, jako Bóg i święta ewangelia nakazuje.

– Jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję! – rzekł ostro pan Zagłoba.

– Nie, panie! – zawołał z radością dziad – my nie myślim! Hej! grajki! – zakrzyknął na muzykę – zagrajcie dla jasnego łycara, bo jasny łycar dobry, a wy mołojcy, skoczcie po miód, po słodki dla jasnego łycara; on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro, chłopci, skoro! Diakujem, pane!

Mołojcy kopnęli się co ducha do beczek, a tymczasem zawarczały bębni, zapiszczały rażno skrzyпки, dudziarz wydał policzki i począł miętosić dudę pod pachą, družbowie potrząsali wieńcami na tykach; co widząc żołnierze poczęli się coraz bardziej przysuwać, wąsy kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na młodziec poglądać. Zabrzmiały na nowo pieśni – i strach minął, nawet gdzieś ozwały się radosne: „u-ha! u-ha!”

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się od razu – nawet gdy mu dano kwartę miodu, mruczał jeszcze z cicha: „A szelmy! a łajdaki!” Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc oczy, mlaskając wargami, począł smakować trunek – następnie zdziwienie, ale i oburzenie odbiło się na jego twarzy.

– Co to za czasy! – mruknął. – Chamy taki miód piją! Boże, Ty to widzisz i nie brzmisz?

To rzekłszy przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyszli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno, a między nimi przysła i panna młoda, Ksenia nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłoniona i śliczna jak zorza.

Zbliżywszy się złożyła ręce: „Pomyłujcie, pane!” – i całowała żółty but pana Zagłoby. Serce w szlachcicu od razu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę, rzekł do Kseni:

– Naści! Niechże ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła czarnobrewa Ksenia przypomniała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba. „Gdzie ona teraz, nieboga, i czy jej tam pilnują święci anieli?” – pomyślał i całkiem był już rozczulony, gotów z każdym ścisnąć się i bratać.

Weselnicy zaś widząc jego wspaniały czyn poczęli hukać z radości, a śpiewać, a cisnąć się do niego, całować poły, „Dobry on! – powtarzano w tłumie – zołotyj Lach! czerwinci daje, zła ne robyt, dobry pan! Na sławu, na szczastie!” Skrzypek aż się trząsał, tak ciął od ucha, dudziarzowi oczy na wierzch wylazły, dowbyszm ręce ustawały. Stary bondar, tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle; teraz wsunął się naprzód i wraz z żoną bondarową i starą kowalichą, matką pana młodego, nuż kłaniać się w pas a do chutoru na wesele zapraszać, że to sława takiego mieć gościa i dla młodych pomyślna wróżba – że inaczej krzywda im będzie. Za nimi kłaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która choć prosta młodocia, od razu poznała, że jej prośba najwięcej może. A druźbowie krzyczeli, że chutor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi, stary zaś bondar bogaty, nie takiego miodu wytoczy. Pan Zagłoba spojrzął po żołnierzach: ruszali wszyscy wąsami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i napitkach obiecując, więc – choć nie śmieli prosić, by jechać – zlitował się nad nimi pan Zagłoba – i po chwili on, druźbowie, młodocie i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej zgodzie do chutoru.

Chutor istotnie był niedaleko, a stary bondar bogaty, więc i wesele było szumne. I popili się wszyscy mocno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki. Stare baby zawiodły Ksenię do komory i zamknęły się tam z nią; bawiły długo, po czym wyszły i oświadczyły, że młodocia – jak gołąbka, jak lilia! Wtedy radość zapanowała w zgromadzeniu, podniósł się krzyk: „Na sławu! na szczastie!” Kobiety jęły klaskać w ręce i krzyżeć: „A szczo? ne kazały!” Parobcy zaś tupali nogami i kaźden tańczył w pojedynkę, z kwartą w ręku, którą przed drzwiami komory „na sławu” wypijał. Tańczył tak i pan Zagłoba, tym tylko zacność swego urodzenia dystyngując, że nie kwartą, ale półgarcówką pił przed drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili młodego Dymitra do komory, ale że młody Dymitr ojca nie miał, więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go zastąpił – a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez ten czas uciszyło się w izbie, tylko żołnierze pijący na majdanie przed chatą krzyk czynili hałakując z radości po tatarsku i pałac z bandoletów. Lecz największa radość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice pojawili się na powrót w izbie. Stary bondar ścisnął z radości kowalicę, parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki jako oka w głowie; jak hołubki i lilii¹, po czym puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczęli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klaskał i w prysiadach przysiadął, i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem inni: kto mógł – w izbie, kto nie mógł – na podwórku, młodocie z mołojcami i z żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan – zapalono stosy z suchych bodiaków i luczywa, bo zapadła już noc głęboka, i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umór; żołnierze palili z bandoletów i muszkietów jakby w czasie bitwy.

Pan Zagłoba, czerwony, spocony, chwiejący się na nogach, zapomniał, co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu były z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałyby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu – ale na czym? Ha? pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiała mu wreszcie jak gwóźdź w głowie i taką napelniła go radością, że począł wrzeszczeć jak opętany: „Niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się! – i coraz nowe spełniał półgarcówki: – W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się nam dobrze działo!... Bogdaj ten paroksyzm ojczyznę minął!” – Tu zalał się łzami i potknął się idąc do beczki – i potykał się coraz więcej, bo na ziemi jakby na pobjowisku leżało mnóstwo ciał nieruchomych. „Boże! – zawołał pan Zagłoba – nie masz już męstwa w tej Rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Zagłoba... A reszta! Boże! Boże!” I oczy żałośnie ku niebu podniosła wtem postrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie na kształt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakoby chciały z oprawy wyskoczyć, drugie zataczają koła, trzecie tańczą naprzeciw siebie kozaka – więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej.

– Zali ja jeden tylko nie pijany *in universo*?

Ale nagle ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzęsała się szalonym wirem i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, że jakieś zmory usiadły mu na piersiach, że go gniotą i przytłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy odbijały mu się wrzaski i jak gdyby huk wystrzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem nieznośnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach; było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność – ale dziwna – bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej – i odemknął powieki.

¹ Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczów, które wpijały się w niego chciwie, a były to czarne źrenice jak węgiel i tak złowrogie, że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba pomyślał w pierwszej chwili, że to diabeł na niego patrzy – i znów przymknął powieki, i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzyły wciąż uporcezywie – twarz wydała się znajomą; nagle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszło mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

ROZDZIAŁ VII

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pałł oczy przerażeniem jeńca.

– Dobry wieczór waści! – rzekł dojrząwszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednym mgnieniu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki doszedłszy mu do pięt wróciły się do góry, aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko – i zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje; taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba, a ostatnim słowem tej jasności był cichy, nie wypowiedziany ustami okrzyk:

„Ten mi dopiero da łupnia!”

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

– Dobry wieczór waszmości.

„Brr! – pomyślał Zagłoba – wolałbym, by wpadł w furję.”

– Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

– Czołem! czołem! Jak zdrowie?

– Nieźle. A waściny to już ja się zajmę.

– Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wąpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola boża.

– No, ty mnie kurował, teraz się tobie wywdzięczę. My stare druchy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach – co?

Oczy Bohuna poczęły świecić jak dwa karbunkuły, a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

– Pamiętam – rzekł Zagłoba – że mogłem cię nożem pchnąć – i nie pchnąłem.

– A ja to ciebie pchną? albo cię myślę pchnąć? Nie! ty dla mnie lubczyk-kochańczyk; ja ciebie będę strzegł jak oka w głowie.

– Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler – rzekł Zagłoba udając, że bierze za dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl: „Już widać on mi specjał jakowyś obmyśli; nie umrę po prostu!”

– Ty dobrze mówił – ciągnął Bohun – ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

– Co prawda, tom cię nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

– Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie młodycię z Rozłogów do Baru przywiódł. Tam ja ją znalazł, a teraz ot! na wesele by ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro – teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba mimo straszliwego położenia, w jakim się znajdował, nadstawił uszu.

– Na wesele? – mruknął.

– A co ty myślał? – mówił Bohun – czy to ja chłop, żeby ją bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopca ty ją do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

„Dobrze!” – pomyślał Zagłoba.

Po czym zwrócił głowę ku Bohunowi.

– Każ mnie rozwiązać... – rzekł.

– Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

– Gdzie mnie chcesz wieźć?

– Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosy. Już my oba pomyślimy, żeby tobie tam było dobrze.

– Będzie mi ciepło! – mruknął szlachcic i znowu mrówki poczęły mu chodzić po grzbiecie.

Na koniec począł mówić:

– Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie – Bóg widzi. My żyli razem i w Czehrynie niejeden gąsior wypili, bo miałem dla cię afekt ojcowski za twoją fantazję rycerską, jakiej lepszej nie znalazłeś na całej Ukrainie. Ot co! Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebyś ja był z tobą do Rozłogów wtedy nie jeździł, to byśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli – a po cóżem jechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował onych nieszczęsnych ludzi – Bóg na mnie patrzy – nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mieszać! Wolałbym, żeby dziewczyna była twoja niż czyja inna. Ale przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło, że to przecie szlachecki dom. Sam byś nie inaczej postąpił. Mogłem cię przecie z tego świata zgładzić z większym moim pożytkiem – a przecieżem tego nie uczynił? Bom szlachcic i wstyd mi było. Zawstydzę się i ty, bo wiem, że się nade mną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku – czego ode mnie chcesz? Zalim jej nie strzegł jak oka w głowie – tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać, że i w tobie jest rycerski honor i sumienie, ale jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwi niewinnej ubroczyłeś? Jako to jej powiesz: tego czleka, któren cię przez chłopstwo i tatarstwo przeprowadził, na mękim wydał? Zawstydzę się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdrada pochwycałeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć potkać może – a za moją śmierć Bóg cię będzie karał na tym, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zydła błady z wściekłości i zbliżywszy się do Zagłoby zaczął, mówić przyduszonym przez furie głosem:

– Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spalę, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa pochwycił za nóż wiszący u pasa – przez chwilę ścisnął go konwulsyjnie w pięści – już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się, nóż wepchnął z powrotem w pochwę i zakrzyknął:

– Mołojcy!

Sześciu Zaporozców wpadło do izby.

– Wziąć to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzec jak oka w głowie.

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę – i wyniosłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, na koniec porzucili go na gnoju w stojącym opodał chlewie. Po czym drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność – jeno przez szpary między belkami i przez dziury w poszyciu przedzierało się tu i owdzie blade światło nocne. Po chwili oczy pana Zagłoby przyzwyczaiły się do pomroki. Rozejrzał się dokoła i ujrzał, że w chlewie nie było świń ani mołojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony był szczelnie, ale mimo tych straży pan Zagłoba odetchnął głęboko.

Przede wszystkim żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła – i Bogu ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął nie tylko się zemścić, ale i nasycić się zemstą nad tym, który wydarł mu krasawicę i sławę jego mołojecką nadwreżył, a samego śmiesznością okrył spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszała go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosy go powiodą i tam dopiero na pytki wezmą – że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą; tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie samotny i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyśleć.

To była jedna, dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

– Gdyby tu wieprz albo świnia leżała w tym chlewie – mrucał pan Zagłoba – miałyby ich więcej niż ja, boby jej nie związali w kij do własnej szabli. Niechby Salomona tak związali, nie byłby mądrzejszy od własnych pludrów albo od mego napiętka. O Boże, Boże, za co mnie tak każesz! Na tyłu ludzi na świecie tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem – i takie moje szczęście, że go właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną jak świebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, to bym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i inny by nie uwierzył, a cóż dopiero ten! Czuję, że mnie serce zamiera. Diabli mnie tu przynieśli – o Boże, Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę... o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiej by mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby popróbował? Byle tylko szabłą zdołał spod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak tu ją wysunąć? Przewrócił się na bok – źle... Pan Zagłoba zamyślił się głęboko.

Następnie począł się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej, a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cala naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej niż w tańcu i chwilami ustawał i spoczywał, chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mołojców idzie ku drzwiom – i znów rozpoczynał z nowym zapałem, na koniec przesunął się do ściany.

Wówczas począł się kiwać inaczej, bo nie od głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to spod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojęści.

Serce poczęło bić w panu Zagłobie jak młotem, bo ujrzał, że to sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jak najciszej uderzać i tylko wówczas, gdy rozmowa mołojców głużyła lekkie uderzenia. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się ku ścianie nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszająca się już znaczna część szabli, i wiele cięższa biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolanami a rękoma, ale rękojeść zawadzała się co chwila krzyżykiem o nierówności gruntu; na koniec krzyżyk zawadził silniej – pan Zagłoba kiwnął się ostatni raz i przez chwilę radość przygwoździła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachcic zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił nimi szablę na powrót. Pochwę przytrzymał nogami i wyciągnął żeleźce.

Rozciąć pęta na nogach było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tyłcem do dołu, ostrzem do góry, i trzec o owo ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Co gdy uczynił, był nie tylko wolny od pęt – lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, po czym przeżegnał się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt do uwolnienia się z rąk Bohunowych było jeszcze bardzo daleko.

– Co dalej? – pytał samego siebie pan Zagłoba.

I nie znalazł odpowiedzi. Chlew naokoło obstawiony był mołojcami; było ich tam razem ze stu; mysz nie mogłaby się wymknąć nie postrzeżona, a cóż dopiero człowiek tak tęgi jak pan Zagłoba!

– Widzę; że zaczynam w piętę gonić – rzekł sam do siebie – a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego można by u Węgrzynów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie ześle jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli ześle, to się ofiaruję w czystości trwać jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa mołojców za ścianą przerwała mu dalsze rozmyślenia, poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy jak pudło teorbanu: słowa dochodziły wyraźnie.

– A gdzie my stąd pojedziemy, ojczy Owsiwuju? – pytał jeden głos.

– Ne znaju, pewno do Kamieńca – odparł drugi.

– Ba, konie ledwo nogami włóczą; nie dojdą.

– Dlatego tu i stoimy; do rana wypoczną.

Nastała chwila milczenia, potem pierwszy głos ozwał się ciszej jak poprzednio:

– A mnie się widzi, ojczy, że ataman spod Kamieńca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

– Milcz, jeśli ci młoda głowa miła! – brzmiała odpowiedź.

Nastała chwila milczenia, tylko zza innych ścian dochodziło szeptanie.

– Wszędy są, wszędy pilnują! – mruknął Zagłoba.

I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między nimi mołojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

– Hej – mówił jeden – my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie popasając, po to, by na pale w obozie Jaremy poszli.

– To już pewno, że on tu jest?

– Ludzie, co z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach, co mówią: wielki on jak sosna, we łbie dwie główne, a koń pod nim smok.

– Hospody pomyłuj!

– Nam tego Lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

– Jak uciekać? Konie i tak zdychają.

– Źle, braty ridnyje. Żeby ja był atamanem, tak ja by temu Lachowi szyję uciął i do Kamieńca choć piechotą wracał.

– Jego ze sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

– Pierwej z wami diabli poigrają – mruknął Zagłoba.

Jakoż mimo całego strachu przed Bohunem, a może właśnie dlatego, poprzysiął sobie, że się żywcem nie da wzięć. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku – będzie się bronił. Rozsiekają go – to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie nadzwyczajnie zdrażonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zagłobie.

„Żeby to mógł przez tę ścianę się przedostać; a na konia niespodzianie skoczyć! – myślał. – Jest noc: nimby się obaczyli, co się stało, już bym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach! Dajże mi Boże sposobność!”

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzeba by chyba było ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą – lub się podkopać jak lis, a i wówczas pewnie by usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemięcia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortelów, ale właśnie dlatego, że ich było tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

„Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłacić” – pomyślał.

I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli, i do połowy długości miał strych służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Po czym siadł, odetchnął i począł z wolna wciągać za sobą drabinę.

– No, tom jest i w fortocy! – mruknął. – Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nieprędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego łba, który się tu wychyli, nie rozwałę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O do diabła! – rzekł nagle – istotnie będą mnie mogli nie tylko uwędzić, ale upiec i na łój przetopić. Ale niech tam! chcą chlew spalić – dobrze! żywcem mnie tym bardziej nie dostaną... a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego czy pieczonego. Byłem tych zbójcekich rąk uszedł, o resztę nie dbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie.

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpacz do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się o wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot i wszystko! Ale ze strachu do wolności była droga jak z pieca na łeb – z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców czyhających pod ścianami.

– Jakoś to będzie! – mruknął pan Zagłoba i zbliżywszy się do dachu począł z lekka rozrywać i unosić poszycie, aby sobie *prospectus* na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przy tym wstał dość silny wiatr i głużył powiewem wśród pobliskich drzew szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa – pan Zagłoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło.

Noc poczyniała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bladym świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan zapełniony końmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane na kształt długich niewyraźnych linii, dalej żuraw studzienny i koryto, w którym świeciła woda, a obok nich znów szereg śpiących ludzi i kilkunastu mołojców z gołymi szablami w ręku przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

– To moi ludzie, których w łyka wzięto – mruknął szlachcic. – Ba! – dodał po chwili – żeby to byli moi, ale to książęcy!... Dobrym byłem im wodzem, nie ma co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać, jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tym weselu, ile na psim. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, którego włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe na świecie z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryę i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka, i zatrzymał się na jej drzwiach.

– O śpij, złodzieju – mruknął – śpij! niech ci się przyśni, żeć diabli łuszczą, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić, spróbuj tu wleźć do mnie na górę, a obaczymy, czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł stąd wyrwać! żebym się mógł wyrwać! Ale jak? Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunąwszy się z dachu skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną miarą dotrzeć nawet do wrót, a cóż dopiero wydostać się za wrota !

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej części zadania: był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem jakoby w fortocy.

„Cóż u licha! – czy po tom się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?”

I znowu fortele poczęły mu huczeć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powłókł się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyncze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi leżących koło studni – i baranie kozuchy, pod którymi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu śpiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i owdzie koło ludzi i koni; chwilę pogadała z mołojcami pilnującymi jeńców i na koniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że strażnicy rozmawiali z ową postacią tak jak podwładni z przełożonym.

– Ej! – mruknął – żebym to miał teraz guldynkę w ręku, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowę i na twarz jej padł szary blask świtu: to nie był Bohun, ale sotnik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdy dotrzymywał Bohunowi kompanii w Czehrynie.

– Chłopy! – rzekł Hołody – a nie śpicie?

– Nie, bat’ku, choć i chce się spać. Czas by nas zmienić.

– Zaraz was zmienią. A wraży syn nie uciekł?

– Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojcze, bo się ani ruszył.

– Szczwana to liszka. A obaczenie no, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

– Zaraz! – odrzekło kilku mołojców zbliżając się ku drzwiom chlewa.

– Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrzeć! Ze wschodem ruszamy.

– Dobrze, bat’ku!

Pan Zagłoba, porzuciwszy co tu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zawory i szelest słomy pod nogami mołojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ścisnął głównię szabli ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem lub na sieczkę pociąć niż żywcem wziąć. Spodziewał się też, że lada chwila mołojcy podniosą wrzask straszliwy, ale się omylił. Czas jakiś słychać było, jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

– Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot, tu rzucili.

– Niesamowity czy co? Skrzysz ognia, Wasyl, ciemno tu jak w lesie.

Nastała chwila milczenia. Wasyl szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś mołojec począł wołać z cicha:

– Pane szlachcic, odezwij się!

– Całuj psa w ucho! – mruknął Zagłoba.

Wtem żelazo poczęło szczełać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświetlił ciemne wnętrze chlewa i głowy mołojców przybrane w kapuzy, po czym zapadła ciemność jeszcze głębsza.

– Nie ma! nie ma! – wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z mołojców poskoczył ku drzwiom.

– Bat'ku Hołody! bat'ku Hołody!

– Co takiego? – pytał sotnik ukazując się we drzwiach.

– Nie ma Lacha!

– Jak to nie ma?

– W ziemię zapadł! Nie ma nigdzie. O, Hospody pomyłuj! My ogień krzesali – nie ma!

– Nie może być. Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł czy co? pospaliście się?

– Nie, bat'ku, my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

– Cicho! nie budzić atamana!... Jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

– Wszędzie.

– A na stropie?

– Jak jemu było na strop leżeć, kiedy był w łykach.

– Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, to by tu był. Szukać na stropie. Skrzesać ognia!

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie strażę. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem zwyczajnym w nagłych razach; słychać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się jak miecze w boju.

– Na strop! na strop!

– A pilnuj z zewnątrz!

– Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

– Nie ma drabiny!

– Przynieść drugą!

– Nie ma nigdzie!

– Skoczyć do chaty, czy tam nie ma?

– O, Lach przeklęty!

– Leżeć po węglach na dach, dachem się przedostać.

– Nie można, bo wystaje i podbity deskami.

– Przynieść spisy. Po spisach tędy wejdziemy. A sobaka!... drabinę wciągną!

– Przynieść spisy! – zabrzmiał głos Hołodego.

Mołojcy skoczyli po spisy, inni zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blasku widać było kwadratowy otwór stropu, czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

– No, pane szlachcic! Spuść drabinę i zleż. I tak się nie wymkniesz, po co ludzi trudzić. Zleż! zleż!

Cisza.

– Ty mądry człowiek! Żeby tobie to co pomogło, tak ty by siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleżesz dobrowolnie – ty dobry!

Cisza.

– Zleż, a nie, to ci skórę ze łba zedrzemy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak na pochlebstwa, i siedział w ciemnościach jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ścisnął i sapał trochę, i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związane trzy w pęk i postawiono ostrzami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć – ale pomyślał także, że dach może być za nisko i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesiono by w tej chwili inne.

Tymczasem cały chlew napęłnił się mołojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze drągi i drabiny od wozów, które okazały się za krótkie, więc związane je co duchu rzemieniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże znaleźli się chętni.

– Ja pójdę – wołało kilka głosów.

– Cześć na drabinę! – rzekł Hołody.

– A co szkodzi, bat'ku, popróbować po spisach?

– Wasyl wlezie! on tak jak kot chodzi.

– To próbuj.

A inni poczęli zaraz żartować:

– Ej, ostrożnie! On szablę ma, szyję utnie, obaczysz.

– Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy jak niedźwiedź.

Wasył nie dał się stropić.

– On znaję – rzekł – że niechby on mnie palcem dotknął, czorta by mu ataman dał zjeść i wy, braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, któren siedział cicho, ani mruknął.

Lecz mołojcy, jako to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasyłowi:

– Będzie jednym dumnym mniej na świecie, na białym.

– On tam nie będzie wżądał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały mołojec.

– Ho! ho! On niesamowity. Czort jego wie, w co on się tam już zmienił... to czarownik! Ty, Wasył, nie wiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści.

Wasył, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie nimi spisy, wstrzymał się nagle.

– Na Lacha pójde – rzekł – na czorta nie.

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Źle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś mówił:

– Ty, panie szlachcic, widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, to siedź, ale się nie broń, bo my cię dostaniem i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Na koniec głowa jego dotknęła czeluści i pogażała się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, Kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między mołojców z rozwaloną na dwie połowy głową.

– Koli, koli! – zawrzasnęli mołojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki i wołania, które zagłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

– Ha, złodzieje, ludojady, ha! basałyki! do nogi was wytłukę, szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę!... Ludzi uczciwych po nocy napadać! w chlewie szlachcica zamykać... ha! lotry! W pojedynkę ze mną, w pojedynkę, albo i po dwóch! Chodźcie no sam! ale łby zostawcie w gnoju, bo poucynam, jakom żyw!

– Koli, koli! – wołali mołojcy.

– Chlew spalimy!

– Ja sam spalę, bycze ogony, byle z wami!

– Po kilku! po kilku naraz! – krzyknął stary Kozak. – Trzymać drabiny, spisami podpierać, przynieść snopów na łby i dalej!... Musimy go dostać!

To rzekłszy ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszów, szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze popodpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później trzy nowe ciała spadły na głowy stojącym w dole.

Pan Zagłoba, rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamaryłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy kluli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawarach i koszuli, w rękę miał gołą szablę, w oczach płomień.

– Przez dach, psiawiary! – krzyknął. – Poszycie rozerwać i żywcem brać.

A Zagłoba ujrzawszy go ryczał:

– Chamie, pójdz no tu tylko. Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co, tchórz cię obleciał? boisz się, parobku? Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie. Cóż, wisielcze, cóż, kukło żydowska? sam tu! Wychyl jedno łba na strop! Chodź, chodź, będę ci rad, poczęstuję tak, żeć się przypomni i twój ojciec diabeł, i twoja mać gamratka!

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczeć. Widocznie mołojcy dostali się nań i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

„Skoczę w kąt i tam zginę” – pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

– Bat’ku! bat’ku! – krzyczeli wniebogłosy – bywaj!!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało – i zdumiał. Spojrzy przez czeluść na dół, aż tam nikogo już nie ma. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

– Co to jest? co się stało? – zawołał głośno. – Ha! rozumiem. Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu pałą.

Tymczasem na zewnątrz słyhać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętent koni. Strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza. „Boże! to chyba bitwa!” – pomyślał pan Zagłoba i skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał – i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom Bohunowych mołojców. Napadnięci zniecka, rażeni ogniem z pistoletów przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły,

cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy przybranych w krasne barwy siekąc zapamiętałe i naciskając uciekających nie zezwoliły im się sformować ni szablą się złożyć, ni odetchnąć, ni dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyncze kupy; inni dopinali wśród wrzawy, zamętu i dymu rozluźnione popręgi kulbak i ginęli, zanim zdołali nogą dotknąć strzemienia; inni rzucając spisy i szable zmykali pod płoty, więzli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkimi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam książę Jeremi spadł na nich niespodzianie jak orzeł, że druzgoce ich cała jego potęgą. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: okrzyki zwycięzców i świst szabel, i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki. „Ludy, spasajtes!” – rozległo się ze wszystkich stron: – „Bij, zabij” – odpowiadali napastnicy.

I dojrzał na koniec pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucał się na swym gniadym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet i nie wydawszy okrzyku. O, bo mistrz to był nad mistrzami mały pan Wołodyjowski! – i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał – i patrzył, i poprawiał, właśnie jak ów, który kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkimi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Co widząc pan Zagłoba począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klaskać i ryczeć:

– Bij psubraty! bij! morduj! ze skóry łup! siekaj, tnij, wal, rznij, morduj! Dalejże w nich, dalej, na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucał się, oczy krwią mu zaszyły z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale gdy znów wzrok odzyskał, ujrzał jeszcze piękniejszy widok – oto w kupie kilkudziesięciu mołojców pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały pan Wołodyjowski.

– Bij! – krzyknął Zagłoba – to Bohun! – ale głos nie doszedł.

Tymczasem Bohun z mołojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali – innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzy Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i mołojcy w ucieczce, i żołnierze w biegu – rozpoczął się pościg pojedynczy. Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi? Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku Bohuna jak ogar na dziku, watażka zwraca głowę, nadstawia szablę!...

– Biją się! – krzyczy Zagłoba.

Chwila jeszcze i Bohun pada wraz z koniem, a pan Wołodyjowski, tratując po nim, pędzi za innymi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i pobiegł ku skałom zarośniętym chaszczami.

– Trzymaj! trzymaj! – ryczy Zagłoba – to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha mołojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi do ucieczki. Za nią w odległości pół staja pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza ze sobą. Na koniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby, odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po mołojcach pognali wraz z innymi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuścił drabinę, zlął z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

– Wolnym jest...

To rzekłszy począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporoskich i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między nimi z wolna i oglądał każdego starannie, na koniec przykląkł nad jednym.

Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w ręku.

– Pełna – mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

– Niezła!

Znów obejrzał się naokoło i znów powtórzył, ale już wiele raźniejszym głosem:

– Wolnym jest.

Po czym poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego mołojcy zamordowali, i zniknął we wnętrzu. Gdy wyszedł, naokół bioder, na kubraku zawalonym w nawozie świecił mu pas Bohuna gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w głowni.

– Bóg wynagrodził męstwo – mruczał – bo i trzosik dość pełny. Ha, zbój plugawy! mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją! Cięża to sztuka jak osa. Wiedziałem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej kobyle, tegom się po nim nie spodziewałem. Że też to w tak małym ciele taki może być animusz i wigor! Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić jak kozik. Niechże go kule biją! albo lepiej: niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Fu! jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzach wierci! Alem się też z takich terminów wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem! Chwała bądź Bogu!... No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołodyjowskiemu jeszcze przypatrzeć, bo chyba diabeł w nim siedzi.

Tak rozmawiając siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem z dala na równinie ukazali się żołnierze wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodyjowski. Ujrawszy Zagłobę przyspieszył biegu i zeskokczywszy z konia szedł ku niemu.

– Waćpana to jeszcze oglądam? – pytał z dala.

– Mnie we własnej osobie – rzekł pan Zagłoba. – Bóg waści zapłać, iześ z pomocą przybył.

– Chwalić Boga, że w porę – odpowiedział mały rycerz ściskając z radością dłoń pana Zagłoby.

– Ale skądżeś się waszmość o opresji, w jakiej tu zostawałem, dowiedział?

– Chłopi dali znać z tego chutoru.

– O! a ja myślałem, że mnie zdradzili.

– Gdzie tam, to dobrzy ludzie. Ledwie z życiem uszli chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

– Jeśli nie zdrajcy, to od Kozaków pobici. Chutornik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tym. Mówże waść: czy Bohun żyw? uciekł?

– Alboż to był Bohun?

– Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

– Ciąłem go w dłoń; bogdaj to lichy, żem go nie poznał!... Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cóżeś to waść najlepszego uczynił?

– Com uczynił? – powtórzył pan Zagłoba. – Chodź, panie Michale – i patrz!

To rzekłszy ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

– Patrz – powtórzył.

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

– A tych ludzi kto narznął? – pytał zdziwiony.

– Ja! – rzekł Zagłoba. – Pytałeś waść, com uczynił? – więc masz!

– No! – rzekł młody oficer kręcąc głową. – A jakimże to sposobem?

– Tam się bronilem, na górze, a oni szturmowali mnie z dołu i przez dach. Nie wiem, jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! Innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Alem dziś tak *fatigatus*, że ledwie na nogach się trzymam.

– No – powtórzył pan Wołodyjowski – nie ma co mówić, mężnie waść stawaleś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz niż wódz.

– Panie Michale – rzecze szlachcic – nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obydwom tak wielką dziś spuścił wiktoryę, o której pamięć nieprędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrział zdumiony na Zagłobę. Jakoś dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzył tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

– Niechże i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele na czele połączonych oddziałów wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż w śnie zaskoczeni, nie stawiali oporu, Bohun zaś, wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać, nie mordować.

ROZDZIAŁ VIII

Bohun, lubo wódz mężny i przezorny, nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzekomą dywizję księcia Jeremiego przedsięwziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że księżę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali wzięci w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż księżę ciągnie za nimi. Nie pozostawało więc nic innego nieszczęsnemu atamanowi jak cofać się co prędzej do Krzywonosy, ale zadanie nie było łatwe. Zaledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo błakali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc, co czynić, jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbита, za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A był to przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleźć. Ale mołojcy nie wiedzieli, z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nieprzygotowanych taką klęskę mógł zadać, i wierzyli najświęciej, że mieli sprawę, jeśli nie z samym księciem, to przynajmniej z potężnym, kilkakrotnie liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień; cięty w rękę, stratowany, chory, pobity, i wroga zakłętego z rąk wypuścił, i sławę nadwerężył, bo już ci mołojcy, którzy w wilię klęski do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tym tylko myśleli, jak by gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, strażę opodal chutoru porozstawiał i spoczywał dlatego tylko, że konie, które spod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wołodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i łowach na Tatarów, podszedł jak wilk nocą pod strażę, pochwycił je, nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić – i napadł tak, że oto on, Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ująć potrafił. Gdy o tym watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kasała mu duszę jak pies wściekły. On, który na Czarnym Morzu na galery tureckie się rzucał; on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ułusów świecił; on, który księciu pod ręką przy samych Łubniach regiment w Wasiłówece wyciął – musiał uciekać w koszuli i bez czapki, i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. Toteż, gdy nikt nie patrzył, na postojach i popasach, watażka chwycił się za głowę i krzychał: „Gdzie moja sława mołojcka, gdzie moja szabla-druzka?!” A gdy tak krzychał, porywał go obłęd dziki i spijał się jak nieboże stworzenie, po czym na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć – i zginać, i przepaść na wieki.

On chciał – ale mołojcy nie chcieli. „Ubij, bat’ku, nie pójdziemy!” – odpowiadali ponuro na jego wybuchy i na próżno mu było w napadach szaleństwa szabłą ich siec, z pistoletów twarze osmalać – nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś: ziemia usuwała się spod nóg atamana; bo nie tu jeszcze był koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla prawdopodobnej pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbipięty. Ale czujny jak żuraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy uderzył na watażkę, rozbił go tym łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli, i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak że Bohun po długim błędzeniu w stepach w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków dotarł nareszcie do Krzywonosy.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przyhołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na złą gorączkę, kazał go strzec i leczyć, i pilnować jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze napełniwszy kraj grozą i przestachem stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego, co go spotkało i czego dokonał, po czym zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjacielskim opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano; jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

– Mości panowie! – mówił – popadłem w niewolę – prawda jest! – ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Tak to, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas, śpiących smaczno snem sprawiedliwego, napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazję, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu długo mówić?... żeby w niewolę nie wpadł, nie bylibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali; mówię: obaj, bo że w tym terminie *magna pars fui*, nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racji: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a na koniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił – co że się nie stało, kto przyczyną?

– A z waścią to jak z liszką – rzecze pan Longinus – tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz.

– Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni, i niczego pocziwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Ilużeś waść ludzi postradał?

– Ot, z dwunastu wszystkiego, a kilku rannych; już tam nie bardzo nas bili.

– A waszmość, panie Michale?

– Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

– A wasze, panie poruczniku?

– Tylu, ilu pan Longinus.

– A ja dwóch. Powiedzcież sami: kto lepszy wódz? Ot, co jest! Po cóżeśmy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać; otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział i z najlepszych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem *de publicis*, ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czym dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tym radzili; byłem też dotąd niezdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójckiego wiązania w kij wnętrzości we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

– Mówże waszmość, na miłość boską! – zawołał Wołodyjowski. – Zaliżeś co o naszej niebodze słyszał?

– Tak jest, niech jej Bóg błogosławi – rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast – nastąpiła taka cisza, że slychać było brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu:

– Żyje ona, wiem to na pewno, i jest w Bohunowym ręku. Moi mości panowie, straszne to ręce, ale przecie Bóg nie pozwolił, aby ją krzywda lub hańba spotkała. Moi mości panowie, to mnie sam Bohun powiadał, któren by prędzej czym innym chępniej się gotów.

– Jak to może być? jak to może być? – pytał gorączkowo Skrzetuski.

– Jeśli lżę, niech mnie piorun zapali! – odrzekł poważnie Zagłoba – bo to jest święta rzecz. Słuchajcie, co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: „Cóżeś to myślał (prawi), żeś dla chłopca ją do Baru przywiózł? że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił? Czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali i czerńcy (powiada) żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili – mnie atamanowi! hetmanowi” – i nogami nade mną tupał, i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszyl.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej na powrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

– Gdzie ona tedy jest? gdzie jest? – pytał z pośpiechem. – Jeśliś się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

– Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił za mnie, nimem go splantował, i tak znowu powiada: „Naprzód, powiada, do Krzywonosy cię zawiode, a potem na wesele bym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nieprędko.” Uważcie waszmościowie: jeszcze nieprędko! – zatem mamy czas! Po wtóre, uważcie także: naprzód do Krzywonosy, potem na wesele, więc żadną miarą nie ma jej u Krzywonosy, ale gdzie dalej, gdzie wojna nie doszła.

– Złoty z waści człowiek! – zawołał Wołodyjowski.

– Myślałem tedy naprzód – mówił mile polectany Zagłoba – że może ją do Kijowa odesłał, ale nie, bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam nie ma. I za mądry on na to, by ją tam wozic, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

– Prawda! prawda! – wykrzyknął pan Longinus. – Ot, jak mnie Bóg miły! niejedyn mógłby się z waścią na rozum pomieniać.

– Jeno ja bym się nie z każdym mieniał od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, co by mi się między Litwą snadnie przytrafić mogło.

– Już swoje zaczyna – rzekł Longinus.

– Pozwólże waść skończyć. Tak tedy nie ma jej u Krzywonosy ni w Kijowie, więc gdzie jest?

– W tym sęk!

– Jeśli waść się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali! – krzyknął Skrzetuski.

– Za Jampolem! – rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swoim zdrowym okiem.

– Skąd waść wiesz? – pytał Wołodyjowski.

– Skąd wiem? Ot skąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć – żeby go wieprze za to zećpały! – a naokoło gadali ze sobą Kozacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę?... Jeden mówi: „Teraz chyba za Jampol ataman pojedzie” – a drugi na to: „Milcz, jeśli ci młoda głowa miła...” Szyję dają, że ona jest za Jampolem.

– O! jako Bóg na niebie! – zakrzyknął Wołodyjowski.

– Na Dzikie Pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy, musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Byłem też raz w tamtych stronach, gdy się królewscy i chanowi sędzie zjeżdżali, bo w Jahorliku, jak waćpaństwu wiadomo, pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, których spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc, i różnych komyszy, w których żyją w chutorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

– Ba! ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagrażdza – rzecze pan Longinus. – Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

– Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał – Bóg mnie pomoże – znajdę.

– Ja z tobą, Janie! – rzecze pan Wołodyjowski.

– I ja po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperencji, a że mnie teorban z ostatkiem obrzydł, więc wezmę dudy.

– Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? – rzekł pan Longinus.

– I pewnie – odpowiedział pan Zagłoba. – Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jako święty Krzysztof.

– Dziękuję z duszy waszmościom – rzekł Skrzetuski – i gotowość waszą chętnym przyjmuję sercem. Nie masz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiernych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność! Dajże mnie, wielki Boże, odслужи waszmościom zdrowiem i mieniem!

– Wszyscy my jako jeden mąż! – wykrzyknął Zagłoba. – Bóg zgodę pochwała, i obaczycie, iż frukta naszych prac niedługo będziemy oglądali.

– To już nie pozostaje mnie nic innego – mówił po chwili milczenia Skrzetuski – jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol aż do Jahorlika, i wszędzie będziemy szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony lub nim dojdziemy do księcia, zniesiony będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

– A poczekajcie waszmościowie – rzecze Wołodyjowski – pewnie po Chmielnickim na Krzywonosa przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwiami ku Jampolowi ruszymy.

– Nie, nam trzeba być pierwszej – odparł Zagłoba – ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce. Spodziewam się też, że książę będzie z nas *contentus*.

– Szczególniej z waćpana.

– Tak jest, bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam.

– Więc tedy w drogę?

– Do jutra musimy spocząć – rzekł Wołodyjowski. – Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje: on tu wodzem; ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie mnie wszystkie popadają.

– Wiem, że to jest niepodobieństwo – rzecze Skrzetuski – ale myślę, iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów książęcych mieli się wrócić do Zbaraża i tam czekać dalszych rozkazów. Szli więc na Kuźmin, w bok od Felsztyna ku Wołoczyskom, skąd na Chlebanówkę wiódł stary gościniec do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną, i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się znów na nocny wypoczynek.

Ale zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm i strażę dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przysła wieść, że to Wierszułowa tatarska chorągiew, zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodyjowski natychmiast zebraли się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za nimi wpadł jak wicher oficer spod lekkiego znaku, zziąjany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski wykrzyknął:

– Wierszuł!

– Jam... jest! – mówił przybyły nie mogąc oddechu złapać.

– Od księcia?

– Tak!... O tchu! tchu!...

– Jakie wieści? Już po Chmielnickim?

– Już... po... Rzeczypospolitej!..

– Na rany Chrystusa! co waść gadasz? Kłęska?

– Kłęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Popłoch!... O!o!

– Uszom się nie chce wierzyć. Mówże! mów, na Boga żywego!... Regimentarze?...

– Uciekli.

– Gdzie nasz książę?

– Uchodź... bez wojska... ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami!

– Kto? Wierszuł, Wierszuł! Opamiętaj się, człowieku! Kto?

– Chmielnicki, Tatarzy.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – zawołał Zagłoba. – Ziemia się rozstępuje.

Ale Skrzetuski zrozumiał już, o co chodzi.

– Na potem pytania – rzekł – teraz na koń!

– Na koń, na koń!

Kopyta koni pod Wierszułowymi Tatarami szczękały już przed oknami; mieszkańcy, zbudzeni nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami i pochodniami w ręku. Wieść przeleciała całe miasto jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwogę. Ciche przed chwilą miasteczko napełniło się zgiełkiem; tętentem koni, okrzykami komendy i wrzaskami żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodźć wraz z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mieszczan przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie odjeżdżał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał mając wyraźny rozkaz co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy i dopiero w drodze Wierszuł ochłonawszy opowiadał, jak i co się stało.

– Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą – mówił – nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!

A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

– Rzecz ludzką wiarę przechodzi! – mówili. – Gdzież był książę?

– Opuuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizją nie władał.

– Kto miał komendę?

– Nikt i wszyscy. Dawno służę, na wojnie zęby zjadłem, jeszcze takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszuła i mało go znał, począł głową kręcić i cmokać – na koniec rzekł:

– Mój mości panie! czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę nie poczytał, bo to, co opowiadasz, całkiem imaginację przechodzi.

– Że przechodzi, przynaję, i powiem więcej waści, że szyję bym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się myślę.

– Bo jakimżeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecież nie chcę przypuścić, żebyś pierwszy dał drała? Gdzież są tedy wojska? któredy uciekają? co się z nimi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestie na próżno szukam responsu!

Wierszuł w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczym więcej, jak o klęsce, więc odrzekł tylko:

– Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce; a mnie książę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpanów spodziewał, aby was nawałnica nie ogarnęła, gdybyście się za późno dowiedzieli; a po wtóre dlatego, że pięćset koni, które macie, to teraz niemała dla niego pociecha, bo dywizja w większej części wyginęła lub rozproszona.

– Dziwne to rzeczy! – mruknął Zagłoba.

– Strach pomyśleć, desperacja ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! – mówił łamiąc ręce Wołodyjowski. – Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci, takie wojska rozproszone!... zatracone! Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

– Nie przerywajcie mu – rzekł Skrzetuski – pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszuł zamilkł, jakby siły zbierał; przez chwilę słychać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszuła, który tak mówić począł:

– Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegę, to bym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym – i ja tak mniemam, że wprędce on już nastąpi – gdyż wszystko się rozpręga, złość bierze górę nad cnotą i antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzyli na to, co się stało – ale jeśli nawet relacji o tym znieść nie możecie, cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnymi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę otrzymawszy pod Czołhańskim Kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszczę, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej konkordii – jakoż było i błogosławieństwo boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjaciel po pierwszym szturmie opuścił. Po czym ruszyliśmy pod Piławce, choć książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacje, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to, co mówił, a przede wszystkim usiłowano rozdzielić naszą dywizję, aby jej książę w ręku całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwalono by na niego klęskę, więc milczał, cierpiał, znosił. Zostały tedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie wraz z Wurclem, z armatami i z oberszterem Machnickim; odłączono pana oboźnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak że przy księciu została tylko husaria pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów – i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi. A wtedy już go lekceważono i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: „Już teraz nie powiedzą po wiktorii, że za sprawą samego Wiśniowieckiego przysła.” I głośno opowiadali, że

gdyby tak niezmierna sława pokryła księcia, to by i na elekcji jego kandydat, królewicz Karol, się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakejami całe wojska tak, że poczęły się dyskursy w kołach jakby na sejmie, wysyłanie delegatów – i o wszystkim tam myślano prócz o bitwie, tak jakby nieprzyjaciel był już pogromion. A owóż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych ucztach, o tych wiwatach, o tym przepychu, wiary bym w waszych uszach nie znalazł. Niczym były hufce Pyrrusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A toż dwieście tysięcy sług i ćmy wozów szły za nami, konie padały pod ciężarem złotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach i nocach trzaskała batogami: „Ot (mówili), czym chamów uspokoiimy, szabli nie dobywając.” A my, starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużeśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ładu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każden robił, co chciał, szedł, gdzie mu było lepiej, stawał, gdzie mu się zdawało, czeladź wzniewała hałasy – o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig, na którym salutem *Reipublicae* przetańcowano, przepito, przejeżdżono i przefrymarczono w ostatku!

– Jeszcze my żyjemy! – rzekł Wołodyjowski.

– I Bóg jest w niebie! – dodał Skrzetuski.

Nastała znów chwila milczenia, po czym Wierszuł mówił dalej:

– Zginiemy *totaliter*, chyba że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie i nie zasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał, i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła...

– Powiadaj waćpan dalej – rzekł Zagłoba – przyszlście tedy pod Piławce i co?

– I staliśmy. O czym tam regimentarze radzili, nie wiem; na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby od razu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity, jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niesforności i tumultów, i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono, jak by Chmielnickiego i starszsznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Księżę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, groził: „Uderzmy, nim Tatarzy nadejdą, uderzmy!” – i włosy z głowy wyrывał – a tam się jeden na drugiego oglądał – i nic, i nic! Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że Tatarzy idą – chan w dwieście tysięcy koni – oni radzili i radzili. Księżę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostonowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą – wszczął się jeszcze większy nieład. Na koniec Tatarzy przyszli, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się księżę i pan Osiński, i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze – spędzili ordę z pola, wysiekli znacznie – a potem...

Tu głos Wierszułowi zamarł w piersi.

– A potem? – pytał pan Zagłoba.

– Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z mymi ludźmi wedle rzeki, gdy naraz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat jak na wiwaty i słycać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc, kiedy tam wiwatają, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilkoma ludźmi. – Co się stało? – Krzykną mi: „Regimentarze uszli!” Ja do księcia Dominika – nie ma go! Do podczaszego – nie ma! do chorążego koronnego – nie ma! Jezu Nazareński!... Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, główniami świecą: gdzie regimentarze? gdzie regimentarze? A inni wołają: „Koni ! koni !” A inni: „Panowie bracia, ratujcie się! zdrada! zdrada!” Ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą na oślep bez broni. Dopieroż ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie księżę na czele husarii w srebrnej zbroi: sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: „Mości panowie, jam został, kupą do mnie!” Gdzie tam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husarię, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali – potem po zdeptanych ogniskach, w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Nie masz już wojsk, nie masz wodzów, nie masz Rzeczypospolitej... jest tylko hańba nie zmyta i noga kozacka na szyi...

Tu pan Wierszuł jęczęc począł i konia targać, bo go szał rozpaczy ogarnął; ten szał udzielił się innym i jechali wśród owego dżdżu i nocy jak obłąkani.

Jechali długo. Pierwszy Zagłoba przemówił:

– Bez bitwy – o szelmy! o takie syny! Pamiętacie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obiecywali? O szelmy!

– Gdzie tam! – krzyknął Wierszuł – uciekli po pierwszej bitwie wygranej nad Tatarzy i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

– Jest w tym palec boży – rzekł Skrzetuski – ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

– Bo gdyby wojsko pierzchło, to się na świecie zdarza – rzekł Wołodyjowski – ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

– Tak jest! tak jest! – rzecze Wierszuł. – Mówią też, że to umyślnie uczynili.

– Umyślnie? na rany boskie, to nie może być!..

– Mówią, że umyślnie – a dlaczego? kto gdzie! kto zgadnie!

– Żeby ich groby przytłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została! – rzekł Zagłoba.

- Amen! – rzekł Skrzetuski.
- Amen! – rzekł Wołodyjowski.
- Amen! – powtórzył pan Longinus.
- Jeden jest człowiek, którego może ojczyznę jeszcze ratować, jeśli mu buławę i resztę sił Rzeczypospolitej oddadzą, jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta nie będzie chciała słyszeć.
- Książę! – rzekł Skrzetuski.
- Tak jest.
- Przy nim będziem stać, przy nim zginiemy. Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki! – wykrzyknął Zagłoba.
- Niech żyje! – powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów, ale okrzyk zamarł zaraz, bo w chwili, gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdawało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiaty. Tymczasem poczęło świtać i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.

ROZDZIAŁ IX

Pierwsi rozbitkowie spod Piławiec dotarli do Lwowa świtanem dnia 26 września i równo z otwarciem bram miejskich straszna wieść piorunem rozleciała się po całym mieście wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpacziwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył w dwa dni później, gdy już cały gród był zapchany uciekającym żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonym mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się Tatarów, ale nie wiadano jeszcze, kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektórzy uciekali z miasta wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w nim schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy było pełno wozów, pak, tłumoków i koni, żołnierzy spod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytała się niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnację. Co chwila przestraszył jak wir powietrzny zrywał się niespodzianie; rozlegały się krzyki: „Jadą! Jadą!” – i tłumy poruszały się jak fala; czasem biegły na oślep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża nowy jakiś oddział rozbitków.

A oddziałów tych kupiło się coraz to więcej – ale jakże żałosny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złości i piórach szli ze śpiewaniem na ustach a dumą w oczach na oną wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędniali, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków niż do rycerzy, litość by tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas na litość w tym mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każdego z tych pohańbionych rycerzy tym jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszków wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie ochłonawszy rozwodzić skargi, narzekania, rzucać przekleństwów i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż! tuż!” Jedni widzieli pozozi za sobą, inni klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady otaczające żołnierzy słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony były larum, a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się z wolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie stojące pod swymi banderiami i przez pospólstwo, które ze zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew wchodzącą nie w rozsypce, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęto krzyczeć, że pomoc nadchodzi, i znów niczym nie usprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszcę, która jęła się cisnąć i chwytać za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli i się też i żołnierze wołając: „To wiśniowiecczy! Niech żyje książę Jeremi!” Tłok zrobił się tak wielki, że chorągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Na koniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzyczał: „Z drogi! z drogi!” – i płażował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

– Co to za czasy! co to za czasy! – rzekł.

– Gdzie książę? – pytał Skrzetuski.

– Umorzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twoimi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tym się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

– W kościele?

– Tak jest. Będą księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

– Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie, i czyli obrona już postanowiona.

– Właśnie teraz się sprawa waży – rzecze Kuszel. – Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy! ludzie nikczemnych kondycji okazują więcej serca niż szlachta i żołnierze.

– A regimentarze? co się z nimi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali?

– Byle on sam nie stawiał! Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz za późno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł; i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go nie ma, a jeszcze ciągle krzyczą: „Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!” – pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan podczaszy koronny pierwszy tu przybył, ba! nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno łyży połyka. W ogólności strach, co się dzieje, jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, żeś stamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkiem – to chyba cud.

– A nasza dywizja?

– Nie ma już jej! ledwie coś zostało. Wurcla nie ma, Machnickiego nie ma, Zaćwilichowskiego nie ma. Wurcel i Machnicki nie byli po Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten Belzebub, książę Dominik, zostawił, by księcia naszego potęgę osłabić. Nie wiadomo: czy uszli, czy ich nieprzyjaciel ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł jak kamień w wodzie. Daj Bóg, żeby nie zginął!

– A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

– Jest dosyć, ale co z nich!... Jeden książę mógłby sobie dać z nimi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się książę o ciebie frasował i o żołnierzy... Jedyna też to cała chorągiew. Jużeśmy cię oplakali.

– Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: „Tatary! Tatary!” W jednym miejscu ujrzeli straszny widok rozdieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegostwo posądził. Dzwony były ciągle.

– Czy orda prędko tu stanie? – spytał Zagłoba.

– Licho ją wie!... może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo bronić, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy Kozaków prócz Tatarów.

– Kaput! – odpowiedział szlachcic: – Lepiej nam było jechać dalej na złamanie szyi! Po co my tyle zwycięstw odnieśli?

– Nad kim?

– Nad Krzywonošem, nad Bohunem, diabeł wie nie nad kim!

– Ale! – rzekł Kuszel i zwróciwszy się do Skrzetuskiego pytał cichym głosem: – A ciebie, Janie, w niczymże Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

– Nie czas o tym myśleć! – zawołał Skrzetuski. – Co ja znaczę i moje sprawy wobec tego, co się stało? Wszystko marność i marność, a na końcu śmierć!

– Tak i mnie się widzi, że cały świat niedługo zginie – rzekł Kuszel.

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wewnątrz pałało światłem. Tłumy niezmierne stały przed kościołem, ale nie mogły się do środka dostać, bo sznur halebardników zamykał wejście puszczając tylko znaczniejszych i starszyznę wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

– Wejdźmy – rzekł Kuszel. – Pół Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel niewiele przesadził. Co było znakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na naradę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego autoramentu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościół mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilkunastu rajców miejskich z Grozwejarem na czele, którego mieszczanstwem miał dowodzić. Był także obecny i książę, i pan podczaszy koronny, jeden z regimentarzy, i wojewoda kijowski, i starosta stobnicki, i Wessel, i Arciszewski, i pan oboźny litewski Osiński – ci siedzieli przed wielkim ołtarzem tak, aby *publicum* mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jako zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyznę, by nie podawała miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma nieprzyjaciela, Rzeczpospolita ochłonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacja – wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośne okrzyki – zapal ogarniał zgromadzonych. „Zginiemy! zginiemy chętnie! – wołano – hańbę piławiecką nam zmasać, ojczyznę zasłonić!” I rozpoczęło się trzaskanie szablami, i gołe ostrza migotały przy blasku świec. A inni wołali: „Uciszyć się! obrady porządkiem!” – „Bronić się czy nie bronić?” – „Bronić! bronić!” – wrzeszczało zgromadzenie, aż echo odbite od sklepień powtarzało: „Bronić się!” – „Kto ma być wodzem? Kto ma być wodzem?” – „Książę Jeremi – on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej – niech mu oddadzą buławę i niech żyje!”

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk tak gromki, że aż ściany zadrżały i szyby zabrzęczały w oknach kościelnych.

– Książę Jeremi! książę Jeremi! Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłysło tysiące szabel, wszystkie oczy skierowały się na księcia, a on powstał spokojny, ze zmarszczoną brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

– Mości panowie! – rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu. – Gdy Cymbrowie i Teutoni napadli na Rzeczpospolitą rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Mariusz. Ale Mariusz miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senatznaczonych... I ja bym się w tej toni od władzy nie wybiegał chcąc ojczyźnie milej zdrowiem służyć, ale buławy przyjąć nie mogę, gdyż ojczyźnie, senatowi i zwierzchności bym ubliżył, a samozwańczym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Rzeczpospolita buławę oddała – jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo zaledwie pana podczaszego wspomniał, powstał straszliwy wrzask, szczękanie szablami: tłum zakolysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. „Precz! na pohybel! *pereat!*” – rozlegało się w tłumie. „*Pereat! pereat!*” – brzmiało coraz potężniej. Podczaszy zerwał się z krzesła, blady, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżały się ku stallom, ku ołtarzowi i słychać już było złowrogie: „Dawajcie go!” Książę widząc, na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się sądząc, że chce mówić; uciszyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tumult zażegnać; rozlew krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spostrzegł, że najgroźniejsza chwila minęła, usiadł na powrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wojewodę kijowskiego, siedział nieszczęsny podczaszy: siwą głowę opuścił na piersi, ręce mu zwisły, a z ust wydobywały się słowa przerywane łkaniem:

– Panie! za grzechy moje przyjmuję z pokorą ten krzyż!

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszym sercu, ale tłum zwykle bywa bezlitosny, więc na nowo wszczynały się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięstw Jeremiego, dlatego słuchano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych słowach zaklinał go, by buławy nie odrzucał i nie wahał się ratować ojczyzny. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech śpią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale ten, który najwięcej ratować zdolny: – „Bierzże ty buławę, wodzu niezwyknięty! bierz, ratuj! nie miasto samo, ale całą Rzeczpospolitą. Oto ustami jej ja, starzec, błagam ciebie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, niewiasty i dzieci – ratuj! ratuj!”

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie serca: niewiasta w żałobie zbliżyła się do ołtarza i rzucając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty klękła przed nim i szlochając głośno, wołała:

– Mienie ci nasze przynosim! Życie oddaję w twe ręce, ratuj! ratuj, bo giniemy.

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za nimi całe tłumy zarzyczały ogromnym płaczem – i był jeden głos w tym kościele:

– Ratuj!

Książę zakrył oczy rękoma, a gdy podniósł twarz, i w jego źrenicach błyszczały łzy. Jednak się wahał. Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?

Wtem wstał podczaszy koronny.

– Jam stary – rzekł – nieszczęśliwy i przybity. Mam prawo rzec się ciężaru, który jest nad moje siły, i włożyć go na młodsze barki... Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszystkiego rycerstwa tobie oddaję buławę – bierz ją.

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Nastąpiła chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę. Na koniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego:

– Za grzechy moje... – Przyjmuję.

Wtedy szal opanował zgromadzenie. Tłumy złamały stalle, przypadały do nóg Wiśniowieckiego, ciskały kosztowności i pieniądze. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całym mieście: żołnierstwo odchodziło od zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmielnickiego, na Tatarów i sułtana. Mieszczanie nie myśleli już o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli krwi. Ormianie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza, zanim o szacunku poczęto mówić; Żydzi w bóżnicy podnieśli wrzask dziękczynny – armaty na wałach oznajmiły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z rusznic, samopałów i pistoletów. Okrzyki: „Niech żyje!”, trwały przez całą noc. Ktoś rzeczy nieświadom mógłby sądzić, iż to miasto tryumf jakiś czy uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół – armia większa od tych, jakie cesarz niemiecki lub król francuski mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana – miała oblec mury tego grodu.

ROZDZIAŁ X

W tydzień później, rankiem dnia 6 października, gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana, jak straszliwa, że książe Jeremi, zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał nie wiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem: nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, iż jeśli książe wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywie głosili wieści zapowiadając lada chwila Chmielnickiego i Tatarów, bo oto od 26 września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Książe zapewne chciał się naocznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszelkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone, armaty zatoczone na wały. Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawi, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał – i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj wezwali Grozwajera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że książe wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwałe usta wymówiły słowo: „Zdrajca!” Ale wówczas Arciszewski, stary wódz, wsławiony wielkimi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

– Słyszałem słowo bluźniercze, którego bodajby nikt nie był wymówił, bo go desperacja nawet usprawiedliwić nie może. Książe wyjechał i nie wróci – tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spoczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Co by się stało, gdyby tu ostatek sił Rzeczypospolitej otoczył nieprzyjaciel? Ni zapasów żywności, ni broni na tak wielkie wojsko tu nie ma – więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamkniętą, tym krócej obrona trwać by mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu nie masz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łatwiej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzecie, a ja wam powiadam, że książe, opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie, zadzierzcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie, i wiekopomną usługę Rzeczypospolitej oddacie, bo książe przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrętwiałą Rzeczypospolitą i na ratunek wam pośpieszy. Jedyńą on obrał zbawienia drogę, bo gdyby tu, głodem zmorzony, padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, któren poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu. Dlatego zamiast szemrać, śpieszcie na wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i całej Rzeczypospolitej.

– Na wały! na wały! – powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwajer, człowiek energiczny i śmiały, ozwał się:

– Cieszy mnie determinacja ichmościów i wiedzcie, że książe nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie, co ma robić, i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w rękę i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja na nowo wstąpiła w struchlałe serca, co widząc Cichocki ozwał się w końcu:

– Jego książećca mość przysłała też waćpanom wiadomość, iż nieprzyjaciel blisko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za nimi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastąpiła chwila milczenia; wszystkie serca zabiły żywiej.

– Na wały! – rzekł Grozwajer.

– Na wały! na wały! – powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami; słyhać było zgiełk tysiąca głosów, które zwały się w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich. Nagle drzwi sali otworzyły się z łoskotem, wpadło kilkunastu mieszczan i zanim obradujący mieli czas pytać, co zaszło, rozległy się wołania:

– Łuny na niebie! łuny na niebie!

– A słowo stało się ciałem! – rzekł Grozwajer – na wały!

Sala opustoszała. Po chwili huk armat wstrząsnął murami miasta oznajmiając mieszkańcom samego grodu, przedmieść i okolicznych wiosek, że nieprzyjaciel nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwieniło się jak okiem dojrzyć; rzekłbyś: morze ognia zbliżało się ku miastu.

* * *

Książę tymczasem rzucił się do Zamościa i startłszy po drodze czambulik, o którym Cichocki mieszczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim czasie niezdobytą uczynił. Skrzetuski wraz z panem Longinem i częścią chorągwi został w twierdzy przy panu Weyherze, staroście waleckim, a książę ruszył do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na zaciągi nowych wojsk i zarazem wziąć udział w elekcji, która wraz miała się odprawiać. Losy Wiśniowieckiego i całej Rzplitej miały ważyć się na tej elekcji, gdyby bowiem królewicz Karol został obrany, tedyby partia wojenna wzięła górę – książę otrzymałby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzplitej i musiałoby przyjść do walnej na śmierć i życie z Chmielnickim rozprawy. Królewicz Kazimierz, lubo słynny z męstwa i pan wcale wojenny, słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza Ossolińskiego, zatem polityki układów z Kozakami i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczydzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stronników; dlatego wobec równej siły obydwóch partii nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcji. Stronnicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki dzięki rosnącej coraz sławie i miłości, jaką posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważał umysłów na stronę Karola, książę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął śpiesznym pochodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i krymską wytrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można było uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta mając przed sobą potężniejszy Zamość, które mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł książęcy i wlewały otuchę w jego serce tylu tak strasznymi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz został obrany, już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię – bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany tymi myślami, jechał książę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i pana Wołodyjowskiego, z których pierwszy kłął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć; drugi zaś eskortą księcia dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia miłe, chociaż niespodziane spotkanie; zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą, która z Brześcia Litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dążyła, spodziewając się przy tym słusznie, że i książę tam ściągnie. Witani się tedy serdecznie po długim niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo, ach! jak często bywały takie chwile, że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej; a tymczasem Bóg dał, że oto wracał sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczony taką chwałą, jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniała, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna odrywając się co chwila od jego piersi spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, szerniałą, na to czoło wyniosłe, które troski i trudy poorwały w głębokie bruzdy; na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych, i na nowo zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. Z wolna dopiero księstwo uspokoiwszy się poszli do obszernej plebanii miejscowej i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z którymi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód książę troskliwość księżny o pana Skrzetuskiego tłumacząc, iż dlatego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach, jakie od Boga mu były zesłane, nie chciał pograżać się w szum stołeczny i wołał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne: Potem prezentował książę pana Zagłobę i o czynach jego opowiadał.

– *Vir to jest incomparabilis* – mówił – którego nie tylko Kurcewiczównę Bohunowi wydarł, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i Tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami z wielką swoją sławą najchwalebniej pod Konstantynowem stawał.

Słyszając to księżna pani nie szczędziła pochwał panu Zagłobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentację w stosownej porze obiecując – a *vir incomparabilis* kłaniał się, modestnością bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył i na fraucymer zerkał, bo choć był stary i niewiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu to było, że tyle o jego męstwie i czynach słyszała. Nie brakło jednak i smutku w tym radosnym skądinąd powitaniu, bo pominąwszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ileż to razy na pytania księżny o różnych znajomych rycerzy książę odpowiadał: „Zabit... zabit... zaginion” – przy tym i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitymi drogą nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, łzy z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, na próżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał: księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów już był ów kawaler trochę o niej zapomniał, gdyż i z natury o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrzymały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stało jako żywe życie łubniańskie, pomyślał sobie, że milej by mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła, i powzdychać, i serce na nowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment jak na złość odżył na nowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał, jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę

spuścił na piersi, wąsiki, zwykle tak podkrecone w górę, że aż za nozdrza sięgały jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku dołowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męstwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dlań wszystkie pochwały, gdy ona ich słyszeć nie mogła!

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu, strzygąc oczyma ku księżnie, przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

– Dzień dobry waćpanu – rzekła. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Oj, panno Anno! – odrzekł melancholicznie pan Michał – siła wody upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy – i nie wszyscy.

– Pewnie, że nie wszyscy: tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

– I my nie w tej liczbie, jako dawniej, bo panna Sieniutówna za mąż poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

– I pewnie także za mąż idzie?

– Nie, nie bardzo ona o tym myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy Anusia przymrużyła czarne oczęta tak, iż tylko szpareczki pozostały, i spoglądała ukośnie spod rzęs na rycerza.

– Przez życzliwość dla rodziny – odparł pan Michał.

A Anusia na to:

– Oj, to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała: gdzie to ów mój rycerz, którego na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? co on porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i po pierwsze, ucieszył się, po wtóre, dostrzegł, że Anusia wyładniała niepomernie.

– Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła? – spytał.

– Jako żywo! I to jeszcze wspominała, jakieś waćpan przez fosę dla niej skakał, wtedy gdyś to w wodę wpadł.

– A gdzie teraz pani wojewodzina wileńska?

– Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, skąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrział na Anusię i nie mógł już wytrzymać.

– A panna Anna – rzekł – już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzeć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

– Chciałem swego czasu – rzekł ruszając ramionami rycerz – Bóg widzi, chciałem i nie mogłem, a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwy.

– A gdzie pan Podbipięta? – spytała cicho Anusia, spuszczać oczki.

– W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział, kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permisję i tu z nami wielkim krokiem nadażył. Wielki to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

– A na wojnie... nie doznał jakowego szwanku?

– Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył?

– Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

– A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nieleniwie on też szuka okazji. Pod Machnowką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którym śród tłumu walczył, i sam książę z nami jeździł, bo powiem waćpannie: dużo bitew widziałem, ale takich jatek, pókim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfą waćpanny do bitwy przepasze – strach, co dokazuje! Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

– Niechże każdy znajdzie to, czego szuka! – rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, gdy nagle spojrział ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzyła na niego jakaś twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nie znana, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko jakby z tłumionej pasji.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jako się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi pytał:

– Co to za jakowaś figura, ot tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretelem połknąć chciała, i wąsikami rusza jako właśnie stary kot przy pacierzu.

– To? – rzekła Anusia ukazując białe ząbki – to jest pan Charłamp.

– Cóż to za poganin?

– Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego rotmistrz petyhorski, którego nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie włązi, bo to wielki ludojad.

– Widzę ją to, widzę. Ale skoro to ludojad, przecie są tłustsi ode mnie: dlaczegoż na mnie, nie na innych zęby ostrzy?

– Bo... – rzekła Anusia i zachichotała z cicha.

– Bo co?

– Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, który by się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księstwa wstrzymuje, inaczej zaraz by poszukał okazji.

– Maszże tobie! – rzecze wesoło pan Wołodyjowski. – To tak, panno Anno? Oj! nie darmośmy, jak widzę, śpiewywali: „Jak tatarska orda, bierzesz w jasyr *corda!*” Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

– Takie to już moje nieszcześnie! – odparła spuszczać oczki Anusia.

– Ej, faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

– Cóż ja winna, że ten pan Charlamp mię przesładuje? Ja go nie cierpię i patrzeć na niego nie chcę.

– No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią krew nie polała. Podbipiętę choć do rany przyłożyć; ale w rzeczach sentymentu żarty z nim niebezpieczne.

– Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby do imć Carboniego, doktora księżny, z którym zaczęła coś żywo szeptać i rozmawiać, a Włoch oczy wlepił w pułap, jakoby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do Wołodyjowskiego i począł mrugać krotofilnie swoim zdrowym okiem.

– Panie Michale – spytał – a co to za dzierlatka?

– Panna Anna Borzobohata–Krasieńska, respektowa księżny pani.

– A gładka, bestyjka, oczy jak tarczki, pysio jak malowanie, a szyjka – uf!

– Niczego, niczego!

– Winszuję waszmości!

– Dałbyś waść pokój. To narzeczona pana Podbipięty albo tak jak narzeczona.

– Pana Podbipięty?... Bójże się waćpan ran boskich! Przecie on czystość ślubował? A prócz tego, przy takiej między nimi proporcji chybaby ją za kołnierzem nosił! Na wąsach mogłaby mu siadać jak mucha – cóż znowu?

– Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidliła.

– Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba!

– Będzie takich więcej jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płochę to, bo młode i gładkie.

– Zacny z waści kawaler i dlatego ją chwalisz... ale że dzierlatka, to dzierlatka.

– Uroda ludzi ciągnie! *exemplum*: ten oto rotmistrz okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

– Ba! a spójrz no waćpan na tego kruka, z którym ona rozmawia – co to za czort?

– To Włoch Carboni, doktor księżny.

– Uważ, panie Michale, jak mu się latarnia rozjaśniła i ślepie przewraca jak w *delirium*. Ej! źle z panem Longinem! Znam ja się na tym trochę, bom za młodu niejednego doświadczył... W innej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie terminy, w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małego rycerza i mrugać silniej niż zwykle, ale wtem nadeszła pora wyjazdu. Książę siadł z księżną do karety, aby przez drogę nagadać się z nią po długim niewidzeniu do woli; panny pozajmowały kolaski, a rycerstwo siadło na koń – i ruszono. Naprzód jechał dwór, a wojsko opodal z tyłu, gdyż kraj tu był spokojny i chorągwie tylko dla ostentacji, nie dla bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy do Mińska, a stamtąd do Warszawy, często gęsto ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak zapchany, iż zaledwie noga za nogą można się było posuwać. Wszystko dążyło na elekcję, i z okolic poblizszych, i z dalekiej Litwy; więc tu i owdzie spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłocistych karet, otoczone hajdukami, olbrzymimi pajukami ubranymi po turecku, za którymi postępowały nadworne rotty, to węgierskie, to niemieckie, to janczarskie, to oddziały Kozaków, to wreszcie poważne znaki niezrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić i najokazalej, i w jak najliczniejszej asystencji. Obok licznych magnackich kawalkat ciągnęły i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyncze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprzężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic-personat z krucyfiksem lub obrazem Najświętszej Panny zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktualnych lub byłych towarzyszy chorągwianych jeszcze i kopia sterząca na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legawe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie powodowe pokryte dekami dla ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące, o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na pola, cała droga odsłaniała się i mieniła jako wąż stubarwny lub jako wstęga misternie ze złota i jedwabów utkana. Gdzieniegdzie na owej drodze brzmiały ochocze kapele wołoskie lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiemi koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencji przy dygnitarzach iść musiały, a wszędy pełno było krzyku; gwaru, nawoływań, pytań i klótni, gdy jedni drugim ustępować nie chcieli.

Raz wraz też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego to a takiego dygnitarza lub pytając, kto jedzie. Ale gdy uszu ich doszła odpowiedź: „Wojewoda ruski!” – natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak: Na popasach kupiła się szlachta i żołnierze chcąc napaść ciekawe oczy widokiem

największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiatów, na które książe wdzięcznie odpowiadał, raz, z przyrodzonej sobie ludzkości, a po wtóre, chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemało.

Z równą ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych „Rusinów”, jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książe w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców bliskich okolic stolicy przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich pleć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego Morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przejętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się po księciu na pana Zagłobę, który dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptało w tłumie: „Ten to musi być rycerz między nimi najprzedniejszy!” A inni mówili: „Siła on już musiał dusz z ciał wypędzić, taki smok sierdzisty!” Gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdziostością wewnętrzne ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie srebrną pętelkę na ramieniu. – „Naści hetkę, panie pętelko!” – wołał na ten widok pan Zagłoba – więc też niejedyn towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trzasnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku splunął i okazji zaniechał.

Blżej Warszawy tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcja obiecywała być liczniejszą jak zwykle, bo nawet szlachta z dalszych, ruskich i litewskich, okolic, która z przyczyny odległości nie byłaby dla samej elekcji przybyła, ściągała teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleko, gdyż zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ściągano na miesiąc i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocji poszukać, po dworach pańskich jadać i pijać, i wreszcie, by po żniwach stolicy i jej rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jaką by to siłę można z nich utworzyć – ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita, taka silna, ludna i bogata, dzielnym rycerstwem przepelniona, jest zarazem tak młda że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego można by krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywatnie służyły. „Cnota w Rzeczypospolitej ginie! – myślał książe – i wielkie ciało psuć się poczyna; męstwo dawne ginie i w słodkich czasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta!” Książę miał poniekąd słuszność, ale o niedostatkach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, którego wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegł, ale co widział jego nieprzyjaciel, kanclerz koronny, bieglejszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwym i błękitnym oddaleniu zamajaczyły spiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpierzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódcy eskorty, odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan Michał od kolaski Anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim – obejrzał się: był to pan Charłamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i Anusin adorator.

Wołodyjowski wstrzymał konia, bo od razu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charłamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodze ruszał, widocznie szukając wyrazów; na koniec ozwał się:

– Czołem, czołem, panie dragan!

– Czołem, panie pocztowy!

– Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym? – pytał zgrzytając zębami pan Charłamp – mnie, towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodyjowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwycić go za rękęję – i odrzekł jakby od niechcenia:

– Bo po pętelce nie mogę poznać szarzy.

– Waść całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

– A to dlaczego? – pytał z głupia frant Wołodyjowski.

– Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

– Uspokójże się waćpan – rzecze pan Michał – choć w dragonach służę, przeciwnie jest towarzysz i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana wojewody – możesz tedy ze mną mówić jak z równym albo jak z lepszym.²

² Towarzysz spod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę, nawet generała wojsk cudzoziemskiego autoramentu; przeciwnie nawet: często generał był oddawany pod komendę towarzysza; aby tego uniknąć, generałowie i oficerowie regimentów cudzoziemskich starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i pan Wołodyjowski.

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do jeszcze większej złości doprowadziła – więc rzekł:

– Jak waćpan śmiesz mi w drogę włązić?

– Ej, widzę, waszmość okazji szukasz?

– Może i szukam, i to ci powiem (tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem), żeć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

Pan Wołodujowski znów począł podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę, i ozwał się tonem perswazji:

– Ej, dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć – zaniechaj mnie!

– O, nie! nic z tego! nie wymkniesz się! – rzekł pan Charłamp chwytając za rękaw małego rycerza.

– Ja się przecie nie wymykam – mówił łagodnie pan Michał – ale teraz na służbie jestem i z ordynansem księcia pana mojego dążę. Puść waść rękaw, puść, proszę cię, bo inaczej co mnie biednemu robić?... chyba tym oto obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę.

Tu pokorny z początku głos Wołodujowskiego tak jakoś zasyczał jadowicie, że pan Charłamp spojrział z mimowolnym zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

– O! wszystko jedno! – rzekł – w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cię!

– Nie będę się krył, wszelako jakże to nam bić się w Warszawie? Raczże mnie waszmość nauczyć! Nie bywałem tam jeszcze w życiu moim, ja prosty żołnierz, alem słyszał o sądach marszałkowskich, które za wydobycie szabli pod bokiem króla lub *interrexa* gardłem karzą.

– Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, skoro się sądów marszałkowskich boisz i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi, z którym sprawa łatwiejsza, a już o waścine uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien.

– Dziękuję za naukę i często o instrukcję poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nie lada i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę *minorum* praktykował, ledwie *adjectivum cum substantivo* pogodzić umiem, i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tyle tylko wiem, że powiedziałbym: *stultus*, a nie *stulta* ani *stultum*.

Tu pan Wołodujowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tym samym mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął. Przez chwilę patrzyli na się jak dwa odyńce, z rozwartymi nozdrzami i z płomieniami w oczach – lecz pan Charłamp zamiarkował się pierwszy, iż z samym wojewodą przyszyłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera jadącego z rozkazem napadł – więc też i pierwszy szablisko na powrót schował.

– O! znajduję cię, taki synu! – rzekł.

– Znajdziesz, znajdziesz, boćwino! – rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kawalkaty, drugi do chorągwi, które znacznie się przez ten czas zbliżyły, tak iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardym trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na czele. Po chwili przyclapał ku niemu pan Zagłoba.

– Czego chciało od ciebie owo straszdyło morskie? – spytał Wołodujowskiego.

– Pan Charłamp?... Ej nic, wyzwiał mnie na rękę.

– Masz tobie! – rzekł Zagłoba. – Na wylot cię swoim nosem przedziobie! Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abyś największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzeba by dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towarzysz z daleka go zawietrzy. Ale za co cię wyzwiał?

– Za to, że przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

– Ba! trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamósćcia udał. Ten by go dopiero poczęstował pieprzem z imbierem. Żle ten boćwinkarz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

– Nie mówiłem mu nic o panu Podbipięcie – rzekł Wołodujowski – bo nużby mnie zaniechał? Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał: chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziemy mieli lepszego do roboty?

– Znajdziemy, znajdziemy, panie Michale! – rzekł mrugając oczyma Zagłoba. – Kiedy byłem za młodych lat deputatem do egzakcji od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia, jak w Warszawie, nigdzie nie zaznałem.

– Mówisz waćpan, że inne jak u nas na Zadnieprzu?

– Ej, co i mówić!

– Bardzom ciekaw – rzekł pan Michał. A po chwili dodał:

– A taki temu boćwinkowi wasy podetnę, bo ma za długie!

ROZDZIAŁ XI

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcję zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływało tysiące kupców i bazarowników z całego świata, począwszy od Persji dalekiej aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a naokół bielilo się już tysiące namiotów, którymi obszerne błonia całkiem okryte zostały. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów: królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup płocki – zostanie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów: obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo, książę Jeremi, tym groźniejszy dla przeciwników, że zawsze prawdopodobnym było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każdy licznych miał klientów, a między magnatami i książę Dominik Zasławski-Ostrogski, wojewoda sandomierski, po Piławcach zniesławion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej Rzeczypospolitej, ba! nawet w całej Europie, i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szalę swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jako się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadciągała jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a która w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem i pewnie nie chciwość go wstrzymała, ale właśnie przeciwnie – zbytńia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili z sobą rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłoną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił; biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może, „gdyż to szczęście *in liberis suffragis* Rzplitej i komu Pan obiecał” – a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się i – razem z nim – groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki, porzuciwszy oblężenie Lwowa, którego się po kilku szturmach okupił, stanął pod Zamościem i dzień, i noc do tej ostatniej zasłony Rzeczypospolitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem i oświadczeniem, iż jako szlachcic polski, za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samym mieście pełno przebranej starszyny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo poprzybywali jako szlachta słuszna i zamożna, w niczym się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich, nie różniąc – nawet i mową. Jedni, jak mówiono, poprzekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcji i Warszawie przypatrzeć, inni na przespiewi, dla zaciągnięcia wieści: co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzplita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tym, co o owych gościach mówiono, bo między starszyna zaporoską wielu było skozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po czym poznać; zresztą na dalekich stepach w ogóle nie kwitła łacina i tacy kniazie Kurcewicz nie umieli jej tak dobrze, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnym, i w mieście, wraz z wieściami o postępach Chmielnickiego i podjazdach kozacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napełniały niepokojem i trwogą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między zebraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie, iż jest przebrany Zaporozcem, aby go w jednej chwili, nim zdołał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób ginąć mogli ludzie niewinni i powaga obrad była znieważana, zwłaszcza

że obyczajem ówczesnym niezbyt przestrzegano i trzeźwości. Kaptur postanowiony *propter securitatem* loci nie mógł sobie dać rady z ciągłymi burdami, w których siekano się z lada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatyki, natomiast szalapuci, kosterzy i warchołowie czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali, że to ich właśnie czas, ich żniwo – i tym śmieiej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między nimi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonię zapewniła mu i wielka sława rycerska, i nienasycone pragnienie poparte możnością picia, i język tak wyprawny, że żaden inny wyrównać mu nie mógł, i wielka pewność siebie, której nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady „melankolii” – wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki naprawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takim usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, rawianina, za to tylko; iż przechodząc o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił, przed którym uskarżał się, iż go tęskność za panem Skrzetuskim i za „niebogą” trawi. „Opuściliśmy ją, panie Michale, mawiał, wydaliśmy ją jako judasze w bezbożne ręce – już wy mnie się waszym *nemine excepto* nie zastaniajcie! Co się z nią dzieje, panie Michale? – powiedz!”

Na próżno pan Michał tłumaczył mu, że gdyby nie Piławce, to by „niebogi” szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko w jeszcze większą pasję wpadał klnąc na czym świat stoi „pierzynę, dziecinę i łacinę”.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem pan Zagłoba, jakoby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił jeszcze więcej niż zwykle; czas spędzał pod wiechami w towarzystwie największych opojów lub stołecznych gamratek, w czym pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak ani na szeląg tej powagi, jaką np. w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił, kogo mu kazano – o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze oplakiwać, ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik-wietrzniak, który dostawszy się w szum stołeczny utonął w nim po uszy i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo ten był mu mistrzem w swawoli. Jeździł więc z nim i między szlachtą, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj i po polu elekcyjnym, i w mieście, jak muchy w ukropie – i nie było kąta, do którego by nie wleźli. Byli i w Nieporęcie, i w Jabłonnie, i na wszystkich ucztach, obiadach, u magnatów i pod wiechami; byli wszędy i uczestniczyli we wszystkim. Pana Michała świerzbiała młoda ręka; chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza niż inna, a żołnierze książęcy nad wszystkich. Więc jeździli umyślnie szukać awantur między Łęczyczanów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj szczególną czuli nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rębajłów, których sława była niezachwiana i ustalona, i z góry układali zaczepki. „Waszmość dasz okazję – mawiał pan Michał – a ja potem wystąpię.” Zagłoba, biegly bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami; ale gdy z jakim łączyckim, graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazji, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: „Mój mospanie! już bym też nie miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając; spróbuj się lepiej z tym oto moim synalkiem i uczniem, bo nie wiem, czy i jemu sprostasz.” Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swymi zadartymi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława między niespokojnymi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególnie sława pana Zagłoby, bo mówiono: „Jeśli uczeń taki, jakież mistrz być musi!” Jednego tylko pana Charłampa Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleźć nie mógł; myślał nawet, że go może na Litwę na powrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blisko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wyteżona walka między braćmi-kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzburzenie namiętności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśl obrany został. Jakoż te przewidywania sprawdziły się w znacznej części. Za to dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporoska Kartagina została zburzona – taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Teraz musiały już wejść na porządek spraw układy. Książę wiedział wprawdzie, że te układy albo od razu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy zostaną zerwane, i widział wojnę w przyszłości, ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy, a Rzeczpospolita słabsza. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wstawionemu, jak Chmielnicki, wodzowi? Zali nie przyjdą nowe klęski, nowe pogromy, które do ostatka siły wyczerpią? Bo książę nie ludził się i wiedział, że jemu, najzarliwzszemu stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprawdzie bratu, że jego stronników tak jak i swoich będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą, ale Kazimierz był stronnikiem polityki kanclerza, kto inny więc weźmie buławę, nie książę – i biada Rzplitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy! Na tę myśl podwójny ból uciskał duszę Jeremiego –

bo i obawa o przyszłość ojczyzny, i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi, że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwignięcia buławy – i na nią zasłużył – więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że książe nie będzie czekał końca elekcji i że z Warszawy wyjedzie – ale nie była to prawda. Książe nie tylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną łaskawością został przyjęty, po czym wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o uzyskanie środków na wojsko – o co pilnie nastawał książe. Przy tym za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenta dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładu przyprowadzić. W tym celu rozsyłał książe na wszystkie strony oficerów biegłych w rzeczach organizacji wojskowej, aby owe pułki przyprowadzali do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszel i Wierszuł, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodyjowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, któren taki mu dał rozkaz:

– Pojedziesz wać na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają konie dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem tu w Warszawie od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodyjowski wziął się rażno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa w samodzięci i z wozem, który wiozł pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony Warszawy roiła się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski aż po Babcie były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w natłoku ludzi różnych humorów – jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się nie uniknęli jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic ujrzeli przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały, pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdźców spojrzął na pana Wołodyjowskiego i nie rzekłszy słowa puścił się rysią ku niemu.

– A tuś mi, bratku! – zakrzyknął – chowałeś się, alem cię znalazł!... Nie ujdiesz mi teraz! Hej! mości panowie! – zakrzyknął na swoich towarzysów – a czekajcie no trocha! Mam temu oficerkowi coś powiedzieć i chciałbym, abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo poznał pana Charłampa.

– Bóg mi świadkiem, że się nie chowałem – rzekł – i sam waćpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rankor jeszcze dla mnie zachował, ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

– Panie Michale – szepnęła Zagłoba – po służbie jedziesz!

– Pamiętam – mruknął Wołodyjowski.

– Stawaj do sprawy! – wrzeszczał Charłamp. – Mości panowie! Obiecałem temu młodzikowi, temu gołowasowi, że mu uszy obetnę – i obetnę, jakem Charłamp! oba, jakem Charłamp! Bądźcie świadkami, waszmościowie, a ty, młodziku, stawaj do sprawy!

– Nie mogę, jak mnie Bóg miły, nie mogę! – mówił Wołodyjowski – pofolgujcie mi wasze choć parę dni!

– Jak to nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć oplązuję, aż ci się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gzie jadowity! w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kąsać umiesz, a do szabli cię nie ma!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

– Widzi mi się, że waszmość w piętkę gonisz – rzekł do Charłampa – i bacz, żeby cię ten bąk naprawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do diabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie? Spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy, i zrozum, do kaduka, iż strażując przy skarbie ten oficer swoją osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz! Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy jak waćpan, ale dziś nie można, a co się odwlecze, to nie uciecze.

– Juźci pewno, że kiedy z pieniędzmi jadą, to nie mogą – rzekł jeden z towarzysów Charłampa.

– A co mnie do ich pieniędzy! – krzyczał niepohamowany pan Charłamp – niech mi pole daje, bo inaczej plązować zacznę.

– Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam – rzekł pan Michał – że się stawię za trzy lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentować, to każe cyngłów ruszać, bo będę myślał, że nie ze szlachtą i nie z żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy, do wszystkich diabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słyszac to eskortujący dragoni zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała widoczne wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa. „Już też pofolguj – mówili mu – sameś żołnierz, wiesz, co to służba, a to pewna, że satysfakcję otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy spod ruskich chorągwi... Pohamuj się, póki prosim.”

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzysów rozgniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami narazi, więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

– Dajesz tedy parol, że się stawisz?

– Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz dwa razy pytasz... Stawię się w czterech dniach; dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin... Obieraj miejsce.

– Tu w Babicach siła gości – rzekł Charłamp – mogłyby jakowe *impedimenta* się zdarzyć. Niechże będzie tu obok, w Lipkowie, tam już spokojnie i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

– A waćpanów taka sama będzie liczna kompania jak dziś? – pytał przezorny Zagłoba.

– O, nie trzeba! – rzekł Charłamp – przyjadę tylko ja i panowie Sieliccy, moi krewni... Waszmościowie też, *spero*, bez dragonów staniecie.

– Może u was w asystencji wojskowej do pojedynku stają – rzekł pan Michał – u nas nie ma takiej mody.

– Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? – rzekł Charłamp. – Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

– Z Bogiem! – rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, którego tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał z daleka tylko widział przyszłego pana, bo śpieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił, konie obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, ba! nawet o godzinę za wcześniej stanął w Lipkowie wraz z Zagłobą i panem Kuszlem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą Żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przepłukać, i przy szklenicy zabawiali się rozmową.

– Parchu, a pan jest w domu? – pytał karczmarza Zagłoba.

– Pan w mieście.

– A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

– U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie i siedzi w alkierzu – bogaty pan ze służbą i końmi.

– A czemu do dworu nie zajechał?

– Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

– A może to Charłamp? – rzekł Zagłoba.

– Nie – rzekł Wołodyjowski. – Miał być we dwie godzin po południu.

– Ej, panie Michale, mnie się widzi, że to on.

– Co znowu!

– Pójdę, zajrzę, kto to jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

– Dziś przyjechał, nie ma dwóch godzin.

– A nie wiesz, skąd on jest?

– Nie wiem, ale musi być z daleka, bo konie miał zniszczone; ludzie mówili, że zza Wisły.

– Czemu on tedy aż tu, w Lipkowie, stanął?

– Kto jego wie?

– Pójdę, zobaczę – powtórzył Zagłoba – może kto znajomy. – I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza zapukał w nie rękojęścią i ozwał się:

– Mości panie, można wejść?

– A kto tam? – ozwał się głos ze środka.

– Swój – rzekł Zagłoba uchylając drzwi. – Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? – dodał wsadzając głowę do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakoby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestach w połączeniu z największym zdumieniem, usta otworzył i spoglądał obłąkanymi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuzsła.

– Co waćpanu jest? – pytał Wołodyjowski.

– Na rany Chrystusa! cicho – rzekł Zagłoba – tam... Bohun!

– Kto? co się waści stało?

– Tam... Bohun!

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

– Czyś waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

– Bohun! Bohun!

– Nie może być!

– Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę się na Boga i wszystkich świętych!

– Czegożeś się waść tak stropił? – rzekł Wołodyjowski. – Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść. Jesteś pewny, że to on?

– Jako że z waćpanem mówię! Widziałem go, szaty przewdziewa.

– A on waćpana widział?

– Nie wiem, zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiemu oczy zaiskrzyły się jak węgle.

– Żydzie! – rzekł z cicha, kiwając gwałtownie ręką. – Chodź tu!... Czy są drzwi z alkierza?

– Nie ma, jeno przez tę izbę.

– Kuszel! pod okno! – szepnął pan Michał. – O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel nie mówiąc ni słowa wybiegł z izby.

– Przyjdź waćpan do siebie – rzekł Wołodyjowski. – Nie nad waćcinym, ale nad jego karkiem zguba wisi. Co on ci może, uczynić? – nic.

– Ja też jeno ze zdziwienia nie mogę ochłonąć! – odparł Zagłoba, a w duchu pomyślał: „Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie – niech się Bohun boi!”

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

– Panie Michale, już on nie powinien nam ujść!

– Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Co by on tu robił?

– Chmielnicki go na przeszpiegi przysłał. To najpewniejsza rzecz! Czekaj, panie Michale. Chwycimy go i postawimy kondycje: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości.

– Byle kniaziównę oddał, jechał go sęk!

– Ba! ale czy nas nie za mało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie się on bronił jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

– Charłamp z dwoma przyjedzie – będzie nas sześciu ! dość... Cyt!

W tej chwili otworzyły się drzwi i Bohun wszedł do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzec zagląającego do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął nagle i jakoby płomień przeleciał mu przez oblicze, a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głównej szabli – ale wszystko to trwało jedno mgnienie oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzył nań i nie mówił nic – ataman również stał milczący; w izbie słyszałby przelatującą muchę i ci dwaj ludzie, których losy płały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydało się, że upływają wieki całe.

– Żydzie – rzekł nagle Bohun – daleko stąd do Zaborowa?

– Niedaleko – odparł Żyd. – Wasza mość zaraz jedzie?

– Tak jest – rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby wiodącym do sieni.

– Za pozwoleniem! – zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się od razu, jakby w ziemię wrósł, i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpił w niego swe czarne, straszne źrenice.

– Czego waść zyczysz? – spytał krótko.

– Ej, bo mnie się zdaje, że my się skądś znamy. A czy my się to nie na weselu w chutorze na Rusi widzieli?

– A tak jest! – rzekł hardo watażka kładąc znowu rękę na głównej.

– Jak zdrowie służy? – pytał Zagłoba. – Bo waćpan tak jakoś nagle wtedy z chutoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

– A waszmość tego żałował?

– Pewnie, że żałowałem, bylibyśmy potańcowali: kompania się zwiększyła. (Tu pan Zagłoba wskazał na Wołodyjowskiego.) Właśnie ten oto kawaler nadjechał, który rad by się był z waścią bliżej poznać.

– Dość tego! – krzyknął pan Michał wstając nagle – zdrajco, aresztuję cię!

– A to jakim prawem? – spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

– Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przeszpiegi tu przyjechałeś.

– A waść coś za jeden?

– O! nie będę się tobie wywodził, ale mi się nie wymkniesz!

– Zobaczymy! – rzekł Bohun. – Nie wywodziłbym się i ja waszmości, ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szable wyzwał, ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiodę: oto jest list, który od hetmana zaporoskiego do królewicza Kazimierza wiozę, i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zaborowa za nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy Bohun spojrział dumnie i szydersko na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka, i nie wiedząc, co ma począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastąpiła ciężka chwila milczenia.

– Ha! – rzekł Zagłoba – trudno! Skoro jesteś posłańcem, tedy cię aresztować nie możemy, ale z szabłą się temu oto kawalerowi nie nadstawiaj, bo już raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarz Bohuna powlokła się purpurą, bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nieustraszonym watażce. Wspomnienie to ucieczki paliło go jak ogień. Była to jedyna nie starta plama na jego sławie mołojckiej, którą nad życie i nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

– Ledwieś i hajdawerków nie zgubił, aż litość tego kawalera tknęła, i życie ci darował. Tfu! mości mołojcze! białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byłeś odważny ze starą kniaziową i z dzieciuchem kniazem, ale z rycerzem dudy w miech! Listy tobie wozic, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły, na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu, tfu! Ot i teraz o szabli gadasz, bo list wieziesz Jakże to nam się z tobą potykać, gdy tym pismem się zaślaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości mołojcze!... Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapichrustów!

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego, tak że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

– Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować! – mówił Bohun.

– Nie wiem, dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał – rzecze pan Michał.

– Wszędy dam waści pole, choćby tu zaraz.

- Wyzywasz mnie? – pytał przymrużając oczy Wołodyjowski.
- Ty mnie sławę mołojcką wziął, ty mnie pohańbił! mnie twojej krwi potrzeba.
- To i zgoda – rzekł Wołodyjowski.

– *Volenti non fit iniuria* – dodał Zagłoba. – Ale któż królewiczowi list odda?

– Niechże was głowa o to nie boli; to moja sprawa!

– Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej – mówił Zagłoba. – Gdyby ci się też poszczęściło, mości watażko, z tym oto kawalerem – bacz, że ja drugi staję. A teraz chodź, panie Michale, przed sień, mam coś pilnego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla spod okna alkierza, po czym Zagłoba rzekł:

– Mości panowie, zła nasza sprawa. On naprawdę ma list do królewicza – zabijemy go, to kryminał. Pomnijcie, że kaptur *propter securitatem loci* w dwóch milach od pola elekcji sądzi – a to wszakże *quasi* poseł! Ciężka sprawa! Musimy się chyba potem gdzie schować albo może książę nas osłoni – inaczej może być źle. A znowu puszczając go wolno – jeszcze gorzej. Jedyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy go nie będzie na świecie, łatwiej jej odszukamy. Bóg sam widocznie chce jej i Skrzetuskiemu pomóc – ot, co jest! Radźmy, mości panowie.

– Waść przecie znajdziesz jaki fortel? – rzekł Kuszel.

– Już to przez mój fortel sprawilem, że on sam nas wyzwiał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja myśl jest, aby na Charłampa zaczekać. Biorę to na siebie, że on pierwszeństwa ustąpi i w potrzebie będzie świadczył, jakośmy zostali wyzwani i musieliśmy się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma zginąć, nic mu po niej – może powie, gdy go zaklniemy. A nie powie – to i tak lepiej, by nie żył. Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. Głowa pęka, mości panowie.

– Któż się będzie z nim bił? – pytał Kuszel.

– Pan Michał pierwszy, ja drugi – rzekł Zagłoba.

– A ja trzeci.

– Nie może być – przerwał pan Michał – ja się jeden biję, i na tym koniec. Położy mnie, to jego szczęście – niechże jedzie zdrów.

– O! jam mu już zapowiedział – rzekł Zagłoba – ale jeśli tak waszmościowie postanowicie, to ustąpię.

– No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim.

– Chodźmy tedy do niego.

– Chodźmy.

Poszli i zastali Bohuna w głównej izbie, popijającego miód. Watażka już był spokojny zupełnie.

– Posłuchaj no, waćpan – rzekł Zagłoba – bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwalesz tego kawalera – dobrze, ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz, to cię prawo broni, boś do politycznego narodu, nie między dzikie bestie przyjechał. Owóż nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwiał. Przyjedzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedynkować – przed nimi to oświadczysz; my zaś damy ci kawalerski parol, że jeśliś się poszczęści z panem Wołodyjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

– Zgoda – rzekł Bohun – powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli i Chmielnickiemu powiedzieli; jeśli zginę, zem ja sam wyzwiał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę mołojcką odzyskać, tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy spojrział Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kaszlnął, splunął i odrzekł:

– Zgoda. Gdy się z tym moim uczniem popróbujesz, poznasz, jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tym... Jest drugie *punctum*, ważniejsze, w którym do sumienia twego się odwołujemy, gdyż luboś Kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałś kniaziównę Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela, i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapoznawali, nic by ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest *raptus puellae*, gardłowa sprawa, która by tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie: co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? zali jej zła i zguby chcesz ty, który ją miłujesz? zali ją pozbawisz opieki? na hańbę i nieszczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykłą mu powagą, a Bohun pobrał – i pytał:

– Czego wy ode mnie chcecie?

– Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleźć i narzeczonemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się głęboko, a trzech towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tkliwym, jakby na niej nigdy gniew ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby; który drżał, mówiąc następne słowa:

– Jeżeliś zaś ją już pohańbił, niechże cię Bóg potępi, a ona niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, roz tęsknione i tak mówił:

– Jeśli ja ją pohańbił? Ot, nie wiem, jak wy miłujecie, panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja Kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby obronił, a potem w pustynię wywiózł – i tam jak oka w głowie pilnował, palca na nią nie skrzywił, do nóg padał i czołem bił jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł – i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

– Bóg to waści na sądzie policzy! – rzekł odetchnąwszy głęboko Zagłoba. – Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i Tatary!

– Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłał pytać, czy pod Kudak ma iść – i już pewno poszedł, a tam, gdzie ona jest, nie ma ni Kozaków, ni Lachów, ni Tatarów – ona tam bezpieczna.

– Gdzie ona tedy?

– Słuchajcie, panowie Lachy! Niech będzie, jak chcecie – powiem ja wam, gdzie ona jest, i wydać ją każę, ale za to wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie już jej szukać. Wy za siebie przyrzeczcie i za pana Skrzetuskiego przyrzeczcie, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie.

– My tego nie możemy uczynić! – rzekł Zagłoba.

– O, jako żywo, nie możemy! – wykrzyknęli Kuszel i Wołodyjowski.

– Tak? – rzekł Bohun i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły. – Czemuż to wy, panowie Lachy, nie możecie tego uczynić?

– Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a oprócz tego wiedz o tym, że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

– Tak wy by taki targ ze mną uczynili: ty, Kozacze, duszę oddaj, a my tobie szablą! O, nie doczekacie! A co to wy myśleli, że u mnie szabla kozacka nie ze stali, że już nade mną jak krucy nad ścierwem kraczecie? A czemu to mnie ginąć, nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! Zobaczmy, kto czyjej dostanie!

– Więc nie powiesz?

– A po co mnie mówić? Na pohybel-że wam wszystkim!

– Na pohybel tobie! Warteś, by cię na szablach roznieść.

– Spróbujcie! – rzekł watażka wstając nagle.

Kuszel i Wołodyjowski porwali się również z ławy.

Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wezbrane gniewem piersi oddychały mocniej i nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby nie Zagłoba, który, spojrzawszy w okno, wykrzyknął:

– Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoż po chwili rotmistrz petyhorski wraz z dwoma towarzyszami, panami Sielickimi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach Zagłoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyluszczać.

A prawil tak wymownie, że wnet przekonał, zwłaszcza iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z Kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów, wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, którego jest zwierciadłem wszystkich cnót rycerskich. „A gdy waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza – zali więc ścierpicie, aby nie była pomszczona?”

Pan Charłamp czynił w początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekąć, „a pan Wołodyjowski niechaj po staremu z mną staje”. Musiał mu na nowo tłumaczyć pan Zagłoba dlaczego to nie może być i że nawet nie po rycersku byłoby w tyłu na jednego napadać. Szczęściem, pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni, aż dał się na koniec uparty Litwin przekonać i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z esaulem Eliaszeńkiem, któremu zapowiedział jako do bitwy dwóch szlachty wyzwiał, po czym powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

– My zaś oświadczamy – rzekł Wołodyjowski – iż jeśli wyjdiesz zwycięzcą z walki ze mną, tedy od woli twej zależy, czy jeszcze zechcesz się bić z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał ani też kupą na cię nie napadną i odjedziesz, gdzie chcesz – na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

– Przyrzekamy – rzekli uroczyście Charłamp i dwaj Sieliccy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewicza Eliaszeńce i rzekł:

– Ty ceje pyśmo korolewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jomu, i Chmielnickomu, szczo moja wyna buła i szczo ne zdradoju mene zabyły.

Zagłoba, którego pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eliaszeńki nie odbił się najmniejszy niepokój – widać zbyt był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

– No, komu śmierć, komu życie – rzekł. – Możem iść.

– Czas, czas! – odrzekli wszyscy zasadzając poły od kontuszów za pasy i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła wśród zarośli głógów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrzącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czerniała jakoby wstęga kiru, het, przez puste pola aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku onym wydmom.

– Tam się zatrzymamy – rzekł Zagłoba.

– Zgoda! – odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, na koniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

– Panie Michale...

– A co?

– Na miłość boską, panie Michale, starajże się! W twoim teraz ręku los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

– To czemuś go waść wyzywał?

– Słowo się rzekło. Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładyś może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

– Postaram się – rzekł mały rycerz.

– Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

– Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

– Cięta jakaś sztuka ten wasz Kozak – szepnął. – Tak sobie z nami poczyna, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazja! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzeć.

– E! – rzekł Zagłoba – przedziej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

– I mnie się tak widzi – rzekł Wołodyjowski.

– Stawajmy! – zawołał nagle Bohun.

– Stawajmy, stawajmy!

Stanąli. Szlachta półkolem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy, po czym rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać – i widać było, że sprawy wcale nie lekcewał. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najślawniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię – jak Ruś szeroka – aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, bo albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrawszy Zagłoba aż przeląkł się. „Traci fantazję – pomyślał – już po nim, a zatem i po mnie!”

Tymczasem Wołodyjowski zbadawszy dokładnie grunt począł odpinać kurtę.

– Chłodno jest – rzekł – ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie, tak że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach; następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy roslym i silnym atamanie! Prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś Kozaka, na olbrzymie mięśnie widne spod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać, i szabła drgała mu w ręku – oczy drapieżne utkwili w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrział jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycji.

– Jatki tu proste będą! – mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

– W imię boże! zaczynajcie!

ROZDZIAŁ XII

Świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskokzył w tył kilka kroków i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygżaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć – zdało im się, że pan Michał całkiem jest nimi otoczony, pokryty i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać spod tej nawałności piorunów. Ciosy zwały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furia watażki wzrastała; ogarniał go dziki szał bojowy – i parł przed sobą Wołodyjowskiego jak huragan – a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił. Wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola i chwycił szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał, i jeszcze się cofał, oczy utkwiał w oczach Kozaka i wśród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy – i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

„Broni się jeszcze!” – pomyślał.

– Broni się jeszcze! – szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

– Już przyparty do wydmy – dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmy, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło mu na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

„Przecie i z pana Michała gracz nad gracze – pomyślał – a i tamten znuży się nareszcie.”

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale opór podniecał tylko jego wściekłość: białe kły błysnęły mu spod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle poczuwszy za sobą wydmy zebrał się w sobie – już patrzącym zdawało się, że padł – on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł i rzucił całą swoją osobą niby kamieniem w pierś Kozaka.

– Atakuje! – wykrzyknął Zagłoba.

– Atakuje! – powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz poznawszy już całą siłę przeciwnika nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi: widocznie poczynął się rozgrzewać, nozdrza rozděły mu się – małe oczki sypały skry; przysiadł i zrywał się, zmieniał w jednym mgnieniu pozycje, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

– O, mistrz! o, mistrz! – wołał Zagłoba.

– Zginiesz! – ozwał się nagle Bohun.

– Zginiesz! – odpowiedział jak echo Wołodyjowski.

Wtem Kozak sztuką najbieglejszym tylko szermierzom znaną przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

– Jezus Maria! – krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się jak dziki kot i całą niemal długością ostrza ciał straszliwie w odkrytą pierś Kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatnim wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochyłony łeb – szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eliaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

– Panie Michale, pójdź w moje objęcia! – rzekł z rozczeniem.

Otoczyli go tedy kołem.

– Toś waść gracz pierwszej wody! Niech waści kule biją! – mówili panowie Sielicy.

– Waść, widzę, ścichapek! – rzekł Charłamp. – Stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się uląkł, ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochłastać, zawsze wiesz, wiesz!

– Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój; bo w rzeczy nie macie się o co bić – mówił Zagłoba.

– Nie może być, bo tu chodzi o moją reputację – odparł petyhorzec – za którą chętnie dam gardło.

– Nic mi po waścinygardle, zaniechajmy się lepiej – rzecze Wołodyjowski – gdyż prawdę waćpanu powiedziałem, to mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy ode mnie – ale nie ja.

– Jak to?

– Parol kawalerski.

– To już sobie dajcie pokój – wołali Sielicy i Kuszel.

– Niechże i tak będzie – rzekł Charłamp otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach – pan Charłamp zaś mówił:

– Niechże waści nie znam, żebyś zaś tak pochłastał podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

– Anim się spodziewałem, żeby taki był fecht mistrz! I skąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę, którego Eliaszeńko obrócił przez ten czas twarzą do góry i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozpoznać, bo pokryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnym powietrzu. Koszula na piersiach również była cała we krwi, ale dawał jeszcze znaki życia. Widocznie był w konwulsji przedśmiernej, nogi jego drgały, a palce skrzywione na kształt szponów darły piasek. Zagłoba spojrzawszy na niego machnął ręką.

– Ma dosyć! – rzekł – żegna się ze światem.

– Aj! – rzekł jeden z Sielickich spoglądając na ciało – to już trup.

– Ba! prawie na dzwona pocięty.

– Nie lada to był rycerz – mruknął kiwając głową Wołodyjowski.

– Wiem coś o tym – dodał Zagłoba.

Tymczasem Eliaszeńko chciał dźwignąć i unieść nieszczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i niemłody, a Bohun prawie do olbrzymów należał – więc nie mógł. Do karczmy było kilka staj, a Bohun lada chwila mógł skonać; esaul widząc to zwrócił się do szlachty.

– Pany! – wołał składając ręce. – Na Spasa i Swiatuju-Preczystuju, pomóżcie! Nie dajcie, szczerze winutki szczerze jak sobaka. Ja staryj, nie zdłużaj, a lude daleko...

Szlachta spojrzawszy na siebie. Zawziętość, przeciw Bohunowi znikła już we wszystkich sercach.

– Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić – mruknął pierwszy Zagłoba.

– Skorośmy z nim na pojedynek stanęli, to już on dla nas nie chłop, ale żołnierz, któremu taka pomoc się należy... Kto ze mną poniesie, mości panowie?

– Ja – rzekł Wołodyjowski.

– To go ponieście na mojej burce – dodał Charłamp.

Po chwili Bohun leżał już na opończy, której końce pochwycili Zagłoba, Wołodyjowski, Kuszel i Eliaszeńko – i cały orszak w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich udał się wolnym krokiem ku karczmie.

– Twarde ma życie – rzekł Zagłoba – jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niańkę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym, że kpi ze mnie! Zbyt mam czułe serce, sam wiem o tym, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie już się nie spotkamy więcej: niechże mile mię wspomina na tamtym!

– To myślisz waszmość, że on żadną miarą nie wyżyje? – pytał Charłamp.

– On? nie dałbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go minąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, to by moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało, bo już i tak krzyki są na mnie jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić, a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

– Prawda, że to waszmościów do szczeru tam spłodowano – rzekł Charłamp.

– Uff! Ciężki ten mołojec – mówił dalej Zagłoba – ażem się zasapał!... Spłodowano, bo spłodowano, ale mam też nadzieję, że nam *exulibus* sejm jakowas prowizję obmyśli – inaczej na śmierć pochudniemy... Ciężki też on, ciężki!... Patrzcie, waszmościowie, znowu zaczyna krwawić; skocz no waćpan, panie Charłamp, do karczmy, żeby Żyd chleba z pajęczyną zagniół. Nie pomoże to wiele temu nieborakowi, ale opatrunek chrześcijańska rzecz i lżej mu będzie umierać. Żywo, panie Charłamp!

Pan Charłamp wysunął się naprzód i gdy na koniec wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał, po czym zwrócił się do Eliaszeńki.

– A ty, dziadu, tu niepotrzebny – rzekł. – Jedź co prędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono, i list oddaj, a opowiedz, coś widział, tak wszystko, jak było. Jeśli zelżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany, i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się ode mnie, bo mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawimy twemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdolasz wywieść, ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj, ruszaj!

– Pozwólcie, panie, zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

– Ruszaj, mówię ci! – rzekł groźnie Zagłoba – a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu.

Eliaszeńko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

– Wyprawilem tego Kozaka, bo co on tu ma jeszcze do roboty?... A niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nas by winę zwałono. Pierwsi zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardło, że ludzie księcia wojewody wymordowali wbrew prawom boskim całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko poradzi. Nie damy my się tym gładyszom, tym łuszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpanowie też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbyło i że on to sam nas wyzwiał. Muszę też jeszcze wójtowi tutejszemu przykazać, aby go tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki; będą myśleli, że to szlachcic, i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę, panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relację.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

– Oho, już dusza szuka sobie drogi! – rzekł szlachcic. – Już też i ciemno się robi; po omacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieszczęsnej niebogi nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek – amen!... Jedźmy, panie Michale... Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lażem niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyc w potrzebie.

ROZDZIAŁ XIII

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie nie spod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadcstwo, iż Wołodyjowski został wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nie omieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola umysły zajęte były czym innym i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się, iż królewicz przesyłając odpowiedź wspomni lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy. Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego rad był nawet książę z tego, co się stało, bo odzyskanie Kurcewiczówny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleźć, odbić lub wykupić – a kosztów, choćby jak największych, pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł, było, z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż w ogóle mało był płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę wysłuchawszy relacji i pomyślawszy przez chwilę nad tym, co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

– Chwałę moderację waszmościów, iżeście pierwsi go nie napadli, bo wielkie i szkodliwe mogły stąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się odnajdzie, to Skrzetuski będzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby ci się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputację naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abys miał jakąś dnia tego pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szable, aleś to podobno mistrz nad mistrze.

– On? – rzecze Zagłoba. – On by diabłu w trzecim złożeniu rogi obciął. Jeśli wasza książęca mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę, aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej od razu na tamten świat pójdę. On Bohuna na wół przez pierś przeciął, a potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Książę kochał się w sprawach rycerskich i w dobrych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał:

– Znalazłeś waść kogo równej siły na szable?

– Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego... wtedy gdy to nas wasza książęca mość pod bramę obydwoh wsadził – a z innych może by i pan Podbipięta mi wytrzymał, bo ma siłę nadludzką – i bez mała Kuszal, gdyby miał lepsze oczy.

– Niech mu wasza książęca mość nie wierzy – rzekł Zagłoba – jemu by nikt nie wytrzymał.

– A Bohun długo się bronił?

– Ciężką miałem robotę – rzekł pan Michał. – Umiał on i do lewicy przerzucać.

– Bohun sam mnie powiadał – przerwał Zagłoba – iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijał, i sam widziałem w Czehrynie, że i z innymi to czynił.

– Wiesz co, mości Wołodyjowski – rzekł z udaną powagą książę – jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzplitą od wszystkich klęsk i kłopotów.

– Za rozkazem waszej książęcej mości pojedę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć – odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

– My żartujemy, a świat ginie! Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomości z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od obłąkania ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdziwego lub symulowanego afektu do króla jegomości lub też dlatego,

że pod Zamościem snadnie by się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowiedzieć Skrzetuskiemu, co się stało, by ruszył kniaziówny szukać. Powiedźcie mu, żeby sobie z chorągwi moich przy staroście waleckim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycji potrzebował. Zresztą prześlę mu przez was permisję i dam list, bo mi jego szczęście wielce na sercu leży.

– Wasza księżęca mość ojcem nas wszystkich jesteś – rzekł Wołodyjowski – dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

– Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba – rzekł książe – jeśli mi cała fortuna zadnieprzańska przepadnie, ale póki starczy, póty co moje, to wasze.

– O! – wykrzyknął pan Michał. – Nasze to chudopacholskie fortuny do waszej księżęcej mości zawsze będą należały.

– I moja z innymi! – rzekł Zagłoba.

– Jeszcze tego nie trzeba – odparł łaskawie książe. – Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książe mówiąc to widocznie miał chwilę jasnowidzenia. Rzplita bowiem w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego – to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

– Tośmy się wywinęli! – mówił Zagłoba, gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. – Panie Michale, możesz być pewien promocji. Pokaż no ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego Ormianina na bazarze. Można by za takową kwotę i w jedle, i w napoju, i w innych delicjach opływać. Cóż myślisz, panie Michale? Żołnierska to maksyma: „Dziś żyję, jutro gniję!” – a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie, panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd książe w sercu nosił. Dałby on był dziesięć razy tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to książe wsiów rycerstwu dożywotnie puścił albo i zgola podarował? Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię książe z jaką krewniczczą swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

– Skąd waść wiesz, że...

– Że co?

– Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakżeby taka rzecz stać się mogła?

– Alboż to się nie trafia? alboż nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to kaźden *magnatus* ma dalekich krewnych i krewniczek między szlachtą, które to krewniczki później za swych zaciejszych dworzan wydaje? Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewną Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których każdy dojść może. Podobno gdzie indziej są dyferencje znaczne między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! Rozumiem dyferencje między psami, jako są legawce, charty misterne lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może tak być, bobyśmy psubratami, nie szlachtą byli, której hańby dla tak wdzięcznego stanu Panie Boże nie dopuść!

– Słusznie waszmość mówisz – rzecze Wołodyjowski – ale przecie Wiśniowieccy królewski to prawie ród.

– A ty, Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobie bym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się tylko w kości nie zagra. Wszystko, chwalić Boga, u nas *in liberis suffragiis* – i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie, w drodze nam staje.

– Otóż to właśnie! – westchnął pan Michał.

– Cóż robić! Zrabowano nas ze szczętem i zginiemy, jeśli nam Rzplita jakowych prowentów nie obmyśli – zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek, choć z natury i wstrzemięźliwy, lubi się napić w takich opresjach? Pójdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklaneczce cienkusza, może się choć trochę pocieszymy.

Tak rozmawiając doszli do Starego Miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pachółków trzymało szuby i burki pijącej w środku szlachty. Tam siadłszy za stołem kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

– Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki, od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza – mówił Zagłoba.

– Trzeba by nam jak najprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

– Pewnie, że razem pojedziemy Ale teraz nie ma sposobu dostać się do Zamościa.

– To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

– Poszczęści, poszczęści! – rzekł. – Wiesz, panie Michale, co ci powiem?

– Co takiego?

– Bohun zabit!

Wołodyjowski spojrział ze zdziwieniem:

– Ba, któż wie lepiej ode mnie?

– Żeby ci się ręce świeciły, panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzyłem, jakeście się bili, patrzę na waćpana teraz – i przecie muszę sobie ciągle powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. Co za troska

ubyla! co za węzeł twoja szabla przecięła! – Niechże cię kule bija! Bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie, nie mogę wytrzymać! pójdź, niech cię jeszcze raz uściskam, panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobie: „At! chłystek!” – a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochłastał! Nie ma już Bohuna, ni śladu, ni popiołu, zabit na śmierć, na wieki wieków amen!

Tu Zagłoba począł ścisnąć i całować Wołodyjowskiego, a pan Michał rozczulił się, jakby właśnie Bohuna żałował; w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

– Nie byliśmy przy jego śmierci, a twarda to sztuka – nuż wyżyje?

– Na Boga, co waćpan mówisz! – rzekł Zagłoba. – Gotówem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

– I po co waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha od razu, ten najczęściej się wyliże. Szabla to nie kula.

– Nie, nie może być! Już przecie rzeźnić zaczynał, gdyśmy wyjeżdżali. O, wcale nie może być! Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztworzone jako wierzeje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyłeś go jak zająca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jak najprędzej, jemu pomóc, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

– Albo mnichem zostanie; sam mnie to mówił.

– Co dziwnego? I ja bym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zacniejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

– Przestań już waszmość – mówił trochę pijany Wołodyjowski – bo nie mogę łez utrzymać...

– A jaż to mogę! – odparł Zagłoba. – Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!...

Tu zawył pan Zagłoba niskim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował mu trochę cieniej – i pili wino zmieszane ze łzami, a potem, spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś posepnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

– Panie Michale, czemu my płaczemy! Bohun zabit!

– A prawda – rzekł Wołodyjowski.

– Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy.

– Jedźmy – rzekł wstając pan Michał.

– Napijmy się! – poprawił Zagłoba. – Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziemy do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

– Dobrze mu tak! – dokończył Wołodyjowski nie postrzegając się, że już pan Zagłoba dzieli się z nim zasługą uśmiercenia Bohuna.

ROZDZIAŁ XIV

Na koniec zabrzmiało *Te Deum laudamus* w warszawskiej katedrze i „pan siadł na majestacie”, huczały działa, biły dzwony – i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokoju, tym straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, co drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz, gdy elekcja odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielom zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze i że nowo obranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. Kozacy pod Zamościem, szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczyli się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księdza Hunclę Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska zaporoskiego. Wiedzano też, że król, zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego, pragnie znaczne Kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed piławiecką klęską wojna, tak teraz pokój był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzeczpospolita odetchnie i pod nowym panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śmiarowski z listem królewskim do Chmielnickiego i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że Kozacy ustępują spod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie czekać będą rozkazów królewskich i komisji, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód opiekunce boskiej za wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa na koronację. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko *exules* z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli lub też nie mieli po co.

Książę Jeremi, jako senator Rzeczypospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba na czele jednej chorągwi dragońskiej pociągnęli śpiesznymi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie Bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach na wspólną z Wołodyjowskim czynionych było mu tak dobrze, jak rybce w morzu. Ale pocieszał się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych, którą w następujący sposób Wołodyjowskiemu wyluszczał:

– Prawda jest, panie Michale – mówił – że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie, ale broń Boże dłuższego pobytu, tak, mówię ci, zniewieścielibyśmy jako ów sławny Kartagińczyk, którego słodkość aury w Kapui ze szczętem zdebilitowała. A najgorsze ze wszystkiego białogłowy. One każdego do zguby doprowadzą, bo to sobie zauważ, że nie masz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną...

– Et, dałbyś waćpan pokój! – przerwał Wołodyjowski.

– Sam ja to sobie często powtarzam, bo czas by był się usatkwować – jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tym. Zacniemy teraz inne życie. Już też, bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny. Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam, pod Zamościem, dokazują jeszcze kupy swawolne, to się z nimi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczmy też Skrzetuskiego, i tego wielkoluda, tego żurawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siła czasu nie widzieli.

– Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

– Bo co się odezwie, to tak jakby twój koń ogonem ruszył; a ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę poszło, nie w głowę. Jak kogo weźmie w ramiona, to mu żebra przez skórę powyciska, nie masz zaś

takowego dziecka w Rzeczypospolitej, które by go najsmardziej na hak przywieść nie mogło. Słuchanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny taki był *hebes*?

– Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

– On? Jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł, i tak go nosił, jako wędzoną kiełbasę. Można nim było jak kijem machać, ani się zgiął. Sam mnie mówił, ile ma wsiów: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściany (raczej Kapuściana – ale głowę), Bałtupie – kto by tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy! Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród, Podbipiętowie.

– A nie koloryzujesz waść trocha o owych majątnościach?

– Ja nie koloryzuję, bo powtarzam to, com od niego słyszał, a on przecie póki żyje, nie zełgał, bo zresztą i na to za głupi.

– No, to będzie Anusia panią całą gębą! Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli... a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał Pan Bóg tak obrotny język jak waści. Co tu gadać! wielki to rycerz i najzaciejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzyć.

– Skaranie z nim boże! – mruknął Zagłoba. – Dlatego tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

– Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz niebezpieczna... Jego choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnie by stracił cierpliwość.

– Niechby stracił! Uszy bym mu obciął jak panu Duńczewskiemu.

– Daj no waćpan pokój. Nieprzyjacielowi nie życzyłbym próbować.

– No, no, niech go jeno obaczę!

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej, niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodyjowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrożone. Któż więc opíše zdziwienie obydwóch przyjaciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachcicu rozpoznali pana Podbipiętę.

– Jakże się waszmość masz! siła czasu! siła czasu! – wołał Zagłoba. – A że cię to Kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obydwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

– Oto żeśmy się spotkali, co? – powtarzał z radością.

– Gdzie jedziesz? – pytał Wołodyjowski.

– Do Warszawy, do księcia pana.

– Księcia nie ma w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacji.

– A mnie pan Weyher do Warszawy wyprawił z listem i z zapytaniem gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

– To i nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longinus zasepił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególnie jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodyjowskiego.

– A taki do Krakowa pojedę – rzekł po chwili namysłu Litwin. – Kazali mnie list oddać, to oddam.

– Chodźmy do izby, każemy sobie piwa zagrzać – rzekł Zagłoba.

– A wy gdzie jedziecie? – pytał po drodze Longinus.

– Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

– Porucznika nie ma w Zamościu.

– Masz babo placek! Gdzież on jest?

– Koło Choroszczyna gdzieś, gromi kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego pułkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta wałecki odkomenderował pana Jakuba Regowskiego, żeby ich znosił...

– I Skrzetuski jest z nim także?

– Także. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między nimi emulacje, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrzać trzy garnce piwa, po czym zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

– Bo waćpan, panie Podbipięta, nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin aż się z ławy podniósł.

– Braciaż wy rodzeni, możeż to być?

– Jak nas tu żywych widzisz.

– I wy jego we dwóch usiekli?

– Tak jest.

– Oto nowina! a Boże, Boże! – mówił Litwin plasnący w dłonie. – Mówisz waćpan: we dwóch! jak to we dwóch?

– Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwiał – rozumiesz wasze? – po czym pan Michał pierwszy stanął i tak go, mówię waści, pokrajał jak wielkanocne prosię, rozebrał go jak pieczonego kapłona – rozumiesz wasze?

– To waść drugi nie stawał?

– No, patrzcie się! – rzekł Zagłoba – widzę, że waść musiałeś sobie krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałeś, że będę z trupem stawał albo że leżącego już będę docinał?

– Bo mówiłeś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

– Świętej cierpliwości z tym człowiekiem! Panie Michale, zali nie obojgu nas Bohun wyzwiał?

– Tak jest – rzecze Wołodjowski.

– Pojąłeś waść teraz?

– Niech i tak będzie – odparł Longinus. – To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

– Jak to go Skrzetuski szukał?

– Muszę już, jak widzę, wszystko *ab ovo* waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło – rzekł pan Longinus. – Zostaliśmy tedy, jak wiecie, w Zamościu, a wy ruszyliście do Warszawy. Na Kozaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane spode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książę tak Zamość opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali i wielki był z tego powodu między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich klęski obiecywał, a że byli z nimi i Tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mnie Pan Bóg miłosierny da moje trzy głowy...

– Proś go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą – przerwał Zagłoba.

– A waćpan zawsze taki sam!... słuchać hadko – rzekł Litwin. – Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zatwardziałości, zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki sam nie chciał, ale Czarnota, ich oboźny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał – że już z Lachami myśli się bratać – więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z za dymu i z za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury; aleśmy im tak przygrzeli, że potem i od murów, i od własnych machin puciekali; dopiero wypadliśmy za nimi w cztery chorągwie i narzneliśmy jak bydła.

Wołodjowski zatarł ręce.

– Uch! żałuję, że nie był na tym festynie – wykrzyknął z uniesieniem.

– I ja byłbym się tam przydał – rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

– A już wtedy najwięcej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakub Regowski – mówił dalej Litwin – obaj wielcy kawalerowie, ale zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Regowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazji, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozumieliśmy z początku, o co panu Regowskiemu chodzi, aż i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszczka, którego książę z powodu pana Skrzetuskiego, jak pamiętacie, z obozu wypędził. Stąd złość w Regokim do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, stąd i emulacja między nimi, która obu w tym oblężeniu wielką sławą okryła, bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi i na murach, i w wycieczkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmować i regularne rozpoczął oblężenie nie zaniedbując przy tym i fortelów, które by go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

– Tyle samo on albo i więcej ufa w chytrność! – rzekł Zagłoba.

– Szalony człowiek, a przy tym i *obscurus* – mówił dalej Podbipięta – sądził, że pan Weyher jest Niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika... Dopieroż mu pan Weyher odpisał, co zacz jest i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znaczniejszego, nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę między tak dzikie bestie idzie, nie było chętnych między towarzystwem. Inni się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem – i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, to się dopiero zaczyna.

– Słuchamy pilnie – rzekli dwaj przyjaciele.

– Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. – Przyjął mnie jadownicę, zwłaszcza gdy list przeczytał, i buławą groził – a ja polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie wszystko myślałem: już też jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane – co?

– Zacznie to było ze strony waćpana tak myśleć – rzekł z pewnym rozrzewnieniem Zagłoba.

– Ale go pułkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagrządzali – mówił pan Longinus – a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go wpół brał i odciągał mówiąc: „Nie pójdziesz, baćku, upiłeś się.” Patrzę ja, kto mnie tak broni, i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident – aż to Bohun.

– Bohun? – wykrzyknęli Wołodjowski i Zagłoba.

– Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział – i on mnie takż. Słyszę, mówi do Chmielnickiego: „To mój znajomy.” A Chmielnicki, jako to prędką u pijaków rezolucja, odpowiada: „Kiedy on twój znajomy, synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów, a ja dam respons.” I dał mi respons, a co do talarów, rzekłem, by bestii nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie, ale ledwom wyszedł, przychodzi do mnie Bohun: „My się w Rozłogach widzieli” – mówi. „Tak jest (rzeke), jenom się wtedy nie spodziewałem, braciaszku, że cię w tym obozie ujrzę.” – A on na to: „Nie własna wola,

ale nieszczęście zagnało!” W rozmowie powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. „Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to), i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam książę Jarema ich bije.” – „I myśmy nie wiedzieli (powiadam), bo żeby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył.”

– Pewnie by tak było, ale cóż on na to? – pytał Wołodyjowski.

– Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył, a Chmielnicki nie chciał go na powrót odesłać, bo go zamyślał do innych posyłek użyć, jako mającego prezencję. Na koniec pyta: „Gdzie pan Skrzetuski?” – a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: „To się może spotkamy” – i z tym go pożegnałem.

– Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy – mówił Zagłoba.

– Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Weyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz dzień znowu szturm, jeszcze zajadniejszy niż pierwszy. Nie miałem czasu widzieć się z panem Skrzetuskim, dopiero trzeciego dnia mówię mu, że Bohuna widział i z nim mówił. A było przy tym siła oficerów i z nimi pan Regowski. Ten zasłyszawszy rzece z przekąsem: „Wiem ja, że tam o pannę chodzi; jeśli waszmość taki rycerz, jak sława niesie, to masz Bohuna: wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny *prospectus*. Ale o was, wiśniowieczykach, więcej (powiada) mówią, niż jest.” Na to pan Skrzetuski jak spojrzysz na pana Regowskiego – jakby go kto z nóg ściął! „Tak waćpan radzisz? – (spyta) – a dobrze! Nie wiem jeno, czybyś waszmość, który naszej cnotce przymawiasz, miał odwagę pójść między czerń wyzwać ode mnie Bohuna.” A Regowski: „Odwagę mam, ale waszmości ni swat, ni brat – nie pójde.” Dopieroż inni w śmiech z pana Regowskiego.

„O! (prawia) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło, toś był wielki!” Więc Regowski, jako to ambitna sztuka, wziął na kiel i podjął się. Nazajutrz dzień poszedł z wyzwaniem – ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacji, ale teraz dopiero po tym, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać i tameście go waszmościowie usiekli.

– Tak to i było – rzece Wołodyjowski.

– Powiedźże nam wasze – pytał Zagłoba – gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleźć go musimy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć.

– Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę, pułkownika kozackiego, obaj z Regowskim, do rąk sobie podając, ze szczerem znieśli. Później Skrzetuski na własną rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił i Burlaję zniósł, i kup kilka rozbił.

– A że to Chmielnicki na to pozwala?

– Chmielnicki ich się wypiera i mówi, że wbrew jego rozkazom łupią. Inaczej by nikt w jego wierność i posłuszeństwo dla króla jegomości nie uwierzył.

– Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! – zauważył pan Zagłoba.

– Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszoną – mówił dalej Litwin – bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i Tatarowie jasyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamyśleniu, a po chwili tak dalej mówił:

– Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższym niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czym sobie szczęście upatrzył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapominał. Taż on, brateńki, dawno mógł permisję od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu w ustawicznej pracy trwając.

– Rzymską on ma duszę, nie ma co mówić – rzekł Zagłoba.

– Przykład z niego brać powinniśmy.

– Szczególniej waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

– Bóg patrzy w duszę moją! – rzekł pan Longinus wznosząc oczy ku niebu.

– Skrzetuskiemu już Pan Bóg wynagrodził śmiercią Bohunową – rzekł Zagłoba – i tym, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej, bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

– Waćpanowie z nim pojedziecie? – pytał Litwin.

– A waszmość to nie?

– Rad bym ja z duszy serca, ale co z listami będzie? Jeden wiozę od starosty wałeckiego do króla jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, takoz do księcia, z prośbą o permisję.

– Permisję my mu wieziemy.

– Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć?

– Musisz waćpan jechać do Krakowa; nie może być inaczej... Zresztą powiem szczerze: rad bym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waćcine, za plecami, ale w czym innym, toś się waćc na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać – a waćc tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdy by się zaraz pytał: co to za drągał? skąd się takowy Kozak wziął? – Prócz tego waćpan i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! Jedź waćc do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

– Tak i ja myślę – rzekł Wołodyjowski.

– Pewno, że tak musi być – odpowiedział pan Podbięta. – Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. A czy wiecie, gdzie ona ukryta?

– Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podsłuchał, gdy mnie Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

– Jakże wy ją znajdziecie?

– Moja głowa, moja w tym głowa! – rzekł Zagłoba. – Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tym, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

– Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi!

– I waćpana również – rzekł Zagłoba. – Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Charłampowi.

– Któż to taki?

– To jeden Litwin nadzwyczajnej gładkości, za którym wszystkie panny z fraucymeru księżny głowy potraciły.

Pan Longinus zadrzał.

– Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

– Bądź waćpan zdrow! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli – zakończył pan Zagłoba mrugając na Wołodyjowskiego.

ROZDZIAŁ XV

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytym strzałą, a okrutny pan Zagłoba wraz z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej jak jeden dzień, gdyż komendant, starosta wałecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiadomości od Skrzetuskiego, i sądził, że regimenty, które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydium do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tym prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególnie był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi, i ruszyli w nią bez zwłoki, tyle się tylko zatrzymując, ile trzeba było dla odpoczynku lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity lub w jasyr zagarnięty. Trupy tylko spotykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgłiszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzył z zimna lub głodem przymierał nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie spod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą z drzew lub na wpół spalonym zbożem, które ze zgłiszczów dawnych spichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując się głównie tymi zapasami, które rozbójniczym oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła z największym podziwem ludzkim bez śniegów, mrozów i lodu, tak że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle terazniejsza zapowiadała się ostrzej niż zwykle. Ziemia skrzepła, śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczytą skorupą szklaną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze – niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej – mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i na wskroś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie do skutku, bo główna przeszkoda – wojna – nie położy jej tak prędko tamy.

– Nie wierzę ja w szczerłość Chmielnickiego – mówił – żeby on z afektu dla króla jegomości na Ukrainę się cofał, ale to chytry lis! Wie on, że gdy Kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, bo w otwartym polu, choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostają. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada posłą w śniegi. Tatarzy też potrzebują jasyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziemy mieli spokój aż do przyszłej trawy.

– Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg, na zapusty wyprawimy panu Skrzetuskiemu wesele.

– Byleśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa byłaby mitrega.

– Trzy chorągwie są przy nim, to przecie nie w korcu ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbarażem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

– Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze – odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć, czyje by były te chorągwie; że zaś mogły one być tak dobrze Regowskiego, jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść: o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski w wilię wyjazdu Wołodyjowskiego z Warszawy, ale jeszcze wątpiono, teraz zaś rozbiegła się po całym kraju ze wszelkimi szczegółami jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym zapłaciły klęską litewskie. Dał głowę Półksięzyc, wódz stary i doświadczony, i dziki Nebaba, i potężniejszy od nich obydwóch Krzczowski, który nie starostw i województw, nie dostojenstw i godności, ale pała się w buntowniczych

szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew przelaną w łasze Dnieprowej, krew Flika i Wenera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu radziwiłłowskiego i lubo postrzelany i ciężko ranny, został natychmiast na pal wbity, na którym, nieszczęsny, drgał jeszcze cały dzień, nim posępną duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męstwo i geniusz wojenny drugim Stefanem Chmieleckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojeństw pchnęła na drogę zdrad, krzywoprzysięstwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosą mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą blisko dwadzieścia tysięcy mołojców położyło głowy na poboju lub potopiło się w błotach Prypeci; strach więc przeleciał jak wichur nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że to po wielkich tryumfach, po Żółtych Wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Sołonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci „druha” Krzeczowskiego dowiedział, i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różnie – wróżyły nowe wielkie wojny i zwycięstwa, i klęski – nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem właśnie z powodu klęski Krzeczowskiego, również jak z powodu zimy, tym pewniejszy był długi spokój. Kraj począł się koić, spustoszone wioski zaludniać i otucha wstępowała z wolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tą samą otuchą nasi dwaj przyjaciele po długiej i trudnej podróży dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmiwszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym z niemałym zdziwieniem poznali Wierszułła.

– A gdzie Skrzetuski? – pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

– Nie masz go – odpowiedział Wierszuł.

– To waść masz komendę nad prezydium?

– Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

– A kiedy obiecał wrócić?

– Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjeździe: „Jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu mnie czekał.”

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

– Jak dawno pojechał? – pytał pan Michał.

– Dziesięć dni temu.

– Panie Michale – rzekł Zagłoba – niechże pan Wierszuł da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

– Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać. Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer, bierze komendę, więc ja to jestem u niego, nie on u mnie.

– Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie – rzekł Wołodyjowski – boś starszy wiekiem; przy tym mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwoma miskami juszki, rzekł do Wierszułła:

– Nie suponujesże waćpan, gdzie mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszuł kazał iść precz pacholkom posługującym do stołu i po chwili namysłu tak mówić począł:

– Sponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, więc nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będziem w spokoju stali, i wedle moich supozycji, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w Bohunowym jest ręką.

– Bohuna nie ma już na świecie – rzekł Zagłoba.

– Jak to?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci czy czwarty wszystko, jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością; Wierszuł również, jak pan Longinus, nie mógł się wydziwić zdarzeniu, na koniec rzekł:

– To Skrzetuskiemu będzie łatwiej.

– W tym rzecz, czy ją odnajdzie. A ludzi ze sobą wziął jakowych?

– Nikogo, sam pojechał z jednym Rusinkiem pacholikiem i z trzema końmi.

– To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortelami trzeba radzić. Do Kamieńca można by może z chorągiewką dojść, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją Kozacy, bo tam zimownicy dobre, a w Jampolu ich gniazdo; trzeba tam iść albo z całą dywizją, albo samemu.

– A skądże waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał? – pytał Wierszuł.

– Bo ona tam ukryta za Jampolem i o tym on wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, cóż dopiero nie wiedząc! Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Zebyśmy byli razem, może by łatwiej poszło, ale jemu samemu, wątpię, wątpię... chybaby mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

– To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

– Tak jest. Ale cóż teraz pocniemy, panie Michale! Jechać za nim czy nie jechać?

– Na waszmoścín przemyśl to zdaje.

– Hum! dziesięć dni, jak pojechał, nie dognamy i – co więcej – kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoskirów i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

– Pamiętaj przy tym waszność – rzekł Wierszuł – że są tylko supozycje, ale pewności nie masz, że po kniaziówne pojechał.

– Otóż to, otóż to! – rzekł Zagłoba. – Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć, i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem, i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacja.

– Ja bym radził czekać z dziesięć dni – rzekł Wierszuł.

– Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

– Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo i co stracimy, jeśli zaraz jutro ruszyc? Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści – rzekł Wołodyjowski.

– Widzisz, panie Michale, nie można tu nic lekceważyć... wasze jesteś młody i chce ci się przygód – odpowiedział Zagłoba – a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my szukać będziemy, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamecznych ludziach. Kozactwo chytre i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocimia mogą mieć konszachty lub z Tatarami za Dniestrem wedle przyszłej wojny – kto ich wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieć oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

– To tym bardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomóc.

– I to także prawda.

Zagłoba zamyślił się tak mocno, że aż mu skronie drgały.

Na koniec rozbudził się i rzekł:

– Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać.

Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

– A kiedy?

– Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało rażne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie w wilię ich wyjazdu przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody kozaczek Cyga, z wieściami i listami dla Wierszuła. Usłyszawszy o tym, Zagłoba i Wołodyjowski wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

„Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Satanów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z Ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty tatarskie i kozackie na wolny przejazd aż do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol z bławatami, wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jeno ludzie żywi mieszkają; może też Bóg pomoże, że znajdziem, czego szukamy. Towarzyszom moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz, panie Krzysztofie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypadnie, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości Kozaków, którzy w Jampolu zimują i nad Dniestrem aż do Jahorlika konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tego byśmy i we trzech nie dokazali, a ja prędzej od nich za Ormianina ująć mogę. Podziękuj im, panie Krzysztofie, z duszy serca za ich rezolucję, którą, pókim żyw, będę pamiętał, ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził – i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławatny ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece, bo nic mi po nim, boję się zaś gwałtu młodości, żeby się gdzie z czym nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców, że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga najwyższego, któren, jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mękę skróci, amen.”

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszków, oni zaś milczeli, aż w końcu Wierszuł rzekł:

– Wiedziałem, że on tam pojechał.

– A co nam czynić wypada? – pytał Wołodyjowski.

– A cóż? – rzekł Zagłoba roztwierając ręce. – Nie mamy po co już jechać. To, że on z kupcami jedzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zdziwi. W każdej chacie teraz, w każdym chutorze jest co kupować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężko by nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny jak Wołoch i snadnie za Ormianina ująć może, a ciebie zaraz by po twoich owsianych wąsikach poznali. W przebraniu chłopskim również byłoby trudno... Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas – to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodyjowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

– Może byśmy choć do Kamieńca ruszyli! – rzekł.

– A co my tam będziemy robić i z czego żyć? – odpowiedział Zagłoba. – Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy, trzeba czekać i czekać, bo taka podróż dużo Skrzetuskiemu może zająć czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza (tu pan Zagłoba opuścił melancholicznie głowę na piersi), a starzeje się w bezczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas obejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli – to grunt. Każ waść konie rozjuczyć, panie Michale – trzeba czekać.

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyki, ani gra w kości nie mogły urozmaicić – i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg całunem na łokieć grubym okrył blanki zbarskie i całą ziemię; zwierz i ptactwo dzikie zbliżyły się do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słychać było krakanie niezmiernych stad wron i kruków. Upłynął cały grudzień, po czym styczeń i luty – o Skrzetuskim nie było ani słychu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód; Zagłoba sposepniał i utrzymywał, że się starzeje.

ROZDZIAŁ XVI

Komisarze wysłani przez Rzeczpospolitą do traktatów z Chmielnickim dotarli wreszcie wśród największych trudności do Nowosiótek i tam zatrzymali się czekając odpowiedzi od zwycięskiego hetmana, który tymczasem bawił w Czehrynie. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczały ich tłumy czerni zdziczałej do reszty przez mordy i wojnę – i wyły o śmierć komisarzy. Raz w raz napotykali od nikogo niezależne watahy złożone ze zbójców lub dzikich czabanów, nie mających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprawdzie komisarze sto koni asystencji, którymi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu, co ich spotkać może, przysłał im pułkownika Dońca wraz z czterystoma mołojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju albo ze służby oddalił się choć na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych otoczona przez stado zgłodniałych wilków. I tak upływały im całe dni, tygodnie, aż na noclegu w Nowosiótkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walkę o życie komisarzy, którzy odmawiając modlitwy za konających polecali duszę Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie, a tymczasem zza okien wraz z powiewem wiatru dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczęk kos, wołania: „Na pohybel!”, i o głowę wojewody Kisiela, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na rękę i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie śmierci on się lękał, bo od czasów wyruszenia z Huszczy tak już był wyczerpany, zmęczony, bezsenny, że raczej by z radością do śmierci wyciągnął ręce – ale duszę jego nurtowała bezdena rozpacz. On to przecie, jako Rusin z krwi i kości pierwszy wziął na się rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie – on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsilniej Jeremiego i działał w dobrej wierze dla dobra kozactwa i Rzeczypospolitej – i wierzył całą swą gorącą duszą, że układy, że ustępstwa wszystko pogodzą, uspokoją, zbliznią – i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiozł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa Kozaczyźnie, zwątpił o wszystkim – ujrzał oczywiście marność swoich wysiłków, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

„Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi? zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i pożogi im idzie?” – myślał z rozpaczą wojewoda i tłumił jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

– Hołowu Kisielowu, hołowu Kisielowu! na pohybel! – odpowiadały mu tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą skołataną głowę, gdyby nie ta resztką wiary, że im i całej Kozaczyźnie trzeba dać coś więcej – trzeba koniecznie dla ich własnego i Rzeczypospolitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz – i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec, że ta czerń to przecie nie cała Kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy, że z nimi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą-li one być trwałe, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią? Nie stopniejąz one z pierwszym powiewem wiosny jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?...

Tu znów przychodziły wojewodzie na myśl słowa Jeremiego: „Łaski można dać tylko zwyciężonym” – i znów myśl jego zasuwiała się w ciemność, a pod nogami otwierała się przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły; natomiast świst wichru powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzy.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutym śniegiem i rzekł:

– Widzi mi się, że za łaską bożą jutra jeszcze dożyjemy.
– Może też i Chmielnicki nadeszle liczniejszą asystencję, bo z tą nie dojedziemy – rzekł pan Śmiarowski.

Pan Zieleński, podczaszy braclawski, uśmiechnął się gorzko:

– Kto by to rzekł, że komisarzami pokojowymi jesteśmy!

– Posłowałem nieraz do Tatar – mówił pan chorąży nowogrodzki – ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemtu doznaje, niż pod Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom: wracajmy, bo o układach nie ma co i myśleć.

– Wracajmy – powtórzył jak echo pan Brzozowski, kasztelan kijowski. – Nie może pokój stanąć, niech będzie wojna.

Kisiel podniósł powieki i utkwiał szklane oczy w kasztelanie.

– Żółte Wody, Korsuń, Piławce! – rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy – jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski, począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

– Co za czasy? co za czasy! Boże, zmiłuj się nad nami.

Wtem drzwi się otwarły i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

– Jaśnie wielmożny wojewodo – rzekł – jakiś Kozak pragnie widzieć ichmość panów komisarzy.

– Dobrze – odrzekł Kisiel – a czerń rozeszła się już?

– Poszli; obiecali jutro wrócić.

– Bardzo nacierali?

– Okrutnie, ale Kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro obiecali nas spalić.

– Dobrze, niech ten Kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

– Kto jesteś? – pytał Kisiel.

– Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i łowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnowką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

– Prawda! prawda! Toż-że to pan Skrzetuski! – powtarzali.

– Co tu robisz? i jakieś się do nas dostał? – pytał Krzetowski biorąc go w ramiona.

– W chłopskim przebraniu, jak waszmościowie widzicie – rzekł Skrzetuski.

– Mości wojewodo – wołał kasztelan Brzozowski – toć to jest najprzedniejszy rycerz spod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całym wojsku.

– Witam go też wdzięcznym sercem – rzekł Kisiel – i widzę, że wielkiej to rezolucji musi być kawaler, skoro się do nas przedał.

Po czym do Skrzetuskiego:

– Czego od nas żądasz?

– Abyście mi waszmość panowie iść ze sobą dozwolili.

– Smokowi w paszczkę leziesz... ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzył na niego ze zdziwieniem.

Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

– Powiedzże mi waszmość – rzekł – jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie.

– Nieszczęście, jaśnie wielmożny wojewodo.

– Niepotrzebnie pytał – rzekł Kisiel. – Musiałeś kogoś z bliskich utracić i tam go jedziesz szukać?

– Tak jest.

– Dawnoż to się stało?

– Zeszłej wiosny.

– Jak to?... i waś dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blisko! Cóżeś waszmość dotąd porabiał?

– Biłem się pod wojewodą ruskim.

– Zaliż tak szczerzy pan nie chciał waści permisji udzielić?

– Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrzął na młodego rycerza; po czym nastąpiło milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski.

– Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera, nad którymiśmy niejedną słońą kroplę z oczu uronili; a że wołał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego dobra patrzeć, tym to chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

– Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość, że go nie pożałuję w waścinej sprawie – rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

– Idźże teraz spocznij – mówił łaskawie wojewoda – bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

- Ja go do swojej stacji zabiorę, to mój powinowaty – rzekł łowczy Krzetowski.
- Pójdźmy i my wszyscy na spoczynek; kto wie, czy następnej nocy będziemy spali! – rzekł Brzozowski.
- Może snem wiecznym – zakończył wojewoda.

To rzekłszy udał się do alkierza, przy którego drzwiach czekał już pacholek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swej kwatery, która była o kilka domów dalej. Pacholek z latarką szedł przed nimi.

– Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa – mówił łowczy. – Ej, panie Janie! cośmy za chwile dziś przeżyli... myślałem, że sąd ostateczny blisko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała. Bryszowskiemu ręce ustawały. Jużemy się żegnać zaczęli.

– Byłem między czernią – odrzekł Skrzetuski. – Jutro na wieczór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie stąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

– Zależy to od responsu Chmielnickiego, do którego książę Czetwertyński pojechał. Oto moja stacja... wejdz proszę, panie Janie, kazałem wina zagrać, to się posilimy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. Skrzetuski schwycił z chciwością za szklanice.

– Od wczoraj nie miałem nic w gębie – rzekł.

– Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść, i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie... to ty kniaziówny tam między nimi szukać zamýślasz?

– Albo jej, albo śmierci – odparł rycerz.

– Łatwiej śmierć znajdziesz: skądże wiesz, że kniaziówna tam może być? – pytał dalej łowczy.

– Bom jej gdzie indziej już szukał.

– Gdzie tak?

– Wedle Dniestru aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskimi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwieźć.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy łowczy porwał się za głowę.

– Na Boga! – wykrzyknął – toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit.

Skrzetuski pobałdł.

– Jak to? – rzekł. – Kto to powiadał?

– Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał, ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwie go spytał: „Co słyhać?” – odpowiedział mi, że Bohun zabit. Pytam: „A kto go zabił?” – odpowie: „Ja!” – Na tymesmy się rozjechali.

Płomień, który rozpałił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

– Ten szlachcic – rzekł – rad klimkiem rzuci. Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie byłby on w stanie zabić Bohuna.

– A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie? Bo i to sobie przypominam, że mówił mi, iż do ciebie, do Zamościa jedzie.

– W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisję dogonić, więcem z Kamieńca nie na Zbaraż wracał i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, co jakoby podsłuchiwał w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieźć. Może i to nieprawda, jako i wszystko, co Zagłoba mówił.

– Po cóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł – przez chwilę słyhać było tylko świst i wycie wiatru.

– Bo... – rzekł łowczy przykładając palec do czoła – bo jeśli Bohun nie zabit, to możesz snadnie wpaść mu w ręce.

– Po to ja i jadę, by jego znaleźć – odparł głucho Skrzetuski.

– Jak to?

– Niechże będzie sąd boży między nami.

– Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno po prostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi lub Tatarom zaprzeda.

– Z komisarzami jestem, w ich asystencji.

– Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli, a cóż mówić o asystencji!

– Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

– Bójże się Boga, Janie!... tu nie o śmierć wreszcie chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

– Zali myślisz, panie łowczy, że mi będzie gorzej, niż jest?

– Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie boże nie ufasz.

– Mylisz się, panie łowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić, co do mnie należy, póki mi sił i życia staje.

– Ale cię boleść jako trucizna trawi.

– Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

– Nie mam co rzec na takowy argument – rzekł łowczy – W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra, inaczej zginiemy wszyscy.

Nastała cisza; zza okien tylko dochodziło przeciągłe „werdo” dragońskie.

– Tak, tak – mówił po chwili łowczy. – Wszyscy my więcej do umarłych niż do żywych należymy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczypospolitej, jeno jęczą jako ten wicher w kominie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu wraz z innymi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej... nic więcej.

Skrzetuski milczał; płomień ogniska palącego się w kominie oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem:

– Doczesność to wszystko, która upływa, przemija – i nic się po niej nie zostaje.

– Mówisz jak mnich – rzekł pan łowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

ROZDZIAŁ XVII

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z nimi i pan Skrzetuski, Nowosiółki, ale była to podróż oplakana, w której na każdym postoju, w każdym miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tym właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał tak, iż na wszystkich noclegach wnoszono go na saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak wśród nacisku tłumów, obelg, gróźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia ich godzina nadeszła. Pospółstwo pobiło chorego Bryszowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego – i tylko przybycie metropolity na rozmowę z wojewodą wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić, gdzie się obrócić. Powrót zagroziły im ogromne watahy czekające tylko na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozuczwała się coraz bardziej. Chwytano za lejce koni dragońskich i tamowano drogę; rzucano kamienie, kawały lodu i zmarznęte grudy śniegu do sań wojewody. W Gwozdowej Skrzetuski i Doniec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpedzili kilkaset czerni. Wyjechali znów chorąży nowogrodzki i Śmiarowski z perswazją do Chmielnickiego, by na komisję do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać; tymczasem w Chwastowie musieli komisarze z założonymi rękoma patrzeć na tłumy mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przereźblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami lub obstrugiwano żywcem nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, zanim przyszła na koniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejasławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy sądząc, że skończyła się już ich męka; jakoż przeprowiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejasławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał – *quantum mutatus ab illo!* – jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, esaulami i muzyką wojskową, pod znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią jakby książę udzielny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmiast, on zaś przeskoczywszy do naczelnych sani, w których jechał wojewoda, patrzył czas jakiś w jego sędziwe oblicze; po czym uchylił trochę kołpaka i rzekł:

– Czolem wam, panowie komisary, i tobie, wojewodo! Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mene przisław, tak was wdzięcznym sercem w mojej ziemi przyjmuję...

– Witaj, mości hetmanie! – odrzekł Kisiel. – Król jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

– Za łaskę dziękuję, a sprawiedliwość już ja sam sobie ot tym na waszych szyjach wyrządził – tu uderzył się po szabli – i dalej wyrządź, jeśli mnie nie ukontentujecie.

– Nieuprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporoski, nas, wysłańców królewskich.

– Ne budu howoryty na morozi, będzie na to lepszy czas – odparł szorstko Chmielnicki. – Puszczaj mnie, Kisielu, do swoich sani, bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani. Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

– A ty mnie dawaj prawą rękę!

– Jam senator Rzeczypospolitej!

– A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łykach razem z innymi i jutro, jeśli zechcę, na pal wbić każę!

Rumieńce wystąpiły na blade policzki Kisiela.

– Osobę króla tu przedstawiam!

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie mrucząc:

– Naj korol bude w Warszawie, a ja na Rusi. Nie dość ja, widzę, na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak tego, co go czekało, i słusznie pomyślał w tej chwili, iż jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którym grzmiało dwadzieścia dział i były wszystkie dzwony. Chmielnicki jakby w obawie, by komisarze nie poczuli tych odgłosów za cześć wyłączonej im wyjątkowo, rzekł do wojewody:

– Tak ja nie tylko was, ale i innych posłów przyjmowałem, których do mnie przysłano.

I Chmielnicki mówił prawdę – istotnie bowiem poprzysyłano już do niego jakby do udzielnego księcia poselstwa. Wracając się spod Zamościa pod wrażeniem elekcji i klęsk przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademia witała go „*tamquam Moisem, servatorem, salvatorem, liberatorem populi de servitute lechica et bono omine Bohdan* – od Boga dany” – gdy wreszcie nazwano go „*illustrissimus princeps*” – tedy, wedle słów współczesnych: „podniosła się tym bestia”. Poczul istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu niedostawało.

Poselstwa zagraniczne były milczącym uznaniem zarówno jego potęgi, jak udzielności; stała przyjaźń Tatarów, opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jasyrem; który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił – obiecywała poparcie przeciw każdemu nieprzyjacielowi; dlatego to Chmielnicki, uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę, przekonany o swej sile, o nieładzie Rzeczypospolitej, niedołęstwie jej wodzów, gotów był i na samego króla podnieść rękę marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powrocie dawnych przywilejów Zaporozu, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnym, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporozie stało przy nim, bo nigdy pod nieczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnał się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemie przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad „potomkami Chama” ciążyło, Ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej i dzikiej, i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginął w bożej, nie pańskiej pustyni, gdy zza porohów Sicz wołała na niego: „Kiń pana i chodź na wolę!” – gdy Tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajając oczy jego do pożogi i mordy, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i panów rizały niż grzbiet hardy giąć przed podstarościm?...

A prócz tego lud garnał się do Chmiela, bo kto się nie garnał, w jasyr szedł. W Stambule za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony – trzech, taka była ich mnogość. Więc czerń nie miała wyboru – i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna o owym wodzu, Mojżeszem zwanym: „Oj, szczeb toho Chmila perwsza kula ne mynuła!”

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmieniał się w pustkę i w ruinę, w jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić – ale ów wódz i hetman tego nie widział czy nie chciał widzieć – bo on nigdy nic poza sobą nie widział – i rósł, i tuczył się krwią, ogniem, we własnym potwornym samolubstwie utopił własny lud, własny kraj – i oto wwoził teraz komisarzy do Perejasławia przy huku dział i biciu we dzwony, jak udzielny pan gospodar, kniaź.

Jechali do jaskini lwa zwiesiwszy głowy komisarze i resztki nadziei w nich gasły, a tymczasem Skrzetuski jadąc poza długim szeregiem sani pilno rozpatrywał twarze pułkowników przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezowocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahorlik, od dawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna i wyzwania go na walkę śmiertelną. Wiedział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić lub Tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszył: znał jego męstwo i szaloną odwagę i prawie był pewien, że mając wybór, Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał sobie w swej rozdartej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna zwiąże, że na wypadek swej śmierci pozwoli Helenie odjechać. O sobie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: „Jeśli zginę, tak ona ni dla mnie, ni dla ciebie” – gotów był i na to pozwolić i poprząsić ze swej strony, byle ją z wrażeń rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę żywota spokoju, on by go naprzód w wojnie, a potem, jeśliby polec nie przyszło, również pod habitem poszukał, tak jak go po prostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w naddniestrzańskich komyszach zawiodły... droga ta wydała się i jedyną. Tym celem, znad Dniestru jednym tchem, nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleźć niechybnie Bohuna, tym bardziej że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze z dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jako Dziedziałę, którego w Czehrynie widywał, jako Jaszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jako Jarosza, dawnego księcia setnika, i Naokołopalca, i Hruszę, i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

– To my dawni znajomi – rzekł zbliżając się do Jaszewskiego.

– Ja ciebie w Łubniach znał, ty kniazia Jaremy łycar – odpowiedział pułkownik. – My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

– Zdrow.

– Na wiosnę nie będzie on zdrow. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohybel.

– Komu Bóg przysądzi.

– No, Bóg na naszego bat'ka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg, nie wróci. U Chmielnickiego bohato mołojców – a u kniazia co? Szczery on żołnir – ale i nasz bat'ko Chmielnicki szczery żołnir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

– Z komisarzami jadę.

– No, ja rad, że ty stary znajomy.

– Jeśliś ty rad, tak ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

– Jaką przysługę?

– Powiedz ty mi, gdzie jest Bohun, ten sławny ataman, dawniej z perejasławskiego pułku, któren dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

– Milcz! – odpowiedział groźnie Jaszewski. – Szczęście twoje, że my starzy znajomi i że ja pił z tobą, bo inaczej już by ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrział na niego zdumiony, ale jako był człowiek prędkiej rezolucji, więc buławę w rękę ścisnął.

– Czyś oszalał?

– Nie oszalał ja ani ci nie chcę grozić, jeno taki jest rozkaz Chmiela, iż jeśliby ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał – żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dlatego ostrzegam cię z życzliwości.

– Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

– No, wszystko jedno. Chmiel rzekł nam, pułkownikom, i kazał innym powtórzyć: „Choćby który o drwa do pieca albo o potaż pytał, ubić go.” Ty to powtóż swoim.

– Dziękując za dobrą radę – rzekł Skrzetuski.

– Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego Lacha pierwszy by rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roiły się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i brył śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzów ściskając pięście lub głównie szabel.

Skrzetuski, sformowawszy w czwórki dragonów, podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów; w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześcijańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył, dokonać i nie utonąć po pierwszym kroku w tym morzu nienawiści.

ROZDZIAŁ XVIII

Następnego dnia długie były rozmowy komisarzy między sobą: czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopóki by większej pokory i jakowejś skruchy nie okazał. Stało na tym, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską, zapowiedziano więc wręczenie darów – i nazajutrz dzień odbył się ów akt uroczysty. Od rana były dzwony i grzmiąły działa. Chmielnicki czekał przed swym dworcem wśród pułkowników, wszystkiej starszyny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród widział, jaką to go czcią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem, na podniesieniu, w altembasowym, czerwonym, sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich, i wzięwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą frędzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacja ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalzonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i w ogóle Lachów, którzy aż do jego czasów byli okryci urokiem niezwykłości. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił – olbrzymie jego ramiona zdradzały zawsze siłę zdolną przewracać państwa lub tworzyć nowe, ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zuchwałą pewność, którą jej dały zwycięstwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy i poznałeś łącno, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich strasliwym tchnieniem jak las pod burzą. Z oczu okolonych czerwoną obwódką strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nozdrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary jak dwa słupy dymu z nozdrzy Lucypera – i w tej mgłę własnych płuc siedział cały purpurowy, posepny, dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając naokół morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarzy. Na czele szli dobosze bijący w kotły oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętymi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie żalonne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzeczypospolitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej poduszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem – a dalej Kisiel szedł samotnie, wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że spoza podartego łachmana układów, spod pozorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia, inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: „Nie idziesz ty, Kisielu, łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić; ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz pieszo do nóg tego chłopskiego wodza w imieniu całej Rzeczypospolitej, ty, senator i wojewoda...” Więc rozdierała się dusza w panu z Brusilowa i czuł się tak lichym jak robak i tak niskim jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: „Lepiej nam nie żyć niż żyć w niewoli u chłopstwa i pogaństwa.” Czymże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniazem z Lubniów, który nie inaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu? Czymże on był? Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca i czuł, że wolałby stokroć umrzeć niż krok jeszcze jeden postąpić; ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów...

Chmielnicki czekał na niego, wsparty pod boki, z wydętymi ustami i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się na koniec. Kisiel, wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze przestali bębnić, trębacze trąbić – i nastąpiła wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną chorągiew niesioną przez pana Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacji, nie liczącej się z nikim i z nikim:

– Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć, co się dzieje; komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu wyprostowany, blade, z iskrzącymi oczyma i gołą szablą w ręku i na wół zwrócony ku dragonom powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

– Za mną!..

Wśród ciszy kopyta końskie zakołatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył z wolna na powrót ku domostwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego; nikt jednak dobrze nie wiedział, czy to oddalenie się nagle eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel rozumiał wszystko, rozumiał, że i traktaty, i życie komisarzy wraz z eskortą zawisło w tej chwili na włosku, więc wstał na podniesienie i nim Chmielnicki zdołał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę.

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporozu, ale wnet mowa jego została przerwana nowym zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę i rzucać się, i krzyżeć:

– Co tam mówisz, Kisielu! Król – jako król, ale wy, królowie, kniaziowie, szlachta, nabroiliście mnogo. I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odszczepiłeś się od nas, a z Lachy przestajesz. Dostyc nam twego gadania, bo szablą dostaniem, czego nam trzeba.

Wojewoda spojrzął ze zgorzaniem w oczy Chmielnickiego.

– W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników?

– Milcz, Dziedziała! – zawołał hetman.

– Milcz, milcz! Upił się, choć rano! – powtórzyli inni pułkownicy. – Poszedł precz, bo za łeb wyciągniem!

Dziedziała chciał dłużej huczeć, ale istotnie schwymano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkimi i wybornymi słowy pokazując Chmielnickiemu, jak wielkie bierze upominki – bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król, mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał – i dlatego, że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszywszy, wdzięcznym się teraz za łaskę i klemencję okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnicki przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinąć nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyla radosnymi głosami, tak że przez chwilę nic nie było słychać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który poczekawszy chwilę rzekł:

– Za tak wielką łaskę, którą mi król jegomości przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał, i przeszłe moje przestępstwa przebacza, unieźlenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam, nieszczerym dukom i królowietom, trzyma, a najlepszy dowód, że kontencję mnie przysyła za to, że ja wam szyje ucinał – tak i dalej będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkim nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, łając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynął w nim wzbierać, a komisarze zdrtwieli na tak niespodziany obrót jego odpowiedzi. Kisiel zaś rzekł:

– Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

– Krew nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko – odparł szorstko hetman – bo mam wiadomość, że mi Radziwiłł mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi, dosyc mam waszych jeńców, i znacznych, wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisja trudno się teraz ma zacząć i odprawować, bo wojska w kupie nie masz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach; bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą, po co gadać dłużej na mrozie? Co wy mnie mieli oddać, to oddali, i wszyscy to widzieli, że już ja hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na gorzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i pułkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół uginający się pod srebrem zdobyczym, między którym wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane zeszłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego piławu, w całej zaś izbie pachniała wódka prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiel, po lewej kasztelana Brzozowskiego, i ukazawszy ręką na gorzałkę, rzekł:

– W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtą psom zostawiając.

Pułkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to „antypast” dał komisarzom hetman przed swym obiadem, a komisarze połknęli go nic nie mówiąc, żeby – jak pisał podkomorzy lwowski – „bestii nie drażnić”.

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiel.

Ale rozpoczął się poczęstunek. Pułkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasyczał. W ciszy słychać było tylko chrupotanie i trzask kości w zębach biesiadników lub grzdykanie pijących; czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa. Dopiero pierwszy Chmielnicki podjadłszy i wychyliwszy kilka szklenic prośniarki zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

– Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

– Skrzetuski, zacny kawaler! – rzekł.

– Ja jeho znaju – rzekł. – A czemu to on nie chciał być przy tym, jak wy mnie dary wręczali?

– Bo nie dla asysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa, i taki miał rozkaz.

– A kto jemu dał taki rozkaz?

– Ja – odparł wojewoda – bom nie myślał, aby to przystojnie było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

– A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Jaszewski.

– Już my się dragonów nie boimo – rzekł. – Silni nam nimi byli Lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Tatarzy i Niemce...

– Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmielcecy i Koniecpolscy – przerwał Chmielnicki – ale Tchorzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu, skoro nas ujrzeni, i pouciekali, choć Tatar więcej nie było zrazu we środe, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

– Pokornie proszę, jedzcie i pijcie – rzekł Chmielnicki – bo będę myślał, że nasza prosta stawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

– Jeśli mają za ciasne, tak może by im poprzerynąć! – zawołał Dziedziała.

Pułkownicy, podochoceni już mocno, wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrział groźnie i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, blade był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Na koniec nie wytrzymał i huknął:

– Zaliśmy tu na obiad czy na zniewagi przyszli?

Na to Chmielnicki:

– Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litewskie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyje uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnięcia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze łagodzić jego wybuchy, by go *ad mitiorem et saniozem mentem* doprowadzić.

W tym duchu karmelita Łętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

– Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale zaledwie skończył, Fedor Wieśniak, pułkownik czerkaski, przechylił się i buławą machnął chcąc karmelitę w kark grzmotnąć; na szczęście nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

– Mowczy, pope! ne twoje diło brechniu meni zadawaty! Chody-no na dwir, nauczu ja tebe pułkowników zaporoskich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za łeb z izby.

– Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisja zebrała? – pytał Kisiel chcąc inny nadać zwrot rozmowie.

Na nieszczęście i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

– Jutro sprawa i rozprawa będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisji prawicie, zjeść i wypić nie dajecie! Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). W tych czterech niedzielach wszystkich was do góry nogami przewrócę i podepczę, a na ostatek carzowi tureckiemu zaprzędam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki i kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję; zhreszy Kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi Szwedami, ale i oni mi nie zderzą. Tuhaj-bej na hawrani blisko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokół na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki z właściwą pijanym nagłością przeszedł od gniewu do rozczulenia i aż głos zadrgał mu od łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhaj-beja.

– Wy chcecie, żeby ja na Turki i Tatarzy szablę podniósł, ale nic z tego! Na was ja pójdę z dobrymi druhami moimi. Jużem pułki obesał, aby mołojcy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armaty; znajdę ja u Lachów to wszystko. Kto by z Kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać, i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy – i tak dojdę aż do Wisły i powiem: „Sedyte i mowczyte, Lachy!” A będziecie z Zawisła krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przekłete, samą nieprawdą żyjące!

Tu zerwał się z miejsca, rzucał od ławy, za czuprynę rwał, nogami bił w ziemię krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisji i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Na koniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w ziemie, zatem w porze, gdy Kozacy, nie mogąc się okopać, licho biją się w otwartym polu, uspokoił się nieco i znów siadł na ławie. Głowę opuścił na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Na koniec znów porwał za szklankę wódki.

– Za zdrowie króla jegomości! – wykrzyknął.

– Na sławu i zdrowie! – powtórzyli pułkownicy.

– No! ty, Kisielu, nie sumuj – mówił hetman – i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być... ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisja, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

– Dziękuję ci, hetmanie zaporoski – rzekł Kisiel.

– Ty mój gość, ja o tym pamiętam.

To rzekłszy Chmielnicki znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego bladych, wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni pułkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy ściskali się z nimi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: „Do pierwszej trawy!” Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy przesycone zapachem gorzałki oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne jak zniewagi. Nie brakło też i grózb wśród objawów grubiańskiej serdeczności. Jedni wołali do wojewody: „My Lachiw chcemo rizaty, a ty nasz czołowik!” – inni mówili: „A co wy, pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosicie! Na pohybel-że wam, białoruczkom!” Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzychał: „Ja kniazia Czetwertyńskoho, moho pana, zarizaw!” – „Wydajcie nam Jaremu – wołał taczając się Jaszewski – a darujemy was zdrowiem!”

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół, pokryty resztkami mięsiva, okrucami chleba, poplamiony wódką i miodem był ohydny. Weszły na koniec worożychy, to jest czarownice, z którymi hetman zwykle do późna w noc dopijał słuchając przepowiedni: dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziaren pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna flaszki lub z tłuszczu ludzkiego. Wnet między pułkownikami a młodszymi z nich rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był bliski omdlenia.

– Dziękujemy ci, hetmanie, za ucztę i żegnamy cię – rzekł słabym głosem.

– Ja jutro do ciebie, Kisielu, na obiad przyjadę – odpowiedział Chmielnicki – a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

– Boże! Boże! Boże! – szepnął z cicha Kisiel przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domostwu komisarzy.

Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyślnie powyznaczał im kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli się łatwo schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel, zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychmiast położył się do łóżka i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem kazał przywołać Skrzetuskiego.

– Coś waćpan uczynił najlepszego? – rzekł do niego – coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

– Jaśnie wielmożny wojewodo, *mea culpa!* – odrzekł rycerz – ale mnie *delirium* porwało i wołałem sto razy zginąć niż na takie rzeczy patrzeć.

– Chmielnicki poznał się na kontempcie. Zaledwem *efferatam bestiam* uspokoił i postępek twój wytłumaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewno ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz ode mnie, byś żołnierstwo odprowadził.

– Od dziś Bryszowski komendę bierze, bo zdrowszy.

– To i lepiej, za twardey masz waść kark na czasy dzisiejsze. Trudno nam co innego ganić w takowym postępku jak nieostrożność, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

– Do boleścim nawykł, jaśnie wielmożny wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknął z cicha, tak właśnie, jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, po czym uśmiechnął się ze smutną rezygnacją i rzekł:

– Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, które dawniej łzami gorzkimi oblewałem spożywając, a teraz już mi i łez nie stało.

Litość wezbrała w sercu Skrzetuskiego na widok tego starca z twarzą męczennika, którego ostatnie dni życia pędził w podwójnym, bo duszy i ciała cierpieniu.

– Jaśnie wielmożny wojewodo! – rzekł – Bóg mi świadek, zem jeno o czasiech tych strasznych myślał, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pal powinien być jedyną za postęпки zapłatą.

– Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy i wiem, że nie miałeś złej intencji. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za nim wojsko, szlachta, sejmy, pół Rzeczypospolitej – i całe to brzemie wzgardy i nienawiści spada na mnie.

– Każdy służy ojczyźnie, jak rozumie; niechże Bóg sędzi intencje, a co się tyczy księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majątnością służy.

– I chwala go otacza, i w niej jako w słońcu chodzi – odrzekł wojewoda. – Tymczasem cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sędzi intencje i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę...

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś tak mówić począł:

– Jam Rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Światodyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją i ten lud boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy z obu stron, widziałem swawolę dziką Zaporozża, ale i pychę nieznośną tych, którzy ten lud wojenny schłopić chcieli – cóżem więc miał uczynić ja, Rusin a zarazem

wierny syn i senator tej Rzeczypospolitej? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: *Pax vobiscum!*, bo tak kazała mi krew, serce, bo między nimi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prymas, i wielu innych; bom widział, że dla obu stron rozbrat – to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia dla zgody pracować – i gdy się krew już połała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem, i pracowałem, i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce i w hańbie, i w zwątpieniu, prawie od wszystkiego straszniejszym. Bo, na miły Bóg! nie wiem teraz, czy wasz książę przyszedł z mieczem za wcześnie, czym ja z gałęzią oliwną za późno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sił nie staję, że na próżno siwą głową o mur tłukę i że schodząc do grobu widzę jeno ciemności przed sobą – i zgubę, o Boże wielki – zgubę powszechną!

– Bóg ześle ratunek.

– O, niechże ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpacz!... to jeszcze za wszystkie boleści mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, za to, że czerń woła o głowę moją, a na sejmach zdrając mnie nazywają, za moje mienie zagrabione, za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał!

To rzekłszy wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu i dwie łyzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać, ale rzuciwszy się na kolana przed wojewodą chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

– Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zasłudze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy ten szlachcic i rycerz spod chorągwi Wiśniowieckiego przycisnął do ust rękę tego człowieka, którego kilka miesięcy temu razem z innymi zdrającą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

– Synu mój – rzekł cicho – niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

* * *

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na obiad do wojewody i w najgorszym usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisji na Zielone Świątki i o wypuszczeniu jeńców na komisję, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził go, uspokajał, przekładał, racje dawał, ale była to – wedle słów podkomorzego lwowskiego – *surdo tyranno fabula dicta*. Poczynał też sobie hetman tak po grubiańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko, że mu się nie w porę pokazał, mimo tego że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był bliskim.

Nie pomagały ludzkość i ochota ani perswazje wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wyborym miodem huszczańskim podchmielił, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: „Mamy pić, to pijmy – zajutro sprawa i rozprawa! A nie, to sobie pójdę!” O godzinie trzeciej w nocy napał się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnymi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim nie miało miejsca jakie zajście, które by dla porucznika zgubnym być mogło. Chmielnicki jednak postawił na swoim i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

– Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął doń przyjaźnie rękę.

– Bom chory – odrzekł skłoniwszy się porucznik.

– Ty i wczoraj odjechał. Za nic mi była bez ciebie ochota.

– Taki miał rozkaz – wtrącił Kisiel.

– Już ty mnie, wojewodo, nie gadaj. Znaję ja joho – i wiem, że on nie chciał patrzeć, jak wy mnie cześć wyrządzali. Oj, ptak to! Ale co by innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miłuję, on mój druh serdeczny.

Kisiel otworzył oczy szeroko ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się nagle do Skrzetuskiego:

– A ty wiesz, za co ja ciebie miłuję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

– Myślisz, że za to, że ty postronek nad Omelniczkiem przeciął, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ścigali? Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścien z prochem z grobu Chrysta. Ale ty, rogata dusza, mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy ty był w moich rękach – no, ja ciebie i tak puścił – i kwita. Nie za to cię teraz miłuję. Inną ty mnie przysługę oddał, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrzął z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

– Widzisz, jak się dziwią – rzekł jakby do kogoś czwartego hetman. – To ja tobie przypomnę, co mnie w Czehrynie powiadali, gdym tam z Bazawłuku z Tuhaj-bejem przyszedł. Pytałem ja sam wszędy o niedruha mojego Czaplńskiego, którego nie znalazł – ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszym pierwszym spotkaniu, że ty jego za łeb i za hajdawery ułapił i drzwi nim wybił, i okrwawił jak sobakę – ha!

– Istotnie, to uczyniłem – rzekł Skrzetuski.

– Oj, sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił! No, ja jego jeszcze dostanę – inaczej za nic traktaty i komisja – ja go jeszcze dostanę i poigram z nim po mojemu – ale i ty jemu dał pieprzu.

To rzekłszy hetman zwrócił się do Kisiela i na nowo ją opowiadać:

– Za łeb go złapał i za pludry, podniósł jak liszkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozlegało się po alkierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

– Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wypić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetuskim, wypił – aż mu się z czupryny zadymiło, zaśmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serce i zwróciwszy się do porucznika zakrzyknął:

– Proś mnie, o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego; nastąpiła chwila milczenia.

– Nie bój się – rzekł Chmielnicki. – Słowo nie dym; proś, o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki nawet pijany był zawsze sobą.

– Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie, korzystać, tedy sprawiedliwości od ciebie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

– Szyję mu urezać! – przerwał z wybuchem Chmielnicki.

– Nie o to chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

– Szyję mu urezać! – powtórzył hetman. – Kto to taki?

– Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, po czym uderzył się dłonią w czoło.

– Bohun? – rzekł. – Bohun zabit. Meni korol pysaw, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił!

– A co tobie Bohun uczynił? – pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziównie wobec półpijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

– Jest to rzecz poważna – rzekł – o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją nie wiadomo gdzie.

– Tak ty jej szukaj – rzekł Chmielnicki.

– Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył, alem nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd i sam na ślub chciał zjechać. Dajże mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

– Ty mój druh, ty Czaplńskiego rozbił... Ja tobie dam nie tylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał, i piernacz ci dam na przejazd, i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo nie dym!

To rzekłszy uchylił drzwi i na Wyhowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziąta przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by w dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych chat polskich.

Nazajutrz dzień Skrzetuski opuścił Perejasław.

ROZDZIAŁ XIX

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to niemniej nudził się i Wołodyjowski, któren za wojną i przygodami szczególnie tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły od czasu do czasu ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali, ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tegiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów – mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn codziennie nalegał pan Michał na Zagłobę, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

– Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył – mówił Wołodyjowski. – Trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba nie bardzo się upierał, bo – jak utrzymywał – murszał w Zbarażu z ostatkiem i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłoczył spodziewając się, że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

– Mężny on jest, ale i roztropny – odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego – czekajmy jeszcze parę dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycja niepotrzebna.

Pan Wołodyjowski uznawał słuszość argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas włócił się coraz wolniej. Przy końcu grudnia mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jedyną rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto obijały się o szare mury zbarskie.

Rozprawiano więc o koronacji i o sejmie, i o tym, czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkimi innymi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że wobec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego powodu kilka pojedynków – pan Zagłoba kilka pijatyk – i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nie tylko dotrzymywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydził się nawet chodzić i między łyczków na chrzciny, wesela, chwając sobie szczególnie ich miody, którymi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi niskiej kondycji, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takich przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać to za złe w czasie posepnych dni zimowych, wśród niepewności, nudy i oczekiwania.

Z wolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz liczniej ściągać do Zbaraża, z czego przepowiadano na wiosnę wojnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innymi z chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbipięta. Ten przywiózł wieści o niełasce, w jakiej książę u dworu zostawał, i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym – wedle powszechnego głosu – Kisiel na województwo miał nastąpić, a na koniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbipięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcjami, aby wszelkie możliwe Kozakom poczynić ustępstwa. Relację tę pana Podbipięty rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konfederację zawiązać, gdyż jak mówił, nie chciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął cały luty i marzec dobiegał połowy, a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodyjowski tym bardziej począł nalegać na wyjazd.

– Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego – mówił – szukać nam wypada.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszość odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył Kozak Zachar z listem adresowanym do Wołodyjowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał, co następuje:

„Nad Dniestrem aż do Jahorliku nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukryta w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z którymi do Perejasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czym mi sam metropolita sekunduje. Siła tu naszych ukrytych u mieszczan i po monasterach, ale ci dla bojaźni czerni nie dają wiedzieć o sobie, dlatego szukać trudno. Bóg mnie prowadził i nie tylko ochronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natchnął, mam przeto nadzieję, że mi i dalej pomoże i zmiłuje się nade mną. Księża Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencję, Skrzetuski.”

– Chwałaż bądź Bogu Przedwiecznemu! – wykrzyknął Wołodyjowski.

– Jest jeszcze *postscriptum* – rzekł Zagłoba zaglądając przez ramię pana Michała.

– Prawda! – rzekł mały rycerz i czytał dalej:

„Oddawca tego listu, esauł mirhorodzkiego kurzenia, miał mnie w poczciwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem, i teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął z narażeniem zdrowia; miej go, Michale, w staraniu, aby mu niczego nie brakło.”

– Oto uczciwy Kozak, przynajmniej jeden taki! – rzekł Zagłoba, podając Zacharowi rękę.

Stary uścisnął ją bez uniżoności.

– Możesz być pewien nagrody! – wtrącił mały rycerz.

– On sokoł – odparł Kozak – ja joho lublu, ja ne dla hroszi tutki prziszow.

– I fantazji ci, widzę, nie braknie, której by się szlachcic niejeden nie powstydział – mówił Zagłoba. – Nie same bestie między wami, nie same bestie! Ale mniejsza z tym! To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie?

– Tak, jest.

– A bezpieczen, bo to, słyszę, czerń tam hula?

– On u Dońca pułkownika mieszka. Jemu nic nie uczynią, bo nasz bat’ko Chmielnicki kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować jak oka w głowie.

– Cuda prawdziwe się dzieją... Skądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

– On jego z dawna miłuje.

– A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

– Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jemu druh... Ja szukał z nim razem i osobno, tak musiał wiedzieć, czego mnie szukać.

– Aleście dotąd nie znaleźli?

– Nie znaleźliśmy. Co tam Lachiw jeszcze jest, to się kryją, jeden o drugim nie wie, tak i znaleźć niełatwo. Wy słyszeli, że tam czerń morduje, a ja to widział; nie tylko Lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monasterze Dobrego Mikołaja u czernic było dwanaście Laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni to się skrzykną po ulicach i łowią, i do Dniepru prowadzą... Hej! co tam już wytopili...

– To może i ją zamordowali?

– Może i ją.

– Ale nie! – przerwał Wołodyjowski. – Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

– Gdzie bezpieczniej jak w monasterze, a dlatego i tam znajdują.

– Uf! – rzekł Zagłoba. – Tak wy myślicie, Zachar, że ona mogła zginąć?

– Ne znaju.

– Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli – rzekł Zagłoba. – Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. A wyście, Zachar, dawno wyjechali z Kijowa?

– Oj, dawno, pane. Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Bahaćko Lachiw chciało z nimi uciekać i tak uciekali nieszczęsnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wertepach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a Kozacy gnali za nimi i bili. Bahato utikło, bahato zabyły, a niektórych pan Kisiel wykupił za wszystkie hroszy, jakie miał.

– O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali.

– Z komisarzami aż do Huszczy, a stamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

– To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

– W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem i polubił jak detynu ridnuju. Ja stary i mnie nie ma kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pachółka, kazał podać miodu i mięsiwa i zasiedli do wieczerzy. Zachar jadł smaczno, bo był zdżony i głodny; następnie zanurzył chciwie siwe wasy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

– Sławny miód.

– Lepszy jak krew, którą pijecie – rzekł Zagłoba. – Ale tak myślę, że wy uczciwy człek i pana Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostanieie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zachar podniósł głowę.

– Ja pyśmo widdaw, tak i pójdę; ja Kozak – mnie z Kozakami, nie z Lachami się bratać.

– I będziecie nas bili?

– A budu. Ja siczowy Kozak. My sobie Chmielnickiego bat’ka hetmanem obrali, a teraz korol jemu buławę i chorągiew przysłał.

– Ot, masz! panie Michale – rzekł Zagłoba – nie mówiłem, żeby protestować?

– A z jakiego wy kurzenia?

– Z mirhorodzkiego, ale jego już nie ma.

– A co się z nim stało?

– Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą Wodą starli. Teraz ja u Dońca z tymi, co zostali. Pan Czarniecki szczerzy żołnir, on u nas w niewoli, o niego komisarze prosili.

– Mamy i my waszych jeńców.

– Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy mołojec u Lachiw w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

– Kto taki?

– Oj, sławny ataman: Bohun.

– Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

– A kto jego ubił?

– Ten oto kawaler – odrzekł Zagłoba ukazując na Wołodyjowskiego.

Zacharowi, który w tej chwili przechylał drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz spąsowiała, na koniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

– Ten łycar Bohuna ubił? – pytał krztusząc się ze śmiechu.

– Co, u starego diabła! – wykrzyknął marszcząc brwi Wołodyjowski. – Za dużo sobie ten posłaniec pozwala.

– Nie gniewaj się, panie Michale – przerwał Zagłoba. – Pocciwy to widać człowiek, a że się na polityce nie zna, to od tego on Kozak. Z drugiej strony, tym większa dla waćpana chwała, że wyglądając tak niepocześnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamiętasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie chciało, żeby taki chłystek...

– Dajże waćpan pokój! – burknął Wołodyjowski.

– Nie jam twym ojcem, nie miejże do mnie rankoru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna, i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majątność całą ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małym ciecie. I książę niewiele większy od ciebie, a dlatego Aleksander Macedoński niewart być jego giermkim.

– Ale bo co mnie gniewa – rzekł udobruchany nieco Wołodyjowski – to właśnie to, że z tego listu Skrzetuskiego nic pomyślnego nie widać. Że on sam nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu, ale kniaziówny dotąd nie znalazł i któż zaręczy, czy ją znajdzie?

– Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle siდეł przeprowadził, gdy i Chmielnickiego zakamieniałe serce afektem dziwnym dla niego natchnął, to juści nie po to, żeby od męki i żalości na schab wysechł. Jeżeli w tym wszystkim nie widzisz, panie Michale, ręki Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli, jakoż i słuszna to jest, że nikt nie może wszystkich przymiotów naraz posiadać.

– Widzę to jedno – odparł ruszając wąsikami Wołodyjowski – że my nie mamy nic tam do roboty i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

– Prędzej ja sparcieję jak ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje, i słonina jęlczeje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Niemałom się ja namartwił o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna i pewnie bym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek podobna, ale ja ją i bez tego miłuję; i nie widziałbyś mnie ani wesołym, ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy. Od jutra układam *epithalamium*, bo bardzo piękne wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina dla Marsa zaniedbał.

– Co tu i mówić teraz o Marsie! – odrzekł Wołodyjowski. – Niech kaduk porwie tego zdrajcę Kisiela, wszystkich komisarzów i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią jako dwa a dwa cztery. Pan Podbipięta, który się z księciem widział, też to mówił.

– Pan Podbipięta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za oną dzierlatką wietrzył niż za wszystkim innym i warował do niej niby pies do kuropatwy. Dałby Bóg, żeby mu kto inny ją ustrzelił, ale mniejsza z tym. Nie neguję ci, że Kisiel zdrajca, bo o tym cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do Kozaka:

– A co tam u was, Zachar, mówią: będzie-li pokój czy wojna?

– Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohybel albo nam, albo Lachiwczykam.

– Pociesze się, panie Michale; słyszałem i ja, że się czerń wszędy armuje.

– Bude taka wijna, jakoi ne buwało – rzekł Zachar. – U nas mówią, że i sułtan turecki przyjdzie, i chan ze wszystkimi ordami, a nasz druh Tuhaj-bej na hawrani blisko stoi i wcale do dom nie poszedł.

– Pociesze się, panie Michale – powtórzył Zagłoba. – Jest też proroctwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie; już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzeć jak mietle od ciągłego zamiatania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napatrzysz i poznasz, jakieśmy to za dawnych, lepszych czasów wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie, którzy za dawnych lat bywali, i ty już nie taki jesteś, panie Michale, chociażeś sierdzisty żołnierz i choć Bohuna usiekłeś.

– Sprawedywe każete, pane – rzekł Zachar. – Ne cii teper lude, szczo buwały...

Po czym począł na Wołodyjowskiego spoglądać i głową trząść:
– Ale szczyby cija lycar Bohuna ubyw, no! no!...

ROZDZIAŁ XX

Stary Zachar odjechał na powrót do Kijowa po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przyszła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnym prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać *armisticium* aż do Zielonych Świątek ruskich, po których miała rozpocząć się nowa komisja z pełną mocą do traktatów. Jednakże wymagania i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzeczpospolita zgodzić się na nie mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrojenia. Chmielnicki słał posła za posłem do chana, by na czele wszystkich sił spieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczyński; w Rzeczypospolitej spodziewano się lada chwila wici na pospolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mianowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostrogo, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnym usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać. Nie tylko żołnierze książęcy, nie tylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimentarzy oburzali się na takowy wybór i niełaskę, twierdząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki była nadzieja traktatów, miało swoją rację polityczną, to usuwanie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jak najwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnym. Chmielnicki kazał wprawdzie ściąć kilku pułkowników, którzy wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować mas czerni i licznych luźnych watah, które o *armisticium* lub nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa. Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tym samym wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane zapędzając się w pościgu za zbrojcami przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się i w głąb województwa braclawskiego, a tam, napadane przez kozactwo, staczały z nim formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Stąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony nie wyruszali w pole – ale wojna rozgorzała już faktycznie, zanim główne siły zerwały się do walki i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie, miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką.

Zapuszczały się pod Zbaraż watahy spod Baru, Chmielnika, Machnowki, ścinając, grabiąc, paląc. Te gromił Jeremi rękoma swych pułkowników, bo sam udziału w owej drobnej wojnie nie brał chcąc wtedy dopiero z całą dywizją ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płaciły, palem za grabież i mordy. Poszedł między innymi pan Longinus Podbipięta i pogromił pod Czarnym Ostrowiem, ale był to rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanymi z bronią w ręku obchodził się zbyt łagodnie, i dlatego więcej go nie posyłało. Szczególniej jednak odznaczał się w podobnych ekspedycjach pan Wołodyjowski, który jako partyzant w jednym chyba Wierszulle mógł znaleźć współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zejść tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozproszyć na cztery wiatry, wyłowić, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach, a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy, i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały diabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ekspedycjach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanię, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją bezczynność tłumaczył:

– Za wielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przy tym każdy do czego innego się godzi. Z usarzami na gęstwę nieprzyjaciela przy białym dniu uderzyć, tabory łamać, chorągwie brać – to moja rzecz,

do tego mnie Pan Bóg stworzył i usposobił; ale pościg nocą w chrustach za hultajstwem – tobie zostawuję, któryś jest misterny jako igła i łatwiej się wszędy przecisniesz. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić jak ogar po chaszczach Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam i sam zwyciężał, aż pewnego razu wyjechał pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja tak strapiiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymarował. Tak nawet zdawało się wszystkim, ale było to mylne mniemanie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycji doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostróg, pod Hołownię, i tam pogromił nie zwyczajną watahę, złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział Zaporozców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tym dziwniejszy był więc głęboki smutek niby mgłą pokrywający jego wesołe z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł i zaledwie z konia zsiadłszy udał się na długą rozmowę do księcia w towarzystwie dwóch nieznanych rycerzy, a następnie wraz z nimi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawił nowin za rękawy po drodze chwytały.

Pan Zagłoba z pewnym zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przedtem w życiu nie widział, a których strój ze złotymi pętelkami na ramionach okazywał, że w wojsku litewskim służą, Wołodyjowski zaś rzekł:

– Zamknij waszność drzwi i nie każ nikogo puszczać, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, po czym jął patrzeć niespokojnie na przybyłych, miarkując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

– To są – rzekł Wołodyjowski ukazując na młodzieńców – kniazie Bułyhowie-Kurcewicz: Jur i Andrzej.

– Stryjeczni Heleny! – zakrzyknął Zagłoba.

Kniazio wie skłonili się i odrzekli obaj na raz:

– Stryjeczni nieboszczki Heleny...

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili bladoniebieska; rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

– Jak to?...

– Są wiadomości – odpowiedział posepnie Wołodyjowski – że kniaziożna w monasterze Dobrego Mikoły została zamordowana.

– Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście panien i kilkanaście czernic, między którymi była siostra nasza – dodał kniaz Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina, poczerwieniła mu tak, że obecni zlékli się, aby go krew nie zalała; z wolna powieki opadły mu na oczy, po czym zakrył je rękoma, a z ust wyrwał mu się nowy jęk:

– Świecie! świecie! świecie!

Po czym umilkł i trwał w milczeniu.

A kniazio wie i Wołodyjowski biadać poczęli:

– Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli – mówił wzdychając raz po raz młody rycerz – ale znać, spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od tego lichego świecie przebywasz, u Królowej Niebieskiej we fraucymerze...

– Siostro! – wołał olbrzymi Jur, którego żal na nowo pochwycił za włosy – ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi wiadro wylejemy.

– Tak nam dopomóż Bóg! – dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągali groźnie do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się jak pijany i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

– Nie ma jej już, nie ma! – rzekł znowu Wołodyjowski. – Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawując łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubym ciałem Zagłoby i trzęsło nim, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się. Myśleli nawet, że może, bólem zmożony, usnął na klęczkach, ale on po jakimś czasie wstał i usiadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i mgłą zaszele, głowę spuszczoną, dolna warga zwisała mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęstwo i jakaś niebywała zgrzybiałość – tak że mogło naprawdę się zdawać, iż ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pełen fantazji, umarł, a został tylko starzec wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem mimo protestacji pilnującego drzwi pacholika wszedł pan Podbipięta i na nowo rozpoczęły się żale i narzekania. Litwin wspominał Rozłogi i pierwsze widzenie się z kniaziożną, jej słodycz, młodość i urodę; wreszcie wspominał, że jest ktoś nieszczęśliwszy od nich wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrzetuski, i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

– Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał, i leży chory, o świecie bożym nie wiedząc – rzekł pan Wołodyjowski.

– Zali nie trzeba, abyśmy do niego jechali? – pytał Litwin.

– Nie ma tam po co jechać – odparł Wołodyjowski. – Medyk książęcy zaręcza za jego zdrowie; jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest i nasz stary Zaćwilichowski; obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczym mu nie zbywa, a to, że go *delirium* nie opuszcza, to dla niego lepiej.

– O mocny Boże! – rzekł Litwin. – Widziałeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

– Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

– A on poznał waćpana?

– Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głową kiwnął, a mnie taka żałość porwała, że dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce tu iść do Zbaraża z chorągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to sprowadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

– A skądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny? – pytał dalej pan Longinus. – Czy nie ci kawalerowie je przywieźli? – dodał wskazując na kniaziów.

– Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkim dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody wileńskiego, i tu ze mną przyszli, bo i do naszego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisji już nic nie będzie.

– To już i my to wiemy, ale powiedz mi waćpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

– Mówił mnie Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki permisję, żeby w Kijowie szukał, i sam metropolita miał mu pomagać. Szukali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun kniaziównę w jakimś monasterze umieścił. Szukali, szukali i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czern u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohuna by się nie rzucili, aż pokazało się inaczej.

– To ona była u Dobrego Mikoły?

– Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu, że jakie były panny, to je wprawdzie Kozacy pobrali, jeno się u Dobrego Mikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono; a między nimi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jerlicz śledziennik i na wpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i poleciał zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać. Na nieszczęście, mniszki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcji kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz ciężko na zdrowiu zapadł.

– To dziw tylko, że jeszcze żyje.

– Byłby umarł niechybnie, żeby nie ów stary Kozak, który go w niewoli na Siczy pilnował, a potem tu od niego z listami przyjechał i wróciwszy, znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

– Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo on się już nigdy nie pocieszy – rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł i grobowe milczenie panowało między wszystkimi. Kniazie, podparłszy się łokciami, siedzieli bez ruchu z namarszczoną brwią; Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwiał szklany wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszym zamyśleniu się pograżał.

– Zbudź się waćpan! – rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski wstrząsając go za ramię. – O czym tak myślisz? Nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

– Wiem o tym – odparł złamanym głosem Zagłoba – jeno myślę, że stary i że nie mam co robić na tym świecie.

ROZDZIAŁ XXI

– Imaginuj sobie waćpan – mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina – że ten człowiek tak się w jednej godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Tak wesoły, taki mowny, tak obfity w fortele, że samego Ulissesa w nich przewyższał, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakoby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewałem, żeby do tego stopnia.

– Cóż to dziwnego? – odparł wzdychając Litwin. – Tym bardziej się do niej przywiązałem, że ją z rąk Bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już naprawdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

– Próbowałem już i pić z nim w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci: i to na nic! Pić, pije, ale nie zmyśla po dawnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem, czy i pan Skrzetuski w większej desperacji od niego żyje.

– Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz!... Chodźmy do niego, panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkim mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego schwyci. Mój Boże, jak się to ludzie zmieniają! Taki to był wesoły człek...

– Chodźmy – rzekł pan Wołodyjowski. – Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając, udali się obaj do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartym oknem, z głową opartą na rękę. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłymi głosami, a w gąszczach dzielących zamek od miasta słowiki wywodziły zapamiętałe swoje nocne trele poświstując, cmokając i klaskając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne promienie księżycy, które oświecały pogiębioną twarz pana Zagłoby i łysinę schyloną na piersi.

– Dobry wieczór waćpanu – rzekli dwaj rycerze.

– Dobry wieczór – odpowiedział Zagłoba.

– Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz zamiast spać iść? – pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

– Bo mi nie do snu – odrzekł wlokącym się głosem. – Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kahamlikiem od Bohuna i tak samo nam one ptaszyny fiukały, a teraz gdzie ona?

– Bóg to tak zrządził – rzekł Wołodyjowski.

– Na łzy i smutek, panie Michale! Nie masz już dla mnie pocieszenia.

Umilkli; jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, którymi cała owa jasna noc zdawała się być przepelniona.

– O Boże, Boże! – westchnął Zagłoba – zupełnie tak jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsnął łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

– Ej, wiesz co waćpan? Smutek smutkiem, a napij się z nami miodu, bo nie masz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklenicy rozpamiętywali lepsze czasy.

– Napiję się! – rzekł z rezygnacją Zagłoba.

Wołodyjowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie, gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

– To to już rok, jakieś waćpan z nieboszczką z Rozłogów przed Bohunem uciekał?

– W maju to było, w maju – odrzekł Zagłoba – Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Zołotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

– I ona była przebrana?

– Za kozaczką. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdzie je pod drzewem razem z szablą pochował.

– Słodka to była panna! – dorzucił z westchnieniem Longinus.

– Tak mówię waćpanom, zem ją pierwszego dnia tak pokochał, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko rączyny przede mną składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę! Niechby mnie byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał! Bodaj mi było nie dożyć!

Tu znów nastąpiło milczenie i trzej rycerze pili miód zmieszany ze łzami, po czym Zagłoba tak dalej mówić począł:

– Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilne:

– Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, zanim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni, ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczając; powstała głośna sprzeczka, w której zdało się panu Wołodyjowskiemu, że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków! – odrzekł Wołodyjowski – to Rzędzian.

– A ja ci to jestem – odrzekł pachołek – i kłaniam do kolan waszmościom. A gdzie mój pan?

– Twój pan w Korcu i chory.

– O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

– Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrow.

– Bo ja tu z wieściami o pannie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać melancholicznie głową.

– Niepotrzebnieś się śpieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci i my tu ją łzami rzewnymi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy.

– Gwałtu, rety! co ja słyszę? panna umarła?

– Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójców zamordowana.

– W jakim Kijowie? co jegomość prawi?

– W jakimże Kijowie? albo to Kijowa nie znasz?

– Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką, niedaleko Raszkowa ukryta? I czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszała. Jak mnie Bóg miły, zwiariować przyjdzie, czy co?

– Co za czarownica? o czymże ty gadasz?

– A Horpyna!... toć tę basetkę znam dobrze!

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękami trzepać jak człowiek, który wpadłszy w głębinę ratuje się od zatonięcia.

– Na Boga żywego! milcz waćpan! – rzekł do Wołodyjowskiego. – Na rany boskie, niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak błądzący był Zagłoba i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równymi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pachołka za ramiona pytał chrapliwym głosem:

– Kto tobie powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

– Kto miał powiadać? Bohun!

– Chłopie, czyś zwiariował?! – wrzasnął pan Zagłoba trzęsąc pachołkiem jak gruszką – jaki Bohun?

– O dla Boga – zawołał Rzędzian – czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał... Jegomość mi do reszty w głowie przewróci. Jakież ma być Bohun? Albo to jegomość nie zna?

– Gadaj, bo cię nożem pchnę! – wrzasnął Zagłoba. – Gdzieś Bohuna widział?

– We Włodawie!... Czego waszmościowie ode mnie chcecie? – wołał przestraszony pachołek – Cóżem to ja? zbój?...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zbrakło i padł na ławę dychając ciężko. Pan Michał przybył mu na pomoc:

– Kiedyś Bohuna widział? – pytał Rzędziana.

– Trzy tygodnie temu.

– To on żyje?

– Co ma nie żyć?... Sam mnie opowiadał, jakieś go jegomość popłatał, ale się wylizał...

– I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

– A któż inny?

– Słuchaj Rzędzian: tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

– Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczala, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żeby tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i sam musi leżeć nie wiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy na nowo zerwał i schwyciwszy się obu rękoma za resztki włosów, począł krzyknąć jak szalony:

– Żyje moja córuchna, na rany boskie, żyje! To nie ją w Kijowie zabili! Żyje ona, żyje, moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szło chał, na koniec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi i począł tak całować, że pacholek do reszty stracił głowę.

– Niech no jegomość da pokój... bo się zatchnę! Jużci, że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszymy... Jegomość... no, jegomość!

– Puść go waszmość, niech opowiada, bo jeszcze nic nie rozumiemy – rzekł Wołodyjowski.

– Mów, mów! – wołał Zagłoba.

– Opowiadaj od początku, brateńku – rzekł pan Longinus, na którego wąsach osiadła także gęsta rosa.

– Pozwólcie, waszmościowie, niech się wysapie – rzekł Rzędzian – okno przymknę, bo te juchy słowiki tak się drań w krzakach, że i do słowa przyjść nie można.

– Miodu! – krzyknął na czeladnika Wołodyjowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie powolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

– Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom się utrudził!

– Siadaj! – rzekł Wołodyjowski nalewając mu z przyniesionego przez czeladnika gąsiorka. – Pij z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś gadał jak najprędzej.

– Dobry miód! – odpowiedział pacholek podnosząc szklanicę pod światło.

– A bodaj cię usiekli! Będziesz ty gadał? – huknął Zagłoba.

– A jegomość to się zaraz gniewa! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać, a mnie słuchać, od tegom sługa! Ale już widzę, że od początku muszę dokumentnie wszystko opowiadać...

– Mów od początku!

– Waszmościowie pamiętają, jako to przysła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po panie? Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

– Niech ma i dziewięćset!.. – burknął Zagłoba.

– A niech mu Pan Bóg da jak najwięcej! Dziękuję jegomości za dobre słowo – odrzekł Rzędzian. – Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieść, com przy pomocy bożej zebrał między zbójami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli Kozacy w Czehrynie, że mnie za swego mieli, zem Bohuna rannego pilnował i do wielkiej konfidencji z nim przyszedł, a przy tym skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

– Wiemy, wiemy! – rzekł Wołodyjowski.

– Otóż przyjechałem do rodzicieli, którzy radzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdym im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiąc, zem uczciwą drogą do tego przyszedł. Dopieroż się ucieszyli, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskim o gruszę, co na miedzy stoi i w połowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszymi ma gałęzie. Owóż jak ją Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

– Chłopie, nie przywódźcie mnie do gniewu! – rzekł Zagłoba – i nie mów tego, co do rzeczy nie należy...

– Naprzód, z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowny, co jegomości i pan porucznik Wołodyjowski, i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a po wtóre, ten proces to trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba-zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

– Dobrze, rybeńko – rzekł słodko pan Longinus – ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

– O Bohunie? – rzekł Rzędzian. – Niechże będzie i o Bohunie. Owóż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nade mnie, chociaż mnie w Czehrynie rozszczępił, bom go też co prawda pilnował, opatrywał, kiedy to go jeszcze kniazie Kurcewicz poszczerbili. Obełgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z Kozakami trzymać, bo więcej zysku między nimi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda, hojnie wynagrodził nie wiedząc o tym, zem ja sobie poprzysiągł zemścić się na nim za oną krzywdę czehryńską i że jeżeli go nie zażgał, to jeno dlatego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela nożem jako świnię pod pachę żgać.

– Dobrze, dobrze – rzekł Wołodyjowski. – To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

– A to, widzi jegomość, było tak: gdyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pójdą, nie może inaczej być!), tak ja sobie myślę: No! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić. Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazja u niego dobra, mówi: „Kiedys poprzysiągł, to idź, bo inaczej będziesz kiep.” Więc ja poszedłem, bom sobie i to. jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o panie, jeżeli żywa, może coś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojedę, to też nie będzie bez nagrody.

– Pewnie, że nie będzie i my cię też wynagrodzimy – rzekł Wołodyjowski.

– A u mnie masz już, brateńku, konika z rzędem – dodał Longinus.

– Dziękuję pokornie waszmościom panom – rzekł uradowany pacholek – bo słuszna to jest rzecz za dobrą wieść munsztułek, a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

– Diabli mnie biorą! – mruknął Zagłoba.

– Wyjechałeś więc z domu... – poddał Wołodyjowski.

– Wyjechałem więc z domu – mówił dalej Rzędzian – i myślę znowu: gdzie jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko, i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę tedy, mój jegomość, jadę na Białą i Włodawę i we Włodawie – koniska już miałem srodze zmęczone – zatrzymuję się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; ja do mieszczan: i tam szlachta! Dopieroż jeden Żyd mi powiada: „Miałem izbę, ale ją ranny szlachcic zajął.” – „To, mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik jako to w czasie jarmarku pewnie nie może sobie dać rady z robotą.” Gadał jeszcze Żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzi ją – i patrzę, kto leży w betach: Bohun!

– O to! – wykrzyknął Zagłoba.

– Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, azem się przeląkł, a on mnie poznał od razu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: „Bóg mi cię zesłał! teraz już nie umrę.” A ja mówię: „Co jegomość tu robisz?” – on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do króla jegomości, a naonczas jeszcze królewicza, spod Zamościa wysłał i jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usiekl.

– Wdzięcznie mnie wspominał? – spytał mały rycerz.

– Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jak że dość wdzięcznie. „Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bez mała na wpół przeciął.” Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej jak pierwej zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził!...

– Niech mu tam kat świeci! Już ja się jego nie boję! – odparł Zagłoba.

– Przyniesiemy tedy do dawnej konfidencji – mówił dalej Rzędzian – ba! jeszcze do większej, i on mnie wszystko powiadał, jako śmierci był bliski, jako go do dworu w Lipkowie wzięli mając go za szlachcica, a on też się podał za pana Hulewicza z Podola, jak go później wyleczyli, z wielką ludzkością traktując, za co im wdzięczność do śmierci przysięgał.

– A cóż we Włodawie robił?

– Ku Wołyniowi się przebierał, ale mu się w Parczewie rany otworzyły, bo się z nim wóz wywrócił, więc musiał zostać, chociaż i w strachu wielkim, gdyż łatwo tam go mogli rozsiekać. Sam mnie to mówił. „Byłem, powiada, wysłany z listami, ale teraz świadectwa żadnego nie mam, jeno piernacz, i gdyby się zwiedzili, ktom jest, to by mnie nie tylko szlachta rozsiekała, ale pierwszy komendant by mnie powiesił, nikogo o pozwolenie nie pytając.” Pamiętam, że jak mi to rzekł, tak ja do niego mówię: „Dobrze to wiedzieć, że pierwszy komendant by jegomości powiesił.” A on pyta: „Jak to?” – „Tak, rzekę, że trzeba być ostrożnie i nikomu nic nie mówić – w czym się też jegomości przysługę.” Dopieroż jął mi dziękować i o wdzięczności zapewniać, jako że mnie nagroda nie minie. „Teraz, mówi, pieniędzy nie mam, ale co mam z klejnotów, to ci dam, a później cię złotem obsypię, tylko mi jedną przysługę jeszcze oddaj.”

– Aha, to już przyjdzie do kniaziówny! – rzekł Wołodyjowski.

– Tak jest, mój jegomość; muszę już wszystko dokumentnie opowiedzieć. Jak mi tedy rzekł, że teraz pieniędzy nie ma, takem do reszty serce dla niego stracił i myślę sobie: „Poczekaj, oddam ja ci przysługę!” A on mówi: „Chorym jest, nie mam siły do podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, powiada, na Wołyń dostanę – a to stąd blisko – to już będę między swoimi, ale tam nad Dniestr nie mogę jechać, bo sił nie staje i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk – jedź ty za mnie.” – Więc ja pytam: „A dokąd?” – On na to: „Aż pod Raszków, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny, czarownicy.” – Pytam: „Kniaziówna?” – „Tak jest – rzeczce. – Tamem ją ukrył, gdzie jej ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia.”

– Mów no prędzej, na Boga! – krzyknął Zagłoba.

– Co nagle, to po diable! – odpowiedział Rzędzian. – Jakem to tedy, mój jegomość, usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: „A pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno, jakeś waćpan ją tam odwiózł?” On począł się zaklinać, że Horpyna jego suka wiarna, będzie ją i dziesięć lat trzymała, aż do jego powrotu, i że kniaziówna tam jest jako Bóg na niebie, bo tam ani Lachy, ani Tatarzy, ani Kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Podczas gdy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową. Podbipięta oczy do nieba wznosił.

– Że ona tam jest, to już pewno – mówił dalej pachołek – bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał. Ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać – i mówię: „A po co ja tam?” On zaś: „Po to, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli (powiada) żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa nieść, bo tam już wszędzie nasi Kozacy górą, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej-Przczystej odwiozła.”

– A co! więc nie do Dobrego Mikoły! – wybuchnął Zagłoba. – Zaraz mówiłem, że Jerlicz śledziennik albo że zęgał.

– Do Świętej-Przczystej! – mówił dalej Rzędzian. – „Pierścień (powiada) ci dam i piernacz, i nóż, a już Horpyna będzie wiedziała, co to znaczy, bo taka umowa stoi, i Bóg cię (powiada) tym bardziej zesłał, że ona cię

zna, wie, żeś mój druż najlepszy. Jedźcie razem, Kozaków się nie bójcie, jeno na Tatarów baczcie, jeśliby gdzie byli, i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pieniądze, dukaty, tam są, powiada, zakopane na miejscu w jarze, od wypadku – to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno: – «Bohunowa jedzie!» – a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie radę, tylko ty jedź ode mnie, bo kogóż ja, nieszczęsny pośle, komu zawierzę tu w obcym kraju, między wrogami?» Tak on to mnie, moi jegomoście, prosił, że prawie i służy wylewał, w końcu kazał mi, bestia, przysięgać, że pojedą, a ja też przysięgłem, jeno w duchu dodałem: „z moim panem!” On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz i pierścień, i nóż, i co miał klejnotów, a ja też wziąłem, bom myślał: lepiej niech będzie u mnie niż u zbója. Na pożegnanie powiedział mi jeszcze, który to jest jar nad Waładynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z zawiązanymi oczyma bym trafił, co sami waszmościowie zobaczą, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

– Zaraz jutro! – rzekł Wołodyjowski.

– Co to jutro! – dziś jeszcze na świtanie każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca i słychać było to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędzianowi, na które pacholek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

– Niech cię kule biją! – wykrzyknął Zagłoba – jakiego w tobie pan Skrzetuski ma sługę!

– Albo co? – pytał Rzędzian.

– Bo cię chyba ozłoci.

– Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności służyć.

– A cóż z Bohunem uczynił? – pytał Wołodyjowski.

– Toż to, mój jegomość, było dla mnie umartwienie, że znowu on leżał chory i nie wypadało mi go żgnąć, bo to i mój pan by zgał. Taki już los! Cóżem miał więc robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć, i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Po co, mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi, i mnie w Czehrynie poszczerbił? Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za nami z Kozakami ruszy? Więcem niewiele myśląc poszedł do pana komendanta Regowskiego, który we Włodawie z chorągwią stoi, i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy Rzędzian rozśmiał się dość głupkowato i spojrzął po obecnych jakby czekając, aby mu zawtórowali; ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po jakimś czasie pierwszy Zagłoba mruknął: „Mniejsza z tym” – ale natomiast Wołodyjowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

– Toś niepięknie postąpił, brateńku, co się zowie niepięknie!

– Jak to, mój jegomość? – pytał zdumiony Rzędzian – miałem go lepiej pchnąć?

– I tak byłoby nieładnie, i tak nieładnie; ale nie wiem, co lepiej: czy być zbójem, czy Judaszem?

– Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecież i króla jegomości, i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjaciel!

– Prawda to, ale ono zawsze niepięknie. A jak, mówisz, ów komendant się nazywał, co?

– Pan Regowski. Mówili, że mu na imię Jakub.

– To ten sam! – mruknął Litwin. – Pana Łaszczka krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjaciel.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał:

– Mości panowie! – rzekł. – Tu nie ma co zwłóczyć! Bóg sprawił przez tego pacholika i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycjach będziemy jej szukali, Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Książę wyjechał, ale już i bez jego permisji puścimy się w drogę, bo czasu nie ma! Pójdzie pan Wołodyjowski, ja z nim i Rzędzian, a waćpan, panie Podbipięta, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność wydać by nas mogły.

– Nie, bracie, ja też pojedę! – rzekł Litwin.

– Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanu by i z piernaczem nie uwierzyli. Dusieś Pułjana na oczach wszystkiego Krzywonosowego hultajstwa, a gdyby taka tyczka była między nimi, toć by ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz, a twoja jedna niewiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

– Żal – rzekł Litwin.

– Żal, nie żal, a musisz się zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nie.

– Słuchać hadko!

– Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesoło, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret, żeby się między żołnierstwem nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa!

– Ba, a księciu?

– Księcia nie ma.

– A panu Skrzetuskiemu, jeśli wróci?

– Jemu właśnie ani słowa, bo zaraz by się wyrwał za nami; będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu, tak by rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa.

– Parol! – rzekł Podbipięta.

– Parol, parol!

– A teraz Bogu dziękujmy.

To rzekłszy Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni, i modlili się długo i żarliwie.

ROZDZIAŁ XXII

Książę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa w celu czynienia nowych zaciągów i nierychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której z ludzi pozostałych w Zbarażu jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał jak zaklęty.

Wierszuł i inni oficerowie wiedząc o śmierci kniaziówny nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą był w jakimkolwiek związku z narzeczoną nieszczęsnego Skrzetuskiego, i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tym bardziej że był między nimi i Rzędzian, o którym wiadano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali wprost do Chlebanówki i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba zakupił przede wszystkim za pieniądze pożyczone od Longina pięć rostrych koni podolskich zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim, a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od których był wytrzymalszy na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego dla siebie i towarzyszków, również jak i dla kniaziówny nabył dostatnie świty kozackie. Rzędzian zajął się jukami, a gdy już wszystko było przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien, w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych łatwo było można poczytać za jakichś atamanów kozackich i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuconych hen! aż ku Kamieńcowi – ale tym łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajęty przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się z wolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie mieć oko. Wiedziano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armistycjum perejasławskie skończyło się do Zielonych Świątek; wojna podjazdowa nie ustawała naprawdę nigdy, a teraz wzmogła się i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskimi ziemia pokryła się bisiorem traw i kwiecia wyrosłego z ciał poległych rycerzy. Nad pobojowiskami tkwiły w błękiecie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorami żaby pławiące się w ugrzanej fali do późna w noc wiodły radosne rozhowy.

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zablźnić, bóle ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo, powietrzno, wesoło, a step cały jak malowany błyszczał na kształt złotogłowiu, mienił się jak tęcza albo pas polski, na którym zręczna robotnica wszystkie barwy wybornie ożeni. Stepy grały od ptactwa i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śniadość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napęlnia się niezmierną, więc też i nasi rycerze takiej właśnie otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońce i raz, gdy go dobrze nagrzało, rzekł do małego rycerza:

– Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgrzynie nie masz jak słońce na stare kości.

– Dla wszystkich ono jest dobre – odpowiedział pan Wołodyjowski – gdyż zauważ waćpan, jak nawet *animalia* lubią się wylegiwać na słońcu.

– Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę – mówił dalej Zagłoba – gdyż w zimie przy mrozach trudno by z dziewczyną uciekać.

– Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

– Powiem ci, panie Michale – rzekł na to Zagłoba – że jedną mam tylko obawę, a to: żeby w razie wojny Tatarstwo się w tamtych stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło; bo z Kozakami damy sobie rady. Chłopstwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważyłeś, że nas za starszych mają, a Zaporozcy piernacz szanują i Bohunowe imię tarczą nam będzie.

– Znam ja się z Tatory, bo nam w państwie łubniańskim życie na ustawicznym procederze z nimi schodziło... a już ja i Wierszuł to nigdy nie mieliśmy odpoczynku – odpowiedział pan Michał.

– I ja ich znam – rzekł Zagłoba. – Wspominałem ci przecie, jakom między nimi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale żem się nie chciał zbisurmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

– A mówiłeś waćpan kiedy indziej, że to było w Galacie.

– W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beliala niżeli chrześcijan na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian.

– Nie tylko od Tatarów możemy mieć przeszkodę – rzekł – bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica, z diabłami w konfidencji, którzy nie wiem, czy jej o nas nie przestrzegają. Mam ci ja wprawdzie kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego upiorzysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to głowa ichmościów w tym, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zaraz by mi nagroda przepadła.

– Trutniu jeden! – rzecze pan Zagłoba. – Właśnie też nam w głowie o twoim zdrowiu myśleć. Nie skręci ci diabeł karku, a choćby i skręcił, to wszystko jedno, bo ty i tak za swoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać, i to sobie zakonotuj, że jeśli Horpyna można czarownica, to ja możniejszy od niej czarownik, bom się w Persji ciemnego kunsztu uczył. Ona diabłom służy, a oni mnie i mógłbym nimi jako wołmi orać, jeno nie chcę mając zbawienie duszy na uwadze.

– To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawsze lepiej być w bezpieczeństwie.

– Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i boską opiekę – rzekł Wołodjowski. – Niechże tam Horpyny i Bohuna czarni strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma; na którego przypadek świętemu Michałowi Archaniołowi siedm świec z białego wosku ofiaruję.

– To już i ja na jedną się przyłożę – rzekł Rzędzian – żeby mnie jegomość, pan Zagłoba, potępieniem nie straszyl.

– Pierwszy ja cię do piekła wyprawię – odpowiedział szlachcic – jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

– Jak to nie wiem? Byleśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanymi oczyma trafię. Pojedziemy brzegiem ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce; którego po tym poznamy, że wejście do niego skałą zawalone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wjechać nie można, ale w skale jest wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umknie, bo to jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwolenstwa wchodzą, i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyczeć: „Bohun! Bohun!...” Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie... Prócz Horpyny jest tam jeszcze i Czeremis, którego z puszczeli okrutnie strzela. Oboje musimy uśmiercić.

– Onego Czeremisa nie mówię, ale babę dość będzie związać.

– Zaśby ją tam jegomość związał! Ona taka mocna, że pancierz jak koszulę rozdziera, a podkowa to jeno jej w rękę chrupnie. Chyba jeden pan Podbipięta dałby jej rady, ale nie my. Daj no jegomość pokój, mam ja na nią kulę święconą, niechże już na tę diabolicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałaby za nami jak wilczyca, a na Kozaków wyla i pewnie byśmy nie tylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli.

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali śpieszno, mijając miasteczka, sioła, chutory i mogiły. Szli na Jarmolińce ku Barowi, skąd dopiero mieli się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w których niegdyś Wołodjowski pobił Bohuna – i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego chutoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołym niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które się zdarzyły, i takich, które wcale się nie zdarzyły. Ale najwięcej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszłym uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjechawszy wreszcie z okolic trzymanyh w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się Lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytepieno ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znojny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była daleka i trudna. Na szczęście, od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporoskich ich miały. Wszelako od czasu do czasu pytano ich, co by za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był Niżowy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię – inni zaś patrząc na to, zaraz otwierali im drogę, myśląc, że to nie tylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije. „Może Krzywonos, Burlaj albo i sam bat'ko Chmielnicki.”

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali Niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się niemałe. I zwykle nie było końca pytaniam : czy zdrów? czy żyje? – bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca, a nawet worki, z czego chytry pachołek pana Skrzetuskiego nie omieszkiał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burlaj, który tu z wojskiem niżowym i czernią na Tatarów budziackich czekał, stary, sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na wspólną w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak syna i wdzięcznie przyjął jego wysłańców nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na Wołyń zdąży, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się, było, pan Zagłoba, ażeby Rzędzian podpisany nie wygadał się z czym niepotrzebnym, ale pokazało się, że szczwany jak lis pacholek tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, a tym większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów prowadzonych z jakąś straszną szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

– Słyszeli my – mówił Burlaj – że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy, kto jego usiekił?

– Wołodyjowski, oficer kniazia Jaremy – odpowiedział spokojnie Rzędzian.

– Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokoła. Ze skóry ja by jego obdarł!

Pan Wołodyjowski ruszył na to owianymi wąsikami i spojrzawszy na Burlaję takim wzrokiem, jakim chart spogląda na wilka, którego mu nie wolno uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

– Dlatego to ja wam mówię, mości pułkowniku, jego nazwisko.

„Diabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka!” – pomyślał pan Zagłoba.

– Ale – mówił dalej Rzędzian – ten nie tyle winien, bo jego sam Bohun wyzwiał nie wiedząc, jaką szablę wzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę mu z rąk wydarł.

– A to kto taki?

– At! stary opój, co się przy naszym atamanie w Czehrynie wieszal i druha dobrego jego udawał.

– Będzie on jeszcze wisiał! – wykrzyknął Burlaj.

– Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę! – mruknął Zagłoba.

– Tak go usiekił – prawil Rzędzian – że innego dawno by już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiała, chociaż do Włodawy ledwie się dowlókił i tam by też pewno rady sobie nie dał, żeby nie my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi górą, a samych tu po dziewczynę wysłał.

– Zgubią jego te czarnobrewy! – mruknął Burlaj. – I ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nie lepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi i w wodę, jak my na Czarnym Morzu robili?

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim sentymencie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś rozśmiał się i rzekł:

– Pewnie by tak lepiej.

– Ale wy dobre druhy! – mówił Burlaj – wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja już ciebie w Czehrynie widział, jak ty naszego sokoła pilnował i hołubił. No! tak i ja wam druh. Wy mówcie, czego wam potrzeba! mołojców czy koni? – tak ja wam dam, żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

– Mołojców nam nie potrzeba, mości pułkowniku – odrzekł Zagłoba – bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej niż z małą, ale konie co najścięjsze to by się przydały.

– Dam wam takie, że ich i bachmaty chanowe nie dogonią.

Wtem Rzędzian odezwał się nie tracąc sposobnej pory:

– I hroszi mało nam daw ataman, bo sam ne maw, a za Braclawiem miara owsa talara.

– To hody ze mną do komory – rzekł Burlaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i zniknął wraz ze starym pułkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z puciołowatego oblicza i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

– No, jedźcie z Bogiem – ozwał się stary Kozak – a jak dziewczynę weźmiecie, tak wstąpcie do mnie, niech i ja Bohunową zazulę zobaczę.

– Nie może to być, mości pułkowniku – odrzekł śmiało pacholek – bo ta Laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Boimy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

– Poradzi!... nie będzie ona mu się strachała. Laszka białoruczka! Kozak jej śmierdzi! – mruknął Burlaj. – Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Waładynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże rozpościerało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią z rzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Waładynki, ku Raszkowowi, bo tylko tak idąc można było trafić do jaru. Na niebie bielił się świt, gdyż uczta u Burlaję przeciągnęła się do późnej nocy, i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny zostawić noc za sobą. Tymczasem jadą rozmawiali, jak dotychczas służyło im we wszystkim szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba wspominając ucztę Burlajową tak mówił:

– Przypatrzcie się jeno, jak to ci Kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie! Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli diabeł im pomoże zrzucić naszą zwierzchność, gorszymi jeszcze będą panami; ale w bractwie jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak jak między naszą szlachtą.

– Gdzie tam, mój jegomość – odparł na to Rzędzian. – Byłem ja między nimi długo i widziałem, jako się między sobą niby wilcy zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w rzyje trzyma, wnet by się ze szczętem pozażerali. Ale ten Burlaj to jest wielki między nimi wojownik i sam Chmielnicki jego szanuje.

– Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt, bo ci się obedrzyć pozwolił. Ej, Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną śmiercią!

– Co komu pisano, mój jegomość! Wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść chwalebna to jest rzecz i Bogu miła!

– Toteż nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

– Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić, aby też i Pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił; a że rodziciele wspomagam, to nie grzech.

– Co za szelma na cztery nogi kuta! – wykrzyknął zwracając się do Wołodyjowskiego pan Zagłoba. – Myślałem, że razem ze mną i fortele moje pójda do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. Toż my przez chytrą tego pacholka uwolnimy naszą kniaziównę od Bohunowej niewoli za Bohunowym pozwoleniem i na Burlajowych koniach! Widziałże kto kiedy podobną rzecz? A na pozór trzech groszy byś za tego pacholka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

– Albo to nam będzie źle, mój jegomość?

– Udałeś mi się i żeby nie twoja chciwość, to bym cię do służby wziął; ale skoroś Burlaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

– To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

– Bóg go też skarał – odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklepienie niebieskie, chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Waładynkę. Po długiej podróży byli na koniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkraśl im się do serc. Żyje-li jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajdą ją w jarze? Horpyna mogła ją wywieźć lub może ją w ostatniej chwili ukryć w nieznanym rozpadlinie jaru albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przezwyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozpoznać jako Bohunowych wysłańców pełniących jego wolę; ale nuż diabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie nie myślał o tym bez niepokojów. W takim bowiem razie zastaliby jar pusty albo – co gorzej – Kozaków z Raszkowa ukrytych w nim na zasadzce. Serca biły im coraz mocniej, a gdy wreszcie po kilku jeszcze godzinach drogi z wysokiej krawędzi jaru ujrzeli błyszczącą z dala wstążkę wody, puciołowata twarz Rzędziana przybladła trochę.

– To Waładynka! – rzekł przyciszonym głosem.

– Już? – pytał równie cicho Zagłoba. – Jak my to już blisko!...

– Oby nas tylko Bóg ustrzegł! – odparł Rzędzian. – Mój jegomość, niech no jegomość pocznie zakłęcia, bo okrutnie się boję.

– Głupstwo zakłęcia! Przeżegnamy rzekę i czeluście, to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pistolety i podsypał na nowo, po czym zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

– Mam i ja kulę święconą w tym oto pistolecie – rzekł Rzędzian. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Ruszajmy!

– Ruszajmy! ruszajmy!

Po jakimś czasie znaleźli się nad brzegiem rzeczki i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodyjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

– Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, i niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czeluść z kniaziówną.

– Ja pierwszy nie pojedę, róbcie waszmościowie, co chcecie – rzekł Rzędzian.

– To jedź, trutniu, na ostatku!

To powiedziawszy pan Wołodyjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu z powodnymi końmi cłapał Rzędzian oglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamieniach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcze i koniki polne, ukryte w rozpadlinach i szparach, ksykały głośno, bo dzień był znojnny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali na koniec nad wzgórze okrągłe jak przewrócona tarcza rycerska, nad którym rozpadające się i zwietrzałe od słońca skały tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrzął i trącił pana Zagłobę.

– To Wraże Uroczyszcze – rzekł – poznaję z tego, co mnie Bohun powiadał. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

– Jeśli nie przejdzie, to może przejdzie – odparł Zagłoba. – Tfu! co za jakiś przeklęty kraj! Ale że przynajmniej na dobrej jesteśmy drodze!

– To już niedaleko! – rzekł Rzędzian.

– Chwała Bogu! – odpowiedział pan Zagłoba i myśl jego uniosła się ku kniaziównie.

Było mu jakoś dziwnie na duszy i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, żeby kniaziówna mogła być tak blisko – ona, dla której tyle przygód i niebezpieczeństw przeżył i którą tak

pokochołał, że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział, co robić z życiem i ze starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś przez tyle czasu żył się z myślą, że ona porwana, daleko i w Bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju. Przy tym i inne pytania cisnęły mu się do głowy: co też ona powie, gdy go ujrzy? zali się we łzach nie rozplynie? Bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodziewanie. „Bóg ma swoje dziwne drogi – myślał Zagłoba – i tak potrafił wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzienie nieprawościom.” Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół. Bóg to sprawił, że wojna, sroga matka, odwołała dzikiego atamana z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniósł. Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem – i tak się wszystko złożyło, że teraz ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci i już znikąd, znikąd nie spodziewa się pomocy – pomoc tuż! „Kończy się twoje płkanie i zgryzota, córuchno moja – myślał dalej Zagłoba – i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będziez ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!”

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa – i rozczulił się szlachcic okrutnie, i pogrzył się całkiem w rozmyślaniach o tym, co to za chwilę się zdarzy.

Wtem Rzędzian pociągnął go z tyłu za rękaw:

– Jegomość!

– A co? – spytał Zagłoba niekontent, iż mu przerwano bieg myśli.

– Czy jegomość widział? Wilk pomknął przed nami.

– To i cóż?

– A czy to tylko był wilk?

– Całujże go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

– Czyśmy drogi nie zmylili? – pytał – bo to już by powinno być.

– Nie! – odrzekł Rzędzian – tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dałby Bóg, ażeby to już było po wszystkim.

– Będzie niedługo, jeżeli dobrze jedziemy.

– Chciałem też jeszcze waszmościów prosić, aby jak będę gadał z czarownicą, na owego Czeremisa uważać; wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

– Nie bój się, jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila zza załamu skały rozlegnie się wycie upiora lub wytoczy się jakiś kształt szkaradny a nieznan – ale pokazało się, że konie chrapały tylko dlatego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pacholka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodyjowski wstrzymał konia.

– Widzę jar – rzekł – do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha – szepnął Rzędzian – to tu!

– Za mną! – skomenderował pan Michał, skręcając konia.

Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennym. Otworzył się przed nimi jar głęboki, gęsto zarośnięty po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną, półkolistą równinę, obwiedzioną jakby olbrzymimi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

– Bo-hun! Bo-hun! Bywaj, wiedźmo! bywaj! Bo-hun! Bo-hun!

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, po czym pacholek znów jął wołać:

– Bohun! Bohun!

Z dała doszło szczekanie psów.

– Bohun! Bohun!...

Na lewym zrębie jaru, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu i dzikiej śliwiny i po chwili ukazała się niemal na samym szczycie stoku jakaś postać ludzka, która przechyliwszy się i przykrywszy oczy ręką, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

– To Horpyna! – rzekł Rzędzian i zwinąwszy dłonie koło ust począł po raz trzeci wołać:

– Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić i idąc wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek z długą turecką rusznicą w ręku; krze łamały się pod potężnymi stopami wiedźmy, kamienie spadały spod nich, hucząc, na dno jaru, i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

– Kto wy? – rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

– Jak się masz, basetlo? – rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

– Ty sługa Bohunów? ty! poznaję cię! Ty mały, a ci, co za jedni?

– Druhy Bohunowi.

– Kraśna wiedźma – mruknął pod wąsikami pan Michał.

– A po co wy tu przyjechali?

– Masz tu piernacz, nóż i pierścień, wiesz, co to znaczy?

Olbrzymka wzięła znaki do ręki i poczęła je pilnie rozpatrywać, po czym rzekła:

– Te same są! Wy po kniaziównę?

– Tak jest. A zdrowa ona?

– Zdrowa. Czemu to Bohun sam nie przyjechał?

– Bohun ranny.

– Ranny?... Ja to we młynie widziała.

– Jeżeliś widziała, to czego pytasz? Łzesz, waltornio! – rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kulak szturchnęła pod bok Rzędziana.

– Ty mały, ty!

– Pójdiesz precz!

– Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

– Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

– To bierzcie! Pojadę i ja z wami.

– A ty po co?

– Memu bratu śmierć pisana. Jego Lachy na pal wsadzą. Pojadę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie pistoletu.

– Czeremis, Czeremis! – rzekł pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszków na karła.

– Po co ty tego wołasz? On ma język urznięty.

– Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz, on twój mąż.

– On mój pies.

– I was tylko dwoje w jarze?

– Dwoje; kniaziówna trzecia!

– To dobrze. Ty jego nie odjedziesz.

– Pojadę z wami, mówiłam ci.

– A ja ci mówię, że zostaniesz.

W głosie pachołka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną, bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

– Szczo ty? – rzekła.

– Ot, szczo ja! – odparł Rzędzian i huknął jej między piersi z pistoletu tak z bliska, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanymi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nieludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czeremisa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały na przemian, na kształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablą, a Rzędzian zeskoczył z konia i chwyciwszy kamień rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsja wykrzywiła jej straszliwie twarz, na wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głucho chrapanie.

Tymczasem pachołek wydobył z zanadza kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

– Teraz nie wstanie.

Po czym wskoczył na kulbakę.

– W konie! – skomenderował pan Wołodyjowski.

Pomknęli i biegli jak wicher wzdłuż krynicy płynącej środkiem jaru; minęli dęby rozrzucone z rzadka po drodze i oczom ich ukazała się chata, a dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszcząco jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węglach, rwały się ku nadjeżdżającym szczekając z wściekłością i wyjąc. Pan Wołodyjowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych kopnął je nogą i wpadł do sieni brzęcząc ostrogami i szablą.

W sieni na prawo przez otwarte drzwi widać było obszerną izbę, pełną wiórów, z ogniskiem ułożonym w środku, napełnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte.

„Tam ona musi być!” – pomyślał pan Wołodyjowski i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył – wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecach ramiona włosom, a przerażone jej oczy utkwione w Wołodyjowskiego pytały: ktoś ty jest? czego tu chcesz? – bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza. On zaś zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty pokrytej aksomitami i złotogłowiem. Na koniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

– Nie bój się waćpanna: my Skrzetuskiego przyjaciele!

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana.

– Ratujcie mnie! – wołała składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba trzęsący się, czerwony, zadyszany.

– To my! – krzychał – to my z pomocą!

Usłyszawszy te słowa i ujrawszy znajomą twarz kniaziówna przechyliła się jak kwiat podcięty, ręce jej opadły, oczy pokryły się frędzlistymi zasłonami i zemdląła.

ROZDZIAŁ XXIII

Zaledwie koniom wypocząwszy, uciekali tak śpiesznie, że gdy księżyc wytoczył się na step byli już w okolicach Studenki za Waładynką. Naprzód jechał pan Wołodyjowski, pilnie się na wszystkie strony rozglądając, za nim Zagłoba obok Heleny, a pochód zamykał Rzędzian, prowadzący konie juczne i dwa powodowe, których ze stajni Horpyny zabrać nie omieszczał. Zagłobie nie zamykały się usta, bo też istotnie i miał co opowiadać kniaziównie, która zamknięta w dzikim jarze, o świecie nie wiedziała. Opowiadał jej więc, jak jej od początku szukali, jak Skrzetuski aż do Perejasławia chodził szukać Bohuna, o którego posiekaniu nie wiedział, jak wreszcie Rzędzian tajemnicę jej ukrycia od atamana wy dostał i takową do Zbaraża przywiózł.

– Boże miłosierny! – mówiła Helena podnosząc ku księżycowi swoją śliczną, bledziuchną twarz – to pan Skrzetuski aż za Dniepr po mnie chodził?

– Do Perejasławia, jak ci to powtarzam. I pewnie byłby tu razem z nami przybył, gdyby nie to, żeśmy czasu posyłać po niego nie mieli, chcąc zaraz iść ci z pomocą. Nic on jeszcze nie wie o twoim ocaleniu i za duszę twoją co dzień się modli – ale już go nie żałuj. Niechże się jeszcze jakiś czas pomartwi, gdy taka czeka go nagroda

– A ja myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli, i jeno o śmierć Boga prosiłam!

– Nie tylkośmy o tobie nie zapomnieli, aleśmy przez wszystek czas nad tym tylko deliberowali, jak by to ci przyjsć z pomocą. Aż dziw pomyśleć! bo że tam ja głowę suszyłem i Skrzetuski, to i słuszna, ale oto ten rycerz, który przed nami jedzie, z równą ochotą nie szczędził ni pracy, ni ręki.

– Niechże jemu Bóg to nagrodzi!

– Już wy to oboje widać macie, że ludzie do was lgną, ale Wołodyjowskiemu naprawdę wdzięczność winnaś, bo jakom rzekł, takeśmy we dwóch splełali Bohuna jak szczupaka.

– Wiele mnie pan Skrzetuski jeszcze w Rozłogach o panu Wołodyjowskim jako o najlepszym swym przyjacielu powiadał...

– I słusznie uczynił. Wielka to dusza w małym ciele. Teraz on jakoś zgłupiał, bo go widać twoja gładkość odurzyła, ale poczekaj, niech się jeno oswoi i przyjdzie do siebie! Siłaśmy z nim na elekcji dokazywali.

– To jest nowy król?

– I tegoś, niebogo, nie wiedziała w onej przeklętej pustyni? Jak to! Jan Kazimierz, jeszcze zeszłej jesieni obran, już ósmy miesiąc panuje. Wielka teraz będzie z hultajstwem wojna, ale daj Boże, żeby szczęśliwa, gdyż księcia Jeremiego sprostponowali, a obrali innych, którzy tak do tego zdadni jak ja do żeniaczki.

– A pan Skrzetuski pójdzie na wojnę?

– Szczerzy to żołnierz i nie wiem, czyli tego dokażesz, żeby nie poszedł. Już to my obaj jednacy! Kiedy to proch nas zaleci, żadna siła nas nie utrzyma. Oj! daliśmy się hultajstwu obaj zeszłego roku dobrze we znaki. Nocy by nie starczyło, gdybym ci chciał wszystko, tak właśnie, jak było, opowiadać... Pewnie, że pójdziemy, ale już z lekkim sercem, bo to grunt, żeśmy ciebie, niebożę odnaleźli, bez której nam się życie przykrzyło.

Kniaziówna pochylili swoją słodką twarz ku Zagłobie.

– Nie wiem, za coś mnie waćpan pokochał, ale już pewnie nie kochasz mnie więcej niż ja waćpana.

Zagłoba począł sapać z zadowolenia.

– Tak-że mnie to miłujesz?

– O, jako żywo!

– Bóg-że ci zapłać, bo mi będzie starość lżejsza. Nieraz się tam jeszcze podwiki za człowiekiem oglądają, co i w Warszawie w czasie elekcji bywało. Wołodyjowski świadek! Ale nic mi już po amorach i na przekór krwi gorącej chętnie ojcowskim sentymentem będę się kontentował.

Nastało milczenie, jeno konie poczęły parskać silnie jeden za drugim na pomyślną dla podróżnych wróżbę.

– Zdrów! zdrów! – odpowiadali jeźdźcy.

Noc była jasna. Księżyc coraz wyżej wypływał na niebo nabite migotliwymi gwiazdami i stawał się coraz mniejszy, bledszy... Utrudzone bachmaty zwolniły kroku, a i jadących poczęło ogarniać znużenie. Wołodjowski pierwszy wstrzymał konia.

– Czas by spocząć – rzekł. – Brzask już niedługo.

– Czas! – powtórzył Zagłoba. – Już mi się ze snu zdaje, że mój koń ma dwa łby.

Jednakże przed odpoczynkiem Rzędzian pomyślał o wieczery; rozpalil więc ogień, a następnie zdjawszy z konia biesagi począł z nich wydobywać zapasy, w które się był u Burlaja w Jampolu jeszcze zaopatrył, jako to: chleb z kukurydzy, zimne mięsiwa, bakalie i wino włoskie. Na widok dwóch worków skórzanych dobrze płynem wydętych, które wydawały odgłos bełkocący i słodki, pan Zagłoba zapomniał o śnie – inni też chętnie zabrali się do jedzenia i jedli. Starczyło dla wszystkich obficie, a gdy mieli już dosyć, pan Zagłoba obtarł połą usta i rzekł:

– Do śmierci nie przestanę powtarzać: dziwne są sądy boże! Otoś jest wolna, moja mościa panno, a my, ucieszeni, siedzim sobie tutaj *sub Jove* i winko Burlaja popijamy. Nie powiem, żeby węgrzyn nie był lepszy, bo to skórą pachnie, ale w drodze i ono się przygodzi.

– Jednemu się nie mogę wydziwić – rzekła Helena – że Horpyna zgodziła się mnie wydać waćpanom tak łatwo.

Pan Zagłoba począł spoglądać na Wołodjowskiego, następnie na Rzędziana i mrugać mocno.

– Zgodziła się, bo musiała. Zresztą nie ma co ukrywać, bo nie wstyd, żeśmy ich oboje z Czeremisem zgładzili.

– Jak to? – pytała z przestachem kniaziówna.

– A toś nie słyszała wystrzałów?

– Słyszałam, alem myślała, że to Czeremis strzela.

– Nie Czeremis to był, ale ten tu pacholek, który na wylot czarownicę przestrzelił. Diabeł w nim siedzi, na to zgoda, ale nie mógł inaczej postąpić, bo czarownica, nie wiem, czy wietrząc coś, czy tak sobie z determinacji, napała się jechać z nami. Trudnoż było na to pozwolić, bo zaraz by się obejrzała, że nie do Kijowa jedziemy. Ustrzelił ci ją tedy, ustrzelił, a ja tego Czeremisa zaciukałem. Prawdziwe to *monstrum* afrykańskie i myślę, że Bóg mi tego za złe nie poczyta. Musi być i w piekle z niego powszechna abominacja. Przed samym odjazdem z jaru pojechałem naprzód i poodciągałem ich trochę na stronę, żebyś się widoku trupów nie przelękała lub za zły omen sobie tego nie poczytała.

Na to kniaziówna:

– Za wiele ja już bliższych sobie nieżywymi w tych okropnych czasach widziałam, abym się miała bać widoku zamordowanych, ale przecie wolałabym krwi za sobą nie zostawiać, żeby nas Bóg za nią nie pokarał.

– Nie rycerska też to była sprawa – rzekł szorstko Wołodjowski – do której nie chciałem ręki przyłożyć.

– Co tam, mój jegomość deliberować – rzekł Rzędzian – kiedy inaczej być nie mogło. Żebyśmy to kogo dobrego starli, to jeszcze nie mówię, ale nieprzyjaciół Boga wolno, a ja to przecie sam widział, że ta czarownica z diabłami w komitywę wchodziła. Nie tego mnie też żal!

– A czegoż to imć pan Rzędzian żałuje? – pytała kniaziówna.

– Bo tam są zakopane pieniądze, o których mi Bohun powiedział, a waszmościowie tak pilili, że nie starczyło czasu odkopać, choć miejsce koło młyna wiedziałem dobrze. Serce mi się też krajało, że trzeba było tyle dobroci wszelakiej w tamtej komnacie, co to w niej panna mieszkała, ostawić.

– Obacz no, jakiego będziesz miała sługę! – mówił do kniaziówny Zagłoba. – Z wyjątkiem swego pana, z samego on by diabła skórę zdarł, żeby sobie kołnierz z niej uczynić.

– Da Bóg, nie będzie imć pan Rzędzian na moją niewdzięczność narzekał – odpowiedziała Helena.

– Dziękuję pokornie jejmość pannie! – rzekł całując ją w rękę pacholek.

Przez ten czas Wołodjowski siedział milczący, jeno wino z bukłaka popijał i marszem nadrabiał, aż to niezwykle mu milczenie zwróciło uwagę Zagłoby.

– A pan Michał – rzekł – ledwie kiedy jakie słowo puści. – Tu stary zwrócił się do kniaziówny: – Nie mówiłem ci, że mu twoja gładkość rozum i mowę odejmuje?

– Przespałbyś się waćpan lepiej przede dniem! – odparł zmieszany mały rycerz i począł wąsikami i mocno ruszać, tak właśnie jak zając, gdy sobie chce dodać fantazji.

Ale stary szlachcic miał słuszność. Nadzwyczajna piękność kniaziówny trzymała małego rycerza jakoby w ciągłym odurzeniu. Patrzył na nią, patrzył, a w duchu się pytał: zali to może być, by taka po ziemi chodziła? Wiele on bowiem piękności w życiu widział – piękna była panna Anna i panna Barbara Zbaraskie, urodziwa nad podziw i Anusia Borzobohata – rzesista była i panna Żukówna, do której się Roztworowski zalecał, i Wierszułowa Skoropadzka, i Bohowitynianka, ale żadna z nich nie mogła się równać z tym cudnym kwiatem stepowym. Wobec tamtych bywał pan Wołodjowski i ochoczy, i mowny, a teraz, gdy spoglądał na te oczy aksamitne, słodkie a mdlejące, na te jedwabne ich zasłony, których cień padał aż na jagody, na ten włos rozsypany, jakby kwiat hiacyntowy, po ramionach i plecach, na strzelistość postaci, na pierś wypukłą i tchnieniem lekko kołysaną, od której biło ciepło lube, na te wszystkie białości liliowe i róże a maliny ust – gdy na to wszystko spoglądał pan Wołodjowski, wówczas po prostu języka w gębie zapominał i, co najgorsza, że się sobie wydawał niezgrabny, głupi, a zwłaszcza mały, ale to tak mały, że aż śmieszny. „To jest księżna, a ja żaczek!” – myślał sobie z pewną goryczą i rad by był, żeby się jaka przygoda zdarzyła, żeby z ciemności ukazał się jaki olbrzym, bo dopiero wówczas pokazałby biedny pan Michał, że nie taki to on mały, jak się wydaje! Drażniło go i to, że pan Zagłoba, kontent widocznie, że córuchna jego tak oczy ludzkie rwie, krząkał co chwila i już podrwiwać zaczynał, i oczami okrutnie mrugał.

A tymczasem ona siedziała przed ogniskiem, różowym płomieniem i białym miesiącem oświetlona, słodka, spokojna i coraz piękniejsza.

– Przynaj, panie Michale – mówił nazajutrz rano Zagłoba, gdy się na chwilę sami znaleźli – że drugiej takiej dziewczki nie masz w całej Rzeczypospolitej. Jeżeli mi taką drugą pokażesz, pozwolę ci się nazwać szoldrą i *imparitatem* sobie zadać.

– Tego ja waćpanu nie neguję... – odrzekł mały rycerz. – Specjał to jest i rarytet, jakiego dotychczas nie oglądałem, gdyż nawet i owe figury bogiń tak właśnie z marmuru udane, jakoby żywe, któreśmy w pałacu Kazanowskich widzieli, nie mogą wejść z nią w paragon. Nie dziwno mi teraz, że najlepsi mężowie za łby o nią chodzą – bo warto.

– A co? a co? – mówił Zagłoba. – Dalibóg, nie wiadomo, kiedy gładsza, rano czy wieczór? bo ona ciągle w takowej ozdobie jak róża chodzi. Powiadałem ci, że to i ja kiedyś nadzwyczajnej byłem urody, ale już jej musiałem i wówczas ustąpić, choć inni mówią, że do mnie kubek w kubek podobna.

– Idźże waszmość do licha! – zakrzyknął mały rycerz.

– Nie gniewaj się, panie Michale, bo już i tak marszem nadrabiasz. Spoglądasz na nią jak kozieł na kapustę, a ciągle się marszczysz; przysiągłby kto, że cię żądze kęsa, ale nie dla psa kiełbasa.

– Tfu! – rzekł Wołodyjowski – jak się waćpan nie wstydzisz starym będąc takowe głupstwa prawić?

– A to czego się chmurzysz?

– Bo waćpan to myślisz, że już wszystko zło przeminęło jako ptak na powietrzu i żeśmy już całkiem bezpieczni, a tu dobrze trzeba jeszcze delibrować, żeby to jednego uniknąć, drugie ominąć. Droga jeszcze przed nami okrutna i Bóg wie, co nas spotkać może, bo te strony, do których jedziemy, muszą już być dotychczas w ogniu.

– Kiedy ja ją z Rozłogów Bohunowi wykradłem, gorzej było, bo nas ścigali z tyłu, a z przodu był bunt; jednakowoż przeszedłem przez całą Ukrainę jakoby przez płomień – i aż do Baru zaszedłem. A od czego głowa na karku? W najgorszym razie do Kamieńca nie tak daleko.

– Ba! ale Turkom i Tatarom także do niego niedaleko.

– Co mnie waćpan tam powiadasz!

– Powiadam, co jest – i mówię, że warto nad tym podelibrować. Lepiej nam Kamieniec ominąć i ku Barowi ruszyć, bo Kozacy piernacze szanują, z czernią sobie poradzimy, a jak nas jeden Tatar raz na oko weźmie, tak i po wszystkim! Znam ja się z nimi od dawna i potrafię przed czambułem iść razem z ptactwem i z wilkami, ale gdybyśmy prosto na czambuł wpadli, tedybym i ja już na to nie poradził.

– To idźmy na Bar albo koło Baru; niech tam tych kamienieckich Lipków i Czeremisów dzuma w karwaserach wydusi! Waćpan o tym nie wiesz, że Rzędzian wziął i od Burląja piernacz. Możemy wszędy między kozactwem śpiewający chodzić. Co najgorsze pustynie jużemy przejechali, wejdziemy teraz w ludzki kraj. Trzeba też i o tym pomyśleć, żeby się o wieczornym udoju w chutorach zatrzymywać, bo dla dziewczki to i przystojniej, i wygodniej. Ale już mi się tak zdaje, panie Michale, że za czarno rzeczy widzisz Co u did'ka! żeby zaś trzech chłopów – nie pochiebiając sobie ani wam, na schwał przednich – nie dało sobie rady w stepie! Połączmy nasze fortele z twoją szablą i hajda! nic lepszego nie mamy do roboty. Rzędzian ma i Burlajowy piernacz, a to grunt, bo Burlaj teraz całym Podolem rządzi, a byle się za Bar przedostać, to tam już Lanckoroński z kwarcianymi chorągwiami. Hajda! panie Michale, czasu nie traćmy!

Jakoż nie tracili czasu i rwali stepem ku północy i zachodowi, ile tylko konie mogły nadążyć. Na wysokości Mohyłowa weszli w kraj gęściej osiadły, tak że wieczorami wszędy nietrudno było znaleźć chutory lub wsie, w których zatrzymywali się na noclegi, ale rumiane zorze ranne zastawały ich zawsze już na koniach i w drodze. Szczęściem, lato było suche, dnie znojne, noce rosiste, a rankami srebrzył się cały step jakoby szronem okryty. Wody wiatr wysuszył, rzeki poopadały – i przebywali je bez trudności. Idąc czas jakiś wzdłuż i w górę Łozowej zatrzymali się na dłuższy nieco wypoczynek w Szarogrodzie, w którym stał pułk kozacki do komendy Burląja należący. Tam zastali wysłańców Burlajowych, a między nimi setnika Kunę, którego w Jampolu na uczcie u Burląja widzieli. Ten zdziwił się trochę, że nie idą na Braclaw, Rajgród i Skwirę do Kijowa, ale zresztą żadne podejrzenie nie powstało mu w umyśle, zwłaszcza iż Zagłoba wytłumaczył mu, że nie poszli tamta drogą z obawy Tatarów, którzy się od strony Dniepru mieli ruszyć. Mówił im natomiast Kuna, że Burlaj wysłał go do pułku, by pochód zapowiedział, i że sam ze wszystkimi wojskami jampolskimi i z budziackimi Tatarzy lada chwila do Szarogrodu także ściągnie, skąd dalej zaraz ruszą.

Przyszli gońce do Burląja od Chmielnickiego z wieścią, że wojna rozpoczęta i rozkazami, by wszystkie pułki na Wołyń prowadził – Burlaj zaś z dawna już i sam chciał pod Bar walić i tylko się jeszcze na tatarskie posiłki oglądał, pod Barem bowiem źle jakoś zaczęło się powodzić rebelii. Oto pan Lanckoroński, regimentarz, mocno tam znaczne kupy pogromił, miasto zdobył i zamek załogą obsadził. Legło tam na placu kilka tysięcy kozactwa i ich to właśnie chciał stary Burlaj pomścić, a przynajmniej zamek na powrót odebrać. Kuna jednak powiadała, że ostatnie rozkazy Chmielnickiego, aby na Wołyń iść, przeszkodziły tym zamiarom i że Baru nie będą na teraz oblegali, chyba by Tatarowie koniecznie chcieli.

– A co, panie Michale? – mówił na drugi dzień Zagłoba – Bar przed nami i mógłbym tam po raz drugi kniaziównę schronić, ale niech go tam kaduk zje! Nie wierzę już ani Barowi, ani żadnej fortecy od czasu, jak hultajstwo ma więcej armat niż wojska koronne. To mnie jeno niepokoi, że jakoś chmurzy się koło nas.

– Nie tylko się chmurzy – odrzekł rycerz – ale już burza za nami wali, to jest Tatary i Burlaj, który, gdyby nas dogonił, wielce byłby zdziwiony, iż nie ku Kijowu, ale w przeciwną stronę zdążamy.

– I gotów by nam inną drogę pokazać. Niechże mu diabeł wpierw pokaże, który szlak najprościej do piekła prowadzi. Zrobmy układ, panie Michale: z hultajstwem już ja będę sobie za nas wszystkich radził, ale z Tatarów – niech będzie twoja głowa.

– Łatwiejże waćpanu z hultajami, którzy nas za swoich biorą – odpowiedział Wołodyjowski. – Co do Tatarów, jedyna teraz rada jak najprędzej uciekać, aby z matni póki czas się wysliznąć. Konie dobre, gdzie się zdarzy, musimy po drodze kupować, aby te zawsze były świeże.

– Starczy i na to trzosisz pana Longina, a jak nie starczy, to Rzędzianowi Burlajowy odbierzemy – a teraz naprzód!

I jechali jeszcze śpieszniej, aż piana okrywała boki bachmatów i spadała jak płaty śniegowe na step zielony. Przebyli Derłę i Ladawę. W Barku zakupił pan Wołodyjowski nowe bachmaty, starych nie rzucając, bo te, które od Burlaja mieli w darze, wielkiej były krwi, więc zachowano je na luzne – i szli naprzód, coraz krótsze czyniąc przystanki i noclegi. Zdrowie dopisywało wszystkim wybornie i Helena, choć zmęczona podróżą, czuła, że jej z dniem każdym coraz więcej sił przybywa. W jarze pędziła życie zamknięte i prawie nie opuszczała swojej wyłoczonej komnaty, nie chcąc spotykać się z bezwstydną Horypną i słuchać jej rozmów i namów – teraz zaś świeże powietrze stepowe wracało jej zdrowie. Róże zakwitły na jej policzkach, słońce przyciemniło jej twarz, ale za to oczy nabrały blasków, i gdy czasem wiatr zwichrzył jej włosy na czole, rzekłbyś: Cyganka jaka, najcudniejsza worożycha albo cygańska królowna jedzie stepem szerokim – przed nią kwiaty, a za nią rycerze!...

Pan Wołodyjowski z wolna się z jej nadzwyczajną urodą oswajał, ale że zbliżała ich podróż, więc się na koniec i oswoił. Odzyskał wówczas mowę i wesołość i często, tocząc przy niej koniem, opowiadał o Łubniach, a najwięcej o swojej ze Skrzetuskim przyjaźni, bo zauważył, że tego rada słucha. Czasem też się i drażnił z nią mówiąc:

– Bohuna-m przyjaciel i do niego waćpannę wiozę.

A ona ręce składała niby z wielkiego strachu i nuż się słodkim głosem prosić:

– Nie czyńże tego, luty rycerzu, lepiej od razu mniej zetnij.

– O, nie może być! już tak uczynię! – odpowiadał srogi rycerz.

– Zetnij! – powtarzała kniaziówna mrużąc swe śliczne oczy i wyciągając ku niemu szyję.

Wówczas mrówki poczynają chodzić po krzyżach małemu rycerzowi. „Idzie do głowy ta dziewczka, jak wino! – myślał sobie – ale się nim nie upiję, bo cudze” – i wstrząsał się tylko pocziwy pan Michał, i koniem naprzód ruszał. A gdy już w trawy jak nurek w wodę porwał, zaraz mrówki z niego opadały i całą uwagę na drogę zwracał: czy bezpieczna, czy dobrze jadą i czyli skąd jaka przygoda się nie zbliża? Więc wspinał się na strzemonach, żółte wąsiki nad falę traw wytykał i patrzył, wietrzył, słuchał jak Tatar, kiedy to w Dzikiach Polach wśród burzanów myszkuje.

Pan Zagłoba również był najlepszej myśli.

– Łatwiejże nam teraz umykać – mówił – niż wtedy nad Kahamlikiem, kiedyśmy to musieli jak psi, piechotę z wywieszonymi językami drałować. Ozór mi w gębie tak wtedy wysechł, że mógłbym był nim drzewo strugać, a ninie, chwalić Boga, i odpoczenie na noc bywa, i jest czym gardło od czasu do czasu odwilżyć.

– A pamiętasz waszmość, jakieś to mnie na rękę przez wodę przerosił? – mówiła Helena.

– Będziesz i ty miała, daj Boże doczekać, kogo na rękę nosić: Skrzetuskiego w tym głowa!

– Hu! hu! – śmiał się Rzędzian.

– Zaniechaj waść, proszę – szeptała kniaziówna płonąć i spuszczać oczy.

Tak to oni ze sobą na stepie rozmawiali, aby czas drogi skrócić. Na koniec za Barkiem i Jołtuszkowem wstąpili w kraj zębami wojny świeżo poszarpany. Tam grasowały dotychczas kupy zbrojne hultajstwa, tam też niedawno i pan Lanckoroński palił i ścinał, bo dopiero przed kilkunastoma dniami do Zbaraża się cofnął. Dowiedzieli się też nasi podróżni od miejscowych ludzi, że Chmielnicki z chanem ruszyli wszystkimi siłami przeciw Lachom, a raczej przeciw regimentarzom, których wojska się buntują i nie chcą inaczej służyć, jak pod buławą Wiśniowieckiego. Przepowiadano przy tym ogólnie, że teraz pewno już przyjdzie na pohybel, czyli na ostateczny koniec Lachom albo Kozakom, gdy się bat'ko Chmielnicki z Jaremą spotkają. Tymczasem cały kraj był jakoby w ogniu. Wszystko porywało za broń i ciągnęło na północ, by się z Chmielnickim połączyć. Z dołu, od Nizu Dniestrowego, walił Burlaj z całą potęgą, a po drodze zrywały się wszystkie pułki z załóg, postojów i z pastwisk, bo wszędy przyszły rozkazy. Szły tedy sotnie, chorągwie, pułki, a obok nich płynęła jak fala bezładna czerń zbrojna w cepy, widły, noże, spisy. Koniuchowie i czabańczycy – porzucili swoje kosze, chutornicy – chutory, pasiecznicy – pasieki, dzicy rybacy – swoje komysze naddniestrzańskie, myśliwi – bory. Wsie, miasteczka i miasta pustoszały. W trzech województwach zostały tylko po osadach baby i dzieci, bo młodzieńcy nawet ciągnęły z mołojcami na Lachów. A jednocześnie ze wschodu zbliżał się z całą główną siłą Chmielnicki jak burza złowroga krusząc po drodze potężną ręką zamki i zameczki i mordując niedobitków z zeszyłych pogromów.

Minąwszy Bar, pełen smutnych dla kniaziówny wspomnień, weszli nasi podróżni na stary gościniec prowadzący na Łatyczów, Płoskirów, do Tarnopola i dalej aż do Lwowa. Tu coraz częściej napotykali: to tabory sferne wozów, to oddziały piechoty i jazdy kozackiej, to watahy chłopskie, to niezmierne stada wołów okryte obłokiem kurzawy, pędzone na spyżę dla wojsk kozackich i tatarskich. Droga stała się teraz niebezpieczna, bo raz wraz pytano ich: co zacz są, skąd idą i dokąd jadą? Kozackim sotniom pokazywał wówczas Zagłoba piernacz Burlajowy i mówił:

– Od Burlaja my posłańcy, mołodycię Bohunowi wieziem.

I na widok piernacza różnego pułkownika rozstępowali się zwykle Kozacy, tym bardziej iż każdy rozumiał, że jeśli Bohun żyw, to się już musi pod wojskami regimentarzy koło Zbaraża lub Konstancynowa uwijać. Ale daleko

trudniej było podróżnym z czernią, z dzikimi oddziałami pasterzy ciemnych, pijanych i żadnego prawie nie mających pojęcia o oznakach, wydawanych przez pułkowników na bezpieczny przejazd. Gdyby nie Helena, byłiby owi półdzicy ludzie poczytywali Zagłobę, Wołodyjowskiego i Rzędziana za swoich i za starszych, jakoż nawet tak i bywało; ale Helena zwracała wszędzie uwagę zarówno swoją płcią, jak i nadzwyczajną urodą, a stąd rodziły się i niebezpieczeństwa, które z największym trudem trzeba było przewycieżyć.

Czasem więc pokazywał pan Zagłoba piernacz, a czasem pan Wołodyjowski zęby, i niejednen tam trup padał za nimi. Kilka razy tylko niedoścignione bieguny Burlajowe uchroniły ich od zbyt ciężkiej przygody – i podróż, tak z początku pomyślna, stawała się z dniem każdym cięższą. Helena, lubo z natury mężna, poczęła od ustawicznej trwogi i bezsenności na zdrowiu szwankować i naprawdę wyglądała na brankę wleczoną mimo woli w nieprzyjacielskie namioty; pan Zagłoba pocił się srodze i coraz nowe wymyślał fortele, które mały rycerz zaraz w bieg wprowadzał, obaj zaś pocieszali kniaziównę, jak mogli.

– Tylko nam minąć to mrowie, które jest jeszcze przed nami – mówił mały rycerz – i przyjść pod Zbaraż, zanim Chmielnicki z Tatory okolice jego zaleje.

Dowiedział się bowiem po drodze, że regimentarze ściągnęli do Zbaraża i że w nim zamierzają się bronić – tam więc zdążali spodziewając się słusznie, że i książę Jeremi do regimentarzy ze swoją dywizją przybędzie, zwłaszcza że część jego sił, i to znaczna, stała w Zbarażu miała *locum*. Tymczasem doszli aż pod Płoskirow. Mrowie rzedło na gościńcu istotnie, bo już o dziesięć mil drogi zaczynał się kraj zajęty przez chorągwie koronne, więc watahy kozackie nie śmiały zapuszczać się dalej, wołały bowiem czekać w bezpiecznym oddaleniu na przybycie Burlaja z jednej, a Chmielnickiego z drugiej strony.

– Już dziesięć mil tylko! już dziesięć mil tylko! – powtarzał zacierając ręce pan Zagłoba. – Byleśmy się do pierwszej chorągwi dostali, to już i do Zbaraża dojedziemy w bezpieczeństwie.

Pan Wołodyjowski jednak postanowił znowu zaopatrzyć się w świeże konie w Płoskirowie, bo te, które kupiono w Barku, były już do niczego, a Burlajowe trzeba było na czarną godzinę oszczędzać. Ostrożność ta stała się konieczną, odkąd rozeszła się wieść, że Chmielnicki już pod Konstantynowem, a chan ze wszystkimi ordami wali od Piławiec.

– My tu z kniaziówną zostaniemy pod miastem, bo lepiej nam się na rynku nie pokazywać – rzekł mały rycerz do Zagłoby, gdy przybyli do opuszczonego domku, odległego o dwie staje drogi od miasta – a waszeć idź, popytaj u mieszczan, czyli koni gdzie na sprzedaż albo na zamianę nie mają. Wieczór już, ale ruszymy na całą noc.

– Niedługo wrócę – rzekł pan Zagłoba.

I odjechał ku miastu, Wołodyjowski zaś kazał Rzędzianowi porozluźniać nieco popręgów u kulbak, ażeby bachmaty mogły odetchnąć, sam zaś wprowadził kniaziównę do izby, prosząc, aby się winem i snem pokrzepiła.

– Chciałbym do świtania te dziesięć mil przejechać – mówił jej – później wszyscy wypoczniemy.

Zaledwie jednak przyniósł bukłaki z winem i żywność, gdy zatętniało przed sienią.

Mały rycerz spojrział przez okno.

– Pan Zagłoba już wrócił – rzekł – widno koni nie znalazł.

W tej chwili drzwi izby roztwarły się i ukazał się w nich Zagłoba blady, siny, spotniały, zadyszany.

– W konie! – zakrzyknął.

Pan Michał zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby w takich razach na pytania czas tracić. Nie tracił go nawet na ratowanie bukłaka z winem (który wszelako pan Zagłoba porwał), ale chwycił co prędzej kniaziównę, wyprowadził ją na podwórze i posadził na kulbakę; rzucił ostatnie spojrzenie, czy popręgi dociągnięte, i powtórzył:

– W konie!

Kopyta zatętniły i wkrótce znikli w ciemnościach jeźdźcy i bachmaty jak orszak mar.

Lecieli długo bez wypoczynku, aż dopiero gdy blisko mila drogi dzieliła ich od Płoskirowa i przed wejściem księżycy pomroka stała się tak gruba, że wszelki pościg był niemożliwy, pan Wołodyjowski zbliżył się do Zagłoby i spytał:

– Co to było?

– Czekaj... panie Michale, czekaj! Okrutniem się zdyszał, mało mi nóg nie odjęło... uf!

– Ale co to było?

– Diabeł we własnej osobie, mówię ci, diabeł albo smok, któremu jedną głowę utniesz, druga odrasta.

– Gadajże waśc wyraźnie.

– Bohuna na rynku widziałem.

– Chyba waśc masz *delirium*?

– Na rynku go widziałem, jako żywo, a przy nim pięciu czy sześciu ludzi; policzyć nie mogłem, bo mało mi nóg nie odjęło... Pochodnie przy nim trzymali... Już tak myślę, że nam chyba bies jaki w drodze staje, i zgoła nadzieję w szczęśliwy skutek naszej imprezy straciłem... Czy on nieśmiertelny ten piekielnik, czy co? Nie mówże o nim Helenie... O dla Boga! waćpan go usiekłeś, Rzędzian go wydał... nie! on już żyw, wolny i w drogę lezie. Uf! o Boże! Boże!... mówię ci, panie Michale, że wolałbym *spectrum* na cmentarzu zobaczyć niż jego. I co, u diabła, za moje szczęście, że to ja go właśnie wszędy pierwszy spotykam! Psu wsadzić w gardło takie szczęście! Czy to nie ma innych ludzi na świecie? Niech go inni spotykają! Nie! zawsze ja i ja!

– A on widział waści?

– Żeby on mnie widział, to byś ty już mnie, panie Michale, nie widział. Tego tylko brakowało!

– Ważna by to była rzecz wiedzieć – mówił Wołodyjowski – czy on goni za nami, czy też do Waładynki do Horpyny jedzie w tym mniemaniu, że nas po drodze ulapi?

– Mnie się widzi, że do Waładynki.

– Tak i musi być. Tedy my jedziemy w jedną stronę, a on w drugą, i teraz mila już albo dwie między nami, a za godzinę będzie pięć. Nim się po drodze o nas dowie i nawróci, będziemy w Żółkwi, nie tylko w Zbarażu.

– Tak mówisz, panie Michale? Chwała Bogu! Jakobyś mi plaster przyłożył! Ale powiedz mnie, jak to być może, by on był na wolności, skoro jego Rzędzian w ręce komendanta włodawskiego wydał?

– Po prostu uciekł.

– To już szyję takiemu komendantowi uciąć. Rzędzian! hej, Rzędzian!

– A czego jegomość chce? – pytał pacholek wstrzymując konia.

– Komuś ty Bohuna wydał?

– Panu Regowskiemu.

– A któż to ten pan Regowski?

– To wielki kawaler, porucznik pancerny spod chorągwi króla jegomości.

– Bodajże cię! – rzekł trzasnąwszy w palce Wołodyjowski – to już ja wiem! Nie pamiętasz no waćpan, co nam pan Longinus opowiadał o nieprzyjaźni pana Skrzetuskiego z Regowskim? To przecie pana Łaszczka strażnika krewniak i za jego konfuzję ma do Skrzetuskiego *odium*.

– Rozumiem, rozumiem! – zakrzyknął pan Zagłoba. – On to musiał Bohuna na złość puścić. Ale to kryminal taka sprawa i gardłem pachnie. Pierwszy będę delatorem!

– Daj go Boże spotkać – mruknął pan Michał – a pewnie do trybunałów nie pójdziemy.

Rzędzian nie wiedział dotąd, o co idzie, bo po odpowiedzi danej Zagłobie znów wysunął się naprzód do kniaziówny.

Jechali teraz wolno. Księżyc zeszedł, mgły, które z wieczora unosiły się nad ziemią, opadły – i noc zrobiła się widna. Wołodyjowski pogrzyżył się w zamyśleniu. Zagłoba przeżuwał jeszcze czas jakiś resztki przerażenia, na koniec rzekł:

– Dałżeby Bohun teraz i Rzędzianowi, gdyby go w ręce dostał!

– Powiedz mu waćpan nowinę, niech się strachu naje, a ja tymczasem pojedę przy kniaziównie – odpowiedział mały rycerz.

– Dobrze! Hej, Rzędzian!

– A czego? – pytał pacholek wstrzymując ponownie konie.

Pan Zagłoba zrównał się z nim i milczał przez chwilę, czekając, by Wołodyjowski i kniaziówna oddalili się dostatecznie; na koniec rzekł:

– Wiesz, co się stało?

– Nie wiem.

– Pan Regowski puścił Bohuna na wolność. Widziałem go w Płoskirowie.

– W Płoskirowie? teraz? – pytał Rzędzian.

– Teraz. A co? nie zlatujesz z kulbaki?

Promienie księżycy padały prosto na puciołowatą twarz pacholka i pan Zagłoba nie tylko nie dojrzał na niej przerażenia, ale z największym zdziwieniem spostrzegł ów wyraz srogiej, zwierzęcej prawie zawziętości, który Rzędzian miał wówczas, gdy Horpynę mordował.

– Cóż? to się Bohuna nie boisz czy co? – pytał stary szlachcic.

– Mój jegomość – odparł pacholek – jeżeli jego pan Regowski puścił, to już ja sam muszę na nowo pomsty nad nim szukać za moją krzywdę i pohańbienie. Przecie mu tego nie daruję, bom poprzysiągł, i gdyby nie to, że pannę odwozimy, zaraz bym w jego tropy pojechał: niechże moje nie przepada!

„Tfu! – pomyślał Zagłoba – wolę, żem temu pacholcowi nijakiej krzywdy nie uczynił.”

Po czym popędził konia i po chwili zrównał się z kniaziówną i Wołodyjowskim. Po godzinie drogi przepawali się przez Medwiedówkę i wjechali w las ciągnący się od samego brzegu rzeki dwoma czarnymi ścianami wzdłuż drogi.

– Już tę okolicę znam dobrze – rzekł Zagłoba. – Teraz ten bór niedługo się skończy, za nim będzie z ćwierć mili pola gołego, przez które idzie gościniec z Czarnego Ostrowu, a potem znów bory jeszcze większe, aż do Matczyna. Da Pan Bóg, że w Matczynie zastaniemy już chorągwie polskie.

– Pora już, żeby zbawienie przyszło! – mruknął Wołodyjowski.

Czas jakiś jechali w milczeniu, jasnym, oświetlonym przez promienie księżycy, gościńcem.

– Dwa wilki drogę przeszły! – rzekła nagle Helena.

– Widzę – odparł Wołodyjowski. – A ot, trzeci!

Szarawy cień przemknął się istotnie o sto kilkadziesiąt kroków przed końmi.

– Ot, czwarty! – zawołała kniaziówna.

– Nie, to sarna; patrz waćpanna: dwie, trzy!

– Co, u licha! – zakrzyknął pan Zagłoba. – Sarny za wilkami gonia! Świat, widzę, przewraca się do góry nogami.

– Jedźmy no nieco prędzej – rzekł zaniepokojonym głosem pan Wołodyjowski. – Rzędzian! bywaj! i z panną naprzód!

Pomknęli, ale Zagłoba pochylił się w pędzie do ucha Wołodyjowskiego i pytał:

– Panie Michale, a co tam nowego?
– Źle – orzekł mały rycerz. – Widziałeś waść: zwierz z legowisk ze snu się zrywa i nocą pomyka.
– Oj! A co to znaczy?
– To znaczy, że go płoszą.
– Kto?
– Wojska – Kozacy albo Tatarzy – idą nam od prawej ręki.
– A może nasze chorągwie?
– Nie może być, bo zwierz umyka od wschodu, od Piławiec, więc pewno Tatarzy szeroką ławą idą.
– Umykajmy, panie Michale, na miły Bóg!
– Nie ma innej rady. Ej, żeby tak tu kniaziówny nie było, podeszlibyśmy pod same czambuły, żeby z paru urwać, ale z nią... ciężka może być przeprawa, jeśli nas na oko wezmą.
– Bój się Boga, panie Michale. Skrećmy w lasy za tymi wilkami albo co?
– Nie może być, bo choćby nas zrazu nie dostali, to kraj przed nami zaleją, a potem jakże się wydostaniem?
– Niechże ich siarczyste pioruny zatrzasną! Tego nam tylko brakowało! Ej, panie Michale, czy się nie mylisz? Wilcy to przecież za koszem ciągną, nie przed nim pomykają.
– Które są po bokach, to ciągną za koszem i ze wszystkich okolic się zbierają, ale te, co na przedzie, to się płoszą. Widzisz no waść tam, na prawo, między drzewami: łuna świta!
– Jezusie Nazareński, Królu Żydowski!
– Cicho waść!... Siła jeszcze tego lasu?
– Zaraz się skończy.
– A potem pole?
– Tak jest. O Jezu!
– Cicho waść!... Za polem drugi las?
– Aż do Matczyna.
– Dobrze! byle nas na tym polu nie najechali! Jeżeli się do drugiego lasu szczęśliwie przedostaniem, tośmy i w domu. Jedźmy teraz razem! Szczęściem kniaziówna z Rzędzianem na Burlajowych koniach.
Popędzili konie i zrównali się z jadącymi na przedzie.
– Co to za łuna na prawo? – pytała kniaziówna.
– Mościa panno! – odrzekł mały rycerz – tu nie ma co ukrywać. To mogą być Tatarzy.
– Jezus Maria!
– Nie trwóż się waćpanna! Szyja moja w tym, że im umkniemy, a w Matczynie nasze chorągwie.
– Dla Boga! umykajmy! – rzekł Rzędzian.
Ucichli i mknęli jak duchy. Drzewa poczęły rzednąć, las kończył się – ale też i łuna nieco przygasła. Nagle Helena zwróciła się do małego rycerza.
– Mości panowie! – przysięgnijcie mi, że żywa nie pójdę w ich ręce!
– Nie pójdiesz! – odrzekł Wołodyjowski – pókim ja żyw!
Zaledwie skończył, wypadli z lasu na pole, a raczej na step, który ciągnął się blisko ćwierć mili, a na którego przeciwległym końcu czerniła się znów wstążka lasu. Halizna ta, ze wszystkich stron odkryta, srebrzyła się teraz cała od promieni księżyca i było na niej tak prawie widno, jak w dzień.
– To najgorszy szmat drogi! – szepnęła do Zagłoby Wołodyjowski – bo jeśli oni są w Czarnym Ostrowiu, to tędy pójda, między lasami.
Zagłoba nie odrzekł nic, jeno piętami konia ścisnął.
Dobiegli już do połowy pola, przeciwległy las stawał się coraz bliższy, wyraźniejszy, gdy nagle mały rycerz wyciągnął rękę ku wschodowi.
– Patrz waść – rzekł do Zagłoby – widzisz?
– Krze jakoweś i zarośla w dalekości.
– Te krze się ruszają! W konie teraz, w konie, bo już nas dojrzą niezawodnie!
Wiatr zaświstał w uszach uciekających – zbawczy las zbliżał się coraz bardziej.
Nagle z owej ciemnej masy zbliżającej się od prawej strony pola doleciał naprzód jakoby szum podobny do szumu fali morskich, a w chwilę potem jeden ogromny krzyk targnął powietrzem.
– Widzą nas! – ryknął Zagłoba. – Psy! szelmy! diabły! wilcy! łajdaki!
Las był tak blisko, że uciekający czuli już prawie surowe i chłodne jego tchnienie.
Ale też i chmura Tatarów stawała się coraz wyraźniejsza, a z ciemnego jej ciała poczęły wysuwać się długie odnogi, jakoby macki olbrzymiego potworu – i zbliżać się ku uciekającym z niepojętą szybkością. Wprawne uszy Wołodyjowskiego odróżniły już wyraźne wrzaski: „Aħa! Aħa!”
– Koń mi się potknął! – krzyknął Zagłoba.
– Nic to – odparł Wołodyjowski.
Ale przez głowę przelatywały mu na kształt piorunów pytania: co będzie, jeżeli konie nie wytrzymają? co będzie, jeżeli który z nich padnie? Były to dzielne tatarskie bachmaty, żelaznej wytrwałości, ale szły już od Płoskirowa, mało co wypoczywając po onym szalonym biegu od miasta aż do pierwszego lasu. Można się było wprawdzie przesiąść na luźne, lecz i luźne były znużone. „Co będzie?” – myślał pan Wołodyjowski i serce zabiło

mu trwoga, może po raz pierwszy w życiu – nie o siebie, ale o Helenę, którą w tej długiej podróży pokochał jak siostrę rodzoną. A wiedział i to, że Tatarzy raz zacząwszy gonitwę, nie ustaną tak prędko.

– Niechże nie ustają, a jej nie zgonią! – rzekł do siebie ścisnąwszy zęby.

– Koń mi się potknął! – zawołał po raz drugi Zagłoba.

– Nic to! – powtórzył Wołodyjowski.

Tymczasem wpadli do lasu. Objęła ich ciemność, ale też pojedynczy jeźdźcy tatarscy nie byli dalej za nimi, jak na kilkaset kroków.

Wszelako mały rycerz wiedział już, jak ma postąpić.

– Rzędzian! – krzyknął – skręcaj z panną w pierwszą drogę z gościńca.

– Dobrze, mój jegomość! – odrzekł pacholek.

Mały rycerz zwrócił się do Zagłoby:

– Pistolety w garść!

I jednocześnie położywszy rękę na cuglach konia pana Zagłoby, począł jego bieg hamować.

– Co robisz?! – krzyknął szlachcic.

– Nic to! Wstrzymuj waść konia.

Odległość między nimi a Rzędzianem, który umykał z Heleną, zaczęła się zwiększać coraz bardziej. Na koniec przybyli do miejsca, gdzie gościniec skręcał się dość nagle ku Zbarażowi, a wprost dalej szła wąska drożyna leśna wółprzesłonięta gałęziami. Rzędzian wpadł na nią i po chwili oboje z Heleną znikli w gęstwinie i ciemności.

Tymczasem Wołodyjowski wstrzymał konia swego i Zagłoby.

– Na miłosierdzie boskie! co czynisz? – ryczał szlachcic.

– Wstrzymamy pogoń. Nie ma innego dla kniaziówny ratunku.

– Zginiemy!

– To zginiemy. Stań tu waść na boku gościńca! tutaj! tutaj!

Obaj przyczaili się w ciemności pod drzewami – tymczasem gwałtowny tętent bachmatów tatarskich zbliżał się i huczał jak burza, aż się cały las nim rozlegał.

– Stało się! – rzekł Zagłoba i podniósł do ust bukłak z winem.

Pił i pił – po czym wstrząsnął się.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – zakrzyknął – gotowym na śmierć!

– Zaraz! zaraz! – rzekł Wołodyjowski. – Trzech idzie naprzód, tegom chciał!

Jakoż na jasnym gościńcu ukazało się trzech jeźdźców siedzących widocznie na najlepszych bachmatach, tak zwanych na Ukrainie wilczarach, bo w biegu wilka doganiały; za nimi o dwieście lub trzysta kroków pędziło kilkunastu innych, a dalej jeszcze cały gęsty, zbity tłum ordyńców.

Gdy trzej pierwsi zrównali się z zasadzką, huknęły dwa strzały, po czym Wołodyjowski rzucił się jak ryś na środek gościńca i w jednym mgnieniu oka, nim pan Zagłoba miał czas spojrzeć i pomyśleć, co się stało, trzeci Tatar padł jakby gromem rażony.

– W konie! – krzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, i ruszyli gościńcem na kształt dwóch wilków, za którymi stado zajadłych psów goni; tymczasem dalsi ordyńcy nadbiegli do trupów i poznawszy, że owe gonione wilki potrafią na śmierć ukąsić, wstrzymali nieco konie czekając na innych towarzyszków.

– Widzisz waść! – rzekł Wołodyjowski – wiedziałem, że się zatrzymają!

Ale jakkolwiek uciekający zyskali kilkaset kroków, przerwa w gonitwie nie trwała długo, tylko że Tatarzy biegli już większą kupą i nie wysuwali się pojedynczo naprzód.

Jednakże konie uciekających były zmęczone długą drogą i pęd ich słabł. Szczególnie koń Zagłoby, wiozący na grzbiecie tak znaczny ciężar, potknął się znowu raz i drugi; staremu szlachcicowi resztki włosów stanęły na głowie na myśl, że padnie.

– Panie Michale, najdroższy panie Michale! nie opuszczajże mnie! – wołał z desperacją.

– Bądź waść pewien! – odpowiedział mały rycerz.

– Żeby tego konia wilcy...

Nie skończył, gdy pierwsza strzała bzyknęła mu koło ucha, a za nią inne poczęły bzykać i świstać, i śpiewać, jakoby baki i pszczoły. Jedna przeleciała tak blisko, że prawie otarła się bełtem o uszy pana Zagłoby.

Wołodyjowski zwrócił się i znowu dał po dwakroć z pistoletów ognia do goniących.

Wtem koń pana Zagłoby potknął się tak silnie, że nozdrzami niemal zarył w ziemi.

– Na Boga żywego, koń mi pada! – krzyknął rozdierającym głosem szlachcic.

– Z kulbaki i w las! – zagrzmiął Wołodyjowski.

To rzekłszy sam osadził konia, zeskoczył i w chwilę później obaj z Zagłobą znikli w ciemnościach.

Ale manewr ten nie uszedł skończył oczu Tatarów i kilkadziesiąt z nich zeskoczywszy również z koni puściło się w pogoń za uciekającymi.

Gałęzie zerwały z głowy czapkę Zagłobie i biły go po twarzy, szarpały za żupan, ale szlachcic, wzięwszy nogi za pas, umykał, jakby mu trzydzieści lat wieku ubyło. Czasami padał, więc podnosił się i umykał jeszcze śpieszniej, sapiąc jak miechy kowalskie – na koniec stoczył się w głęboki wykrot i czuł, że się już nie wygramoli, bo siły opuściły go zupełnie.

– Gdzie waść jest? – spytał z cicha Wołodyjowski.

– Tu, w dole. Już po mnie! ratuj się, panie Michale.

Ale pan Michał bez wahania wskoczył do wykrotu i położył rękę na ustach pana Zagłoby.

– Cicho waść! może nas zminą! Będziem się zresztą bronili.

Tymczasem nadbiegli Tatarzy. Jedni z nich minęli istotnie wykrot, sądząc, że zbiegowie uciekają dalej, inni szli z wolna, obmacując drzewa i rozglądając się na wszystkie strony.

Rycerze utaili dech w piersiach.

„Niech tu który wpadnie – myślał w rozpaczy Zagłoba – to ja mu wpadnę!...”

Wtem iskry posypały się na wszystkie strony: Tatarzy poczęli krzesać ogień...

Przy blasku ich widać było dzikie twarze o wystających policzkach i nabrzękle wargi dmuchające w zatłone hubki. Przez jakiś czas chodzili tak wkoło, o kilkadziesiąt kroków od wykrotu, podobni do jakichś złowrogich widm leśnych – i zbliżali się coraz bardziej.

Ale w chwilę później jakieś dziwne szумы, szmery i zmieszane okrzyki poczęły dolatywać z gościńca i budzić uśpione głębie.

Tatarzy przestali krzesać i stanęli jak wryci; ręka Wołodyjowskiego wpila się w ramię Zagłoby.

Krzyki zwiększały się i nagle buchnęły czerwone światła, a wraz z nimi rozległa się salwa muszkietów – jedna, druga, trzecia – za nią okrzyki: „Ała”, szcęk szabel, kwik koni – tętent i wrzaski pomieszane. Na gościńcu wrzała bitwa.

– Nasi! nasi! – krzyknął Wołodyjowski.

– Bij! morduj! bij! siecz! rznij! – ryczał pan Zagłoba.

Sekunda jeszcze: koło wykrotu przebiegło w największym popłochu kilkudziesięciu Tatarów, którzy zmykali teraz co duchu ku swoim. Pan Wołodyjowski nie wytrzymał, skoczył za nimi – i jechał na ich karkach wśród gęstwy i ciemności.

Zagłoba pozostał sam na dnie jamy.

Po chwili próbował wyleźć, ale nie mógł. Bolały go wszystkie kości i zaledwie zdołał na nogach się utrzymać.

– Ha, łajdaki! – rzekł oglądając się na wszystkie strony – uciekliście! Szkoda, że tu który nie został. Miałbym kompanię w tej jamie i pokazałbym mu, gdzie pieprz rośnie. O poganie! narzną was tam teraz jak bydła! Dla Boga, hałas tam teraz coraz większy! Chciałbym, żeby to był sam książę Jeremi, bo ten by dopiero was przygrzał. Hałakujcie! hałakujcie! będą później wilcy nad waszym ścierwem hałakowali. Ale też ten pan Michał, żeby mnie tu samego zostawić. Ba, nic dziwnego! Łakomy, bo młody. Po tej ostatniej przeprawie już i do piekła bym z nim poszedł, bo to nie taki przyjaciel, co w potrzebie opuszcza. A osa to jest! W mig tamtych trzech ukąsił. Żebym to miał przynajmniej ze sobą ten bukłak... ale już go tam pewnie diabli wzięli... konie rozdeptały. Jaszczcie mnie tu jaka gadzina żgnie w tej jamie. Co to?

Krzyki i salwy muszkietów poczęły oddalać się w stronę pola i pierwszego lasu.

– Aha! – rzekł Zagłoba. – Już im na karkach jada! Nie wytrzymaliście, psubraty! Chwała bądź Bogu najwyższemu!

Krzyki oddalały się coraz bardziej.

– Zdrowo jada! – mruczał dalej szlachcic. – Ale to, widzę, przyjdzie mi posiedzieć w tej jamie. Tego by brakowało, żeby mnie wilcy zjedli. Naprzód Bohun, potem Tatarzy, a w końcu wilcy. Dajże, Boże, pal Bohunowi, a wścieklnę wilkom, bo o Tatarach już tam jakoś nasi myślą niezgorzej! Panie Michale! panie Michale!

Cisza odpowiedziała panu Zagłobie, tylko bór szumiał, a z dała coraz słabiej dochodziły okrzyki.

– Chyba się tu spać położę – czy co? Niechże to diabli porwą! Hej, panie Michale!

Ale cierpliwość pana Zagłoby na długą jeszcze miała być wystawiona próbę, bo szaro już było na niebie, gdy na gościńcu dał się ponownie słyszeć tętent, a następnie światła zabłyśły w mroku leśnym.

– Panie Michale! tu jestem! – zawołał szlachcic.

– To waść wylaż.

– Ba! kiedy nie mogę.

Pan Michał z łuczywem w garści stanął nad jamą i podając rękę Zagłobie, rzekł:

– No! Tatarów nie ma. Przejechaliśmy się na nich aż za tamten las.

– A któż to nadszedł?

– Kuszel i Roztworowski w dwa tysiące koni. Moi dragoni także są z nimi.

– A pogańców siła było?

– At! komunik parotysięczny.

– To chwała Bogu! dajże mi się czego napić, bom zemdłał.

W dwie godziny później pan Zagłoba, napojony i nakarmiony należycie, siedział na wygodnej kulbace wśród dragonów Wołodyjowskiego, a obok niego jechał mały rycerz i tak mówił:

– Już-że się waćpan nie martw, bo choć do Zbaraża razem z kniaziówną nie przyjedziemy, ale gorzej by było, gdyby wpadła w pogańskie ręce...

– A może Rzędzian nawróci jeszcze do Zbaraża? – pytał Zagłoba.

– Tego on nie uczyni, gościniec będzie zajęty; ów czambuł, któryśmy odparli, rychło wróci i w trop za nami iść będzie. Zresztą i Burlaj lada chwila nadciągnie i pierwej stanie pod Zbarażem, niżby Rzędzian mógł zdążyć. Z drugiej strony od Konstantynowa idą: Chmielnicki i chan.

– O dla Boga! toż oni właśnie z kniaziówną jakoby w matnię wpadną.

– Głowa też Rzędziana w tym, aby się między Zbarażem a Konstantynowem, póki czas, przemknął i nie pozwolił się pułkom Chmielnickiego albo chanowym czambułom ogarnąć. I widzisz waść, mocno ja ufam, że on to potrafi.

– Dajże tak, Boże!

– Chytry to jest pacholek jak lis. Waćpanu fortelów nie brak, ale on jeszcze chytrzejszy. Siłaśmy głowy nałamali, jak dziewczynę ratować, i w końcu ręce nam opadły, a przez niego wszystko się naprawiło. Będzie się on teraz wyślizgiwał jak wąż, gdyż i o własną skórę mu chodzi. Ufaj waść, bo i Bóg jest nad nią, który ją tyle razy ratował, i przypomnij sobie, że sam mi w Zbarażu ufać kazałeś wtenczas, kiedy to Zachar przyjeżdżał.

Zagłoba pokrzepił się nieco tymi słowami pana Michała, a następnie zamyślił się głęboko.

– Panie Michale – rzekł po chwili – a nie pytałeś Kuszla, co się ze Skrzetuskim dzieje?

– Jest już w Zbarażu i – chwalić Boga – zdrowy. Przyszedł z Zaćwilichowskim od księcia Koreckiego.

– A co my jemu powiemy?

– W tym sęk.

– Wszakże on ciągle myśli, że dziewczyna w Kijowie zamordowana?

– Tak jest.

– A nie mówiłeś teraz Kuszlowi albo komu, skąd jedziemy?

– Nie mówiłem, bom sobie myślał: lepiej się pierwej naradzimy.

– Wolałbym chyba o całej imprezie zamilczeć – rzekł Zagłoba. – Miałaby dziewczyna teraz, Boże uchwaj! wpaść znowu w ręce kozackie albo tatarskie, to dla Skrzetuskiego byłaby nowa boleść – taka właśnie, jakoby mu kto przyschłe rany rozdrapał.

– Głowę daję, że ją Rzędzian wyprowadzi.

– Dałbym i ja za to chętnie swoją, ale nieszczęście teraz na świecie jak dzuma grasuje. Lepiej już milczmy i na wolę bożą wszystko zdajmy.

– Niechże i tak będzie. Ale czy pan Podbipięta tajemnicy Skrzetuskiemu nie wyjawi?

– Chyba go nie znasz! Parol kawalerski dał, a to dla tego litewskiego powyrka święta rzecz.

Tu przyłączył się do nich Kuszal i jechali dalej razem – rozmawiając – przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca – o rzeczach publicznych, o przyjeździe regimentarzy do Zbaraża, które ksiązę Jeremi spowodował, o bliskim przyjeździe księcia i o nieuniknionej już straszliwej z całą potęgą Chmielnickiego rozprawie.

ROZDZIAŁ XXIV

W Zbarażu zastali pan Wołodyjowski i Zagłoba wszystkie wojska koronne, zgromadzone i na nieprzyjaciela czekające. Był tam i podczasy koronny, który spod Konstantynowa nadciągnął, i Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, który pod Barem pierwszej gromił, i trzeci regimentarz, pan Firlej z Dąbrowicy, kasztelan bełski, i pan Andrzej Sierakowski, pisarz koronny, i pan Konięcpolski, chorąży, i pan Przyjemski, generał artylerii, wojownik szczególnie w zdobywaniu miast i urządzaniu obrony biegły. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwarcianego, nie licząc kilku chorągwi księcia Jeremiego, które już poprzednio w Zbarażu stały.

Pan Przyjemski na południowych stokach miasta i zamku, za rzeczką Gniezną i dwoma stawami, zatoczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu można było zdobywać, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka. W tym to obozie mieli zamiar regimentarze dać odpór Chmielnickiemu i zatrzymać nawałnicę dopóty, dopóki by król z resztą sił i pospolitym ruszeniem wszystkiej szlachty nie nadciągnął. Ale czy był to zamiar wobec potęgi Chmielnickiego podobny do spełnienia? Wielu wątpiło i słusznie przytaczało wątpliwości powody, a między innymi i ten, że w samym obozie źle się działo. Naprzód, między wodzami wrzała tajona niezgoda. Regimentarze bowiem po niewoli przyszli pod Zbaraż ulegając w tym żądaniu księcia Jeremiego. Początkowo mieli regimentarze chęć bronić się pod Konstantynowem, ale gdy rozeszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony zostanie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskiemu wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzie indziej bić się nie będzie. Nie pomogły żadne perswazy ani powaga buławy i wkrótce regimentarze poznali, że jeżeli w dłuższym uporze trwać będą, tedy wojska, począwszy od poważnych znaków husarskich aż do ostatniego żołnierza z rot cudzoziemskich, opuszczą ich i zbiegną pod chorągwie Wiśniowieckiego. Był to jeden z tych smutnych, coraz częstszych w owym czasie przykładów niekarność wojskowej, którą zrodziły zarazem nieudolność wodzów, niezgody ich między sobą, bezprzykładna groza przed potęgą Chmielnickiego i niebываłe dotychczas klęski, a zwłaszcza piławiecka.

Tak więc regimentarze musieli ruszyć pod Zbaraż, gdzie władza mimo nominacji królewskich miała siłą rzeczy przejść w ręce Wiśniowieckiego, bo jego jednego tylko chciało słuchać wojsko, bić się i ginąć pod nim jednym. Ale tymczasem tego faktycznego wodza nie było jeszcze w Zbarażu, więc niepokój w wojsku wzrastał, karność rozluźniała się do reszty i serca upadały. Już było bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan ciągną z potęgą, jakiej od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy. Coraz nowe wieści nadlatywały do obozu, jakby złowrogie ptactwo, coraz nowe, coraz straszliwsze posłuchy, i wątpiły męstwo żołnierza. Były obawy, aby popłoch, podobny do piławieckiego, nie zerwał się nagle i nie rozproszył tej garści wojska, która zagradzała Chmielnickiemu drogę do serca Rzeczypospolitej. Wodzowie sami tracili głowy. Sprzeczne ich rozporządzenia nie były wcale wykonywane lub wykonywano je z niechęcią. Rzeczywiście jeden Jeremi mógł odwrócić klęskę wiszącą nad obozem, wojskiem i krajem.

Pan Zagłoba i Wołodyjowski, przybywszy z chorągwiemi Kuszla, wpadli zaraz w wir wojskowy, ledwie bowiem stanęli na majdanie, otoczyli ich towarzysze różnych znaków, pytając jeden przez drugiego o nowiny. Na widok jeńców tatarskich otucha wstąpiła zaraz w serca ciekawych: „Uszczknęli Tatarów! Jeńcy tatarscy! Bóg dał wiktoryę!” – powtarzali jedni. „Tatarzy tuż – i Burlaj z nimi!” – wołali drudzy. „Do broni, mości panowie! Na wały!” Wieść leciała przez obóz, a zwycięstwo Kuszlowe rosnęło przez drogę. Coraz więcej ludzi kupiło się naokół jeńców „Pościnać ich! – wołano – co tu będziemy z nimi robili!” Posypały się pytania tak gęsto, jakoby śnieżna zadymka, ale Kuszal nie chciał odpowiadać i poszedł z relacją do kwatery kasztelana bełskiego – zaś Wołodyjowskiego i Zaglobę witali przez ten czas znajomi spod chorągwi „ruskich”, a oni wykręcali się, jak mogli, było im bowiem również pilno zobaczyć się ze Skrzetuskim.

Znaleźli go w zamku, a z nim starego Zaćwilichowskiego, dwóch księży, miejscowych bernardynów, i pana Longina Podbiępięte. Skrzetuski ujrawszy ich przybladł nieco i oczy zmrużył, bo mu zbyt dużo wspomnień na myśl przywidli, aby miał bez bólu znieść ich widok. Jednakże powitał ich spokojnie, a nawet radośnie pytał, gdzie byli, i

zadowolili się pierwszą lepszą odpowiedzią, gdyż poczytując kniaziównę za umarłą, niczego już nie pragnął, niczego się nie spodziewał i najmniejsze podejrzenie nie wkrađło mu się do duszy, że ich długa nieobecność może być w jakimkolwiek z nią związku. Oni też słowem o celu wyprawy nie wspomnieli, choć pan Longinus spoglądał to na jednego, to na drugiego badawczym wzrokiem i wzdychał, i kręcił się na miejscu chcąc choć cień nadziei na ich obliczach wyczytać. Ale obydwaj zajęci byli Skrzetuskim, którego pan Michał co chwila brał w ramiona, bo mu serce miękło na widok tego wiernego i dawnego przyjaciela, który tyle się wycierpiał, tyle przeżył i tyle utracił, że prawie żyć nie miał po co.

– Ot! do kupy się znowu zbieramy wszyscy starzy towarzysze – mówił do Skrzetuskiego – i dobrze ci będzie z nami. Wojna też przyjdzie taka, widzę, jakiej jeszcze nie bywało, a z nią i rozkosze wielkie dla każdej duszy żołnierskiej. Byle ci Bóg dał zdrowie, nieraz jeszcze husarzy poprowadzisz!

– Bóg mi już zdrowie wrócił! – odpowiedział Skrzetuski – i sam sobie więcej nie życzę, jeno służyć, póki jest potrzeba.

Jakoż Skrzetuski zdrow był już w istocie, bo młodość i potężna siła zwalczyły w nim chorobę. Zgryzoty przeżarły mu duszę, ale ciała zgryźć nie mogły. Wychudł tylko bardzo i poźółkł tak, że czoło, policzki i nos miał jakby z wosku kościelnego uczynione. Dawna kamienna surowość została mu w twarzy i był w niej taki skrzepły spokój, jak w twarzach umarłych. Więcej jeszcze srebrnych nici wiło się w jego czarnej brodzie, a zresztą nie różnił się niczym od innych ludzi, chyba tym, że przeciw żołnierskiemu obyczajowi unikał gwarów, ciżby, pijatyk, chętniej z zakonnikami obcując, których rozmów o życiu klasztornym i o życiu przyszłym chciwie, bywało, słuchał. Jednakże służbę ściśle pełnił i co się tyczyło wojny albo spodziewanego oblężenia, tym na równi ze wszystkimi się zajmował.

Wnet też rozmowa zesłała na ten przedmiot; bo nikt o niczym innym nie myślał w całym obozie, w zamku i w mieście. Stary Zaćwilichowski wypytywał się o Tatarów i o Burląja, z którym z dawna miał znajomość.

– Wielki to jest wojennik – mówił – i aż żal, że przeciw ojczyźnie wraz z innymi powstaje. Razem służyliśmy pod Chocimiem – młodzik to był jeszcze, ale już obiecywał, że na niepospolitego męża wyrośnie.

– Przecie on jest z Zadnieprza i Zadnieprzańcom przywodzi – rzekł Skrzetuski – jakże się to stało, ojczu, że on teraz z południa od strony Kamieńca ciągnie?

– Widać – odrzekł Zaćwilichowski – umyślnie mu tam Chmielnicki zimowisko wyznaczył, gdyż Tuhaj-bej został nad Dnieprem, a ów murza wielki ma do Burląja rankor jeszcze z dawnych czasów. Nikt też Tatarom tyle sadła za skórę nie zalał, ile Burląj.

– A teraz będzie ich komilitonem!

– Tak jest! – rzekł Zaćwilichowski – takie czasy! Ale tu będzie nad nimi Chmielnicki czuwał, żeby się nie pozarli.

– A Chmielnickiego kiedy się tu, ojczu, spodziewacie? – pytał Wołodyjowski.

– Lada dzień, a zresztą, któż może wiedzieć? Powinni regimentarze podjazd za podjazdem wysyłać, a tego nie czynią. Ledwie uprosił, że Kuszla wysłali ku południowi, a panów Pigłowskich pod Czołhański Kamień. Chciałem i sam iść, ale tu ciągle rady i rady... Mają jeszcze wysłać i pana pisarza koronnego w kilkanaście chorągwi. Niechże się śpieszą, aby zaś nie było za późno. Daj tu Boże jak najprędzej naszego księcia, bo inaczej taka hańba jak pod Piławcami nas spotka.

– Widziałem tych żołnierów, kiedyśmy przez majdan przejeżdżali – rzecze Zagłoba – i tak myślę, że więcej między nimi kpów niż dobrych pachółków. Bazarnikami im być, nie naszymi komilitonami, którzy się w sławie kochamy, więcej ją od zdrowia ceniąc.

– Co waś gadasz! – burknął staruszek. – Nie ujmuję ja waszmości męstwa, choć dawniej inne miałem mniemanie, ale i to wszystko rycerstwo, co tu jest, to najprzedniejszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek miała Rzeczpospolita. Głowy jeno trzeba! wodza! Pan kamieniecki dobry harcownik, ale żaden wódz; pan Firlej stary, a co do podczaszego, no, ten razem z księciem Dominikiem pod Piławcami zdobył sobie reputację. Cóż dziwnego, że ich słuchać nie chcą? Żołnierz chętnie przeleje krew, jeżeli jest pewien, że go bez potrzeby nie wygubią. Ot i teraz: miast o oblężeniu myśleć, to się spierają, gdzie który będzie stał!

– Czy aby wiwendy jest dosyć? – pytał niespokojnie Zagłoba.

– I tego nie tyle, ile potrzeba, ale z paszą jeszcze gorzej. Jeżeli się oblężenie przez miesiąc przeciągnie, to chyba wióry a kamienie będziem koniom dawać.

– Jeszcze by czas o tym pomyśleć – rzekł Wołodyjowski.

– To idź im waś to powiedz. Daj Boże księcia, *repeto!*

– Nie waszmość jeden za nim wzdychasz – przerwał pan Longinus.

– Wiem o tym – odrzekł staruszek. – Spójrzycie waszmościowie na majdan. Wszyscy u wałów siedzą i z tęsknością w stronę Starego Zbaraża poglądają, inni zaś aż na wieże w mieście włączają, a krzyknie który z pustoty: „Idzie!” – to od radości szaleją. Nie tak spragniony jeleń *desiderat aquas*, jako my jego. Oby tylko przed Chmielnickim zdążył, bo już tak myślę, że tam musiały zajść *impedimenta*.

– My też się po całych dniach o jego przyjazd modlimy – odezwał się jeden z bernardynów.

Jakoż modlitwy i życzenia całego rycerstwa miały się niebawem ziścić, chociaż następny dzień przyniósł jeszcze większe obawy i pełno wróżb złowrogich. Dnia ósmego lipca, we czwartek, straszliwa burza rozszałała się nad miastem i świeżo zatoczonymi wałami obozu. Deszcz walił potokami. Część robót ziemnych spłynęła. Gniezna i oba stawy wezbrały. Wieczorem piorun huknął w piechotną chorągiew kasztelana bełskiego, Firleja; zabił kilku

ludzi, a samą chorągiew roztrzaskał na szczypki. Poczytano to za złe omen i za widomy znak gniewu bożego, tym bardziej że pan Firllej był kalwinem. Zagłoba proponował, by wysłać do niego deputację z żądaniem i prośbą, aby się nawrócił – „gdyż nie może być błogosławieństwa bożego dla wojska, którego wódz żyje w sprośnych błędach niebu obrzydłych”. Wielu podzielało to mniemanie i tylko powaga osoby kasztelańskiej i buławy wstrzymała wysłanie deputacji. Ale serca tym bardziej upadły. Burza też szalała bez przerwy. Wały, lubo wzmocnione kamieniami, łożą i ostrokołem, rozmiękły tak, że armaty poczęły grzęznąć. Musiano podkładać deski pod granatniki, moździerz i nawet pod oktawy. W głębokich fosach szumiała woda na chłopa wysoko. Noc nie przyniosła spokoju. Wichler gnał od wschodu coraz nowe olbrzymie zwały chmur, które kłębiąc się i przewalając ze straszliwym łoskotem po niebie wyrzucały nad Zbarażem wszystek swój zapas dżdżu, gromów, błyskawic... Tylko czeladź została w namiotach w obozie, towarzystwo zaś, starszyzna, nawet regimentarze, z wyjątkiem kasztelana kamienieckiego, schronili się do miasta. Gdyby Chmielnicki nadszedł był razem z tą burzą, byłby wziął obóz bez oporu!

Nazajutrz było już nieco lepiej, chociaż deszcz jeszcze popadywał. Dopiero koło piątej z południa wiatr przepędził chmury, błękit roztoczył się nad obozem, a w stronie Starego Zbaraża zajaśniała przepyszna siedmiobarwna tęcza, której potężny łuk jednym ramieniem za Stary Zbaraż przechodził, drugim zdawał się ssać wilgoć z Czarnego Lasu – i świecił się, i mienił, i grał na tle chmur uciekających.

Wówczas otucha wstąpiła w serca. Rycerstwo wróciło do obozu i wstąpiło na śliskie wały, aby widokiem tęczy oczy weselić. Zaraz poczęto rozprawiać gwarnie i zgadywać, co ten pomyślny znak zwiastuje, gdy wtem pan Wołodyjowski, stojąc wraz z innymi nad samą fosą, przysłonił swe rysie oczy ręką i zakrzyknął:

– Wojsko spod tęczy wychodzi! wojsko!

Zrobił się ruch, jakby wichler poruszył masą ludzi, a potem szmer zerwał się nagle. Słowa: „Wojsko idzie!” przeleciały jakoby strzała od jednego końca wałów do drugiego. Żołnierze poczęli się cisnąć, popychać, skłębiać. Szmary zrywały się i cichły; wszystkie dłonie spoczęły nad oczyma, wszystkie oczy wbiły się z wytężeniem w dal – serca tłukły się w piersiach – i patrzyli tak wszyscy, oddech w piersiach wstrzymując, zawieszeni między niepewnością i nadzieją!

A wtem pod siedmiobarwną bramą zamajaczyło coś i majaczyło coraz wyraźniej, i wynurzało się z dali, i zbliżało coraz bardziej, i widniało coraz dokładniej – aż w końcu ukazały się chorągwie, proporce, buńczuki – później las proporczyków – oczy nie dały dłużej wątpić: było to wojsko.

Wówczas jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, okrzyk niepojętej radości:

– Jeremi! Jeremi! Jeremi!

Najstarszych żołnierzy ogarnął po prostu szał. Jedni rzucili się z wałów, przebrnęli fosę i biegli piechotą przez zalaną wodą równinę ku zbliżającym się pułkom; drudzy lecieli do koni; inni śmieli się, inni płakali, składali ręce lub wyciągali je ku niebu, wołając: „Idzie nasz ojciec, nasz zbawca, nasz wódz!” Zdawać by się mogło, że oblężenie już zdjęte, Chmielnicki pokonany i zwycięstwo odniesione. Tymczasem pułki księcia podchodziły coraz bliżej, tak że można już było rozróżnić znaki. Szły więc naprzód, jako zwykle, lekkie pułki książęcych Tatarów, semenów i Wołochów; za nimi widać było cudzoziemską piechotę Machnickiego, dalej – armaty Wurcla, dragonię i poważne znaki husarskie. Promienie słońca łamały się na ich zbrojach, na grotach sterzących kopii – i szli wszyscy w blaskach niezwykajnych, jakoby już ich otaczała gloria zwycięstwa. Skrzetuski, stojący wraz z panem Longinem na wałach, poznał z dala swoją chorągiew, którą był w Zamościu zostawił – i wyśótkle policzki zarumieniły mu się nieco; odetchnął silnie po kilkakroć, jakby jakiś niezmierny ciężar zrzucił z piersi, i poweselał w oczach. Bo też i bliskie już były dla niego dni trudów nadludzkich oraz walk heroicznych, które najlepiej goją serce i pamięć bolesną gdzieś coraz głębiej na dno duszy strącają. Pułki zbliżyły się jeszcze i zaledwie tysiąc kroków dzieliło je od obozu. Nadbiegła też i starszyzna, by oglądać wejście książęce: więc trzej regimentarze, z nimi pan Przyjemski, pan chorąży koronny, pan starosta krasnostawski, pan Korf i wszyscy inni oficerowie tak chorągwi polskich, jak i cudzoziemskiego autoramentu. Podzielali oni ogólną radość, a szczególnie pan Lanckoroński, regimentarz, większy rycerz aniżeli wódz, ale w sławie wojennej rozkochany, wyciągał buławę w stronę, skąd przychodził Jeremi, i mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli:

– Oto tam nasz najwyższy wódz i ja pierwszy dank i władzę swą mu oddawam!

Pułki książęce zaczęły wchodzić do obozu. Było wszystkiego ludu trzy tysiące, ale za sto tysięcy serc przyrosło – bo byli to przecie wszystko zwycięzcy spod Pohrebyszcz, Niemirowa, Machnowki i Konstantynowa. Witali się tedy znajomi i przyjaciele. Za lekkimi pułkami wtoczyła się na koniec z trudem i artyleria wurcowska, prowadząc cztery hakownice, dwie oktawy srodze donośne i sześć zdobywczych organków. Książę, który ze Starego Zbaraża pułki ekspediował, wjechał dopiero wieczorem po zachodzie słońca. Zbiegło się, co żyło, na jego spotkanie. Żołnierze, pozapalawszy kaganki, ogarki, pochodnie i szczapy łuczywa, otoczyli tak książęcego dzianeta, że postępować nie mógł. Chwymano go też za cugle, by oczy widokiem bohatera dłużej napić. Całowano suknie książęce, a samego ledwie że nie porwano na ramiona. Uniesienie doszło do tego stopnia, że nie tylko żołnierze spod swojskich znaków, ale i roty cudzoziemskie oświadczyły, że przez kwartał darmo będą służyły. Coraz większy tłok czynił się naokół księcia, tak że kroku już postąpić nie mógł – siedział więc na swym białym dzianecie, otoczony żołnierzstwem, jak pasterz między owcami, a okrzykom i wiewatom nie było końca.

Wieczór się zrobił cichy, pogodny. Na ciemnym niebie zabłysło tysiące gwiazd i wnet zjawily się pomyślne wróżby. Właśnie gdy pan Lanckoroński zbliżył się do księcia z buławą w rękę, by mu ją oddać, jedna z gwiazd,

oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlaną, spadła z hukiem w stronę Konstantynowa, skąd miał nadciągnąć Chmielnicki, i zgasła.

– To Chmielnickiego gwiazda! – krzyknęli żołnierze. – Cud! cud! znak widomy!

Vivat Jeremi victor! – powtórzyło tysiące głosów, a wtem kasztelan kamieniecki zbliżył się i dał znak ręką, że chce mówić. Uciszyło się zaraz nieco, on zaś rzekł:

– Król mnie dał buławę, ale ja ją w twoje, godniejsze ręce, zwycięzco, oddaję i pierwszy twoich rozkazów chcę słuchać.

– I my z nim! – powtórzyli dwaj inni regimentarze.

Trzy buławy wyciągnęły się ku księciu, ale on rękę cofnął i odrzekł:

– Nie ja waszmościom dawałem buławy, więc ich nie będę odbierał.

– Bądź więc nad trzema czwartą! – rzekł Firlej.

– *Vivat Wiśniowiecki! Vivant regimentarze!* – krzyknęło rycerstwo. – Życ i umierać razem chcemy!

W tej chwili dzianet książęcy podniósł łeb, wstrząsnął farbowaną purpurowo grzywą i zarżał potężnie, aż wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpały się pragnieniem walki, dreszcz zapалу przebiegał przez ciała. Starszyzna nawet podzielała ogólne uniesienie. Podczaszy płakał i modlił się, a pan kasztelan kamieniecki i pan starosta krasnostawski pierwsi poczęli trzaskać szablami wtórując żołnierzom, którzy biegli na zręby wałów i wyciągając ręce w ciemności, wołali ku stronie, z której spodziewano się nieprzyjaciela:

– Bywajcie, psubraty! znajdziecie nas gotowych!

Tej nocy nikt nie spał w obozie i aż do rana grzmiały okrzyki i roily się światła błyszczące kaganków i pochodni.

Nad ranem przyszedł z podjazdu spod Czolhańskiego Kamienia pan pisarz koronny Sierakowski i przyniósł wiadomość o nieprzyjacielu, który o pięć mil od obozu się znajdował. Podjazd stoczył walkę z przeważnymi siłami ordyńców; zginęło w niej dwóch panów Mańkowskich, pan Oleksicz i kilku zacnego towarzystwa. Przywiezione języki twierdziły, że za onym komunikem chan i Chmielnicki idą z całą potęgą. Dzień zeszedł na oczekiwaniu i rozporządzeniach do obrony. Książę przyjąwszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu, gdzie miał stać, jak się bronić i jak innym w pomoc przychodzić. W obozie zapanował najlepszy duch; karność została przywrócona, a zamiast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności – widziałeś wszędy ład i sprawność. Do południa wszyscy byli na swych pozycjach. Straże przed obozem rozrzucone donosiły każdej chwili, co dzieje się w okolicy. W pobliskich wioskach wysłana czeladź brała żywność i paszę, ile się gdzie jeszcze dało złapać. Żołnierz stojąc na wałach gwarzył wesoło i śpiewał, a noc spędzono drzemiąc przy ogniskach, z ręką na szabli, w takiej gotowości, jakby co chwila szturm miał nastąpić.

Jakoż świtaniem poczęło się coś czernić w stronie Wiśniowca. Dzwony uderzyły w mieście na trwożę, a w obozie długie, żalonne głosy trąb pobudziły czujność żołnierzy. Piesze regimenta wyszły na wały, w przerwach stanęła jazda gotowa zerwać się za pierwszym znakiem do ataku, a przez całą długość okopu wzniosły się ku górze dymki od zapalonych lontów.

W tej samej chwili pojawił się książę na swoim białym dzianecie. Ubrany był w srebrne blachy, ale bez helmu. Najmniejszej troski nie było znać na jego czole; owszem, wesołość biła mu z oczu i twarzy.

– Mamy gości, mości panowie! mamy gości! – powtarzał przejeżdżając wzdłuż wałów.

Cisza nastała i słychać było łopotanie chorągwi, które lekki powiew wiatru to nadymał, to owijał naokoło drzewców. Tymczasem nieprzyjaciel zbliżył się tak, że można go było okiem ogarnąć.

Była to pierwsza fala, więc nie sam Chmielnicki z chanem, ale rekonesans złożony ze trzydziestu tysięcy wyborowych ordyńców uzbrojonych w łuki, samopały i szable. Zagarnawszy tysiąc pięćset pachołków wysłanych po żywność, szli gęstą ławą od Wiśniowca, potem wyciągnawszy się w długi półksiężyc poczęli zajeżdżać z przeciwnej strony ku Staremu Zbarażowi.

Ale tymczasem książę przekonał się, iż to tylko komunik, dał rozkaz, by jazda wyszła z okopów. Rozległy się głosy komendy, pułki zaczęły się ruszać i wychodzić zza wałów, jak pszczoły z ula. Równina napelniła się ludźmi i końmi. Z dała widać było rotmistrzów z buzdyganami w ręku oganiających chorągwie i szykujących je do boju. Konie parskwały rzeźwo – a czasem rzenie przebiegło szeregi. Potem z tej masy wysunęły się dwie chorągwie Tatarów i semenów książęcych i szły drobnym kłusem naprzód; łuki trzęsły się im na plecach, migotały kołpaki – i szli w milczeniu, a na czele ich jechał rudy Wierszuł, pod którym koń rzucał się jak szalony, co chwila zwieszając w powietrzu przednie kopyta, jakby chciał zerwać wędzidła i skoczyć co prędzej w zamęt.

Błękitu nieba nie plamiła żadna chmurka, dzień był jasny, przezroczysty – i widać ich było jak na dłoni.

W tej samej chwili od strony Starego Zbaraża ukazał się taborek książęcy, który nie zdołał wejść z całym wojskiem, a teraz nadażał co siły z obawy, aby ordyńcy nie ogarnęli go jednym zamachem. Jakoż nie uszedł ich oczu i wnet długi półksiężyc ruszył ku niemu z kopyta. Krzyki: „Ała!”, doleciały aż do uszu stojącej na wałach piechoty; chorągwie Wierszułła pomknęły jak wicher na ratunek.

Ale półksiężyc dobiegł prędzej do taborku i opasał go w jednej chwili jakoby czarną wstęgą, a jednocześnie kilka tysięcy ordyńców zwróciło się z wyciem nieludzkim ku Wierszułłowi starając się go również opasać. I tu dopiero można było poznać doświadczenie Wierszułła i sprawność jego żołnierzy. Widząc bowiem, że im zachodzą z prawej i lewej strony, rozdzielili się na troje i skoczyli na boki, po czym rozdzielili się na czworo, potem na dwoje – a za każdym razem nieprzyjaciel musiał się zwracać całą linią, bo przed sobą nie miał nikogo, a skrzydła już mu

rwano. Dopiero za czwartym razem uderzyli się pierś w pierś, ale Wierszuł uderzył całą siłą w najsłabsze miejsce, rozerwał je i od razu znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Wtedy porzucił go i szedł jak burza ku taborkowi nie dbając, że tamci zaraz mu na kark najadą.

Starzy praktycy patrząc na to z wałów uderzali się zbrojnymi dłońmi po łędźwiach, wykrzykując:

– Niech ich kule biją! tylko książęcy rotmistrze tak prowadzą!

Tymczasem Wierszuł natarłszy ostrym klinem na pierścień opasujący taborek przebił go tak, jak strzała przebija ciało żołnierza i w mgnieniu oka przedostał się do środka. Teraz zamiast dwóch bitew zawrzała jedna, ale tym zaciętsza. Cudny to był widok! W środku równiny taborek jakoby ruchoma forteca wyrzucał długie smugi dymu i ział ogniem – naokół zaś czerniło się mrowie ruchliwe, rozszalałe, niby jakiś wir olbrzymi, za wirem konie latające bez jeźdźców, w środku szum, wrzask, grzechotanie samopałów. Ci tłoczą się jedni przez drugich, tamci nie dają się rozrywać. Jak dzik otoczony broni się białymi kłami i tnie zajadłą psiarnią, tak ów tabor wśród chmary tatarskiej bronił się z rozpaczą i nadzieją, że z obozu pomoc większa od Wierszułowej mu przyjdzie.

Jakoż wkrótce na równinie zamigotały czerwone kolety dragonów Kuszla i Wołodyjowskiego – rzekłbyś: listki czerwone kwiatów, które wiatr żenie. Ci dobiegli do chmary tatarskiej i wpadli w nią jak w czarny las, tak że po chwili wcale ich nie było widać, tylko kotłowanie uczyniło się jeszcze większe. Dziwno było nawet żołnierzom, dlaczego książę nie przyjdzie od razu z dostateczną potęgą w pomoc otoczonym, ale on zwłóczył chcąc dowodnie pokazać żołnierzom, jakie to posiłki im prowadził – i przez to serce im podnieść i do większych jeszcze niebezpieczeństw przygotować.

Jednakże ogień w taborku słabiał; znać, już nabijać nie mieli czasu albo się rury muszkietów zbyt rozgrzały; natomiast wrzask Tatarów zwiększał się coraz bardziej, więc książę dał znak i trzy husarskie chorągwie: jedna jego własna pod Skrzetuskim, druga starosty krasnostawskiego, trzecia królewska pod panem Pigłowskim, runęły z obozu ku bitwie. Dobiegły i uderzywszy jak obuchem rozerwały od razu pierścień tatarski, potem spędziły go, zgmiotły na równinie, wyparły ku lasom, rozbiły raz jeszcze – i gnały o ćwierć mili od obozu, taborek zaś wśród radosnych okrzyków i huku dział zemknął bezpiecznie w okopy.

Tatarzy jednak czując, że za nimi idzie Chmielnicki i chan, nie znikli całkiem z oczu: owszem, wkrótce zjawili się na nowo i hańkakując obiegali cały obóz zajmując przy tym drogi, gościńce i wsie pobliskie, z których wkrótce podniosły się słupy czarnego dymu ku niebu. Mnóstwo ich harcowników zbliżyło się pod okopy, przeciw którym sypnęli się zaraz pojedynczo i kupkami żołnierze książęcy i kwarciani, szczególnie z tatarskich, wołoskich i dragońskich chorągwi.

Wierszuł nie mógł brać w harcach udziału, albowiem sześć razy w głowę cięty przy obronie taborku leżał jak nieżywy w namiocie; natomiast pan Wołodyjowski, choć cały już jak rak od krwi czerwony, za mało miał jeszcze ukontentowania i pierwszy wyruszył. Trwały owe harce aż do wieczora, na które z obozu piechoty i rycerstwo z górnych chorągwi patrzyło jak na widowisko. Przebiegano więc sobie wzajemnie, potykano się gromadami albo pojedynczo, chwytano żywcem niewolników. A pan Michał, co którego ucapił i odprowadził, to znów wracał; czerwony jego mundur uwijał się po całym poboju, aż go wreszcie Skrzetuski panu Lanckorońskiemu jako osobliwość z dala pokazał, bo ilekroć szepił się z Tatarem, rzekłbyś: w Tatara piorun trzasł. Zagłoba, choć pan Michał nie mógł go dosłyszeć, dodawał mu krzykiem z wałów ochoty, od czasu zaś do czasu zwracał się do stojących naokół żołnierzy i mówił:

– Patrzcie, waszmościowie! ja to uczyłem go szablą robić. Dobrze! dalejże po nim! Dalibóg – niedługo mnie dorówna!

Ale tymczasem słońce zaszło – i harcownik począł z wolna ściągać się z pola, na którym pozostały tylko trupy końskie i ludzkie. W mieście poczęto znów dzwonić na „Anioł Pański”.

Noc zapadała z wolna, jednakże ciemność nie nadchodziła, bo naokół świeciły luno. Palily się Załósce, Barzyńce, Lublanki, Stryjówka, Kretowice, Zarudzie, Wachłówka – i cała okolica, jak okiem sięgnąć, płonęła jednym pożarem. Dymy w nocy stały się czerwone, gwiazdy świeciły na różowym tle nieba. Chmary ptactwa z lasów, gąszczów i stawów podnosiły się z wrzaskiem okropnym i krążyły w powietrzu oświetlonym pożogą jakoby płomienie latające. Bydło w taborze, przerażone niezwykłym widokiem, poczęło ryczeć żałośnie.

– Nie może być – mówili między sobą w okopie starzy żołnierze – aby ów komunik tatarski takowe rozniecił pożary; pewnie to sam Chmielnicki z Kozakami i całą ordą się zbliża.

Jakoż nie były to czcze domysły, już bowiem pan Sierakowski przywiózł poprzedniego dnia wiadomość, że hetman zaporoski i chan tuż za komunikiem następują, czekano więc ich na pewno. Żołnierze co do jednego byli na okopach; lud na dachach i wieżach. Wszystkie serca były niespokojnie. Niewiasty szlochały po kościołach wyciągając ręce do Najświętszego Sakramentu. Gorsze od wszystkiego oczekiwanie przyniotło niezmiernym ciężarem miasto, zamek i obóz.

Ale nie trwało długo. Noc jeszcze nie zapadła zupełnie, gdy na widnokregu ukazały się pierwsze szeregi kozackie i tatarskie, za nimi drugie, trzecie, dziesiąte, setne, tysiączne. Rzekłbyś: wszystkie lasy i chaszczki zerwały się nagle z korzeni i idą na Zbaraż. Na próżno oczy ludzkie szukały końca tych szeregów; jak wzrok sięgnął, czerniło się mrowie ludzkie i końskie ginące w dymach i łunach oddalenia. Szli jak chmury albo jak szarańcza, która całą okolicę ruchomą, straszliwą masą pokryje. Przed nimi szedł groźny pomruk głosów ludzkich jak wicher szumiący w boru wśród wierzchołków starych sosen. Po czym zatrzymawszy się o ćwierć mili, poczęli się rozkładać i zapalać nocne ogniska.

– Widzicie ognie? – szeptali żołnierze – dalej idą, niż koń jednym tchem doleci.

– Jezus Maria! – mówił do Skrzetuskiego Zagłoba. – Mówię waćpanu, że lew jest we mnie i trwogi nie czuję, ale wolałbym, żeby ich jasne pioruny wszystkich do jutra zatrzaśły. Jak mi Bóg miły, że ich za wiele! Już chyba i na Dolinie Józefata większego tłoku nie będzie. I powiedz waćpan, o co tym złodziejom chodzi? Nie siedziałyby to każdy psubrat lepiej w domu? nie robiłyby spokojnie pańszczyzny? Co my winni, że nas Pan Bóg szlachtą, a ich chamami stworzył i powinni im być kazał? Tfu! złość mię porywa! Słodki ja człowiek, do rany mnie przyłożyć, ale niechże mię do pasji nie doprowadzają. Za dużo oni mieli swobód, za dużo chleba, toteż się rozmnożyli jak myszy w gumnie, a teraz się na kotów porywają... Poczekajcie! poczekajcie! Jest tu kot, co się nazywa książ Jarema, i drugi – Zagłoba! Co waść myślisz, czy będą tentowali traktatów? Żeby się tak w pokorę udali, jeszcze by ich można zdrowiem darować – co? Jedno mię ciągle niepokoi: czy wiwendy w obozie jest dosyć? A, do diabła! patrzcie no, waszmościowie, znowu tam ognie za tymi ogniami – i dalej ognie! niechże czarna śmierć spadnie na takowy *congressus*!

– Co waść mówisz o traktatach! – odrzekł Skrzetuski – gdy oni sądzą, iż wszystkich nas mają w rękę i jutro najdalej dostaną!

– Ale nie dostaną? co? – pytał Zagłoba.

– Boska w tym wola. W każdym razie, skoro tu jest książę, nie przyjdzie im łatwo.

– Otoś mnie waćpan pociesz! Nie o to mnie chodzi, by im łatwo nie przyszło – jeno, żeby wcale nie przyszło.

– Niemale to jest ukontentowanie dla żołnierza, gdy darmo gardła nie daje.

– Pewnie, pewnie... Niech to pioruny zapalą razem z waszym ukontentowaniem!

W tej chwili zbliżyli się Podbipięta i Wołodyjowski.

– Mówią, że ordy i kozactwa jest na pół miliona – rzekł Litwin.

– Bodaj waści język odjęło! – krzyknął Zagłoba. – Dobra nowina!

– Przy szturmach łatwiej ich ciąć niż w polu – odpowiedział ze słodyczą pan Longinus.

– Skoro się książę nasz i Chmielnicki nareszcie spotkali – rzekł pan Michał – to już o żadnych układach ani gadać. Albo starosta – albo kapucyn! Jutro sądny dzień będzie! – dodał zacierając ręce.

Mały rycerz miał słuszość. W tej wojnie, tak długiej, dwa lwy najstrasniejsze ani razu nie stanęły sobie oko w oko. Gromił jeden hetmanów i regimentarzy, drugi potężnych atamanów kozackich, za jednym i za drugim szło w trop zwycięstwo, jeden i drugi byli postrachem nieprzyjaciół – ale czyja szala miała przeważać w bezpośrednim spotkaniu, teraz dopiero miało się rozstrzygnąć. Wiśniowiecki patrzył bowiem z okopu na nieprzejrzane ćmy tatarskie, kozackie – i na próżno starał się je objąć okiem. Chmielnicki spoglądał z pola na zamek i obóz, myśląc w duszy: „Tam mój wróg najstraszliwszy; gdy tego zetrę, któż mi się oprze?”

Łatwo to było zgadnąć, że walka między tymi dwoma ludźmi będzie długa i zaciekła, ale rezultat nie mógł być wątpliwy. Ów książę na Lubniach i Wiśniowcu stał na czele piętnastu tysięcy ludzi licząc w to i służki obozowe, gdy tymczasem za chłopskim wodzem szły ludzyszcza mieszkające od Morza Azowskiego i Donu aż po ujścia Dunaju. Szedł więc z nim chan na czele ordy krymskiej, białogrodzkiej, nohajskiej i dobrudzkiej – szedł lud, który na wszystkich dorzeczach Dniestru i Dniepru zamieszkiwał, szli Niżowi i czerń nieprzeliczona – ze stepów, jarów, borów, miast, miasteczek, wsi i chutorów, i ci wszyscy, co pierw w dworskich lub koronnych chorągwiach służyli; szli Czerkasowie, karałusze wołoscy, Turcy sylistryjscy, Turcy rumelscy; szły nawet luźne watahy Serbów i Bułgarów. Zdawać się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porzuciły mroczne stepowe siedziby, ciągną na zachód, by nowe ziemie zająć, nowe państwo utworzyć.

Taki to był stosunek sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw morzu! Więc nie dziwota, że niejedno serce biło trwogą i że nie tylko w mieście, nie tylko w tym kącie kraju, ale i w całej Rzeczypospolitej patrzono na ten samotny okop, otoczony powodzią dzikich wojowników, jak na grobowiec wielkich rycerzy i wielkiego ich wodza.

Tak samo zapewne patrzył i Chmielnicki, bo ledwie ognie rozpały się dobrze w jego obozach, gdy przed okopami Kozak wysłaniec jał machać białą chorągwią, trąbić i krzyzczeć, by nie strzelano.

Straże wyszły i porwały go natychmiast.

– Od hetmana do księcia Jaremy – rzekł im.

Książę jeszcze z konia nie zsiadł i stał na okopie z twarzą pogodną jak niebo. Łuny odbijały mu się w oczach i oblóczyły różowym blaskiem jego delikatną, białą twarz. Kozak stanąwszy przed obliczem pańskim stracił mowę i tydy zadrżały pod nim, a mrowie przeszło mu przez ciało, choć to był stary wilk stepowy i jako poseł przybywał.

– Kto ty? – pytał książę wojewoda utkwivszy w niego swe spokojne źrenice.

– Ja setnik Sokół... od hetmana.

– A z czym przychodzisz?

Setnik począł bić czołem pokłony aż pod strzemiona książęce.

– Przebacz, władysko! co mnie kazali, to powiem, ja nie winien!

– Mów śmiało.

– Hetman kazał mi powiedzieć, że w gości przybył do Zbaraża i jutro w zamku was odwiedzi.

– Powiedz mu, że nie jutro, ale dziś wydają ucztę w zamku! – odrzekł książę.

Jakoż w godzinę później zagrzmiały na wiaty moździerz, wzniosły się radosne okrzyki – i wszystkie okna zamkowe zajaśniały od tysięcy żarzących świec jarzących.

Chan usłyszawszy wiatowate strzały, głosy trąb i kotłów wyszedł własną osobą przed namiot w towarzystwie brata Nuradyna, sułtana Gałgi, Tuhaj-beja i wielu murzów, a następnie posłał po Chmielnickiego.

Hetman, jakkolwiek nieco już podpiły, stawił się natychmiast i bijąc poklony, a zarazem przykładając palce do czoła, brody i piersi czekał na zapytanie.

Przez długi czas chan spoglądał na zamek świecący z dala jak olbrzymia latarnia i kiwał z lekka głową, na koniec pogładził się ręką po rzadkiej brodzie, która w dwóch długich kosmykach spadała na łasicową szubę i rzekł wskazując palcem na jaśniejące szyby:

– Hetmanie zaporoski, co tam jest?

– Najpotężniejszy carzu! – odrzekł Chmielnicki – to książę Jarema ucztuje.

Chan zdumiał się.

– Ucztuje?...

– Trupy to jutrzejsze dziś ucztują – odrzekł Chmielnicki.

Wtem nowe wystrzały huknęły na zamku, zabrzmiały trąby, a zmieszane okrzyki doszły aż do dostojnych uszu chanowych.

– Jeden Bóg – mruknął. – Lew jest w sercu tego gjaura.

I po chwili milczenia dodał:

– Wolałbym z nim stać niż z tobą.

Chmielnicki zadrzał. Ciężko on opłacał niezbędną przyjaźń tatarską, a do tego jeszcze nigdy nie był pewien straszliwego sojusznika. Lada fantazja chanowa, i wszystkie ordy mogły się zwrócić przeciw kozactwu, które wówczas byłoby zgubione bez ratunku. A przy tym wiedział Chmielnicki jeszcze i to, że chan pomagał mu wprawdzie dla łupów, dla darów, dla nieszczęsnego jasyru, uważając się jednak za prawowitego monarchę, wstydział się w duszy stawać po stronie buntu przeciw królowi, po stronie takiego „Chmiela” przeciw takiemu Wiśniowieckiemu.

Hetman kozacki upijał się częstokroć nie tylko z nałogu, ale i z desperacji...

– Wielki monarcho! – rzekł. – Jarema twój wróg. On to Tatarom odjął Zadnieprze, on pobitych murzów jako wilków po drzewach na postrach wieszał; on na Krym chciał iść ogniem i mieczem...

– A wy to nie czyniliście szkód w ulusach? – pytał chan.

– Jam twój niewolnik.

Sine wargi Tuhaj-beja poczęły drgać i kły błyskać; miał on między Kozakami śmiertelnego wroga, który swego czasu cały czambuł w pień mu wyciął i samego ledwie nie schwycił. Nazwisko jego cisnęło mu się teraz do ust z nieubłaganą siłą mściwych wspomnień, więc nie wytrzymał i począł warczeć z cicha:

– Burlaj! Burlaj!

– Tuhaj-beju! – rzekł natychmiast Chmielnicki – wy z Burlajem za najjaśniejszym i mądrym rozkazaniem chanowym zeszłego roku wodę na miecze leli.

Nowa salwa wystrzałów zamkowych przerwała dalszą rozmowę.

Chan rękę wyciągnął i zatoczył nią koło obejmujące Zbaraż miasto, zamek i okop.

– Jutro to moje? – pytał zwróciwszy się do Chmielnickiego.

– Jutro tamci pomrą – odparł Chmielnicki z oczyma utkwionymi w zamek.

Po czym na nowo jął bić poklony i ręką dotykać czoła, brody i piersi, uważając rozmowę za skończoną. Chan też otulił się w łasicową szubę, bo noc była chłodna, choć lipcowa, i rzekł zwróciwszy się ku namiotom:

– Późno już!...

– Wówczas wszyscy poczęli się kiwać, jakby jedną siłą poruszani, a on szedł do namiotu z wolna i poważnie, powtarzając z cicha:

– Jeden Bóg!...

Chmielnicki oddalił się również ku swoim, a przez drogę mruczał:

– Oddam ci zamek i miasto, i łupy, i jeńców, ale Jarema będzie mój, nie twój, choćby mi gardłem zapłacił za niego przyszło.

Stopniowo ogniska poczęły mdleć i gasnąć, stopniowo uciszał się głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów; jeszcze tu i owdzie odzywał się głos piszczałek lub wołania koniuchów tatarskich wyganiających konie na nocną paszę; po czym i te głosy umilkły i sen objął nieprzeliczone zastępy tatarskie i kozackie.

Tylko zamek huczał, grzmiał... wiwatował, jakby w nim wesele wyprawiano.

W obozie oczekiwano powszechnie, że szturm nazajutrz nastąpi. Jakoż od rana ruszyły się tłumy czerni, Kozaków, Tatarów i innych dzikich wojowników, ciągnących z Chmielnickim, i szły ku okopom na kształt czarnych chmur walących się na szczyt góry. Żołnierz, lubo już dnia poprzedniego na próżno starał się zliczyć ogniska, zdrętwiał teraz na widok tego morza głów. Lecz nie był to jeszcze szturm prawdziwy, ale raczej oględziny pola, szaniców, fos, wałów i całego polskiego obozu. I jak wzdęta fala morska, którą wiatr żenie z dalekiej roztoczy, przyjdzie, spiętrzy się, zapieni, uderzy z hukiem, a potem cofnie się w dal, tak oni uderzali tu i owdzie i znów się cofali, i znów uderzali jakby próbując oporu, jakby chcąc się przekonać, czy samym swym widokiem, czy samą liczbą nie zgnotą ducha, zanimby ciała zgnieść mogli.

Bili też z działo – i kule gęsto poczęły padać do obozu, z którego odpowiadały oktawy i ręczna strzelba, a jednocześnie na wałach pojawiła się procesja z Najświętszym Sakramentem, aby otrzeźwić zdrętwiałe wojsko. Niósł ksiądz Muchowiecki zlocistą monstrancję trzymając ją obu rękoma powyżej twarzy, a czasem podnosząc w górę – i szedł z przymkniętymi oczyma i ascetyczną twarzą, spokojny, przybrany w lamową kapę i pod baldachimem. Przy nim szło dwóch księży trzymając go pod łokcie: Jaskólski, kapelan husarski, czasu swego przesławny żołnierz, w

sztuce wojennej jakby wódz jaki doświadczony, i Żabkowski, również eks-wojskowy, olbrzymi bernardyn, siłą jednemu panu Longinowi w całym obozie ustępujący. Drażki baldachimowi nosiło czterech szlachty, między którymi był i Zagłoba – przed baldachimem zaś postępowały dziewczątka o słodkich twarzach sypiące kwiaty. Szli tedy przez całą długość wałów, a za nimi starszyzna wojskowa; żołnierzom zaś na widok monstrancji błyszczącej na kształt słońca, na widok spokoju księży i onych dziewczątek, przybranych w bieli, rosły serca, przybywała odwaga, zapal wstępował w dusze. Wiatr roznosił krzepiący zapach mirry palonej w trybularzach; głowy wszystkich pochylały się z pokorą. Muchowiecki od czasu do czasu wznosił monstrancję i oczy ku niebu – i intonował pieśń: „Przed tak wielkim Sakramentem”.

Dwa potężne głosy Jaskólskiego i Żabkowskiego podchwytywały ją w lot dośpiewując „upadajmy na twarzy” – a całe wojsko śpiewało dalej: „Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy!” Głęboki bas dział wtórował pieśni, a czasem kula armatnia przelatowała hucząc nad baldachimem i księżmi, czasem uderzywszy poniżej w wał zasypywała ich ziemią, aż pan Zagłoba kurczył się i przyciskał do drażka. Szczególniej strach chwytął go za włosy, gdy procesja dla modlitew stawała na miejscu. Wówczas trwało milczenie i kule słychać było doskonale, lecące stadem jak wielkie ptaki; Zagłoba tylko się czerwienił coraz mocniej, a ksiądz Jaskólski zezował ku polu i nie mogąc wytrzymać, mruzczał: „Kury im sadzać, nie z dział bić!” – bo istotnie bardzo złych mieli puszkarzy Kozacy, a on, jako dawny żołnierz, nie mógł spokojnie na takową niezręczność i takie marnowanie prochu patrzeć. I znowu szli dalej – aż doszli do drugiego końca wałów, na które też nie było ze strony nieprzyjaciela nigdzie wielkiego nacisku. Próbując tu i owdzie, szczególnie od zachodniego stawu, czy się nie uda wywołać popłochu, cofnęli się na koniec Tatarzy i Kozacy ku swoim stanowiskom i trwali w nich nie wysyłając nawet harcowników. Tymczasem procesja otrzeźwiła całkowicie obleżonych.

Widoczne już teraz było, że Chmielnicki czeka na przybycie swego taboru, jakkolwiek skądinąd tak pewny był, że pierwszy prawdziwy szturm wystarczy, iż zaledwie kilka szaićców pod armaty kazał usypać i żadnych innych ziemnych robót nie przedsięwziął, aby zagrozić obleżonym. Tabor nadciągnął nazajutrz i stanął, wóz przy wozie, w kilkudziesiąt rzędów, na miłę długości, od Werniaków aż ku Dębini – z nim przyszły jeszcze nowe siły, a mianowicie pyszna piechota zaporoska, prawie janczarom tureckim równa, do szturmów i wstępnego boju o wiele od czerni i Tatarów sposobniejsza.

Pamiętny wtorkowy dzień 13 listopada zeszedł na obustronnych gorączkowych przygotowaniach: już nie było wątpliwości, że szturm nastąpi, bo trąby, kotły i litaury grały od rana *larum* w kozackim obozie, a między tatarstwem huczał jak grzmot wielki święty bęben, bałt zwany... Wieczór uczynił się cichy, pogodny; jeno z obu stawów i Gniezny podniosły się lekkie mgły – na koniec pierwsza gwiazda zamigotała na niebie.

W tej chwili sześćdziesiąt armat kozackich ryknęło jednym głosem, nieprzejrzane zastępy ruszyły z krzykiem okropnym ku wałom – i szturm się rozpoczął.

Wojska stały na wałach i zdawało im się, że ziemia drży pod ich nogami; najstarsi żołnierze nie pamiętali nic podobnego.

– Jezus Maria! co to jest? – pytał Zagłoba stojąc obok Skrzetuskiego z husarią w przerwie wałowej – to nie ludzie idą na nas.

– Jakbyś waść wiedział, że nie ludzie; nieprzyjacieli woły przed sobą żenie, abyśmy się pierwej strzelbą na nie wysilili.

Stary szlachcic poczerwieniał jak burak, oczy wyszły mu na wierzch, a z ust. buchnęło jedno słowo, w którym cała wściekłość, cały przestach i wszystko co mógł myśleć w tej chwili, było zawarte:

– Łajdaki!..

Woły jak szalone, popędzane przez dzikich, półnagich czabańczuków batami i palącymi się pochodniami, zdziczałe ze strachu, biegły naprzód z rykiem okropnym, to zbijając się w kupę, to pędząc, to rozbiegając lub zwracając w tył, a pędzone krzykiem, parzone ogniem, smagane surowcem, leciały znów ku wałom. Aż Wurcel począł ziać ogniem i żelazem, wówczas dymy zakryły świat – niebo poczerwieniało – przerażone bydło rozproszyło się, jakby je piorun rozegnał, połowa go padła – a po ich trupach nieprzyjacieli szedł dalej.

Na przedzie, kluci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku, którymi fosę mieli zasypywać. Byli to chłopcy z okolic Zbaraża, którzy nie zdołali się schronić do miasta przed nawałą; zarówno młodzi mężczyźni, jak starcy i niewiasty. Biegło to wszystko z krzykiem, płaczem i wyciąganiem rąk ku niebu, i wołaniem o litość.

Włosy stawały na głowie od tego wycia, ale litość zmarła wówczas na ziemi: z jednej strony spisy kozackie pogrążyły się w ich plecy, z drugiej kule Wurcla miażdżyły nieszczęśnych, kartacze rwały ich na sztuki, ryły w nich bruzdy, więc biegli, bluzgali się we krwi – padali, podnosili się i znów biegli, bo pchała ich fala kozacka, kozacką turecka, tatarska...

Wnet fosa zapełniła się ciałami, krwią, worami z piaskiem – na koniec zrównała się i nieprzyjacieli z wyciem rzucił się przez nią.

Pułki pchały się jedne za drugimi; przy świetle działowego ognia widać było starszyznę, zaganianą buzdyanami coraz nowe zastępy na okop. Co najprzebrańszy lud rzucił się na kwatery i wojska Jeremiego, bo widział Chmielnicki, iż tam będzie opór największy. Szły więc: kurzenie siczowe, za nimi straszliwi perejasławscy z Łobodą, za nimi Woronczenko wiódł pułk czerkaski, Kułak pułk karwowski, Neczaj braclawski, Stepka humański, Mrozowicki korsuński – szli i kalniczanie, i potężny pułk białocerkiewski piętnaście tysięcy ludzi liczący – a z nim

sam Chmielnicki – w ogniu jak szatan czerwony, szeroką pierś na kule wystawiający, z twarzą lwa, okiem orła – w chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, w płomieniach na wszystko baczny, wszystkim rządzący.

Za mołojcami szli dzicy dońscy Kozacy; dalej Czerkasi walczący z bliska nożami, tuż Tuhaj-bej wiódł wyborowych nohajców; za nimi Subagazi białogrodzkich Tatarów, tuż Kurdłuk śniadych astrachańców zbrojnych w olbrzymie łuki i strzały, z których każda nieledwie za dzirynt ująć mogła. Szli jedni za drugimi tak gęsto, że gorący oddech z tyłu idących oblewał karki przodowym.

Ilu ich padło, nim doszli na koniec do owej fosy ciałami jeńców zasypanej, któż opowie, któż wyśpiewa! Lecz doszli i przeszli, i poczęli się drzeć na wały. Wówczas rzekłbyś, że ta noc gwiazdzista – to noc sądu ostatecznego. Działa, nie mogąc tłuc bliższych, ryczały ogniem nieustannym na dalsze szeregi. Granaty, kreśląc łuki ogniste po niebie, leciały z chichotem piekielnym, czyniąc w ciemności dzień jasny. Piechota niemiecka i polska łanowa, a obok niej spieszeni dragoni książęcy leli prawie wprost w twarze i piersi mołojców płomień i ołów.

Pierwsze ich szeregi chciały się cofać i pchać z tyłu, nie mogły. Więc marli na miejscu. Krew bluzgała pod stopami następujących. Wały stały się śliskie, obsuwały się po nich nogi, ręce, piersi. Oni darli się na nie, spadali i znów się darli, przykryci dymem, czarni od sadzy, kłuci, rąbani, strzelani, gardząc ranami i śmiercią. Miejscami walczone już na białą broń. Widziałeś ludzi jakby nieprzytomnych z wściekłości, z wyszczerzonymi zębami, z twarzą zalaną krwią... Żywi walczyli na drgającej masie pobitych i konających. Nie było już słychać komendy, jeno krzyk ogólny, straszny, w którym ginęło wszystko: i grzechot strzelb, i charczenie rannych, i jęki, i syk granatów.

I trwała ta walka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny. Naokół wału urósł drugi wał trupów – i tamował przystęp szturmującym. Siczowych wycięto niemal do nogi, pułk perejasławski leżał pokotem naokół wału; karwowski, braclawski i humański były zdziesiątkowane – ale inne pchały się jeszcze, popychane z tyłu przez gwardie hetmańskie, rumelskich Turków i urumbejskich Tatarów. Jednakże zamieszanie powstawało już w szeregach napastniczych, gdy tymczasem naokoło łanowe piechoty polskie, Niemcy i dragonia nie ustąpili dotąd ani piędzi. Zziąjani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpołobłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich ku nieprzyjacielowi tak właśnie, jak rozwścieczeni wilcy drą się ku stadu owiec. W tej chwili Chmielnicki natarł powtórnie z niedobitkami pierwszych pułków i z całą nietkniętą jeszcze potęgą białocerkwian, Tatarów, Turków i Czerkasów.

Działa z okopów przestały grzmieć, granaty świecić, tylko broń ręczna zgrzytała przez całą długość zachodniego wału. Zgiełk wszczął się na nowo. Na koniec i strzelba umilkła. Ciemności pokryły walczących.

I już żadne oko nie mogło widzieć, co się tam dzieje – jeno przewracało się coś w pomroce jakby olbrzymie cielsko potworu rzucające konwulsjami. Nawet z krzyków nie można było już poznać, czy brzmi w nich tryumf, czy rozpacz. Chwilami i one milkły, a wtedy słychać było tylko jakby olbrzymi jeden jęk rozlegający się ze wszech stron, spod ziemi, na ziemi, w powietrzu, wyżej i wyżej, jak gdyby i dusze odlatywały jęcząc z tego pobojo wiska.

Ale były to krótkie przerwy: po takiej chwili wrzaski i wycia odzywały się z większą jeszcze siłą, coraz chrapliwsze, coraz bardziej nieczłowiecze.

Wtem znów zagrział ogień ręcznej strzelby: to oberszter Machnicki z resztą piechoty przychodził w pomoc utrudzonym regimentom. Trąbki na odwrót poczęły grać w tylnych szeregach mołojców.

Nastąpiła przerwa, pułki kozackie oddaliły się od okopu na staję i stanęły pod osłoną własnych dział – ale nie minęło i pół godziny, gdy Chmielnicki znowu zerwał się i po raz trzeci gnał ich do szturm.

Ale wówczas na okopie ukazał się na koniu sam książę Jeremi. Łatwo go było poznać, bo porzecz i buńczuk hetmański wiały mu nad głową – a zaś przed nim i za nim niesiono kilkadziesiąt palących się krwawo pochodni. Wnet poczęto bić z dział do niego, ale niewprawni puszarce przierzucali kule daleko, aż za Gnieznę, on zaś stał spokojnie i patrzył w zbliżające się chmury...

Kozacy zwolnili kroku, jakby oczarowani tym widokiem.

– Jarema! Jarema! – poszedł cichy pomruk, niby szum wiatru, przez głębokie szeregi.

I stojąc na okopie wśród krwawych świateł wydawał im się ten groźny książę jakby olbrzym z baśni ludowej, więc drżenie przebiegło im utrudzone członki, a ręce czyniły znaki krzyża... On stał ciągle.

Skinął złotą buławą – i wnet złowrogie ptaństwo granatów zaszumiało na niebie i wpadło w następujące szeregi; zastępy zwinęły się jak smok śmiertelnie rażony; okrzyk przerażenia przeleciał z jednego końca ławy na drugi.

– Biegiem! biegiem! – rozległy się głosy pułkowników kozackich.

Czarna ława ruszyła całym pędem ku wałom, pod którymi mogła znaleźć ochronę od granatów, ale nie przebiegła jeszcze ani połowy drogi, gdy książę, widny ciągle jak na dłoni, zwrócił się nieco ku zachodowi i znów skinął złotą buławą.

Na ten znak od strony stawu, z przerwy między jego zwierciadłem a wałem, poczęła się wysuwać jazda – i w mgnieniu oka rozlała się na krańcu brzegowym równiny; przy świetle granatów widać było doskonale olbrzymie chorągwie husarii Skrzetuskiego i Zaćwilichowskiego, dragonię Kuszla i Wołodyjowskiego i Tatarów książęcych Roztworowskiego. Za nimi wysuwały się coraz nowe pułki semenów i Wołochów Bychowca. Nie tylko Chmielnicki, ale ostatni z ciurów kozackich poznał w jednej chwili, że zuchwały wódz postanowił rzucić całą jazdę w bok nieprzyjacielowi.

Natychmiast w szeregach mołojców zabrzmiały trąbki do odwrotu. „Czoło ku jeździe! czoło ku jeździe!” – rozległy się przerażone głosy. Jednocześnie zaś Chmielnicki usiłował zmienić front swych wojsk i jazdą od jazdy się zasłonić. Ale już czasu nie było. Zanim zdołał sprawić szyki, zerwały się książęce chorągwie i biegły jakby na skrzydłach z okrzykiem „Bij, zabij!”, z warkotaniem porzeczów, z świstem piór i żelaznym chrzęstem zbroi.

Husarie wraziły kopie w ścianę nieprzyjaciela i same wpadły za nimi jak orkan, przewalając i druzgocąc wszystko po drodze. Żadna siła ludzka, żaden rozkaz, żaden wódz nie zdołał już utrzymać pułków pieszych, na które pierwszy impet się zwrócił. Dziki popłoch ogarnął wyborową gwardię hetmańską. Białocerkwianie rzucali samopały, piszczele, spisy, kosy, kiścienie, szable i osłaniając głowy rękoma, gnali w obłędzie strachu, z rykiem zwierzęcym, na stojące w tyle oddziały Tatarów. Ale Tatarzy przyjęli ich ulewą strzał – więc rzucili się w bok i biegli wzdłuż taboru pod ogniem piechoty i dział Wurcla, ścieląc się trupem tak gęstym, że rzadko gdzie jeden na drugiego nie padał.

Ale tymczasem dziki Tuhaj-bej, wspomagany przez Subagaziego i Urum-murzę, uderzył z wściekłością na nawałę husarii. Nie miał on nadziei jej złamać, pragnął ją tylko choćby na krótko powstrzymać, aby przez ten czas sylistryjscy i rumelscy janczarowie mogli sformować się w czworoboki, a białocerkwieszczenie ochłonąć z pierwszego popłochu. Skoczył więc jak w dym – i sam leciał pierwszym szeregu nie jak wódz, ale jak prosty Tatar i siekł, zabijał, narażał się razem z innymi. Krzywe szable nohajców dzwoniły po pancerzach i harnaszach, a wycie wojowników głużyło wszystkie inne głosy. Lecz wytrzymać nie mogli. Wyparci z miejsca, naciskani straszonym ciężarem żelaznych jeźdźców, którym nie zwykli stawiać czoła otwarcie, spychani ku janczarom, cięci długimi mieczami, zrzucani z siodeł, kłuci, bici, gnieceni jak jadowite robactwo, bronili się jednak z taką wściekłością, że istotnie pęd husarii wstrzymany został. Tuhaj-bej w ukropie bojowym rzucał się na kształt niszczącego płomienia, a nohajcy szli przy nim, jak wilcy idą przy wilczycy.

Jednak ustępowali, coraz gęstszym trupem padając. Już krzyki „Ała!” grzmiące z pola zwiastowały, że janczarowie stanęli w ordynku, gdy do wściekłego Tuhaj-beja przypadł Skrzetuski i w łeb koncerzem go trzasnął. Lecz widać rycerz wszystkich sił jeszcze po chorobie nie odzyskał lub może kuta w Damaszku misiurka cięcie wstrzymała, dość że brzeszczot zwinął się na głowie i uderzywszy płaszczyną spękał się na drobne kawałki. Ale oczy Tuhaj-beja nocą natychmiast się powlokły, zdarł konia i padł na ręce nohajców, którzy porwawszy swego wodza pierzchli z wrzaskiem okropnym w obie strony, jak pierzcha mgła zwiana wichrem gwałtownym. Wszystkie jazdy książęce znalazły się teraz wobec janczarów rumelskich i sylistryjskich i wobec watah poturczeńców serbskich, które razem z janczarami utworzyły jeden potężny czworobok i cofały się z wolna ku taborowi, zwrócone frontem ku wrogom, najeżone rurami muszkietów, ostrzami długich włóczni, dziurytów, berdyszów i handzarów.

Chorągwie pancerne, dragońskie i semeńskie pędziły ku nim jak wichry, a na samym przedzie szła z łoskotem i tętentem husarska Skrzetuskiego. Sam on leciał na osłep w pierwszym szeregu, a przy nim pan Longinus na swej kobyle inflanckiej, ze straszliwym Zerwikapturem w ręku.

Czerwona wstęga ognia przeleciała z jednego końca czworoboku na drugi – kule zaświstały w uszach jeźdźców, gdzieś człowiek jęknął, gdzieś koń się zwałił, linia jazdy łamie się, ale oni pędzą dalej; już dobiegają, już janczary słyszą chrapanie i zdyszany oddech koni – czworobok zbija się jeszcze ciaśniej i pochyla mur włóczni, trzymanych żyłastymi rękoma, ku rozszalałym rumakom. Ile ostrz w tej chmurze, tyle śmierci grozi rycerzom.

Wtem jakiś husarz-wielkolud dopada w niepowstrzymanym pędzie do ściany czworoboku; przez chwilę widać kopyta olbrzymiego konia zwieszane w powietrzu; następnie rycerz i rumak wpadają w środek ścisku, druzgocąc włócznie, przewalając ludzi, łamiąc, miażdżąc, niwecząc.

Jak orzeł spada na stado białych pardew, a one zbite przed nim w lekliwą kupę idą na łup drapieżnika, który rwie je pazurami i dziobem – tak pan Longinus Podbipięta wpadłszy w środek nieprzyjacielskich szyków szalał ze swym Zerwikapturem. I nigdy trąba powietrzna nie czyni takich spustoszeń w młodym i gęstym lesie, jakie on czynił w ścisku janczarów. Straszny był: postać jego przybrała nieczłowiecze wymiary; kobyła zmieniła się w jakiegoś smoka zięjącego płomień z nozdrzy, a Zerwikaptur troił się w ręku rycerza. Kislar-Bak, olbrzymi aga, rzucił się na niego i padł przecięty na dwoje. Próżno co tęższe chłopcy wyciągną ręce, zastawią mu się włóczniami – wnet mrą, jakby rażeni gromem – on zaś tratuje po nich, ciska się w tłum największy i co machnie – rzekłbyś: kłosa pod kosą padają, robi się pustka, słychać wrzask przestraszenia, jęki, grzmot uderzeń, zgrzyt żelaza o czaszki i chrapanie piekielnej kobyły.

– Diw! diw! – wołają przerażone głosy.

W tej chwili żelazna nawała husarii ze Skrzetuskim na czele runęła bramą otwartą przez litewskiego rycerza: ściany czworoboku pękły jak ściany walącego się domu i masy janczarów rzuciły się w ucieczce na wszystkie strony.

Czas też był na to, bo nohajcy pod Subagazim wracali już, jak wilki krwi żądne, do bitwy, a z drugiej strony Chmielnicki zebrawszy na nowo białocerkwian szedł z pomocą janczarom – lecz teraz zmieszało się wszystko. Kozacy, Tatarzy, poturczeńcy, janczarowie uciekali w największym nieładzie i popłochu ku taborom, nie dając żadnego oporu. Jazda parła ich siekąc na osłep. Kto nie zginął w pierwszej staj, ginął w drugiej. Pogoń była tak zacięta, że chorągwie prześcignęły tylne szeregi uciekających; żołnierzom ręce mdlały od cięcia. Tłumy rzucały broń, chorągwie, czapki, a nawet świty. Białe kapuzy janczarskie pokryły jak śniegiem pole. Cała wyborna milicja Chmielnickiego, piechota, jazda, artyleria, posiłkowe oddziały tatarskie i tureckie utworzyły jedną bezładną masę, nieprzytomną, obłąkaną, osłepłą z przerażenia. Całe setki uciekały przed jednym towarzyszem. Husaria, rozbiwszy piechoty i Tatarów, uczyniła swoje, teraz zaś dragoni i lekkie chorągwie szły ze sobą w zawody, a na ich czele pan Wołodyjowski z Kuszlem szerzyli wiarę ludzką przechodzącą kłęski. Krew pokryła jedną kałużą straszliwe pobojowisko i chlupotała jak woda pod gwałtownymi uderzeniami kopyt końskich przyskakując na zbroje i twarze rycerzy.

Uciekające tłumy odetchnęły dopiero wśród wozów swego taboru, gdy trąby odwołały jazdę książęcą.

Rycerstwo wracało ze śpiewaniem i okrzykami radości, licząc po drodze dymiącymi szabłami trupy nieprzyjaciół. Ale któż mógł jednym rzutem oka rozmiary klęski ocenić? kto mógł wszystkich policzyć, gdy przy samym okopie leżały ciała jedne na drugich „na chłopca wysoko”? Żołnierze byli jakby zaccadzeni surowymi wyziewami krwi i potu. Szczęściem, od strony stawów wstał dość silny wiatr i zwał te zaduchy ku nieprzyjacielskim namiotom.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie straszliwego „Jaremy” z Chmielnickim.

Ale szturm nie był skończony, bo podczas gdy Wiśniowiecki odpierał ataki wymierzone na prawe skrzydło obozu, Burlaj na lewym o mało co nie stał się panem okopów. Obszedłszy cicho miasto i zamek na czele zadnieprzańskich wojowników dotarł do wschodniego stawu i uderzył potężnie na Firlajowe kwatery. Nie mogła wytrzymać uderzenia węgierska piechota tam stojąca, bo wały przy stawie nie były jeszcze dokończone – i pierwszy chorąży pierchnął z banderią, za nim zaś cały pośpieszył regiment. Burlaj wskoczył do środka, a za nim Zadnieprzańcy runęli jak niewstrzymany potok. Krzyki zwycięstwa dobiegły aż do przeciwnego krańca obozu! Kozacy pędząc za uciekającymi Węgrami rozbili mały oddział jazdy, zagwoździli kilka dział i już docierali do kwatery kasztelana bełskiego, gdy pan Przyjemski na czele kilku rot niemieckich nadbiegł z pomocą. Przebiwszy jednym pchnięciem chorążego, porwał za chorągiew i rzucił się z nią na nieprzyjaciela, za nim Niemcy zwarli się potężnie z kozactwem. Zawrzała straszliwa walka ręczna, w której z jednej strony zaciekłość i przygniatająca liczba Burlajowych zastępów, z drugiej męstwo starych lwów z trzydziestoletniej wojny szły ze sobą o lepszą. Na próżno Burlaj ciskał się w najgęstsze szeregi walczących na kształt rannego odyńca. Ani pogarda śmierci, z jaką walczyli mołojcy, ani ich wytrwałość nie mogła powstrzymać niepokonanych Niemców, którzy idąc murem naprzód, razili ich tak potężnie, że wyparli zaraz z miejsca, przyparli do okopów, zdziesiątkowali i po półgodzinnej walce wyrzucili precz za wały. Pan Przyjemski, zalany krwią, pierwszy zatknął swą chorągiew na nie dokończonym nasypie.

Położenie Burlaja było teraz straszne, musiał bowiem cofać się tąż samą drogą, którą nadszedł, a że Jeremi zgniół już właśnie atakujących prawe skrzydło, mógł więc z łatwością odciąć cały Burlajowy oddział. Przyszedł mu wprawdzie z pomocą Mrozowicki, na czele korsuńskich konnych mołojców, ale w tej chwili ukazała się husaria pana Konicpolskiego, do niej przyłączył się wracający z ataku na janczarów Skrzetuski i obaj odciepli cofającego się dotychczas w porządku Burlaja.

Jednym atakiem rozbili go w puch i wtedy to poczęła się rzeź okropna. Kozacy, mając zamkniętą drogę do taborów, mieli tylko drogę śmierci otwartą. Jedni też, nie prosząc pardonu, bronili się zaciekle gromadkami lub pojedynczo, inni próżno wyciągali ręce ku jeźdźcom huczącym jak wichur po bojowisku. Rozpoczęły się gonitwy, przebiegania, pojedyncze walki; wyszukiwania nieprzyjaciół ukrytych w rozpadlinach i nierównościach gruntu. Z okopów, aby oświecić pobojuwisko, zaczęto rzucać pozapalane maźnice ze smołą, które leciały jak ogniste meteory z grzywą płomienną. Przy tych czerwonych blaskach docinano reszty Zadnieprzańców.

Skoczył im jeszcze na pomoc i Subagazi, który dnia tego cudów męstwa dokazywał, ale przesławny Marek Sobieski, starosta krasnostawski, osadził go na miejscu, jak lew osadza dzikiego bawołu – więc widział już Burlaj, że znikąd nie ma ratunku. Aleś, Burlaju, sławę swą kozacką kochał więcej niż życie, dlategoś nie szukał ocalenia! Inni wymykali się w ciemnościach, kryli się po szczelinach, prześlizgiwali się między kopytami rumaków, on zaś szukał jeszcze wrogów. Tam ściał pana Dąbka i pana Rusieckiego, i młode lwie pacholę pana Aksaka, tego samego, który pod Konstantynowem nieśmiertelną okrył się sławą; potem porwał pana Sawickiego, potem dwóch od razu skrzydlatych husarzy rozciągnął na ziemi rodzącej, na koniec widząc ogromnego szlachcica przebiegającego z rykiem zubrowym pobojuwisko zerwał się i szedł jak błyszczący płomień na niego.

Pan Zagłoba – on to był bowiem – ryknął ze strachu jeszcze silniej i zwrócił konia do ucieczki. Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem, fortele jak błyskawice przelatywały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: „Mości panowie! kto w Boga wierzy!..” – i gnał jak wichur ku gęstszej kupie jeźdźców. Burlaj zaś przebiegał mu od boku jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: „Zdechnę ja i pchły moje!” – słyszał za sobą pryhanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i że żadna inna ręka, chyba jego własna, nie wyrwie go z Burlajowej paszczki.

Ale w tej ostatniej chwili, w tej już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestrasz zmięły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy, i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika.

– Zagłobę gonisz! – krzyknął nacierając z szabłą wzniesioną.

W tej chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów; uczyniło się widno. Burlaj spojrział i zdumiał.

Nie zdumiał usłyszawszy imię, ba go nigdy w życiu nie słyszał; ale poznałszy męża, którego jako Bohunowego przyjaciela ugaszczal niedawno w Jampolu.

Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła męznego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciał go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwałił z konia.

Było to na oku wszystkiego wojska. Radosnym wrzaskom usarskim odpowiedział okrzyk przerażenia mołojców, którzy widząc śmierć starego lwa czarnomorskiego stracili resztę ducha i zaniechali wszelkiego oporu. Których nie wyrwał z toni Subagazi, ci zginęli wszyscy do jednego – bo jeńców wcale tej straszliwej nocy nie brano.

Subagazi pierchnął ku taborom, goniony przez starostę krasnostawskiego i lekką jazdę. Szturm na całą linię okopów był odparty – tylko pod taborom kozackim wrzastał jeszcze wysłana w pogoń jazda.

Okrzyk tryumfu i radości wstrząsnął całym obozem obłożonych, a potężne okrzyki aż ku niebu się wzbijały. Krwawi żołnierze, okryci potem, pyłem, czarni od prochu, z ociekłymi twarzami, i brwią jeszcze zmarszczoną, z

plomieniem jeszcze nie zgasłym w oczach, stali oparci na bronii, chwytając piersiami powietrze, gotowi znów zerwać się do boju, gdyby tego zaszła potrzeba.

Ale powoli wracała i jazda z krwawego żniwa pod taborem; potem zjechał na pobojuwisko sam książę, a za nim regimentarze, pan chorąży, pan Marek Sobieski, pan Przyjemski. Cały ten świetny orszak posuwał się z wolna wzdłuż okopu.

– Niech żyje Jeremi! – wołało wojsko. – Niech żyje ojciec nasz!

A książę bez hełmu kłaniał się głową i buławą na wszystkie strony.

– Dziękuję waszmościom! dziękuję waszmościom! – powtarzał dźwięcznym, donośnym głosem.

Po czym zwrócił się do pana Przyjemskiego.

– Ten okop jest za duży! – rzekł.

Przyjemski skinął głową na znak zgody.

I przejechali wodze zwycięscy od zachodniego aż do wschodniego stawu, opatrując pobojuwisko, szkody, jakie nieprzyjaciel w wałach porobił, i same wały.

Tymczasem poza orszakiem księżęcym uniesieni zapałem żołnierze nieśli wśród okrzyków, na rękę, do obozu pana Zagłobę, jako największego tryumfatora w dniu dzisiejszym. Ze dwadzieścia tęgich rąk podtrzymywało w górze okazałą postać wojownika, wojownik zaś, czerwony, spocony, machając rękoma dla utrzymania równowagi, krzychał co siły:

– Ha! Zadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcej psubrat burłajowa! Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym! Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie. Trzymajcieże dobrze, macie trzymać! Miałem z nim robotę, wierzcie mi! O szelmy! lada hultaj dziś szlachcicowi się nadstawia! Ale mają za swoje. Ostrożnie! Puśćcie – do diabła!

– Niech żyje! niech żyje! – krzychała szlachta.

– Do księcia z nim! – powtarzali inni.

– Niech żyje! niech żyje!!!

Tymczasem hetman zaporoski, przypadszy do swego taboru, ryczał jak dziki ranny zwierz, darł żupan na piersiach i kaleczył sobie twarz. Starszyzna, ocalała z pogromu, otoczyła go w ponurym milczeniu, nie niosąc ani słowa pociechy, a jego obłęd prawie pochwylił. Wargi miał spienione, piętami bił w ziemię, obu rękoma szarpał włosy w czuprynie.

– Gdzie moje pułki!... gdzie mołojcy?... – powtarzał chrapliwym głosem. – Co powie chan, co powie Tuhaj-bej? Wydajcie mnie Jaremie! Niech moją głowę na pal wbiją!

Starszyzna milczała ponuro.

– Czemu mnie worożyły wiktoryę przepowiadały? – ryczał dalej hetman. – Urezać szyje wiedźmom!... czemu mnie mówiły, że Jaremę dostanę?

Zwykle, gdy ryk tego lwa wstrząsał taborem, pułkownicy milczeli – ale teraz lew był zwyciężony i zdeptany, szczęście zdawało się go opuszczać, więc klęska uzuchwiała starszyznę.

– Jaremie ne zderzysz – mruknął ponuro Stepka.

– Zgubisz nas i siebie! – ozwał się Mrozowicki.

Hetman skoczył ku nim jak tygrys.

– A kto sprawił Żółte Wody? kto Korsuń? kto Piławce?

– Ty! – rzekł szorstko Woronczenko – ale tam Wiśniowieckiego nie było.

Chmielnicki porwał się za czuprynę.

– Ja chanowi przyrzekł dziś nocleg w zamku! – wył w rozpacz.

Na to Kułak:

– Co ty chanowi przyrzekał, to twoja głowa! Ty jej pilnuj, by ci z karku nie spadła... ale do szturm nas nie pchaj, rabów bożych nie gub! Wałami Lachów otocz, szańce każ sypać pod puszkę – inaczej hore tobi.

– Hore tobi! – powtórzyły ponure głosy.

– Hore wam! – odrzekł Chmielnicki.

I tak oni rozmawiali groźnie jak grzmoty... Wreszcie Chmielnicki zatoczył się i rzucił na pęki owczych skór pokrytych dywanami w rogu namiotu.

Pułkownicy stali nad nim ze zwieszonymi głowami i długi czas trwało milczenie. Na koniec hetman podniósł głowę i zakrzyknął chrapliwie:

– Horyłki!...

– Nie będziesz pił! – warknął Wyhowski. – Chan przysze po ciebie.

Tymczasem chan siedział o milę drogi od pola bitwy, nie wiedząc, co się na placu dzieje. Noc była spokojna i ciepła, więc siedział przed namiotem wśród mułłów i agów – i w oczekiwaniu na nowiny pożywał daktylę ze srebrnej misy, obok stojącej, czasem zaś poglądał na wyiskrzone niebo, mrużąc:

– Mahomet Rosullah...

Wtem na spienionym koniu przypadł zdyszany, okryty krwią Subagazi; zeskoczył z siodła i zbliżywszy się szybko, począł bić pokłony, czekając na zapytanie.

– Mów! – rzekł chan ustami pełnymi daktyłów.

Subagaziemu słowa paliły płomieniem wargi, ale nie śmiał przemówić bez zwykłych tytułów, rozpoczął więc, bijąc ciągle czołem, w następujący sposób:

– Najpotężniejszy chanie wszystkich ord, wnuku Mahometa, samodzielny monarcho, panie mądry, panie szczęśliwy, panie drzewa zaleconego od Wschodu do Zachodu, panie drzewa kwitnącego...

Tu chan skinął ręką i przerwał, widząc na twarzy Subagaziego krew, a w oczach ból, żal i rozpacz, wypluł nie dojezdzone daktyle na rękę, następnie oddał je jednemu z mułłów, który przyjął je z oznakami czci nadzwyczajnej i zaraz spożywać począł – chan zaś rzekł:

– Mów prędko, Subagazi, i mądrze: azali obóz niewiernych wzięty?

– Bóg nie dał!

– Lachy?

– Zwycięzcy.

– Chmielnicki?

– Pobity.

– Tuhaj-bej?

– Ranny.

– Bóg jeden! – rzekł chan. – Ilu wiernych poszło do raju?

Subagazi wznosił oczy w górę i wskazał krwawą ręką na wyskrzone niebo.

– Ile tych światel u stóp Ałłacha – odrzekł uroczyście.

Tłusta twarz chanowa poczerwieniała: gniew chwycił go za piersi.

– Gdzie ten pies – pytał – który mi obiecał, że dziś w zamku będziemy spali? Gdzie ten wąż jadowity, którego Bóg zdepcze moją nogą? Niech się stawi i zda sprawę ze swych obmierzłych obietnic.

Kilku murzów ruszyło natychmiast po Chmielnickiego, chan zaś uspokajał się z wolna, na koniec rzekł:

– Bóg jeden!

Po czym zwrócił się do Subagaziego.

– Subagazi! – rzekł – krew jest na twojej twarzy.

– To krew niewiernych – odparł wojownik.

– Mów, jak ją rozlałeś, i ucieś nasze uszy męstwem wiernych.

Tu Subagazi począł opowiadać obszernie o całej bitwie wychwalając męstwo Tuhaj-beja, Gałgi i Nuradyna; nie zmilczał także i o Chmielnickim, owszem, wysławiał go na równi z innymi, wolę bożą jedynie i wściekłość niewiernych za przyczynę klęski podając. Jeden szczegół uderzył chana w jego opowiadaniu, mianowicie: że do Tatarów nie strzelano wcale z początku bitwy i że jazda książęca uderzyła na nich dopiero wtedy, gdy jej zastąpili pole.

– Ałłach!... nie chcieli ze mną wojny – rzekł chan – ale teraz za późno...

Tak było w istocie. Książę Jeremi z początku bitwy zabronił strzelać do Tatarów chcąc wpoić w żołnierzy przekonanie, że układy z chanem już rozpoczęte i że ordy pozornie tylko stają po stronie czerni. Później dopiero siłą rzeczy przyszło do spotkania i z Tatarami.

Chan kiwał głową namyślając się w tej chwili, czyby jeszcze nie lepiej było zwrócić oręż przeciw Chmielnickiemu, gdy nagle sam hetman stanął przed nim. Chmielnicki był już spokojny i zbliżył się z podniesioną głową, śmiało patrząc w oczy chanowe; na twarzy malowała mu się chytryść i odwaga.

– Zbliż się zdrajco – rzekł chan.

– Zbliża się hetman kozacki i nie zdrajca, ale wierny sojusznik, któremuś pomoc nie tylko w szczęściu, ale i w nieszczęściu obiecał – odrzekł Chmielnicki.

– Idź, nocuj w zamku! idź, wyciągnij za łeb Lachów z okopu, jakieś mi obiecywał!

– Wielki chanie wszystkich ord! – odrzekł silnym głosem Chmielnicki. – Jesteś potężny i obok sułtana najpotężniejszy na ziemi! Jesteś mądry i silny, ale czy możesz wypuścić strzałę z łuku aż pod gwiazdy albo zmierzyć głębokość morza?

Chan spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nie możesz – mówił coraz silniej Chmielnicki. – Tak i ja nie mogłem zmiarkować całej pychy i zuchwalstwa Jaremy! Zali mogłem podumać, że nie ułęknie się ciebie, chanie, że nie upokorzy się na twój widok, nie uderzy czołem przed tobą, ale wzniesie rękę zuchwałą na ciebie samego, przeleje krew twoich wojowników i będzie ci urągał, potężny monarcho, jak ostatniemu z twoich murzów? Gdybym ja tak śmiał myśleć, ciebie bym znieważył, którego czczę i miłuję.

– Ałłach! – rzekł chan coraz bardziej zdziwiony.

– Lecz to ci powiem – mówił dalej Chmielnicki z coraz większą pewnością w głosie i postawie – jesteś wielki i potężny; od Wschodu aż do Zachodu narody i monarchowie biją ci czołem i lwem zowią. Jeden Jarema nie pada na twarz przed twoją brodą; więc jeżeli go nie zetrzesz, jeżeli karku mu nie ugniesz i po jego grzbiecie nie będziesz na koń siadał, za nic twoja potęga, za nic twoja sława, bo powiedzą, że jeden książę lacki pohańbił krymskiego carza i kary nie odebrał – że on większy, że potężniejszy od ciebie...

Nastało głuche milczenie; murzowie, agowie i mułłowie patrzyli jak w słońce w twarz chana, tamując oddech w piersiach, a on oczy miał zamknięte i myślał.

Chmielnicki wsparł się buławą i czekał śmiało.

– Rzekłeś – przemówił w końcu chan – zegnę kark Jaremy, po jego grzbiecie na koń będę siadał, aby nie mówiono od Wschodu do Zachodu, że jeden pies niewierny mnie pohańbił.

– Bóg jest wielki! – zawołali jednym głosem murzowie.

Chmielnickiemu zaś radość strzeliła z oczu: za jedną drogą odwrócił zgubę wiszącą nad swą głową i sprzymierzeńca wątpliwego w najwierniejszego zmienił.

Ten lew umiał w każdej chwili w węża się przedzierzgnąć.

Oba obozy huczały do późna w noc, jak huczą pszczoły na wyroju, przygrzane słońcem wiosennym, a tymczasem na pobojuwisku spali snem nieprzebudzonym i wiecznym rycerze pobodzeni włóczniami, pocięci mieczem, poprzesywani przez strzały i kule. Księżyc zeszedł i rozpoczął wędrówkę po tym polu śmierci; więc odbijał się w kałużach skrzepłej krwi, wydobywał z pomroki coraz nowe stosy poległych, schodził z jednych ciał, wchodził cicho na drugie; przeglądał się w otwartych martwych źrenicach, oświecał sine twarze, szczątki potrzaskanej broni, trupy końskie – i promienie jego bladły coraz bardziej, jakby przerażone tym, co widziały. Po polu biegały gdzieniegdzie pojedynczo i gromadkami jakieś złowrogie postacie: to czeladź i ciury przyszli obdzierać pobitych, jak szakale przychodzą po lwach... Lecz jakaś zabobonna bojaźń spędziła i ich w końcu z pobojuwiska. Było coś straszliwego, coś tajemniczego zarazem w tym polu pokrytym trupami, w tym spokoju i nieruchomości żywych niedawno kształtów ludzkich, w tej cichej zgodzie, w jakiej leżeli obok siebie Polacy, Turcy, Tatarzy i Kozacy. Wiatr niekiedy zaszumiał w zaroślach rosnących na pobojuwisku, a żołnierzom czuwającym w okopie wydało się, że to dusze ludzkie kołują tak nad ciałami. Jakoż i mówiono, że gdy północ wybiła w Zbarażu, na całym polu, od okopu aż do taboru, zerwały się z szumem jakoby niezmierne stada ptastwa. Słyszano jakieś rozplakane głosy powietrzne, jakieś ogromne westchnienia, od których włosy wstawały na głowie – i jakieś jęki. Ci, co mieli lec jeszcze w tej walce i których uszy otwarte były na zaziemskie wołania, słyszeli wyraźnie, jak dusze polskie odlatując wołały: „Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!” – a zaś kozackie jęczały: „Chryste! Chryste, pomyłuj!” – bo jako w bratobójczej wojnie poległe nie mogły wprost do wiekuistej światłości ulecieć, ale przeznaczone im było lecieć gdzieś w dal ciemną i razem z wichrem krążyć nad padołem łez, i płakać, i jęczeć po nocach, dopóki odpuszczenia wspólnych win i zapomnienia, i zgody u nóg Chrystusowych nie wyżebrzą!..

Ale wówczas zatwardziły się jeszcze tym bardziej serca ludzkie i żaden anioł zgody nie przelatował nad pobojuwiskiem.

ROZDZIAŁ XXV

Nazajutrz, zanim słońce rozlało złote blaski na niebie, stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przyjemskim postanowili zamknąć wojska do ciasniejszych okopów. Pracowano nad tym gwałtownie całą noc – a husaria na równi ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu, ale też spali wszyscy, oprócz straży, kamiennym snem, bo i nieprzyjaciel pracował także w nocy, a następnie nie poruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba siedząc w namiocie spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami sera – i rozmawiali o trudach minionej nocy z tym zadowoleniem, z jakim żołnierze rozmawiają o świeżym zwycięstwie.

– Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju, a wstawać o rannym, jako czynili starożytni – mówił pan Zagłoba – ale na wojnie trudno! Opisz, kiedy możesz, wstajesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa, że dla takiego tałałajstwa musimy się inkomodować. Ale trudno! takie czasy! Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechciałoby się im nas budzić.

– Nie wiesz waćpan, czy siła naszych poległo? – pytał Podbipięta.

– I! niewielu; jak to zawsze bywa, że oblegających zawsze więcej ginie niż oblężonych. Waćpan się na tym nie znasz tak jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my, starzy praktycy, nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować.

– Przyuczę się i ja przy waćpanach – rzekł ze słodyczą pan Longinus.

– Pewnie, że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopisze, czego się nie bardzo spodziewam.

– Dajże waćpan spokój – ozwał się Skrzetuski. – Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podpięty, a daj Boże najlepszym rycerzom tak stawać, jak on wczoraj.

– Robiło się, co mogło – odrzekł Litwin – nie tyle, ile by się chciało.

– Owszem! owszem! wcale nieźle waćpan stawałeś – mówił protekcyjnie Zagłoba – a że cię inni przewyższyli (tu począł wąż podkrecać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczonej oczyma i westchnął marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł rażno pan Michał, wesoły jak szczygieł w pogodny ranek.

– No! tośmy w kupie! – zawołał pan Zagłoba. – Dajcieże mu piwa!

Mały rycerz uściśnął ręce trzem towarzyszom i rzekł:

– Żebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imainację! Nie przejdiesz, żebyś się nie potknął.

– Widziałem i ja to – odrzekł Zagłoba – bom też wstawszy przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata kury w całym powiecie lwowskim tyle jaj nie nanoszą. Ej, żeby to tak były jaja, dopiero byśmy używali na jajecznicę! A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicę największy specjał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Zjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików piecuchów, co to niecułki ułęgałek nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

– No! aleś waćpan wczoraj z Burlajem popisał! – rzekł mały rycerz – Burląja tak ściąć – ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Turecczyznę.

– Co? ha! – rzekł z zadowoleniem Zagłoba. – Nie pierwszozna mi to, nie pierwszozna, panie Michale. Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się w czterech tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt, choćby na Stambuł. Bo uważajcie tylko: pan Skrzetuski zabił Burdabuta, a wczoraj Tuhaj-beja...

– Tuhaj-bej nie zabit – przerwał porucznik – sam czułem, że mi się ostrze zwinęło; później też zaraz nas rozdzielili.

– Wszystko jedno – rzekł Zagłoba – nie przerywaj, panie Janie. Pan Michał usiekł w Warszawie Bohuna, jakeśmy ci to mówili...

– Lepiej byś waść nie wspominał – rzekł Litwin.

– Co się wymówiło, to się wymówiło – odparł Zagłoba. – Choć wolałbym był nie wspominać, ale idę dalej... otóż pan Podbipięta z Myszykiszek zdusił owego Pułjana, a ja Burlaja. Nie zmilczę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich ze jednego Burlaja i że pono najcięższą miałem robotę. Diabeł to był, nie Kozak, co? Żeby tak miał synów *legitime natos*, piękne bym im imię zostawił. Ciekawym tylko, co król jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej niż czym innym żywimy.

– Był większy od nas wszystkich rycerz – rzekł pan Longinus – a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta.

– A to ciekawym, kto taki? chyba w starożytności? – rzekł urażony Zagłoba.

– Nie w starożytności, ale; brateńku, ten, który króla Gustawa Adolfa pod Trzcianną razem z koniem obalił i w jasyr wziął – rzekł Litwin.

– A ja słyszałem, że było to pod Puckiem – wtrącił pan Michał.

– Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł – rzekł Skrzetuski.

– Tak jest! Wiem ja coś o tym – mówił przytykając oko pan Zagłoba – bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego, służył... wiem ja coś o tym! Modestia to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska i dlatego nikt go nie wie. Chociaż, wiercie w to, co powiem: Gustaw Adolf wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedynczym spotkaniu z Burlajem cięższa była robota – ja wam to mówię!

– To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa? – pytał Wołodyjowski.

– Albożem ci się pochwalił, panie Michale?... niech tam to już zostanie w niepamięci – mam ja się z czym i dziś pochwalić: co będę dawne czasy wspominał!... Strasznie to piwsko burczy w żywocie – a im więcej w nim sera, tym więcej burczy. Wolę winną polewkę – choć chwala Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy... Książę Żabkowski mnie mówił, że ponoć wiwendy skąpo, a on się tym bardzo niepokoi, bo ma brzuch jak gumno. Setny to bernardyn! Okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza niż mnicha. Kiedy by kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

– Ale – rzekł mały rycerz – nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynał sobie tej nocy książę Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży po prawej stronie zamku – i patrzył na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki strzela. Powiada tedy do Żabkowskiego: „Nie będę do Kozaków strzelał, bo zawsze to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta czynią; ale do Tatarów (powiada) nie wytrzymam!” – i jak jął dmuchać, tak ich podobno coś z pół kopy przez całą bitwę popsował.

– Żeby to wszystko duchowieństwo było takie! – westchnął Zagłoba. – Ale nasz Muchowiecki to jeno ręce ku niebu wznosi, a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje.

– Daj waść pokój – rzekł poważnie Skrzetuski. – Książę Muchowiecki święty książę i w tym masz najlepszy dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zachością schylają.

– Nie tylko ja też nie neguję jego świątobliwości – odparł Zagłoba – ale myślę, że i samego chana potrafiłyby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierdzić, aż wszy na nim koziołki ze strachu przewracają! Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojedę i ja z komisarzami. Znamy się z dawna i niegdyś wielce mnie miłował. Może też sobie przypomni.

– Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku, tak jak po polsku mówi – rzekł Skrzetuski.

– I ja tak samo, a z murzami znamy się jak łyse konie. Córki mi swoje chcieli w Krymie oddawać, żeby się potomstwa pięknego doczekać, a żem to był młody i paktów konwentów nie zawierałem ze swoją niewinnością, jako im Podbipięta z Myszykiszek, więcem tam siła figłów napłatał.

– Słuchać hadko! – rzekł pan Longinus spuszczać oczy.

– A waćpan to jako szpak wyuczony: jedno w kółko powtarza. Widać, że boćwinkowie mowy ludzkiej dobrze jeszcze nie umieją.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar dochodzący z zewnątrz namiotu – więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje. Mnóstwo żołnierzy stało na okopie spoglądając na okolicę, która w ciągu nocy zmieniła się znacznie i jeszcze w oczach się zmieniała. Kozacy również nie próżnowali od czasu ostatniego szturm, ale sypali szańce, zaciągali na nie działa tak długie i donośne, jakich nie było w polskim obozie, porozpoczynali poprzeczne, wężowato idące fosy, aprosze; z daleka wydawały się te nasypy jak tysiące olbrzymich kretowisk. Cała pochyła równina była nimi pokryta, świeżo skopana ziemia czerniła się wszędzie między zielonością – i wszędy mrowiło się od pracującego ludu. Na pierwszych wałach migotały także krasne czapki mołojców.

Książę stał także na okopie w towarzystwie starosty krasnostawskiego i pana Przyjemskiego. Poniżej kasztelan bełski poglądał przez perspektywę na roboty kozackie i mówił do podczaszego koronnego:

– Nieprzyjaciel rozpoczyna regularne oblężenie. Widzę, że trzeba nam będzie obrony w okopie poniechać i do zamku się przenieść.

Dosłyszał te słowa książę Jeremi i rzekł pochylając się z góry ku kasztelanowi:

– Niechże nas Bóg od tego broni, bo dobrowolnie jakoby w potrzask byśmy leżli. Tu nam żyć albo umierać.

– Takie i moje zdanie, choćbym miał co dzień jednego Burlaja zabijać – wtrącił pan Zagłoba. – Protestuję imieniem całego wojska przeciw zdaniu jasnie wielmożnego kasztelana bełskiego.

– To do waści nie należy! – rzekł książę.

– Cicho waść! – szepnął Wołodyjowski ciągnąc szlachcica za rękaw.

– Wygnieciemy ich w tych zakrywkach jako krety – mówił Zagłoba – a ja waszą książęcą mość proszę, aby mnie pierwszemu pozwolił iść z wycieczką. Znają oni mnie już dobrze, poznają jeszcze lepiej.

– Z wycieczką?... – rzekł nagle książę i zmarszczył brwi. – Czekaj no waść... noce z wieczora bywają ciemne...

Tu zwrócił się do starosty krasnostawskiego, do pana Przyjemskiego i do regimentarzy.

– Proszę waszmość panów na radę – rzekł.

I zstąpił z okopu, a za nim udała się cała starszszyna.

– Na miłość boską, co waćpan czynisz? – mówił Wołodyjowski do Zagłoby – cóż to? służby i dyscypliny nie znasz, że do rozmowy starszych się mieszasz? Książę łaskawy pan, ale w czasie wojny nie ma z nim żartów.

– Nic to, panie Michale! – odrzekł Zagłoba. – Pan Koniecpolski, ojciec, srogi był lew, a na moich radach siła polegał i niech mnie dziś wilcy zjedzą, jeżeli nie dlatego po dwakroć pogromił Gustawa Adolfa. Umieję ja z panami gadać! Albo i teraz! – zauważyłeś, jak książę *obstupił*, gdy mu wycieczkę doradziłem? Jeżeli Bóg da wiktoryę, czyja będzie zasługa – co? – twoja?

W tej chwili zbliżył się Zaćwilichowski.

– A co? Ryją! ryją jak świnie! – rzekł ukazując na pole.

– Wolalbym, żeby to były świnie – odpowiedział Zagłoba – bo kielbasy by nam tanio wypadły, a ich padło i dla psów się nie przygodzi. Dziś już musieli żołnierze kopać studnie w kwaterach pana Firleja, gdyż we wschodnim stawie od trupów wody nie znać. Nad ranem żółć w psubratach popękała i wszyscy spłynęli. Jak przyjdzie piątek, nie będzie można ryb jeść, bo mięsem karmione.

– Prawda jest – rzecze Zaćwilichowski – starym żołnierz, a tyle trupa dawnom nie widział, chyba pod Chocimiem przy szturmach janczarskich na nasz obóz.

– Zobaczysz go waszmość jeszcze więcej – ja to waszmości mówię!

– Myślę, że dziś wieczorem albo jeszcze i przed wieczorem znowu do szturmów ruszą.

– A ja powiadam, że do jutra zostawię nas w spokoju.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy na szanckach kozackich wykwitły długie białe dymy i kule z szumem przeleciały nad okopem.

– Masz waść! – rzekł Zaćwilichowski.

– Ba! sztuki wojennej nie znają! – odparł Zagłoba.

Stary Zaćwilichowski miał jednak słuszość. Chmielnicki rozpoczął regularne oblężenie, poprzecinał wszystkie drogi, wyjścia, odjął paszę, sypał aprosze i szanckę, podkopywał się wężownicami pod obóz, ale szturmów nie poniechał. Postanowił on nie dać spokoju oblężonym, nużyć ich, straszyć, trzymać w ustawicznej bezsenności i nękać dopóty, dopóki broń nie wypadnie z ich rąk zesztyniałych. Więc wieczorem znowu uderzył na kwatery Wiśniowieckiego z nie lepszym jak poprzedniego dnia skutkiem, tym bardziej że i mołojcy nie szli już z taką ochotą. Następnego dnia ogień nie ustawał ani na chwilę. Wężownice tak już były bliskie, że i ręczna strzelba donosiła do wałów; przykrywki ziemne dymiły jak małe wulkany od rana do wieczora. Nie była to walna bitwa, ale nieustająca szarpanina. Oblężeni wypadali niekiedy z wałów, a wówczas przychodziło do szabel, cepów, kos i włóczni. Ale zaledwie wygnieciono jednych mołojców, natychmiast przykrywki napelniają się nowym ludem. Żołnierz przez cały dzień nie miał ani chwili odpoczynku, a gdy nadszedł upragniony zachód słońca, rozpoczął się nowy szturm generalny – o wycieczce nie było co i myśleć.

W nocy 16 lipca uderzyli dwaj dzielni pułkownicy, Hładki i Nebaba, na kwatery książęce i ponieśli znów straszną klęskę. Trzy tysiące najdzielniejszych mołojców legło na placu – reszta, goniona przez starostę krasnostawskiego, uciekła w największym popłochu do taboru, rzucając broń i rogi z prochem. Również niefortunny koniec spotkał i Fedoreńka, który korzystając z gęstej mgły o mało na świtanie nie wziął miasta. Odparł go pan Korf na czele Niemców, a pan starosta krasnostawski i pan chorąży Koniecpolski wybili prawie do szczętu w ucieczce.

Lecz nic to było wszystko w porównaniu z okropną nawałą, jaka dnia 19 lipca rozpętała się nad okopem. Upředniej nocy wysypali Kozacy naprzeciw kwater Wiśniowieckiego wysoki wał, z którego armaty wielkiego kalibru ziały nieustannym ogniem, gdy zaś dzień minął i pierwsze gwiazdy zabyły na niebie, dziesiątki tysięcy ludzi ruszyły do ataku. Jednocześnie w dali ukazało się kilkadziesiąt straszliwych machin, podobnych do wież, które toczyły się z wolna ku okopowi. Po bokach ich wznosiły się na kształt potwornych skrzydeł mosty, które przez fosy miano przerzucać – a szczyty dymiły, świeciły i huczały wystrzałami lekkich działek, rusznic i samopółów. Słyły te wieże między mrowiem głów jakby olbrzymi pułkownicy – to czerwieńjąc się w ogniu armat, to nikiąc w dymie i ciemności. Żołnierze ukazywali je sobie z daleka, szepcąc:

– To hulaj-horodiny! Nas to Chmielnicki będzie meł w tych wiatrakach.

– Patrzcie, jak się toczą z hukiem, rzekłbyś: grzmoty!

– Z armat do nich! z armat! – wołali inni.

Jakoż puszkarze książęcy posyłali kulę za kulą, granat za granatem ku strasliwym machinom, ale że widać je było wówczas tylko, gdy wystrzwały rozdarły ciemność, więc kule miały je najczęściej.

Tymczasem zbita masa kozactwa napływała coraz bliżej, jak czarna fala płynąca nocą z dalekiej morskiej przestrzeni.

– Uf! – mówił pan Zagłoba stojąc wraz z jazdą przy Skrzetuskim – gorąco mi jak nigdy w życiu! Noc taka parna, że suchej nitki na mnie nie ma. Diabli nadali te maszyny! Sprawże, Boże, żeby się ziemia pod nimi rozstała, bo już mi kością w gardle stoją te łajdaki... amen! Ni zjeść; ni się wyspać... psi w lepszych kondycjach od nas żyją! Uf! jak parno!

Rzeczywiście powietrze było ciężkie i parne, a do tego przesycone wyziewami trupów gnijących od kilku dni na całym pobojowisku. Niebo przysłoniło się czarną i niską oponą chmur. Burza wisiała nad Zbarazem. Żołnierzom pod zbrojami pot oblewał ciało, a piersi oddychały z wysileniem.

W tej chwili bębny poczęły warczeć w ciemnościach.

– Już zaraz uderzą! – rzekł Skrzetuski. – Słyszysz waść? – bębnią.

– Słyszę. Żeby w nich diabli bębni! Czysta desperacja!

– Koli! koli! – zawrzały tłumy rzucając się ku okopom.

Bitwa zawrzała na całej długości okopu. Uderzono jednocześnie na Wiśniowieckiego, na Lanckorońskiego, na Firleja i Ostroroga, aby jeden drugiemu nie mógł przychodzić z pomocą. Kozactwo, spojone gorzałką, szło jeszcze zacieklej niż w czasie poprzednich szturmów, ale tym dzielniejszy napotykało opór. Duch bohaterski wodza ożywiało żołnierzy; groźne piechoty kwarciane złożone z chłopów mazurskich zbiły się tak z kozactwem, że pomieszały się z nim zupełnie. Walczono tam na kolby, pięści i zęby. Pod razami zawziętych Mazurów legło kilkuset najpyszniejszej piechoty zaporoskiej, ale wnet nowe tłumy zalały ich zupełnie. Bitwa na całej linii stawała się coraz zażartszą. Rury muszkietów paliły ręce żołnierzy, tchu im brakło, starszyźnie głos zamarł w gardzieli od wrzasków komendy. Starosta krasnostawski i Skrzetuski wypadli znów z jazdą i zajeżdżali z boku Kozaków, tratując całe pułki i pławiąc się we krwi.

Godzina upływała za godziną i szturm nie ustawał, bo straszliwe luki w szeregach kozackich Chmielnicki w jednym mgnieniu oka zapełniał nowymi siłami. Tatarzy dopomagali wrzaskiem, puszczając zarazem chmury strzał na broniących się żołnierzy; niektórzy stojąc w tyle czerni zaganiaли ją do szturmowania batami z byczego surowca. Wściekłość walczyła z wściekłością, pierś uderzała o pierś – mąż wiązał się w uścisku śmiertelnym z mężem...

I tak walczyli, jak walczą rozszukane fale morskie z wyspą skalistą.

Nagle ziemia zatrzęsała się pod nogami wojowników, a całe niebo stanęło w sinym ogniu, jakby już Bóg nie mógł dłużej patrzeć na okropności ludzkie. Łoskot straszliwy zgłuszył wrzaski ludzkie i huk armat. To artyleria niebieska rozpoczęła teraz straszliwą kanonadę. Grzmoty roztaczały się od wschodu na zachód. Zdawało się, że to niebo wraz z chmurami pękło i wali się na głowy walczących. Chwilami świat cały wyglądał jak jeden płomień, chwilami ślepo wszystko od ciemności i znów czerwone zygzaki gromów rozdzierały czarną oponę. Wicher uderzył raz i drugi, zerwał tysiące czapek, proporców, chorągwi i rozmiótł je w mgnieniu oka po pobojowisku. Pioruny poczęły walić jeden za drugim – potem nastąpił chaos grzmotów, błyskawic, wichru, ognia i ciemności – niebo się wściekło, jak ludzie.

Niepamiętna burza rozszalała się nad miastem, zamkiem, okopami i taborem. Bitwa została przerwana. Na koniec upusty niebieskie rozwarły się i nie strugi, ale potoki dżdżu poczęły lać na ziemię. Fala przysłoniła świat: o krok naprzód nie było nic widać. Trupy w fosie spływały. Pułki kozackie, porzuciwszy szturm, biegły jedne za drugimi ku taborowi, szły na oślep, spotykały się ze sobą i sądząc, że to nieprzyjaciel je goni, rozpraszały się w ciemności; za nimi topiąc się i przewracając umykały armaty, amunicje, wozy. Woda porozrywała roboty ziemne kozackie, szumiała w rowach i wężownicach, wciskała się w nakrywkę ziemne, lubo ubezpieczono je rowami, i biegła z szumem po równinie jakby goniąc uciekających wołów.

Deszcz walił coraz większy. Piechoty w okopie umknęły z wałów szukając pod namiotami schronienia, tylko dla jazdy starosty krasnostawskiego i Skrzetuskiego nie przychodził rozkaz odwrotu. Stali więc jeden przy drugim jakoby w jeziorze, strząsając z siebie wodę. Tymczasem burza poczęła z wolna przechodzić. Po północy deszcz wreszcie ustał. Między przerwami chmur tu i owdzie zabłyśły gwiazdy. Upłynęła jeszcze godzina – i woda trochę spadła. Wówczas przed chorągwią Skrzetuskiego ukazał się niespodzianie sam książę.

– Mości panowie – spytał – a ładownice wam nie zamokły?

– Suche, mości książę! – odpowiedział Skrzetuski.

– To dobrze! zsiąść mi z koni, ruszyć przez wodę ku onym beluardom, podsypać je prochem i zapalić. A cicho mi iść! Pan starosta krasnostawski pójdzie z wami.

– Według rozkazu! – odpowiedział Skrzetuski.

Wtem książę dojrzał mokrego pana Zagłobę.

– Waść się prosiłeś na wycieczkę – ruszajże teraz! – rzekł.

– Masz, diable kubrak! – mruknął pan Zagłoba. – Tego jeszcze brakowało!

W pół godziny potem dwa oddziały rycerzy po dwieście pięćdziesiąt ludzi, brodząc po pas w wodzie, biegły z szablami w ręku ku owym straszliwym „hulaj-horodynom” kozackim, stojącym o pół staja od okopu. Jeden oddział wiodł „lew nad lwy”, pan starosta krasnostawski, Marek Sobieski, który ani chciał słyszeć o pozostaniu w okopie, drugi – Skrzetuski. Czeladź niosła za rycerzami maźnice ze smołą, suche pochodnie i prochy, a oni szli cicho jak wily skradający się ciemną nocą ku odczarni.

Mały rycerz przyłączył się na ochotnika do Skrzetuskiego, bo kochał pan Michał takie wyprawy nad życie – dreptał więc teraz po wodzie mając radość w sercu, a szablę w dłoni; obok postępował pan Podbipięta z gołym Zerwikapturem, widny między wszystkimi, bo o dwie głowy od najwyższych wyższy; a między nimi nadażał sapiąc pan Zagłoba i mruczał z nieukontentowaniem, przedrzeźniając słowa książęce:

– „Chciało ci się wycieczki – ruszaj teraz!” Dobrze! Psu by się nie chciało iść na wesele przez taką wodę. Jeżeli doradzał wycieczkę w taki czas, to niech nigdy w życiu nic prócz wody nie piję! Ja nie kaczką, a mój brzuch nie czóło. Zawsze miałem abominację do wody, a cóż dopiero do takiej, w której chłopska padlina moknie...

– Cicho waść! – rzekł pan Michał.

– Waść sam cicho! Nie większyś od kielbisa i umiesz pływać, to ci łatwo. Powiem nawet, że niewdzięcznie to ze strony księcia, żeby mi jeszcze po zabiciu Burłaja nie dać spokoju. Dość już Zagłoba zrobił, niech jeno każdy tyle zrobi, a Zagłobie dajcie spokój, bo pięknie będziecie wyglądali, jak go nie stanie! Na Boga! jeżeli wpadnę w jaką dziurę, wyciągnijcież mnie, waćpanowie za uszy, bo się zaraz zaleję.

– Cicho waść! – rzekł Skrzetuski. – Kozacy tam siedzą, w tych ziemnych zakrywkach, jeszcze cię usłyszą.

– Gdzie? co waćpan gadasz?

– A tam, w onych kopcach pod darnią.

– Tego jeszcze brakowało! Niechże to jasne pioruny zatrzasną!

Resztę słów stłumił pan Michał położywszy Zagłobie dłoń na ustach, bo zakrywki były już ledwie o pięćdziesiąt kroków odległe. Szli wprawdzie cicho rycerze, ale woda chlupotała im pod nogami; szczęściem deszcz znowu zaczął padać i szum jego głuszył stapania.

Straży przy zakrywkach nie było. Któż bowiem spodziewałby się wycieczki po szturmie i po takiej burzy, która jakby jeziorem rozdzieliła walczących.

Pan Michał z panem Longinem skoczyli naprzód i pierwsi doszli do kopca. Mały rycerz puścił szablę na sznurek, złożył dłonie do ust i począł wołać:

– Hej, ludy!

– A szczo? – ozwały się ze środka głośno wołających, widocznie przekonanych, że to ktoś od taborów kozackich przychodzi.

– Sława Bohu! – odrzekł Wołodjowski – a puśćcie no!

– A to nie wiesz, jak wejść?

– Wiem już! – odrzekł Wołodjowski i zmacawszy wejście skoczył do środka.

Pan Longinus z kilku innymi runął za nim.

W tej chwili wewnątrz pokrywy zabrzmiało przeraźliwym wyciem ludzkim – jednocześnie rycerstwo wydawszy okrzyk rzuciło się ku innym kopcom. W ciemności rozległy się jęki, szczęk żelaza, gdzieś przebiegały jakieś ciemne postacie, inne padały na ziemię, czasem huknął wystrzał – ale wszystko razem nie trwało dłużej jak kwadrans. Wołający, zaskoczeni po największej części w śnie głębokim, nie bronili się nawet – i wygnieciono ich wszystkich, zanim zdążyli za broń chwycić.

– Do hulaj-grodów! do hulaj-grodów! – rozległ się głos starosty krasnostawskiego.

Rycerstwo rzuciło się ku wieżom.

– Palić od środka, bo z wierzchu mokre! – zagrmiał Skrzetuski.

Ale rozkaz niełatwy był do wykonania. W wieżach budowanych z bierwion sosnowych nie było ani drzwi ani żadnego otworu. Strzelcy kozaccy wchodził na nie po drabinach, działa zaś, ponieważ mogły się mieścić tylko mniejsze, wciągano na powrozach. Rycerze biegali więc czas jakiś naokoło, próżno siekąc szablami belki lub szarpiąc rękoma za węgły.

Na szczęście czeladź miała siekiery; poczęto rąbać. Starosta krasnostawski kazał też podkładać puszkę z prochem umyślnie na ten cel przygotowane. Pozapalano maźnice ze smołą, jak również pochodnie – i płomień począł lizać mokre, lecz przesiąknięte żywicą bierwiona.

Zanim jednakże zajęły się bierwiona, zanim prochy wybuchły, pan Longinus schylił się i podniósł ogromny głaz wydobyty z ziemi przez Kozaków.

Czterech najtęższych z ludu mocarzy nie ruszyłoby go z miejsca, lecz on kołysał nim w potężnych rękach – i tylko przy świetle maźnic widać było, że krew wystąpiła mu na twarz. Rycerze oniemieli z podziwu.

– To Herkules! niechże go kule biją! – wołali wznosząc ręce do góry.

Tymczasem pan Longinus zbliżył się do nie podpalonej jeszcze beluardy, przechylił się w tył i puścił kamień w sam środek ściany.

Obecni aż pochylili głowy, tak głaz huczał. Pękły od ciosu zaraz spojenia; rozległ się trzask, wieża rozwarła się jak złamane podwoje i runęła z łoskotem.

Stos drzewa polano smołą i podpalono w jednej chwili.

Po jakimś czasie kilkadziesiąt olbrzymich płomieni oświetliło całą równinę. Deszcz padał ciągle, ale ogień przemógł go – i „paliły się te beluardy z podziwem obu wojsk, jako że w dzień tak mokry”.

Skoczyli na pomoc z kozackiego taboru Stepka, Kułak i Mrozowicki, każdy na czele kilku tysięcy wołających, i próbowali gasić – próżno! Słupy ognia i czerwonego dymu strzelały coraz potężniej ku niebu, odbijając się w jeziorkach i kałużach, których burza naczyniła na pobojowisku.

Tymczasem rycerze wracali w ściśniętych szeregach do okopu, gdzie z daleka już witano ich radosnymi okrzykami.

Nagle Skrzetuski obejrzał się naokoło, rzucił okiem w głąb szeregu i krzyknął grzmiącym głosem:

– Stój!

Pana Longina i małego rycerza nie było między wracającymi.

Widocznie, uniesieni zapałem, zbyt długo zabawili się przy ostatniej beluardzie, a może odnaleźli gdzie zatajonych jeszcze mołojców, dość, iż widocznie nie spostrzegli odwrotu.

– Naprzód! – skomenderował Skrzetuski.

Starosta krasnostawski, idąc na drugim końcu szeregu, nie rozumiał, co zaszło, i biegł pytać – gdy w tejże chwili obaj pożądanymi rycerzami ukazali się, jakby spod ziemi wyrosli, na pół drogi między beluardami a rycerstwem.

Pan Longinus z błyszczącym Zerwikapturem w rękę stąpał olbrzymimi krokami, a przy nim biegł klusem pan Michał. Obaj głowy mieli zwrócone ku goniącym ich na kształt zgrai psów mołojcom.

Przy czerwonej łunie pożaru widać było całą goniącą doskonale. Rzekłbyś: olbrzymia łosza uchodzi przed gromadą strzelców ze swoim małym, gotowa w każdej chwili rzucić się na napastników.

– Zginą! na miłosierdzie boskie, prędzej! – krzyczał rozdzierającym głosem pan Zagłoba – ustrzelą ich z łuków albo z puszczeli! Na rany Chrystusa, prędzej!

I nie bacząc na to, że nowa bitwa może się za chwilę zawiązać, leciał z szablą w rękę razem ze Skrzetuskim i innymi na pomoc, utykał, przewracał się, podnosił, sapał, krzyczał, trząsał się cały i gnał resztkami nóg i tchu.

Jednakże mołojcy nie strzelali, bo samopały zamokły, a cięciwy łuków rozmiękły – więc nacierali jeno coraz bliżej. Kilkunastu ich wysforowało się naprzód i już, już mieli dobiec, ale wówczas obaj rycerze zwrócili się ku nim jak odyńce i wydawszy krzyk okropny wzniesli szable do góry. Kozacy stanęli w miejscu.

Pan Longinus ze swym olbrzymim mieczem wydawał im się jakąś nadprzyrodzoną istotą.

I jako dwa bure wilki zbyt napierane przez ogary odwrócił się i błysną białymi kłami, a psiarnia, skomląc z dala, nie śmie się na nie rzucić, tak i oni odwracali się po kilkakroć i za każdym razem biegnący na przód stawali na miejscu. Raz tylko puścił się ku nim jeden, widocznie śmielszej natury, z kosą w rękę; ale pan Michał skoczył jak żbik ku niemu i ukąsił go na śmierć. Reszta czekała na innych, którzy nadchodzili biegiem gęstą ławą.

Lecz i szereg rycerzy był coraz bliższy, a pan Zagłoba leciał z szablą nad głową, krzyząc nieludzkim głosem:

– Bij! morduj!

Wtem huknęło z okopów i granat, chychocząc jak puszczyk, zakreślił czerwony łuk na niebie i upadł w ściśniętą ławicę; za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Zdawało się, że bitwa rozpoczyna się na nowo.

Kozakom aż do oblężenia Zbaraża nie znane były tego rodzaju pociski i po trzeźwemu bali się ich najwięcej, widząc w nich czary „Jaremy” – więc ławica wstrzymała się w jednej chwili, potem pękła na dwoje, a razem pękły i granaty roznosząc postrach, śmierć i zniszczenie.

– Spasajtes! spasajtes! – rozległy się przerażone głosy.

I pierzchnęło wszystko, a tymczasem pan Longinus i mały rycerz wpadli w zbawczy szereg husarzy.

Zagłoba rzucał się to jednemu, to drugiemu na szyję, całował ich po policzkach i oczach. Radość dławiała go, a on ją tłumił, nie chcąc miękkiego serca okazać – i wołał:

– Ha, skurczybyki! Nie powiem, że bym was miłował, ale się o was bałem! Bodaj was byli usiekli! Tak to służbę znacie, że na tyłach zostajecie! Warto by was końmi po majdanie za nogi powlec! Pierwszy powiem księciu, by wam *poenam* obmyślił... Chodźmy teraz spać... Chwała Bogu i za to! Szczęście tych psułatów, że przed granatami uciekli, bo byłbym ich naszatkował jak kapusty. Wolę się bić niż patrzeć spokojnie, jak znajomi giną. Musimy dzisiaj podpic! Chwała Bogu i za to! Już myślałem, że wam obum *requiem* jutro zaśpiewamy. Ale żałuję, że spotkania nie było, bo mnie ręka okrutnie świerzbi, choć w nakrywkach dałem im bobu z cebulą.

ROZDZIAŁ XXVI

Jednakże znowu wypadło zatoczyć nowe wały i ująć obozu, aby udaremnić wykonane już prace ziemne kozackie i uszczuplonym siłom ułatwić obronę. Kopano tedy po szturmie całą noc. Zaczem Kozacy nie próżnowali także. Podeszedszy cicho ciemnej nocy z wtorku na środek, rzucili naokoło obozu drugi wał, wiele wyższy. Stąd na zorzy, ozwawszy się wszyscy głosem, poczęli zaraz strzelać i całe cztery dni i cztery noce strzelali. Czyniono sobie wzajem wiele szkód, albowiem z obu stron najlepsi strzelcy szli w zawody.

Od czasu do czasu zrywały się masy kozactwa i czerni do szturmów, ale nie dochodziły do wałów, tylko strzelanina stawała się coraz gorętszą. Nieprzyjaciel, mając potężne siły, zmieniał walczące oddziały prowadząc jedne na spoczynek, drugie do boju. Ale w obozie nie było żołnierza do zastępstwa: jedni i ci sami ludzie musieli strzelać, zrywać się co chwila do obrony pod groźbą szturmów, grzebać zabitych, kopać studnie i podsypywać wyżej wały, aby lepszą dawały zasłonę. Sypiano, a raczej drzemano u wałów wśród ognia i kul lecących tak gęsto, że każdego ranka można je było zmiatać bezpiecznie z majdanu. Przez cztery dni nikt nie zrzucił z siebie odzieży, która mokła na deszczu, schła na słońcu, paliła w dzień, ziębiła w nocy – przez cztery dni nikt nie miał w ustach nic ciepłego. Pito gorzałkę domieszczając do niej prochu dla większej tęgości, gryziono suchary i rwano zębami wyschłe wędzone mięsiwo, a wszystko wśród dymu, wystrzałów, świstu kul i huku armat.

I „nic to było wziąć po łbie albo po boku”. Żołnierz obwiązywał brudną szmatą krwawy łeb i bił się dalej. Dziwni to byli ludzie: w podartych koletach i zardzewiałych zbrojach, z potrzaskanymi rusznicami w ręku, z czerwonymi od bezsenności oczyma, a wiecznie czujni, zawsze ochoczy, dzień czy noc, deszcz czy pogoda, zawsze gotowi do boju.

Żołnierz rozkochał się w swym wodzu, w niebezpieczeństwach, w szturmach, w ranach i śmierci. Jakaś egzaltacja bohatera ogarnęła dusze; serca stały się harde, umysły „zatwardziły się”. Okropność stała się dla nich rozkoszą. Rozmaite chorągwie prześcigały się wzajem w służbie, w wytrwałości na głód, bezsenność, pracę, w męstwie i zaciekłości. Przyszło do tego, że trudno było żołnierzom utrzymać na wałach, bo nie poprzestając na obronie darli się do nieprzyjaciela jak rozwścieczeni z głodu wilcy do owczarni. We wszystkich pułkach panowała jakaś dzika wesołość. Kto by wspomniał o poddaniu, rozerwano by go w mgnieniu oka na sztuki. „Tu umierać chcemy!” – powtarzały wszystkie usta:

Każdy rozkaz wodza spełniano z błyskawiczną szybkością. Raz zdarzyło się, iż księżę przy objeździe wieczornych wałów dosłyszawszy, że ogień chorągwi kwarcianej imienia Leszczyńskich słabnie, przyjechał przed żołnierzy i spytał:

- A czemu to nie strzelacie?
- Prochy nam wyszły – posłaliśmy na zamek po nowe.
- Tam macie bliżej – rzekł księżę ukazując na szaniec nieprzyjaciela.

Zaledwie skończył, gdy cała chorągiew skoczyła z wałów, rzuciła się biegiem ku nieprzyjacielowi i wpadła jak orkan na szaniec. Wybito Kozaków ośnikami, drągami, kolbami muszkietów, zagwożdżono cztery działa i po upływie pół godziny żołnierze, zdziśiatkowani, ale zwycięscy, wrócili ze znacznym zapasem prochu w beczułkach i rogach myśliwskich.

Dzień upływał za dniem. Aprosze kozackie coraz ciasniejszym pierścieniem obejmowały okop i wpierały się weń jak kliny w drzewo. Strzelano już z tak bliska, że nie licząc szturmów, dziesięciu ludzi spod każdej chorągwi padało dziennie; księża nie mogli dochodzić z sakramentami. Obleżeni zasłaniali się wozami, namiotami, skórą, rozwieszoną odzieżą; w nocy chowano zabitych, gdzie który leżał, ale żywi bili się tym zaciecięj na mogiłach wczorajszych towarzyszy. Chmielnicki szafował krwią swych ludzi bez miary, ale każdy szturm nowe tylko, coraz większe przynosił mu w zysku straty. Sam on był zdumiony oporem; liczył jeno na to, że czas zwątli serca i siły obleżonych – jakoż czas płynął, ale oni coraz większą okazywali pogardę śmierci.

Wodzowie dawali przykład żołnierzom. Książę Jeremi sypiał na gołej ziemi u wału; pił gorzałkę i jadł wędzone końskie mięso, cierpiąc trudy i zmiany pogody „nad pański swój stan”. Chorąży koronny Koniecpolski i starosta krasnostawski osobiście wiedli pułki na wycieczki; w czasie szturmów stawali bez zbroi w najgęstszym gradzie kul. Nawet ci wodze, którym – jak Ostrorogowi – brakło wojennego doświadczenia i na których żołnierz nauczył się patrzeć bez ufności, teraz pod ręką Jeremiego zdawali się w innych zmieniać ludzi. Stary Firlej i Lanckoroński sypiali również u wałów, a pan Przyjemski w dzień ustawiał działa, w nocy rył pod ziemią jak kret, kopiąc pod kozackimi minami kontrminy, wysadzając aprosze lub otwierając drogi podziemne, którymi żołnierze dostawali się jak duchy śmierci między uśpione Kozactwo.

Na koniec Chmielnicki postanowił spróbować układów mając tę myśl uboczną, że przez ten czas podstępem będzie mógł czegoś dokonać. Pod wieczór 24 lipca poczęli Kozacy wołać z szańców na żołnierzy, aby zaprzestali strzelać. Wysłany Zaporoziec oznajmił, iż hetman życzy sobie widzieć starego Zaćwilichowskiego. Po krótkiej naradzie regimentarze zgodzili się na propozycję i starzec wyjechał z okopu.

Z dała widziało rycerstwo, jak mu czapkowano w szańcach kozackich, gdyż Zaćwilichowski przez krótki czas swego komisarstwa zdołał sobie zjednać szacunek dzikiego Zaporozca – i sam Chmielnicki go szanował. Strzelanina wtedy ustała. Kozacy aproszami zbliżali się do samego wału; rycerstwo schodziło ku nim. Obie strony miały się na ostrożności, ale nie było nic nieprzyjemnego w tych spotkaniach. Szlachta wyżej ceniła zawsze Kozaków od pospolitej czerni, a teraz ceniąc ich męstwo i uporność w boju, rozmawiała z nimi na równej stopie jak kawalerowie z kawalerami; Kozacy z podziwem patrzyli z bliska na to niedostępne lwie gniazdo, które wstrzymało całą ich i chanową potęgę. Więc poczęli się zbliżać, gwarzyć a narzekać, że tyle krwi chrześcijańskiej się leje; pod koniec częstowano się tabaką i gorzałką.

– Ej, panowie łycari! – mówili starzy Zaporozcy – żeby wy tak zawsze stawali, nie byłoby Żółtych Wód i Korsunia, i Piławiec. Czorty wy chyba nie ludzie. Takich my jeszcze na świecie nie widzieli.

– Przyjdźcie jutro i pojutrze, zawsze nas takich znajdziecie.

– No, tak i przyjdziemy, a tymczasem sława Bogu za oddech. Siła się krwi chrześcijańskiej leje. Ale i tak was głód zmoże.

– Prędzej przyjdzie król niż głód; dopierośmy gęby obtarli po smacznej strawie.

– A zbraknie nam wiwendy, to w waszych taborach poszukamy – mówił biorąc, się w boki Zagłoba.

– Daj Bóg, żeby bat’ko Zaćwilichowski wskórał co u naszego hetmana, bo jak nie wskóra, to wieczór do szturmu pójdziemy.

– Nam też już tęskno.

– Chan wam obiecał, że wszyscy będziecie *kęsim*.

– A nasz książę obiecał chanowi, że go za brodę do ogona swemu koniowi przywiąże.

– Czarownik on, ale ne zderżył.

– Lepiej by wy z naszym kniazem na pogan poszli, niż przeciw zwierchności rękę podnosili.

– Z waszym kniazem... Hm! dobrze by było.

– A to czemu się buntujecie? Przyjdzie król, bójcie się króla. Książę Jarema także był wam jak ojciec...

– Taki on ojciec, jak śmierć matka. Dżuma tyłu dobrych mołojców nie wybiła.

– Gorszy on będzie: jeszcze wy go nie poznali.

– My i nie chcemy go znać. Starzy u nas mówią, że który Kozak jego na oczy dojrzy, temu już śmierć pisana.

– Będzie tak i z Chmielnickim.

– Boh znajet, szczo budet. To pewno, że im dwom nie żyć na świecie, na białym. Nasz bat’ko też mówi, że gdyby wy jemu tylko Jaremę wydali, to by was zdrowych puścił i królowi by się z nimi wszystkimi pokłonił.

Tu żołnierze poczęli sapać, marszczyć brwi i zgrzytać.

– Zamilczcie, bo się do szabel weźmiem.

– Serdytes’, Lachy! – mówili Kozacy – ale będzie wam *kęsim*.

I tak tam oni rozmawiali, czasem przyjaźnie, a czasem z groźbami, które mimo ich woli odzywały się jak grzmoty. Po południu przyjechał z powrotem do obozu pan Zaćwilichowski. Układów nie było, a zawieszenie broni nie doszło do skutku. Stawiał Chmielnicki potworne żądania, aby wydano mu księcia i chorążego Koniecpolskiego. W końcu wyliczał krzywdy wojsk zaporoskich i jał namawiać pana Zaćwilichowskiego, by z nim na zawsze pozostał. Na to spłonął stary rycerz, zerwał się i odjechał. Wieczorem nastąpił szturm krwawo odparty. Cały obóz przez dwie godziny był w ogniu. Kozaków nie tylko odrzucono od wałów, ale piechoty zdobyły pierwsze szańce, porozkopywały strzelnice, zakrywki i spaliły znów czternaście hulaj-grodów. Chmielnicki zaprzysiągł tej nocy chanowi, że nie odstąpi, dopóki jeden żywy człowiek pozostanie w okopie.

Nazajutrz o zorzy nowa strzelanina, wkopywanie się w wały – i całodzienna bitwa na cepy, kosy, ośniki, szable, kamienie i bryły ziemi. Przyjemne uczucia wczorajsze i ubolewanie nad przelewaniem krwi chrześcijańskiej ustąpiły większej jeszcze zaciętości. Deszcz popadywał od rana. Tegoż dnia wydano żołnierzom po pół racji, na co mruczał mocno pan Zagłoba, ale w ogóle puste brzuchy zdwoiły jeszcze zaciekłość rycerstwa. Przysięgano sobie wzajem paść jeden na drugim, a nie poddać się do ostatniego tchnienia. Wieczór przyniósł nowe szturmy Kozaków poprzebieanych za Turków, krócej wszelako trwające. Nastąpiła noc pełna hałasów i krzyków, „wielce swarliwa”. Strzelanie nie ustawało ani na chwilę. Wyzywano się wzajemnie; bito się kupami i pojedynczo. Wychodził na harc pan Longinus, ale nikt przeciw niemu nie chciał stanąć – strzelano tylko doń z daleka. Natomiast wielką sławą okrył się pan Stępowski i pan Wołodyjowski, który w pojedynczym spotkaniu usieknął sławnego zagończyka Dudara.

Wychodził na koniec i pan Zagłoba, ale tylko na szermierkę językową. „Po zabiciu Burlaja (mówił) nie mogę się z lada chmyzem pospolitować!!” Natomiast w walce na języki nie znalazł równego sobie między kozactwem – i do desperacji ich przyprowadzał, gdy okryty dobrze darniną, wołał jakoby spod ziemi stentorowym głosem:

– Siedzicie tu, chamy, pod Zbarażem, a tam wojsko litewskie idzie w dół Dnieprem. Żonom waszym i młodociom się pokłonią. Na przyszłą wiosnę siła małych boćwinków po chałupach znajdziecie, jeśli chałupy znajdziecie.

Była to prawda: wojsko litewskie szło istotnie pod Radziwiłłem w dół Dniepru, paląc i niszcząc, ziemię i wodę zostawując. Wiedzieli to Kozacy, więc wpadali we wściekłość i w odpowiedzi posyłali panu Zagłobie grad kul, jakoby kto gruszki sypał. Ale pan Zagłoba pilnował dobrze głowy za darniną i krzyczał znowu:

– Chybiliście, pieskie dusze, a jam Burlaja nie chybił. Sam tu! Na pojedynek ze mną! Znacnie mnie! Na tu, na! chamy, strzelajcie, póki macie folgę, bo na jesień będziecie Tatarzeta w Krymie iskać albo groble na Dnieprze sypać. Bywajcie! bywajcie! Grosz za głowę waszego Chmiela! Daj mu który ode mnie w pysk – od Zagłoby! słyszycie? A co, gnojki? mało to już waszego ścierwa na polu leży? Zdechłymi psami was czuć! Kazała wam się zaraza kłaniać! A do wideł, do pługów, łajdaki, do dumbasów! Wiśnie i sól pod wodę wozić, nie nam tu wstręty czynić!

Natrząsali się też i Kozacy z „panów, których trzech na jeden suchar wypada”, pytali, czemu to czynszu i dziesięciny nie każą oni panowie poddanym wypłacać, ale przecie Zagłoba bywał w sporach górą. I tak brzmiały te rozmowy, przerywane przekleństwami i dzikimi wybuchami śmiechu, po całych nocach, wśród strzałów i większych lub mniejszych walk. Wyjeżdżał potem pan Janicki układać się z chanem, który mu znowu powtarzał, że wszyscy będą *kęsim*, aż zniecierpliwiony poseł odpowiedział: „Już nam dawno to obiecujecie, a nic nam dotąd! Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie!” Wymagał chan, żeby książę Jeremi zjechał się z jego wezyrem w polu, ale była to prosta zdrada, którą wykryto – i układy ostatecznie zostały zerwane. Przez cały ich czas zresztą nie było przestanku w walce. Wieczór szturm, w dzień strzelanina z armat, z organków, z samopałów i „piszczeli” – wypadanie z wałów, szarpanina, mieszanie się chorągwi – szalone ataki jazdy, kłęski i rozlew krwi coraz większy.

Żołnierzy podtrzymywała jakaś dzika żądza walki, krwi i niebezpieczeństw. Szli do bitwy ze śpiewaniem, jak na wesele. Tak się już zresztą wzwyczaili do huków i hałasów, że te oddziały, które komenderowano do spoczynku, spały wśród ognia i padających gęsto kul nieprzebudzonym snem. Żywności było coraz mniej, bo regimentarze nie opatrzyli dostatecznie obozu przed przybyciem księcia. Nastąpiła wielka drożyzna, ale kto miał pieniądze i kupował gorzałkę lub chleb, ten dzielił się wesoło z innymi. Wszyscy zaś nie dbali o jutro, wiedząc, że jedna z dwóch rzeczy ich nie minie: odsiecz ze strony królewskiej albo śmierć! Na obie byli równie gotowi – a najbardziej gotowi na bitwę. Niesłychanym w historii przykładem dziesiątki potykały się przeciw tysiącom z takim uporem, z taką zaciętością, że każdy szturm był nową kłeską kozacką. Prócz tego nie było dnia, żeby po kilkakroć nie wypadali z obozu i nie napadali nieprzyjaciela w jego własnych szańcach. Wieczorami, gdy Chmielnicki myślał, że już znużenie powinno było obalić najwytrwalszych, i cicho gotował szturm, naraz wesołe śpiewy dołatywały jego uszu. Wtedy uderzał się dłonią po udach z wielkiego zdziwienia i naprawdę myślał, że Jeremi jest chyba czarownikiem możniejszym od tych wszystkich, którzy byli w kozackim taborze. Więc wściekał się i zrywał do boju, i wylewał morza krwi, bo i to spostrzegł, że jego gwiazda przy gwieździe straszliwego kniazia błędąc zaczyna.

W obozie kozackim śpiewano pieśni o Jaremie lub cichym głosem opowiadano sobie o nim rzeczy, od których włosy wstawały na głowie mołojcom. Mówiono, że czasem zjawia się nocą na okopie i rośnie w oczach, aż głową wyżej wież zbaraskich sięga; że oczy ma wtedy jakby dwa miesiące, a miecz w jego ręku jest jako ta gwiazda złowroga, którą Bóg czasem ludziom na pohybel na niebo wysyła. Mówiono także, że gdy krzyknie, poległi w boju rycerze wstają z chrzęstem zbroi i szykują się wraz z żywymi w szeregi. Jeremi był na wszystkich ustach: śpiewali o nim i didy-lirnicy, rozmawiali i starzy Zaporozcy, i czerń ciemna, i Tatarzy. A w tych rozmowach, w tej nienawiści, w tym zabobonnym przestraczu tkwiła jakby jakaś dzika miłość, którą ten lud stepowy ukochał swego krwawego niszczyciela. Tak jest! Chmielnicki bladł przy nim nie tylko w oczach chana i Tatarów, ale nawet w oczach własnego ludu – i widział, że musi Zbaraż zdobyć albo urok jego rozwieje się jak pomroka przed zorzą poranną, musi zdeptać tego lwa albo sam zginie.

Zaś lew nie tylko się bronił, ale każdego dnia sam wypadał, coraz straszliwszy, z komyszy. Nie pomagały podstęp, zdrady ani otwarta przemoc. Tymczasem czerń i Kozacy poczynali szemrać. I im ciężko było siedzieć w dymie, ogniu, w gradzie kul, w trupim zapachu, na deszczu, upałach i w obliczu śmierci. Zresztą nie trudów bali się dzielni mołojcy, nie niewyczasów, nie szturmów i ognia, i krwi, i śmierci – oni się bali „Jaremy”.

ROZDZIAŁ XXVII

Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipięty dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z nimi w paragon. Noc to była posepna, ciemna i wilgotna; żołnierz, znużony czuwaniem u wałów, drzemał oparty na broni. Po nowych dziesięciu dniach strzelaniny i szturmów pierwszy to raz nastąpiła cisza i spokój. Z bliskich, bo zaledwie o trzydzieści kroków stojących szańców kozackich nie słychać było wywoływań, klątw i zwykłych hałasów. Zdawało się, że nieprzyjaciół chcąc znużyć, sam się znużył nareszcie. Gdzieś tam tylko błyszczało tam mdłe światelko ognia ukrywanego pod darnią; z jednego miejsca dochodził słodki, przyciszony głos liry, na której grał jakiś Kozak; daleko w koszu tatarskim konie rżały, a na wałach rozlegały się od czasu do czasu głosy straży.

Chorażwie pancerne książęce były tej nocy na pieszej służbie w obozie, więc pan Skrzetuski, pan Podbipięta, mały rycerz i pan Zagłoba na okopie, szepcząc ze sobą z cicha, w przerwach rozmowy wsłuchiwali się w szum deszczu padającego w fosę. Skrzetuski mówił:

– Dziwny mi jest ten spokój. Uszy tak przywykły do huku i hałasu, że cisza w nich dzwoni. Aby się tylko jaka zdrada *in hoc silentio* nie ukrywała.

– Od czasu jak jestem na pół racji, wszystko mi jedno! – mrucał posepnie Zagłoba. – Trzech rzeczy potrzebuje moja odwaga, a to: jeść dobrze, pić dobrze i wyspać się. Najlepszy rzemień, nie smarowany, zeschnie i popęka. Cóż dopiero, jeżeli w dodatku moknie jak konopie w wodzie? Deszcz nas moczy, a Kozacy miedlą, jakże się z nas paździerz nie mają sypać? Miłe kondycje: bułka już florena kosztuje, a kwatka gorzałki pięć. Tej śmierdzącej wody pies by w gębę nie chciał wziąć, bo już i studnie trupem nasiąknęły, a mnie się tak pić chce, jak i moim butom, które tak pyski pootwierały – jak ryby.

– Ale waścine buty i wodę piją nie przebredzając – rzekł pan Wołodyjowski.

– Milczałbyś, panie Michale. Nie większy od sikory, to się ziarnkiem prosa pożywisz, a z naparstka napijesz. Ale ja Bogu dziękuję, że nie jestem taki misterny i że mnie nie kura z piasku zadnią nogą wygrzebała, ale niewiasta urodziła; dlatego potrzebuję jeść i pić jako człowiek, nie jak chrabąszcz, a żem od południa nic prócz śliny w gębie nie miał, dlatego mi i twoje żarty nie w smak.

Tu pan Zagłoba począł sapać gniewnie, a pan Michał wziął się za bok i tak mówił:

– Mam ja tu na udzie manierzynę, com ją dziś Kozakowi wydarł, ale kiedy mnie kura z piasku wygrzebała, to już myślę, że i gorzałka tak nikczemnej osoby nie będzie waści smaczna. W twoje ręce, Janie! – rzekł zwracając się do Skrzetuskiego.

– Daj, bo zimno! – rzekł Skrzetuski.

– Pij do pana Longina.

– Przechera z ciebie, panie Michale – rzekł Zagłoba – aleś chłop setny i to masz do siebie, że sobie odejmiesz, a drugiemu oddasz. Niechby się święciły te kury, co by takich żołnierzy jak ty z piasku wygrzebywały – ale ich na świecie podobno nie masz i nie o tobie myślałem.

– To weź waćpan od pana Podbipięty; nie chcę cię krzywdzić – rzekł pan Michał.

– Co waćpan robisz?... zostawże i mnie! – wołał z przestachem Zagłoba spoglądając na pijącego Litwina. – Czego tak głowę zadzierasz? Bodaj ci tak już została! Za długie masz kiszki, niełatwo je nalejesz. Leje jak w spróchniałą sosnę! Żeby cię usiekli!

– Ledwie co przechylił – rzekł pan Longinus oddając manierkę.

Pan Zagłoba przechylił lepiej i wypił do reszty; po czym parsknął i tak mówił:

– Cała to pociecha, że jeżeli się kiedy skończy nasza mizeria, a Bóg pozwoli zdrowo wynieść głowy z tych terminów, to sobie we wszystkim wynagrodzimy. Juźci nam jakoweś chleby obmyślą. Książdz Żabkowski umie dobrze zjeść, ale go w kozi róg zapędzę.

– A co to za *verba veritatis* usłyszeliście dziś z księdzem Żabkowskim od Muchowieckiego? – pytał pan Michał.

– Cicho! – rzekł Skrzetuski – ktoś tu się z majdanu zbliża.

Umilkli, wtem jakaś ciemna postać stanęła koło nich i przyciszony głos spytał:

– A czuwacie?

– Czuwamy, mości książe – rzekł prostując się Skrzetuski.

– Pilno dawać baczną. Źle wróży ten spokój.

I książe przeszedł dalej, patrząc, czy gdzie sen nie przemógł utrudzonych żołnierzy. Pan Longinus ręce złożył.

– Co to za wódz! co to za wojennik!

– Mniej on od nas spoczywa – rzekł Skrzetuski. – Tak całe wały sam co noc obchodzi, aż het, do drugiego stawu.

– Dajże mu Boże zdrowie!

– Amen...

Nastało milczenie. Wszyscy wpatrywali się wyteżonymi oczyma w ciemność, ale nic nie było widać – szanice kozackie były spokojne. Ostatnie światła na nich pogasły.

– Można by ich zejść jak susłów we śnie! – mruknął Wołodyjowski.

– Kto wie? – odrzekł Skrzetuski.

– Sen mnie tak morzy – mówił Zagłoba – że aż mi oczy pod wierzch głowy uciekają, a spać nie wolno. Ciekawym, kiedy będzie wolno? Czy strzelają, czy nie strzelają, ty stój pod bronią i kiwaj się od fatygi, jak Żyd na szabasie. Psia służba! Sam nie wiem, co mnie tak rozbiera: czy gorzałka, czy ranna irytacja za ów impet, któryśmy niesłusznie obaj z księdzem Żabkowskim wytrzymać musieli?

– Jakże to było? – pytał pan Longinus. – Zacząłeś waćpan mówić i nie skończyłeś.

– To teraz opowiem: może się jakoś ze snu wybijemy! Poszliśmy rano z księdzem Żabkowskim na zamek w tej myśli, żeby to co do przegryzienia znaleźć. Chodzimy, chodzimy, zaglądamy wszędzie – nie ma nic, wracamy źli. Aż na podwórzu spotykamy ministra kalwińskiego, którego kapitana Szenberka na śmierć gotował, tego, co go wczoraj postrzelili pod chorągwią pana Firlejową. Ja mu tedy mówię: „Będziesz się tu, szoldro, włóczył i dyzgusta Bogu czynił? – jeszcze niebłogosławieństwo na nas ściągniesz!” A on, widać dufając w protekcję pana bełskiego, rzecze: „Taka dobra nasza wiara, jak i wasza, albo i lepsza!” Jak to powiedział, ażeśmy skamienieli ze zgrozy. Ale ja nie! Myślę sobie: jest ksiądz Żabkowski, niechże będzie dysputa. A mój ksiądz Żabkowski aż parska i zaraz z argumentami: zmacał go pod żebro, on zaś nic na tę pierwszą rację nie odrzekł, bo jak się wziął toczyć, tak aż o ścianę się oparł. Wtem nadszedł książe z księdzem Muchowieckim i na nas: że to hałasy i swary wszczynamy! że to nie czas, nie miejsce i nie argumenta! Zmyli nam głowy jak żakom – a bodaj czy słusznie, bo *utinam sim falsus vates*, ale te ministery pana Firleja ściągną jeszcze na nas jakie nieszcześćcie...

– A ówże kapitan Szenberk nie rewokował? – pytał pan Michał.

– Gdzie tam! umarł w bezecności, jak i żył.

– Że też to ludzie wolą się i zbawienia wyrzec jak swego uporu! – westchnął pan Longinus.

– Bóg nas od przemocy i od czarów kozackich broni – mówił dalej Zagłoba – a oni Go jeszcze obrażają. Czy waściom wiadomo, że wczoraj z tego tam ot szanica kłębkami nici na majdan strzelano? Żołnierze powiadali, że zaraz w tym miejscu, gdzie kłębki padały, ziemia jakoby trądem się pokryła...

– Wiadoma rzecz, że przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą – rzekł żegnając się Litwin.

– Czarownice sam widziałem – dodał Skrzetuski – i powiem waszmościom...

Dalsze słowa przerwał pan Wołodyjowski, który ścisnął nagle ramię Skrzetuskiego i szepnął:

– Cicho no!...

Po czym skoczył nad sam brzeg okopu i słuchał pilnie.

– Nic nie słyszę – rzekł Zagłoba.

– Ts!... deszcz zagłusza! – odpowiedział Skrzetuski.

Pan Michał począł kiwać ręką, aby mu nie przeszkadzano, i czas jeszcze jakiś słuchał pilno, na koniec zbliżył się do towarzyszków.

– Idą – szepnął.

– Daj znać księciu! poszedł ku kwaterom Ostroroga – odszepnął Skrzetuski – my zaś pobieżywszy ostrzec żołnierzy.

I zaraz z miejsca puścili się wzdłuż okopu, zatrzymując się co chwila i szepcąc wszędy po drodze czuwającym żołnierzom:

– Idą! Idą!...

Słowa przeleciały jakoby cichą błyskawicą z ust do ust. Po kwadransie przyjechał książe, już na koniu, i wydał rozkazy oficerom. Ponieważ nieprzyjaciel chciał widocznie zaskoczyć obóz w śnie i nieczujności, więc książe polecił utrzymać go w błędzie. Żołnierze mieli się zachować jak najciszej i dopuścić szturmujących aż na same wały, po czym dopiero gdy wystrzał z działa da znak, uderzyć na nich niespodzianie.

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury muszkietów pochyliły się bez szelestu i zapadło głucho milczenie. Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszeli obok siebie, a i pan Zagłoba został z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najczęściej kul pada na środek majdanu – a na wale, przy takich trzech szablach, najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł. Nieco z boku przykląkł pan Podbięta z Zerwikapturem w rękę, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w same ucho:

- Idą na pewno...
- Krok pod miarę.
- To nie czerń ani Tatarzy.
- Piechota zaporoska.
- Albo janczary; oni dobrze maszerują. Z konia można by ich więcej naciąć!
- Dziś za ciemno na jazdę.
- Słyszysz teraz?
- Ts! ts!...

Obóz zdawał się być pogrążony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła – wszędy najgłębsze milczenie przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito dżdżu. Z wolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; na koniec o kilkanaście kroków od fosy pojawiła się jakaś wydłużona zbita masa, o tyle widzialna, o ile czarniejsza od ciemności – i zatrzymała się w miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosy i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili je ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło – i cisza nastąpiła śmiertelna.

Tu i owdzie mimo całej ostrożności wstępujących szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczeć...

„Dadzą wam bobu!” – myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść Zerwikaptura i wyteżył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszy uderzyć.

Wtem trzy pary rąk pojawiły się u krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za nimi poczęły się z wolna i ostrożnie podnosić trzy szpice od misiurek... wyżej i wyżej...

„To Turcy!” – pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

Trzy ciała spadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana kłęczącego rycerza.

Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się nad panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi i był jakoby wniebowzięty, i walczył jak we śnie, i cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie – że taki był z Zerwikapturów-Podbipiętów żyjący ostatni.

Szturm ten, w którym ze strony nieprzyjaciela posiłkowe hufce Turków urumelskich, sylistryjskich i gwardia chanowa jańczarów brały przeważny udział, krwawiej od innych został odparty i ściągnął straszliwą burzę na głowę Chmielnickiego. Zareczał on bowiem poprzednio, że Polacy mniej zaciekle z Turkami będą walczyli i byle mu tych rot pozwolono, obóz zdobędzie. Musiał więc teraz łagodzić chana i rozwścieczonych murzów oraz podarkami ich zniewalać. Chanowi pozwolił dziesięć tysięcy talarów, zaś Tuhaj-bejowi, Korz-Adze, Subagaziemu, Nuradynowi i Gałdze po dwa. Tymczasem w obozie czeladź wyciągała trupy z fosy, w czym nie przeszkadzano jej strzelaniem z szaniców. Żołnierze spoczywali aż do rana, bo było to już pewne, że szturm się nie powtórzy. Spali tedy wszyscy snem nieprzebudzonym prócz chorągwi strażowych i prócz pana Longina Podbipięty, który noc całą krzyżem na mieczu leżał dziękując Bogu, iż mu pozwolił ślub spełnić i taką wielką chwałą się okryć, że imię jego przechodziło z ust do ust w obozie i w mieście. Nazajutrz wezwał go do siebie książę-wojewoda i chwalił wielce, a żołnierze przychodzili tłumami przez cały dzień winszować i oglądać trzy głowy, które czeladź przyniosła mu przed namiot, a które już czerniały na powietrzu. Było tedy podziwu i zazdrości niemało, a niektórzy wierzyć oczom nie chcieli, bo tak były równo ścięte wraz ze stalowymi czepcami od misiurek, jakby kto nożycami odkroił.

– Straszliwy z waści *sartor!* – mówiła szlachta. – Wiedzieliśmy o tobie, żeś dobry kawaler, ale takiego ciosu mogliby i starożytni pozazdrościć, bo i najgrzeczniejszy kat lepiej nie potrafi.

– Wiatr tak czapek nie zdejmie, jako te głowy są zdjęte! – mówili inni.

I wszyscy ściskali dłonie pana Longina, a on stał ze spuszczonej oczyma, promienny, słodki – zawstydzony jako panna przed ślubem i mówił, jakby się tłumaczył:

– Ustawili się dobrze.

Próbowano następnie miecza, ale że to był krzyżacki dwuręczny koncerz, nikt nie mógł nim swobodnie poruszać nie wyjmując nawet księdza Żabkowskiego, choć on podkowę jak trzcinę przelaamywał.

Koło namiotu robiło się coraz gwarniej, a pan Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski czynili honory przybywającym częstując ich opowiadaniem, bo nie było czym innym, jako że ostatnich już prawie sucharów dogryzano w obozie, a mięsa innego jak wędzonej koniny dawno nie stawało. Ale przecie duch starczył za jadło i napitek. Pod koniec, gdy inni zaczęli się już rozchodzić, nadszedł pan Marek Sobieski, starosta krasnostawski, ze swoim porucznikiem Stępowskim. Pan Longinus wybiegł na jego spotkanie, on zaś powitał go wdzięcznie i rzekł:

– To u waszności dziś święto!

– Pewnie, że święto – odparł Zagłoba – bo nasz przyjaciel ślub spełnił.

– Chwała Panu Bogu! – odparł starosta – to już niedługo, braciszku, powitamy was kosmatą ręką. A macieże co upatrzonego?

Pan Podbipięta zmieszał się nadzwyczajnie i zaczerwienił aż do uszu, a starosta mówił dalej:

– Po konfuzji miarkuję, że tak jest. Święty to wasz obowiązek pamiętać, aby taki ród nie zaginął. Daj Boże, żeby się na kamieniu rodzili podobni żołnierze, jak waszmościowie we czterech jesteście.

To rzekłszy począł ścisnąć ręce pana Longina, Skrzetuskiego, Zagłoby i małego rycerza, a oni uradowali się w sercach, że z takich ust pochwałę słyszą, bo pan starosta krasnostawski był zwierciadłem męstwa, honoru i wszystkich cnót rycerskich. Był to wcielony Mars; zlały się na niego wszystkie dary boże w obfitości, gdyż nadzwyczajną pięknnością nawet młodszego brata Jana, późniejszego króla, przewyższał; fortuną i mieniem najpierwszym wyrównywał, a jego zdolności wojenne sam wielki Jeremi pod niebiosą wynosił. Nadzwyczajna też byłaby to gwiazda na niebie Rzeczypospolitej, lecz ze zrządzenia bożego blask jej wziął w siebie młodszy Jan, a ona zgasła przedwczesnie w dniu klęski.

Atoli rycerze nasi uradowali się wielce pochwałą bohatera, ten zaś wcale na niej nie poprzestał i tak dalej mówił:

– Siła ja o waszmościach od samego księcia wojewody słyszałem, który nad innych was miłuje. Nie dziwię się też, że mu służycie nie oglądając się na promocje, które by w królewskich chorągwiach łatwiej przyjść mogły.

Na to odrzekł Skrzetuski:

– Wszyscy my w królewskiej właśnie usarskiej chorągwi jesteśmy pod znak zapisani z wyjątkiem pana Zagłoby, któren, jako wolentarz, z wrodzonej rezolucji staje. A że pod księciem wojewodą służymy, to w pierwszym rzędzie z miłości dla jego osoby, a po wtóre, chcieliśmy wojny jak najwięcej zażywać.

– Jeżeliście taką mieli chęć, to słusznie czynicie. Pewnie by pan Podbipięta pod niczyją chorągwią tak łatwo swoich głów nie znalazł – odrzekł starosta. – Ale co do wojny, to w tych czasach wszyscy jej mamy do syta.

– Więcej niżli czego innego – odparł Zagłoba. – Przychodzili tu do nas od rana z pochwałami, ale żeby nas kto na przekąskę i łyk gorzałki poprosił, ten by nas najwdzięczniej uczęstował.

To powiedziawszy pan Zagłoba pilno patrzył w oczy staroście krasnostawskiemu i mrugał niespokojnie. Starosta zaś uśmiechnął się i rzekł:

– Od wczorajszego południa nic w gębę nie wziętem, ale łyk gorzałki może się w jakim sepeciku znajdzie. Służę waszmościom.

Lecz Skrzetuski, pan Longinus i mały rycerz poczęli się opierać i gromić pana Zagłobę, który się wykręcał, jak mógł, i tłumaczył, jak umiał.

– Nie przymawiałem się – mówił – bo ambicja moja w tym, że wolę swoje oddać, byle cudzego nie ruszać, ale gdy tak zacna persona prosi, toż *grubianitas* byłaby odmawiać.

– Już też pójźcie! – mówił starosta. – I mnie miło w dobrej kompanii posiedzieć, a póki nie strzelają, mamy czas. Na jadło was nie proszę, bo i o koninę już trudno, a co nam konia na majdanie ubiją, to sto rąk po niego się wyciąga, wszelako gorzałki jest ze dwie flasze, których dla siebie samego pewnie nie będę chował.

Tamci jeszcze się opierali i nie chcieli, ale gdy bardzo nastawał, poszli, a przodem pobiegl pan Stępowski i tak się uwinął, że kilka sucharów i kilka kawałków koniny znalazło się do przegryzienia po wódce. Pan Zagłoba zaraz nabrał lepszej myśli i mówił:

– Da Bóg, że jak król jegomość nas wyzwoli z tego oblężenia, to się zaraz pospolitemu ruszeniu do wozów dobierzemy. Oj, siła oni specjałów zawsze ze sobą wożą i brzucha każdy lepiej strzeże niż Rzeczypospolitej. Wolę z nimi jeść jak wojować, ale że to pod okiem królewskim, to może będą nieźle stawali.

Starosta spoważniał.

– Jakośmy sobie zaprzysięgli – rzekł – że jeden na drugim padnie, a nie poddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie nie ma, a co gorzej, to i prochy się kończą. Innym ja bym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niedługo jeno zaciekłość w sercach i szable w rękę nam pozostaną – i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj, Boże, króla jak najprędzej, bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan! Pewnie by fatygi i zdrowia, i gardła nie żałował, byle nas wyzwolić – ale za małe ma siły i musi czekać, a waszmościowie wiecie, jak pospolite ruszenie powoli się ściąga. I zresztą skąd król jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu kondycjach się bronimy i że już okrucich dojadamy?

– My już siebie ofiarowali – rzekł Skrzetuski.

– A żeby tak dać znać? – pytał Zagłoba.

– Żeby się znalazł kto taki cnotliwy – rzekł starosta – kto by się przekraść podjął, ten by nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, ten by był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskę by odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama bliskość króla zdołałaby bunt rozproszyć. Ale kto pójźcie? kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przecisnie z okopu? Jawna i oczywista to śmierć taka impreza!

– A od czego fortele? – rzekł Zagłoba. – I jeden już mi do głowy przychodzi.

– Jaki? jaki? – pytał starosta.

– A owo co dzień bierzemy po garści jeńców. Żeby tak którego przekupić? niechby udał, że od nas uciekł, a potem ruszył do króla.

– Muszę o tym z księciem pomówić – rzekł starosta.

Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się bruzdami, i cały czas siedział milcząco. Nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

– Ja się podejmę przekraść przez Kozaków...

Rycerze usłyszawszy te słowa porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski począł ruszać wąsikami raz po raz, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył się po aksamicie i zakrzyknął:

– Waćpan podjąłbyś się tego dokonać?

– Czyś waść rozważył, co mówisz? – rzekł Skrzetuski.

– Dawno rozważyłem – rzekł Litwin – bo już to nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi jegomości o naszym położeniu. A ja słysząc to myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zaraz bym poszedł. Ja, lichy człek, co ja znaczę? co mnie będzie za szkoda, chociaż usieką po drodze?

– Ależ usieką bez pochyby! – zawołał Zagłoba. – Słyszałeś waść, co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?

– Tak i co z tego, brateńku? – rzekł pan Longinus. – Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

– Ale pierwej cię pochwyca, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku, czyś rozum stracił? – mówił Zagłoba.

– A taki pójde, brateńku – odparł ze słodyczą Litwin.

– Ptak by nie przeleciał, bo z łuku by go ustrzelili. Okopali nas naokoło jako jaźwca w jamie.

– A taki pójde – powtórzył Litwin. – Ja Bogu wdzięczność winien, że mnie ślub spełnić pozwolił.

– No, widzicie go! patrzcie się na niego! – wołał zdesperowany Zagłoba. – To lepiej każ sobie od razu głowę uciąć i z armaty na tabor wystrzelić, bo w ten tylko sposób mógłbyś się między nimi precisnąć.

– Już pozwólcie, dobrodzieje! – rzekł Litwin składając ręce.

– O nie! nie pójdziesz sam, bo i ja pójde z tobą – rzekł Skrzetuski.

– I ja z wami! – dodał Wołodyjowski uderzając się po szabelce.

– A niechże was kule biją! – zawołał porwawszy się za głowę Zagłoba – niechże was kule biją z waszym „i ja!”, „i ja!”, z waszą determinacją! Mało im jeszcze krwi, mało zaguby, mało kul! Nie dość im tego, co się tu dzieje: chcą pewniej szyje pokręcić! Idźcieże do kaduka i dajcie mnie spokój! Bodaj was usiekli...

To rzekłszy począł się kręcić po namiocie jak błędny.

– Bóg mnie karze – wołał – żem się z wichrami wdawał zamiast żyć w zacnej kompanii statecznych ludzi. Dobrze mi tak!

Przez chwilę chodził jeszcze po namiocie gorączkowym krokiem; na koniec zatrzymał się przed Skrzetuskim, założył ręce w tył i patrząc mu w oczy, począł sapać groźnie.

– Com ja waćpanom takiego uczynił, że mnie prześladowacie?

– Uchowajże nas Boże! – odrzekł rycerz. – Jak to?

– Bo że pan Podbipięta takowe rzeczy wymyśla, nie dziwię się! Zawsze miał dowcip w pięści, a od czasu jak ściał największych trzech kpów między Turkami, sam czwartym został...

– Słuchać hadko – przerwał Litwin.

– I jemu się nie dziwię – mówił dalej Zagłoba wskazując na Wołodyjowskiego. – On Kozakowi za cholewę wskoczy albo mu się hajdawerów jak rzep psiego ogona uczepi i najprędzej z nas wszystkich się przedostanie. Ich obydwóch Duch Święty nie oświecił – ale że waćpan zamiast ich od szaleństwa powściągnąć, jeszcze im bodźca dodajesz, że sam idziesz, że wszystkich nas czterech na pewną śmierć i męki chcesz wydać – to już... ostatnia rzecz! Tfu, do licha, nie spodziewałem się tego po oficyjerze, którego sam książe za statecznego kawalera uważał.

– Jak to czterech? – rzekł zdziwiony Skrzetuski. – Chciałżebyś i waćpan?...

– Tak jest! – krzyczał bijąc się pięściami po piersi Zagłoba – pójde i ja. Jeżeli który z was się ruszy albo wszyscy w kupie – pójde i ja. Niech moja krew spadnie na wasze głowy! Będę miał na drugi raz naukę, z kim się wdawać.

– A bodajże waści! – rzekł Skrzetuski.

Trzej rycerze poczęli go brać w ramiona, ale on naprawdę się gniewał i sapał, i odpychał ich łokciami, mówiąc:

– Idźcie do kaduka! nie potrzeba mi waszych judaszowskich pocałunków!

Wtem na wałach ozwały się strzały armatnie i muszkietowe. Zagłoba zatrzymał się i rzekł:

– Macie! macie! idźcie!

– To zwykła strzelanina – zauważył Skrzetuski.

– Zwykła strzelanina – rzekł przedrzeźniając szlachcic. – Ano, to proszę! Mało im tego. Połowa wojska od tej zwykłej strzelaniny stopniała, a oni już na nią nosem kręcą.

– Bądź waćpan dobrej myśli – rzekł pan Podbipięta.

– Milczałbyś, boćwino! – huknął Zagłoba – boś najwinniejszy. Waćpan to wymyślił tę imprezę, która jeśli nie jest głupia, to ja głupi!

– A taki pójde, brateńku – odrzekł pan Longinus.

– Pójdziesz, pójdziesz! i wiem dłaczego! Waćpan się za bohatera nie podawaj, bo cię znają. Czystość masz na zbyciu i pilno ci ją z okopu wynieść. Najgorszy między rycerstwem, nie najlepszy, po prostu gamratka z waszmości, która cnotą handluje! Tfu! obraza boska! Otóż to!... Nie do króla ci pilno, ale rad byś rzał po wsiach jak koń na błoni. Oto rycerz patrzcie się, co niewinność ma na sprzedaż! Zgorszenie, czyste zgorszenie, jak mnie Bóg miły!

– Słuchać hadko! – wołał zatykając uszy pan Longinus.

– Dajcie pokój swarom! – rzekł poważnie Skrzetuski. – Lepiej o sprawie myśłmy!

– Na Boga! – rzekł starosta krasnostawski, którego dotychczas ze zdumieniem słuchał słów pana Zagłoby – wielka to jest rzecz, ale bez księcia nie możemy nic stanowić. Tu nie ma się co spierać. Waćpanowie w służbie jesteście i ordynansów słuchać musicie. Książę musi być u siebie. Pójdźmyz do niego, co on na ochotę waszmościów powie.

– To, co i ja! – rzekł Zagłoba i nadzieja wypogodziła mu oblicze. – Pójdźmy co prędzej.

Wyszli i szli przez majdan, na który kule już padały z szańców kozackich. Wojska były u wałów, które z dala wyglądały jak budy jarmarczne, tyle na nich nawieszano starej pstrej odzieży, kozuchów, tyle nastawiano wozów, szczątków namiotów i wszelkiego rodzaju rzeczy mogących stanowić zasłonę od strzałów, które czasem po całych tygodniach nie ustawały we dni i w nocy. Jakoż i teraz nad owymi porozwieszanymi łachmanami ciągnęła się długa, błękitnawa smuga dymu, a przed nimi widać było leżące szeregi czerwonych i żółtych żołnierzy pracujących ciężko przeciw najbliższemu szańcom nieprzyjacielskim. Sam majdan wyglądał jak jedno rumowisko; równina, podarta rydlami lub stratowana przez konie, nie zieleniła się ani jednym źdźbłem trawy. Gdzieniedzie sterczały kopce wydobytej świeżo przy kopaniu studzien i mogił ziemi, gdzieś leżały szczątki potrzaskanych wozów, armat, beczek lub stopy obgryzionych i zbielałych na słońcu kości. Trupa końskiego nie dojrzała nigdzie, bo każdy zabierano natychmiast na żywność dla żołnierzy, natomiast wszędzie widać było gromady żelaznych, po większej części zrudziałych już od rdzy kul armatnich, którymi codziennie zasypywano ten szmat ziemi. Ciężka wojna i głód widne były na każdym kroku. Idąc spotykali rycerze nasi większe i mniejsze kupy żołnierzy, to odnoszące rannych i zabitych, to śpieszące ku wałom z pomocą zbyt strudzonym towarzyszom – a wszystkie twarze szerniały, zapadłe, zarośnięte – a srogie oczy rozpalone, odzież wypłowiała, podarta, na głowach często szmaty brudne zamiast czapek i hełmów, broń połamana. I mimo woli przychodziło na myśl pytanie: co się stanie z tą garścią dotychczasowych zwycięzców, gdy jeszcze upłynie tydzień, dwa...

– Patrzcie, waszmościowie – mówił starosta – czas, czas dać znać królowi.

– Nędza już szczyrzy zęby jak pies – odpowiedział mały rycerz.

– A co będzie, gdy konie zjemy? – pytał Skrzetuski.

Tak rozmawiając doszli do namiotów książęcych stojących z prawej strony wału, przed którymi widać było kilkunastu jeźdźców służbowych, przeznaczonych do rozwożenia rozkazów po obozie. Konie ich, karmione śrutowanym i wędzonym mięsem końskim, a stąd trawione ustawicznym ogniem, rzucały się w szalonych podskokach nie chcąc żadną miarą ustać na miejscu. Tak już było z końmi wszystkiej jazdy, która gdy szła teraz na nieprzyjaciela, zdawało się, że to stado gryfów lub hipocentaurów sady przez pola, więcej pędząc powietrzem niż ziemią.

– Czy jest książę w namiocie? – spytał starosta jednego z jeźdźców.

– Jest z panem Przyjemskim – odpowiedział pocztowy.

Starosta wszedł pierwszy, nie oznajmując się; czterej zaś rycerze zatrzymali się przed namiotem.

Ale po chwili płótno uchyliło się i pan Przyjemski wysadził głowę:

– Książę chce widzieć pilno waszmościów – rzekł.

Pan Zagłoba wszedł do namiotu z dobrą myślą, miał bowiem nadzieję, że książę nie będzie chciał najlepszych swych rycerzy na pewną zgubę narażać, omylił się jednak, bo jeszcze nie zdążyli mu się pokłonić, gdy rzekł:

– Powiadał mi pan starosta o gotowości waszej wyjścia z obozu, a ja dobre chęci wasze przyjmuję. Ojczyźnie nie można nadto ofiarować...

– Przyszliśmy jeno o pozwolenie pytać – odrzekł Skrzetuski – gdyż wasza książęca mość jesteście szafarzem krwi naszej:

– Więc to we czterech chcecie wyjść?

– Wasza książęca mość! – rzekł Zagłoba. – Oni to chcą wyjść, a ja nie; Bóg mi świadek, nie przyszedłem się tu chwalić ani swych zasług przypominać i jeżeli o nich wspomnę to jeno dlatego, żeby nie było supozycji, że mnie tchórz oblatuje. Wielcy to są kawalerowie pan Skrzetuski, Wołodyjowski i pan Podbipięta z Myszykiszek, ale i Burlaj, którego leży w mej ręce (że o innych przewagach zamilczę), także był wielki żołnierz, wart Burdabuta, Bohuna i trzech głów janczarskich – mniemam przeto, że w dziele rycerskim nie jestem gorszy od innych. Jednakże co innego jest męstwo, a co innego szaleństwo. Skrzydeł nie mamy, a ziemią się nie przedostaniem – to pewno.

– Więc waść nie idziesz? – pytał książę.

– Powiedziałem, że iść nie chcę, ale nie powiedziałem, że nie idę. Kiedy mnie raz Bóg pokarał ich kompanią, to już do śmierci muszę w niej wytrwać. Jeżeli nam będzie ciasno, szabla Zagłoby przyda się jeszcze, nie wiem tylko, na co by się przydała śmierć nas czterech, i ufam, że wasza książęca mość zechce ją od nas odwrócić nie dając pozwolenia na szalone przedsięwzięcie.

– Dobry z wasci kompan – odpowiedział książę – i zacnie to z twojej strony, że przyjaciół opuszczać nie chcesz, aleś się w swojej ufności we mnie pomylił, bo ja ofiarę waszą przyjmuję.

– Zdechł pies! – mruknął Zagłoba i ręce opadły mu zupełnie.

W tej chwili kasztelan bełski Firlej wszedł do namiotu.

– Mości książę – rzekł – ludzie moi złapali Kozaka, którego powiada, że na dzisiejszą noc szturm się gotuje.

– Miałem i ja już wiadomość – odpowiedział książę. – Wszystko w pogotowiu; niech tylko z sypaniem tych nowych wałów śpieszą.

– Już prawie skończone.

– To dobrze! – rzekł książę. – Do wieczora się przeniesiemy.

Po czym zwrócił się do czterech rycerzy:

– Po szturmie, jeśli noc będzie ciemna, najlepsza pora do wyjścia.

– Jak to? – rzekł kasztelan bełski – mości książe, gotujesz wycieczkę?

– Wycieczka swoją drogą pójdzie... – rzekł książe – ja sam poprowadzę; ale teraz mówimy o czym innym. Ichmościowie podejmują się przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o naszym położeniu.

Kasztelan zdumiał, oczy otworzył i spoglądał kolejno na rycerzy.

Książę uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał tę próżność, że lubił, by podziwiano jego żołnierzy.

– Na Boga! – rzekł kasztelan – więc są jeszcze takie serca na świecie?... Na Boga!... nie będę ja waszmościów od tego hazardu odwoził...

Pan Zagłoba zacerwienił się ze złości, ale już nic nie rzekł, sapał tylko jak niedźwiedź, książe zaś zamyślił się przez chwilę i w następujące ozwał się słowa:

– Nie chcę ja jednak na darmo krwią waszmościów szafować i na to się nie zgadzam, abyście wszyscy czterej razem wychodzili. Pójdzie naprzód jeden; jeśli go zabiją, to się tym pochwalić nie omieszkają, jako się już raz pochwalili śmiercią tego mego sługi, którego aż pode Lwowem schwytali. Jeżeli tedy pierwszego zabiją, pójdzie drugi, potem w razie potrzeby trzeci i czwarty. Ale być może, że pierwszy przejdzie szczęśliwie – w takim razie nie chcę innych na próżną śmierć narażać.

– Mości książe... – przerwał Skrzetuski.

– Taka moja wola i rozkaz – rzekł z naciskiem Jeremi. – By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

– To ja! – rzekł pan Longinus z promienną twarzą.

– Dziś wieczór po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna – dodał książe. – Listów żadnych do króla nie dam; co waść widzisz, to opowiesz. Weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu, ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał czas jakiś, a potem ucałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem :

– Tak mi bliski jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu boży! Amen!

– Amen! – powtórzyli starosta krasnostawski, pan Przyjemski i kasztelan bełski.

Książę miał łzy w oczach – bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa – inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsał dreszcz zapалу i płomień chodził mu po kościach, i radowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna a bohaterska nadzieją bliskiej ofiary.

– Historia o waszmości pisać będzie! – wykrzyknął kasztelan bełski.

– *Non nobis, non nobis, sed nomini Tuo, Domine, da gloriam* – rzekł książe.

Rycerze wyszli z namiotu.

– Tfu, coś mnie za grzydkę ułapiło i trzyma, a w gębie tak mi gorzko jak po piolunie – mówił Zagłoba. – A tamci ciągle strzelają – żeby was pioruny wystrzelały! – rzekł ukazując na dymiące szańce kozackie. – Oj, ciężko żyć na świecie! Panie Longinie, czy to już koniecznie waćpan wyjdiesz?... Nie ma już rady! Niechże cię anieli ustrzegą... Żeby to zaraza to chamstwo wydusiła!

– Muszę waszmościów pożegnać – rzekł pan Longinus.

– Jak to? gdzie idziesz? – pytał Zagłoba.

– Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciaszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy pan Longinus poszedł śpiesznie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli, pan Zagłoba zaś mówił:

– Ciągłe mnie coś za grzydkę trzyma. Nie spodziewałem się, że mi będzie taki żal, ale najnotliwszy to człowiek na świecie! – Niech mi kto zaprzeczy, to mu dam w pysk. O Boże! Boże! myślałem, że kasztelan bełski będzie hamował, a on jeszcze bębenka podbijał. Kaduk przyniósł tego heretyka! „Historia (mówi) o waszmości pisać będzie!” Niech o nim samym pisze, ale nie na skórze pana Longina! A czemu to on sam nie wyjdzie? Po sześć ma palców u nóg, jako kalwin, to mu i chodzić łatwiej. Mówię waszmościom, że coraz gorzej na świecie i pewnie prawda, co ksiądz Żabkowski prorokuje, że koniec świata bliski. Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć.

Ale pan Podbipięta po spowiedzi i komunii cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo Kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskimi, że swoi swoich odróżnić nie mogli – i trzy razy tak wiazali się ze sobą. Chmielnicki wyteżył wszystkie siły, bo mu i chan, i własni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm i że odtąd głodem tylko będą nękać obleżonych. Ale po trzech godzinach wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznymi stratami, że były później wieści, jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia – i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzestennej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony Jeremi natychmiast po szturmie poprowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół – po czym dopiero cisza ukołysała tabor i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

– Pistolety dobrze osłoń – szeptał Skrzetuski – żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczmy na ratunek.

– Ciemno, choć oko wykol! – szepnął Zagłoba.

– To lepiej – rzekł pan Longinus.

– Cicho no! – przerwał Wołodyjowski – coś słyszę.

– To jakiś konający chrapie – nic to...

– Byleś się do dębiny dostał...

– O Boże! Boże! – westchnął Zagłoba trzęsąc się jak w febrze.

– Za trzy godziny będzie dniało.

– To już czas! – rzekł Longinus.

– Czas! czas! – powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. – Idź z Bogiem.

– Z Bogiem! z Bogiem!

– Bądźcie, bracia, zdrowi, a przebaczenie, jeżeli komuś w czym zawinił.

– Tyś zawinił? O Boże! – zawołał Zagłoba rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony.

– Bądźcie zdrowi! – powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu, raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom – i znikł w ciemności.

Między drogą do Załościc a gościńcem z Wiśniowca rosła dąbrowa, przerywana wąskimi, w poprzek idącymi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen, za Załościce – tam to postanowił dostać się pan Podbipięta.

Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru przez całą noc kręciło się najwięcej ludzi i strażę najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzone były strażami, które objeżdżali ustawicznie esaulowie, setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nie tylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w kotłownię z dołów lub rowów pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko skopane polskimi i kozackimi rękoma.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono – i przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom i aproszom kozackim. Stał i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich mołojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Od czasu do czasu słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń ciągnąca się aż do pierwszego okopu sypanego jeszcze przez regimentarzy również była pokryta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej, zaś co kilkadziesiąt kroków stały owe zakrywki ziemne podobne w ciemności do stogów. Lecz i zakrywki były puste. Wszędzie panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka – nikogo na całym dawnym majdanie prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłe i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż na koniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było światła; jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkrywają, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie na przemian.

„Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu?” – pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam gdzie drży owe światelko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie: ksiądz Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki – tam go kochają i radzi by go obronić – a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz – w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła się w nim wahać.

Nadleciał doń w ciemności błady niepokój i począł szeptać mu do ucha: „Nie przejdziesz, to niepodobieństwo! – wróć się, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek. – Przez te tabory, przez tę dzicz nie przejdzie nikt.”

Ów obóz, ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły – a oni sami już nie pójdą ani nikogo nie wyślą – i będą czekać dalej bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

„W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!... To są pokusy szatańskie – pomyślał pan Longinus. – Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta.”

Miałeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię zhańbić – wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy!

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony; niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciążyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliskich; na koniec, jakby odpowiadając groźbie dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

– A taki pójde.

Po pewnym czasie znalazł się na owym pobojuwisku, na którym w dniu pierwszego szturmowania jazda książęca rozbiła Kozaków i janczarów Droga tu już była równiejsza, mniej rowów, dołów, nakrywek i nic prawie ciał, bo co w dawniejszych walkach poległo, to Kozacy już uprzętnęli. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi, ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim stawem a taborem.

Szedł teraz szybko, bez przeszkód i już zdawało mu się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

„Straże kozackie!” – pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu, więc rzucił się co do ducha w bok i zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu padł na ziemię i wyciągnął się bez ruchu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej i na koniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

– Im ciężko, ale i nam ciężko – mówił senny jakiś głos. – A ile dobrych mołojców ziemię gryzie!

– Hospody! – rzekł drugi głos. – Mówią, że korol niedaleko... co z nami będzie?

– Chan rozgniewał się na naszego bat'ka, a Tatarzy grożą, że nas w łyka wezmą, jeżeli nie będzie kogo.

– I na pastwiskach się z naszymi biją. Bat'ko zakazał chodzić do kosza, bo kto tam pójdzie, przepadnie.

– Mówią, że między bazarnikami są przebrane Lachy. Bodaj tej wojny nie bywało!

– Gorzej nam teraz niż przedtem.

– Korol niedaleko z laską potęgą – to najgorzej!

– Hej, na Siczy ty by teraz spał, a tu tłucz się po ciemku jak siromacha.

– Muszą tu się i siromachy włóczyć, bo konie chrapią.

Głosy oddalały się stopniowo – i na koniec umilkły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej.

Deszcz, tak drobny jak mgła, począł mżyć. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Po lewej stronie pana Longina zablęskło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie i trzecie, dziesiąte. Teraz był już pewny, że znajduje się na linii taboru.

Światła były rzadkie i mdłe – widać, spali tam już wszyscy i tylko gdzieniegdzie może pito lub gotowano strawę na jutro.

– Bogu dzięki, że po szturmie i wycieczce idę – rzekł do siebie pan Longinus. – Znużeni muszą być śmiertelnie.

Zaledwie to pomyślał, gdy z dala usłyszał znów tupot koński – jechała druga straż.

Ale grunt w tym miejscu więcej był popękany, więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blisko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem konie, przywykłe przechodzić koło leżących ciał, nie zstraszyły się. Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznym było, że cały krąg objęty taborem strzeżony był jak źrenica oka. Pan Longinus cieszył się tylko w duchu, że nie napotyka pieszych placówek, które stawiano zwykle przed taborem, aby podawały wiadomości konnym strażom.

Ale radość jego niedługo trwała. Zaledwie uszedł znowu stają drogi, gdy jakaś czarna postać zamajaczyła przed nim nie dalej jak na dziesięć kroków. Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony, poczuł jakby lekki dreszcz w krzyżach. Cofać się i obchodzić było za późno. Postać poruszyła się, widocznie go dostrzegła.

Nastąpiła chwila wahania, krótka jak mgnienie oka. Nagle ozwał się przyciszony głos:

– Wasyl, to ty?

– Ja – odrzekł cicho pan Longinus.

– A gorzałkę masz?

– Mam.

– Dawaj.

Pan Longinus zbliżył się.

– A co ty taki wysoki? – powtórzył tenże sam głos tonem przestrachu.

Coś zakotłowało się w ciemności. Krótki, zduszony w tej samej chwili wykrzyk: „Hosp...!”, wyrwał się z ust strażnika – potem dał się słyszeć jakby trzask łamanych kości, ciche chrapanie i jedna postać upadła ciężko na ziemię.

Pan Longinus szedł dalej.

Ale nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek – więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet i szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę. Konne oddziały straży nie miały tu co robić.

Po chwili pokazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Za to tabor nie był dalej jak dwa strzelenia z łuku – i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równoległe do szeregu wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i owdzie ogniskach widać było siedzące postacie. W jednym miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Z daleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których rzeźnicy zdzierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha rzeźnikom na piszczałkach. Była to ta część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru oświecona mdłymi światłami ognisk znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się, co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały jakby pierścieniem cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać.

Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia między Kozactwem a koszem. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owym kolisku – chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacji, dla wolnej drogi potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Błaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i Kozaków, gdyż tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści jak wąż do jamy.

Uplynał kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie – w obronę z ciałem i duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nie tylko za siebie – ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał – i pan Longinus przeszedł. Czerniały teraz przed nim chrusty i gąszcze, za którymi rosła dębina, za dębina bór aż hen, do Toporowa, za borem król, zbawienie i sława, i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Czymże było ścięcie trzech głów wobec tego czynu, do którego coś więcej prócz żelaznej ręki trzeba było posiadać!

Pan Longinus sam czuł tę różnicę – ale nie wezbrało pychę to czyste serce, tylko jak serce dziecka rozpląnęło się w lzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów już nie było albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach, i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł jak olbrzym, depcząc krze – co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej – i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nimi tak czarna jak w podziemiu. Ale to i lepiej. Wstał lekki wiatr, więc dęby szumią z lekka, rzekłbyś – mruczą pacierz: „Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchroniże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę!”

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne; coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzędzie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszumiały mocniej, jakby chciały rzec: „Zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas” – ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, spod rozłożystych gałęzi olbrzymia wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

– Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały, nakrycia głowy jakieś spiczaste – to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświetliła łąkę, dąb, dzikie postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina jak wilcy na jelenia i chwyciło go żyłastymi rękoma, lecz on wstrząsnął się tylko i wszyscy napastnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Po czym straszliwy Zerwikaptur zazgrzytał w pochwie – i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania o ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych, rzenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się jeszcze raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza – i ciał straszliwie. Trupy zaczęły mu się pod nogami – inni cofnęli się, zdjęci paniczną trwogą.

– Diw! Diw! – rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnyimi. Biegli Kozacy i Tatarzy z kosami, z drągami, z łukami – ze szczapami palącego się łuczywa. Gorączkowe pytania począły się krzyżować i przelatywać z ust do ust:

– Co to jest, co się stało?

– Diw! – odpowiadali koniuchowie.

– Diw! – powtarzały tłumy.

– Lach! Diw! Ubij!...

– Żywcem bierz! Żywcem!

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu – olbrzymi, oparty o drzewo – i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Na koniec zagrzmiął głos komendy:

– Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem – jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestraszenia wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili.

Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał drgających jeszcze w agonii.

– Sznurów, sznurów! – zabrzmiał jakiś głos.

Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrepować pana Longina do drzewa.

Ale pan Longin ciał mieczem – i chłopci z obu stron padli na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy.

Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie wzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych nohajców chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda, ale on podarł ich, jak odynec rozdiera zajadłe kondle. Dąb, zrośnięty z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza – z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Widząc to rozwścieczona orda spędziła Kozaków i naokół rozległy się dzikie wołania:

– Uk! uk!...

Wówczas na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanie do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: „Matko Odkupiciela!” – i obtarła mu skroń.

Druga strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: „Panno wstawiona!” – i utkwiała mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna!” – już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już – jak przez mgłę – łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... na koniec ukląkł.

Potem, na wpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: „Królowo Anielska!” – i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u nóg „Królowej Anielskiej”.

ROZDZIAŁ XXVIII

Pan Wołodyjowski i Zagłoba stali następnego rana na wałach między żołnierstwem, spoglądając pilno ku taborowi, od którego strony zbliżały się masy chłopstwa. Skrzetuski był na radzie u księcia, oni zaś, korzystając z chwili spokoju, rozmawiali o dniu wczorajszym i o tym ruchu w taborze nieprzyjacielskim.

– Nic nam to dobrego nie wróży – rzekł Zagłoba ukazując na czarne masy, idące na kształt olbrzymiej chmury. – Pewno do szturmów znów ruszą, a tu już ręce nie chcą chodzić w stawach.

– Gdzie by tam zaś miał być szturm przy dniu jasnym, o tej porze! – rzekł mały rycerz. – Nie uczynią nic więcej, jeno zajmą nasz wczorajszy wał i znów wkopywać się będą do nowego i strzelać przy tym od rana do wieczora.

– Można by ich dobrze z armat przepłoszyć.

Wołodyjowski zniżył głos.

– Prochów skąpo – rzekł. – Przy takim ekspensie podobno już i na sześć dni nie starczy. Ale w tym czasie pewnie król nadciągnie.

– Niechże się już dzieje, co chce. Aby nasz pan Longin, niebożatko, przedostał się szczęśliwie! Przez całą noc spać nie mogłem, tylko o nim myślałem, a com się zdrzemnął, tom go w opresji widział, i taki mnie żal brał, że aż poty na mnie były. Najlepszy to człowiek, jakiego w Rzeczypospolitej możesz znaleźć, z latarnią przez trzy roki i sześć niedziel chodząc.

– A czemuś tu waćpan zawsze z niego dworował?

– Bo gęba we mnie paskudniejsza od serca. Ale już mi go, panie Michale, nie zakrwawiaj wspomnieniem, gdy i tak wyrzuty sobie czynię, a broń Boże jakiego przypadku na pana Longina, to bym do śmierci chyba nie miał spokoju.

– Już też tak dalece się waćpan nie gryź. Nie miał on nigdy do waści żadnego rankoru i słyszałem, jak sam mówił: „Gęba hadka, serce złote!”

– Dajże mu Boże zdrowie, przyjacielowi zacnemu! Nigdy on po ludzku nie umiał mówić, ale setnie takowe niedostatki wielkimi cnotami nagradzał. Co myślisz, panie Michale? zali przeszedł szczęśliwie?

– Noc była ciemna, a chłopci po klęsce straszliwie *fatigati*. U nas dobrych straży nie było, a cóż dopiero u nich!

– To chwała Bogu! Zalecałem też panu Longinowi, żeby się o naszą niebogę kniaziównę pilno dopytywał, jeżeli gdzie jej nie widzieli, bo tak myślę, że Rzędzian musiał się do wojsk królewskich przedostawać. Pan Longinus pewnie na odpoczynek nie pójdzie, tylko z królem tu przyciągnie. W takim razie mielibyśmy niedługo o niej wiadomość.

– Ufam ja w dowcip tego pacholka, że ją tam jakoś ocalił. Już bym nie zaznał uciechy, żeby ją zguba spotkała. Krótkom ją znał, ale w to wierzę, że gdybym siostrę miał, to by mi nie była miłsza.

– Dla ciebie siostra, a dla mnie córuchna. Od tych trosków chyba mi broda do reszty zbieleje, a serce od żalu pęknie. Co kogo pokochasz – raz, dwa, trzy – i już go nie ma, a ty siedz, troskaj się, martw, gryź, rozmyślaj, mając w dodatku brzuch pusty i dziury w czapczynie, przez które jak przez złą strzechę woda na łysinę leci. Psom teraz w Rzeczypospolitej lepiej niż szlachcie, a nam czterem to już ze wszystkich najgorzej. Czas by już chyba do lepszego świata się wybrać, panie Michale, albo co?

– Nieraz myślałem, czyby nie lepiej powiedzieć Skrzetuskiemu o wszystkim, ale to mnie wstrzymuje, że sam on nigdy o niej jednym słowem nie wspominał, a bywało, jak kto wymówi, to się tylko wzdygnie, jakby go co w sercu ukłuło.

– Gadajże mu, rozdieraj rany w ogniu tej wojny przyschłe, a ją tam może już jaki Tatarzyn przez Perekop za warkocę prowadzi. Świece jarzące mi w oczach stają, gdy sobie taki termin pomyślę. Czas już umierać, nie może być inaczej, bo na świecie męka tylko i nic więcej. Żeby choć pan Longinus przemknął się szczęśliwie!

– Musi on mieć większe w niebie łaski niż inni, bo cnotliwy. Ale patrz no waćpan, co tam hultajstwo robi!..

– Taki dziś blask od słońca, że nic nie widzę.

– Wał nasz wczorajszy rozkopują.

– A mówiłem, że będzie szturm. Chodźmy stąd, panie Michale, dość już tego stania.

– Nie dlatego to oni kopią, żeby koniecznie do szturmować iść, ale muszą mieć otwartą drogę do odwrotu i przy tym pewno będą tamtędy maszyny wprowadzać, w których strzelcy siedzą. Patrz no waść, aż łopaty warczą; już na jakie czterdzieści kroków zarównali.

– Teraz widzę, ale okrutny dziś blask.

Pan Zagłoba nakrył oczy ręką i patrzył. W tej chwili przez rozkopany wale wycinek rzuciła się rzeka czerni i rozlała w mgnieniu oka po pustej między wałami przestrzeni. Jedni zaczęli zaraz strzelać; inni ryjąc ziemię łopatami, poczęli wznosić nowy nasyp i szańce, które trzecim z kolei pierścieniem miały zamknąć polski obóz.

– Oho! – zawołał Wołodyjowski – nie mówiłem?... już i maszyny wtaczają!

– No, to szturm będzie jako żywo. Chodźmy stąd – rzekł Zagłoba.

– Nie, to inne beluardy! – odpowiedział mały rycerz.

I istotnie maszyny, które ukazały się w otworze, inaczej były budowane od zwykłych hulaj-grodów; ściany ich bowiem składały się z zestosowanych skobkami drabin pokrytych odzieżą i skórą, spoza których najcenniejsi strzelcy, siedzący od połowy wysokości maszyny aż do jej szczytu, razili nieprzyjaciela.

– Pójdźmy, niech ich tam psy pozagryzają! – powtórzył Zagłoba.

– Czekaj waść – odpowiedział Wołodyjowski.

I począł liczyć maszyny, w miarę jak coraz nowe ukazywały się w otworze.

– Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć... idą coraz wyżej... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie, bo tam być muszą strzelcy *exquisitissimi* – dziewięć, dziesięć – widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada – jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

– Co to jest? – spytał dziwnym głosem.

– Gdzie?

– Tam, na tej najwyższej... człowiek wisi!

Zagłoba wyteżył wzrok; istotnie na najwyższej maszynie słońce oświeciło nagi trup ludzki kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem beluardy, na kształt olbrzymiego wahadła.

– Prawda – rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

– Boże wszechmogący!... to Podbipięta!

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatknął dłońmi oczy i powtarzał zsiniałymi wargami, jęcząc:

– Jezus Maria! Jezus Maria!...

Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy – poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek; strach było na niego spojrzeć: na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

– Krwi! krwi! – ryknął tak straszonym głosem, że aż dreszcz przeszedł blisko stojących.

I skoczył w fosę. Za nim rzucił się, kto był żywy na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy książęce nie zdołałyby powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fosy wydobywali się jedni na ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu – a kto wyskoczył, biegł na oślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Beluardy zadymiały jak smolarnie i wstrząsły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy, z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Dopieroż Kozacy skoczyli także z cepami, z kosami na napastników i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły o się z łoskotem. Lecz syte brytany nie mogą bronić się długo głodnym i wściekłym wilkom. Wsparci z miejsca, cięci szablami, darcu zębami, bici i gnieceni, Kozacy nie wytrzymali furii – i wnet zaczęli się mieszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucał się w największy tłum jak lwica, której zabrano lwięta; rzeził, chrapał, ciął, mordował, deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł, jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski podobny do rannego rysia.

Strzelców ukrytych w beluardach wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Po czym żołnierze weszli na beluardę i odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte cętkami od ran przez grotty zadanych. Twarzy tylko nie popsowały mu strzały prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropel czerwonej krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladym obliczu uśmiech pogodny, i gdyby nie blade błękitna oblicza, gdyby nie chłód śmierci w rysach – zdawać by się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stańko wszystkie duchowieństwo ze Zbaraża prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelony, bliskim był śmierci; przyszedł książę, zdawczy dowództwo staroście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży

nowogrodzki, i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem – i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiazdzista; pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokół rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wznosił rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze przez chwilę, potem utkwiał oczy w gwiazdzistych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

– Co to tam za stukanie słyszę po nocy w niebieskie podwoje? – pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając.

– Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbipięta.

– Lecz jakież to uczynki, jakąż to szarżą, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtiana inkomodować? Jakimże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury jeszcze same przez się wolnego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

– Ach! otwórz, święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł komiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta – aż wreszcie przyszedł do ciebie jako gołąb po długim locie utrudzon, przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł jako święty Sebastian strzałami pogańskimi podarty, jak Hiob biedny, jako dziewczeczka, która męża nie zaznała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy – bez zmaży grzechowej z ofiarą krwi dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz – kogoż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?

Puśćże go, święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przenosił. Bili się tedy w piersi wszyscy i coraz większa ogarniała ich żalność, i coraz jaśniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozplakał i mówił szlochając jak Zagłoba:

– Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancji odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizериę i opresję – pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!

Plakali za zacytowanym księdzem wszyscy: i książę, i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy: *Requiem aeternam dona ei, Domine!* – uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką od dawna do niej przywykli.

W chwili gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłobę trudno było od niej oderwać, jakby mu brat albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: „*Anima eius*” – zahurkotały sznury – ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami... i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

* * *

Trzej przyjaciele wracali z miasta na majdan, z którego ustawicznie dochodził odgłos strzałów. Szli w milczeniu, gdyż żaden z nich nie chciał pierwszego słowa przemówić – lecz inne gromadki rycerstwa gwarzyły między sobą o nieboszczyku, sławiąc go zgodnie.

– Pogrzeb miał tak foremny – mówił jakiś oficer przechodząc obok Skrzetuskiego – że i panu pisarzowi Sierakowskiemu lepszego nie sprawili.

– Bo też nań zasłużył – odpowiedział drugi oficer. – Kto by to inny podjął się przedrzeć do króla?

– A ja słyszałem – dodał trzeci – że między wiśniowieczkami było kilku ochotników, ale po tak strasznym przykładzie pewnie już wszystkich ochota odeszła.

– Bo też to i niepodobna. Wąż się nie prześliznie.

– Jako żywo! czyste by to było szaleństwo!

Oficerowie przeszli. Nastąpiła znów chwila milczenia. Nagle Wołodyjowski rzekł:

– Słyszałeś, Janie?

– Słyszałem – odpowiedział Skrzetuski – Moja dziś kolej.

– Janie! – rzekł poważnie Wołodyjowski – znasz mnie od dawna i wiesz, że się przed hazardem nierad cofam; ale co innego hazard, a co innego proste samobójstwo.

– I tyż to mówisz, Michale?

– Ja, bom ci przyjaciel.

– I jam ci przyjaciel: dajże mnie kawalerski parol, że nie pójdziesz trzeci, jeżeli ja zginę.

– O! nie może być! – zakrzyknął Wołodyjowski.

– A widzisz, Michale! Jakże to możesz ode mnie wymagać tego, czego byś sam nie uczynił? Niechże się dzieje wola boża!

– To pozwól mi iść razem.

– Książę zabrania, nie ja – a tyś żołnierz i słuchać musisz.

Pan Michał zamilkł, bo istotnie żołnierz to był przede wszystkim, więc począł tylko wąsikami ruszać gwałtownie przy księżycu, na koniec rzekł:

– Noc bardzo widna – nie idź dzisiaj.

– Wolałbym, żeby była ciemniejsza – odrzekł Skrzetuski – ale zwłoka niepodobna. Pogoda, jako widzisz, uczyniła się na długo, a tu prochy się kończą, żywność się kończy. Żołnierze już na majdanie kopią korzonków szukając – innym dziąsła gniją od paskudztwa, które jedzą. Dziś pójdę, zaraz; jużem się z księciem pożegnał.

– To widzę, żeś po prostu desperat.

Skrzetuski uśmiechnął się smutno.

– Bodajże cię, Michale. Pewnie, że w rozkoszach nie opływam, ale dobrowolnie śmierci nie będę szukał, boć to i grzech, a zresztą nie o to chodzi, żeby zginać, jeno o to, żeby wyjść i dojść do króla, i obóz zbawić.

Wołodyjowskiego porwała nagle taka chęć powiedzieć Skrzetuskiemu wszystko o kniaziównie, że prawie już usta otwierał; ale pomyślał sobie: „Od nowiny w głowie mu się pomiesza i tym łatwiej go schwytają” – więc ugryzł się w język i zamilczał, a natomiast spytał:

– Którędy pójdziesz?

– Mówilem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Książę powiedział, że to lepsza droga niż inne.

– Nie ma, jak widzę, rady – odrzekł Wołodyjowski. – Raz człeku śmierć przeznaczona, a lepsza na polu chwały niż na łożu. Bóg cię prowadź! Bóg cię prowadź, Janie! Jeżeli nie zobaczymy się na tym świecie, to na tamym, a ja ci serca pewnie dochowam.

– Jako i ja tobie. Bóg ci zapłać za wszystko dobre. A słuchaj, Michale, jeżeli zginę, oni mnie może nie sprezentują jako pana Longina, bo zbyt srogą naukę dostali, ale się pewnie i tak jakowymś sposobem pochwalą; niechże w takim razie stary Zaćwilichowski pojedzie do Chmielnickiego po moje ciało, bo nie chciałbym, aby mnie psi po ich taborze włóczyli.

– Bądź pewien – odrzekł Wołodyjowski.

Pan Zagłoba, który z początku na wpół przytomnie rozmowy słuchał, zrozumiał wreszcie, o co idzie, ale nie znalazł w sobie już dość siły, aby wstrzymywać lub odmawiać, tylko począł jęczeć głucho:

– Wczoraj tamten, dziś ten... Boże! Boże! Boże!...

– Ufaj waćpan – rzekł Wołodyjowski.

– Panie Janie!... – zaczął Zagłoba.

I nie mógł nic więcej powiedzieć, jeno siwą, strapioną głowę wsparł na piersi rycerza i tak tulił się do niego jak niedołączone dziecko.

W godzinę później Skrzetuski pogrążył się w wody zachodniego stawu.

Noc była bardzo widna i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porośnięty był gęsto sitowiem, trzcina i bucianem; dalej pomiędzy rzadszą trzcina rosły w obfitości grązele, rdest wodny i roślężę. Cała ta mieszanina szerokich i wąskich liści, oślizłych łodyg, węzowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utrudniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw aż do bagienka leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie albo tatarskie, ale za to rósł cały las trzciny, którego brzegi były tylko wycięte na szalasy dla czerni. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzciny nawet we dnie, chyba by topielisko okazało się zbyt głębokie. Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, tało się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnóstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego mimo całej powolności jego ruchów tworzyły się koła fal biegnące coraz dalej od środka aż na nie zarośniętą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie deszczu byłby po prostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej w pół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Całe potoki zielonawego światła lały się na staw zmieniając liście grązele w srebrne tarcze, a pióra trzciny w srebrne kity. Wiatr nie wiał; na szczęście grzechot wystrzałów głużył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze. Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jedną więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzciny i utworzywszy kłęb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach, kłując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszema żalodne swe nieszpory. Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie łudził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej strachów. Wszelka głębina wód, choćby najlepiej, znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem – i mimo woli napędza pytanie: co tam jest na dnie? – A ten staw zbaraski był po prostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody – i wydawała zaduch trupi. Bo też gnily w niej setki Kozaków i Tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów, ale

iluż ich mogło być ukrytych wśród trzciny, rdestu i gęstej uszycy? Skrzetuskiego obejmował chłód fali, a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś obślizgłe ramiona uchwycą go nagle albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego spod bucianów? Długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby nie puścić więcej. „Jezus Maria!... Jezus Maria!” – szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego doznawał pewnej ulgi. „Jest Bóg!” – powtarzał sobie półgłosem, tak aby się sam mógł dosłyszeć. Czasem spoglądał na brzeg i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, bladych światła księżycowych, duchów i trupów, i nocy spogląda na bożą zwykłą ziemię – i tęsknota porывała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzciny wychodzić.

Lecz posuwał się ciągle brzegiem i oddalił się już tak od obozu, że na tej bożej ziemi dostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Tatar – więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która, miarkując z jej jednostajnych ruchów ku szyi końskiej, zdawała się być uśpioną.

Był to dziwny widok. Tatar kiwał się ciągle, jakby kłaniał się w milczeniu Skrzetuskiemu, a ten oczu z niego nie spuszczał. Było w tym coś strasznego, lecz Skrzetuski odetchnął z satysfakcją, bo wobec tego rzeczywistego stracha pierzchnęły stokroć do zniesienia cięższe: urojone. Świat duchów odleciał gdzieś i rycerzowi wróciła od razu zimna krew; do głowy poczęły się cisnąć takie tylko pytania, jak: śpi czy nie śpi, mam iść dalej czy czekać?

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej niż na początku podróży. Był już na pół drogi do bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew lekkiego wiatru. Zakołysały się wnet trzciny i wydały, trącając jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo mimo całej ostrożności, mimo iż czasem po kilka minut nad postawieniem stopy tracił, mimowolny ruch, potknięcie się, plusk – mogły go zdradzić. Teraz szedł śmiało wśród głośniego rozhoworu trzciny, którym zaszumiła cała stawa – i wszystko zagadało dokoła, woda nawet na brzegach poczęła bełkotać rozkołysaną falą.

Lecz ten ruch rozbudził widocznie nie tylko zarośla brzegowe, bo naraz jakiś czarniawy przedmiot pojawił się przed Skrzetuskim i począł chybotać się ku niemu, jak gdyby rozmachując się do skoku. Skrzetuski omal w pierwszej chwili nie krzyknął; strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło.

Ale po chwili, gdy pierwsza myśl, że to może być topielec umyślnie zastępujący drogę, przeszła, pozostało tylko obrzydzenie – i rycerz ruszył dalej. Rozhovor trzciny trwał ciągle i wzmagał się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę tatarską. Minął je, minął i czwartą. „Już z pół stawu musiałem okrążyć” – pomyślał – i podniósł się trochę z trzciny, aby rozpoznać, w którym miejscu się znajduje; wtem coś go trąciło w nogi, obejrzał się i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

„To już drugi” – pomyślał.

Tym razem nie przeraził się, bo ten drugi trup leżał na wznak i nie miał w swej bezwładności pozorów życia i ruchu. Skrzetuski przyspieszył tylko kroku, by nie dostać zawrotu głowy. Trzciny zaczynały być coraz gęstsze, co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak utrudniało niezmiernie pochód. Upłynęło jeszcze pół godziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzie indziej za to zapadał niemal po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota. Pot zalewał mu czoło, a jednocześnie od czasu do czasu przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

„Co to jest? – myślał ze strachem w sercu – czy mnie *delirium* nie chwyta? Bagienka jakoś nie ma; nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzciny i ominę.”

Było to straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógłby krążyć całą noc naokoło stawu i z rana znaleźć się w tym samym miejscu, z którego wyszedł, lub wpaść na innym w ręce kozackie.

„Złą drogę obrałem – myślał upadając w duchu – przez stawy nie można, wróć się i jutro pójde jak pan Longinus; do jutra mógłbym odpocząć.”

Lecz szedł naprzód, bo poznawał, że obiecując sobie wrócić i ruszyć po odpoczynku, sam siebie oszukuje; przychodziło mu także do głowy, że idąc tak wolno i zatrzymując się co chwila nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na płytszym błocie, by choć odetchnąć. Bił się tak z własnymi myślami, a jednocześnie modlił się. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskich otrzeźwiał go, ale czuł, że i głowa męczy mu się równie jak ciało – i że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny – bagienko nie ukazywało się jeszcze.

Natomiast ciała utopionych trafiały się coraz częściej. Noc, strach, trupy, szum trzciny, trud i bezsenność zmałyły mu myśli. Poczęły nań nadlatywać wizje. Oto Helena jest w Kudaku, a on płynie z Rzędzianem na dumbasie z biegiem Dnieprowym. Trzciny szumią – on słyszy pieśń: „Ej to ne pili pilili!... ne tumany ustawały.” Książd Muchowiecki czeka ze stulą, a pan Krzysztof Grodzicki ojca zastąpi... Dziewczyna tam co dzień patrzy na rzekę z murów – rychło patrzyć, jak w ręce zaklaszcze i krzyknie: „Jedzie! jedzie!”

– Jegomość! – mówi Rzędzian ciągnąc go za rękaw – panna stoi...

Skrzetuski budzi się. To splecione trzciny zatrzymały go po drodze. Wizja ulatuje. Przymotność wraca. Teraz nie czuje już takiego zmęczenia, bo mu gorączka sił dodaje.

Hej, czy to jeszcze nie bagienko?

Ale naokół trzciny takie same, jakby z miejsca nie ruszył. Przy rzece powinna być woda otwarta, więc to jeszcze nie bagienko.

Rycerz idzie dalej, ale myśl wraca z nieubłaganiem do lubej wizji. Próżno Skrzetuski się broni, próżno poczyną mówić: „O gospodzie uwielbiona”, próżno stara się zachować całą przytomność – znowu nadpływa Dniepr, dumbasy, czajki – Kudak, Sicz – tylko tym razem wizja bezładniejsza, mnóstwo w niej osób: obok Heleny i księżę, i Chmielnicki, i ataman koszowy, i pan Longinus, i Zagłoba, i Bohun, i Wołodyjowski – wszyscy przybrani odświętnie na jego ślub, ale gdzie ma być ten ślub? Są w jakimś miejscu nieznanym, ni to Łubnie, ni Rozłogi, ni Sicz, ni Kudak... wody jakież, po nich ciała pływają...

Skrzetuski budzi się po raz drugi, a raczej budzi go mocny szelest dochodzący ze strony, w którą idzie – więc zatrzymuje się i słucha.

Szelest zbliża się, słychać jakież chrobotanie i plusk – to czółno.

Widać je już przez trzciny. Siedzi w nim dwóch mołojców – jeden popycha wiosłem, drugi trzyma w ręku długą tyczkę, świecąca z dala jak srebro, i rozgarnia nią wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się aż po szyję w wodę, tak że głowa tylko wystawała mu ponad sitowie, i patrzył.

„Jest-li to zwykła straż, czyli są już na tropie?” – pomyślał.

Ale wnet doszedł po spokojnych i niedbałych ruchach mołojców, że to musi być zwyczajna straż. Czółen na stawie musiało być więcej niż jedno – i gdyby Kozacy byli na tropie, pewno by zgromadziło się kilkanaście łódek i kupa ludzi.

Tymczasem przejechali mimo – szum trzcin głużył słowa; Skrzetuski złowił uchem tylko następujący urywek rozmowy:

– Czort by ich pobraw, i cei smerdiaczoj wody kazały plynowaty!

I czółno zasunęło się za kępy trzcin – tylko stojący na przedzie Kozak uderzał ciągle miarowym ruchem tyczką w zarośla wodne, jakby chciał ryby straszyc.

Skrzetuski ruszył dalej.

Po niejakiem czasie znów ujrzał placówkę tatarską stojącą tuż nad brzegiem. Światło księżycza padało wprost na twarz nohajca, podobną do psiej mordy. Ale Skrzetuski mniej się już obawiał tych straży niż utraty przytomności. Natężył więc całą wolę, by sobie jasno zdawać sprawę, gdzie jest i dokąd idzie. Ale ta walka powiększyła tylko jego znużenie i wnet dostrzegł, że mu się dwoi i troi w oczach, że chwilami wydaje mu się staw obozowym majdanem, a kępy trzcin namiotami. Wówczas chciał wołać na Wołodyjowskiego, by szedł z nim razem, ale tyle miał jeszcze przytomności, iż się wstrzymał.

– Nie krzycz! nie krzycz! – powtarzał sobie – to zguba.

Lecz owa walka z samym sobą coraz była dlań trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękanym głodem i straszną bezsennością, od której umierali tam już żołnierze. Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błędzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin osłabiły go do reszty. Dołączyło się i rozdrażnienie strachu, i ból od ukąszeń komarów, które pokłuły mu tak twarz, że cała była krwią oblana – więc czuł, że jeżeli prędko nie dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, by go prędzej spotkało, co ma spotkać, lub padnie wśród tych trzcin i utopi się.

Owe bagienko i ujście rzeki wydało mu się portem zbawienia, choć po prawdzie zaczynały się tam nowe trudności i niebezpieczeństwa.

Bronił się gorączkowo i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. Szczęściem trzcina szumiała ciągle. W jej szumie słyszał Skrzetuski głosy ludzkie, rozmowy; zdawało mu się, że to o nim tak rozprawia ten staw. Dojdzie-li do bagienka czy nie dojdzie? wylezie czy nie wylezie? Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawała się głębsza – wkrótce doszła mu do pasa, a potem do piersi. Więc pomyślał, że jeśli płynąć przyjdzie, to się w tej zbitej tkaninie zapłaczę i utonie.

I znowu porwała go niepowstrzymana, nieprzeparta chęć wezwania Wołodyjowskiego i już ręce złożył koło ust, by zakrzyknąć: „Michale! Michale!”

Na szczęście, jakaś miłosierna trzcina uderzyła go zroszoną mokrą kiścią w twarz. Oprzytomniał – i ujrzał przed sobą, ale nieco ku prawej stronie, mdłe światło.

Teraz patrzył już ciągle w to światło i czas jakiś szedł wytrwale ku niemu.

Nagle zatrzymał się spostrzegłszy pas czystej wody, leżącej w poprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko.

„To już przestanę krążyć brzegiem i zapuszczę się w ten klin” – pomyślał.

Z obu stron klinu ciągnęły się dwie smugi trzcin – rycerz zapuścił się tą, do której doszedł. Po chwili poznał, że jest na dobrej drodze. Obejrzał się: staw był już za nim, a on postępował teraz wzdłuż wąskiej taśmy, która nie mogła być czym innym, jak rzeką.

Woda też tu była zimniejsza.

Lecz po niejakiem czasie oświadczył mu straszne znużenie. Nogi trzęsły mu się, a przed oczyma wstawał jakoby tuman czarny. „Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się – myślał – nie pójdę dalej, odpocznę.”

Wtem upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porośniętą mchami. Była to jakoby wysepka wśród sitowia.

Siadł na niej i począł obcierać rękoma zakrwawioną twarz i przy tym oddychać mocno.

Po chwili do jego nozdrzy doszedł zapach dymu. Odwróciwszy się ku brzegowi dojrzał o stu kroków od brzegu ogień, a naokoło niego kupkę ludzi.

Był zupełnie na wprost tego ognia i w chwilach gdy wiatr rozginał trzciny, mógł widzieć wszystko doskonale. Od pierwszego rzutu oka poznał koniuchów tatarskich, którzy siedzieli przy ognisku i jedli.

Wówczas odezwał się w nim straszny głód. Ostatniego rana zjadł kawałek koniny, którym nie nasyciłoby się i dwumiesięczne szcenię wilcze; od tego czasu nie miał nic w ustach.

Więc począł zrywać rosnące obok krągłe lodygi grążeli i wysysał je chciwie. Gasił nimi zarówno głód, jak i pragnienie, bo i pragnienie go trawiło.

Przy tym ciągle wpatrywał się w ognisko, które bladło coraz bardziej i mdało. Ludzie przy nim przesłaniali się jakby mgłą i zdawali się oddalać.

„Aha! sen mnie morzy! Tu usnę, na tej kępie” – pomyślał rycerz.

Lecz przy ognisku uczynił się ruch. Koniuchowie wstali. Wkrótce do uszu Skrzetuskiego doszły wołania: „Łosz! łosz!” Odpowiedziało im krótkie rzenie. Ognisko opustoszało i przygasło. Po chwili jeszcze rycerz usłyszał gwizdanie i głuchy tupot kopyt po wilgotnej łące.

Skrzetuski nie mógł zrozumieć, czemu to koniuchowie odjeżdżają. Wtem spostrzegł, że kiście trzciny i tarcze grzybienia są jakieś bladawe – woda świeci się inaczej jak od księżyca, a powietrze przesłania się lekką mgłą.

Obejrzał się – dniało.

Cała noc zeszła mu na okrążaniu stawu, nim doszedł do rzeki i bagienka.

Był zaledwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostać się przez tabory za dnia.

Powietrze nasycalo się coraz więcej światłem brzasku. Na wschodzie niebo przybrało barwę bladego seledynu.

Skrzetuski spuścił się na nowo z kępy w bagno i dotarłszy po krótkiej przerwie do brzegu, wysadził głowę z trzciny.

W odległości pięciuset może kroków widać było jedną placówkę tatarską, zresztą łąka była pusta, tylko ognisko świeciło opodal na suchym miejscu dogasającym żarem; rycerz postanowił czołgnąć się ku niemu wśród wysokich traw przerośniętych jeszcze tu i owdzie sitowiem.

Doczołgawszy się szukał pilnie, czy nie znajdzie jakichś resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo obgryzione kości baranie ze szczątkami żył, tłuszczu oraz kilka sztuk pieczonej rzepty porzuconych w ciepłym popiele – jał więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza i jadł, póki nie spostrzegł, że placówki porozstawione na drodze, którą przebył, wracając tą samą łąką ku taborowi, zbliżają się ku niemu.

Wówczas rozpoczął odwrót i po kilku minutach znikł w ścianie trzciny. Odnalazłszy swą kępę położył się na niej bez szelestu. Straże tymczasem przejechały. Skrzetuski wziął się natychmiast do kości, które zabrał ze sobą, a które poczęły teraz trzaskać w jego potężnych szczękach jak w wilczych. Ogryzł tłuszcz i żyły, wysał szpik, zżuł masę kostną – zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczyty nie miał od dawna w Zbarażu.

Uczuł się zaraz silniejszym. Pokrzepiło go zarówno pożywienie, jak i wstający dzień. Robiło się coraz widniej; wschodnia strona nieba z zielonawej stawała się różowa i złota; chłód poranny dokuczał wprawdzie mocno rycerzowi, ale pocieszała go myśl, że wkrótce słońce rozgrzeje jego strudzone ciało. Rozejrzał się dokładnie, gdzie jest. Kępa była dosyć duża, trochę krótka, bo okrągława, ale za to tak szeroka, że dwóch ludzi mogło się na niej z łatwością położyć. Trzciny otaczały ją naokół jakby murem, zakrywając zupełnie przed ludzkimi oczyma.

„Nie znajdą mnie tu – myślał Skrzetuski – chyba by za rybami chcieli po trzcinach chodzić, a ryb nie ma, bo od zgnilizny pozdychały. Tu sobie wypocznę i rozmyślę, co dalej czynić.”

I począł myśleć, czy ma iść dalej rzeką, czy nie, na koniec postanowił iść, jeżeli wstanie wiatr i będzie trzciny kołysały; w przeciwnym razie ruch i szelest mogłyby go zdradzić, zwłaszcza że przyjdzie mu prawdopodobnie przechodzić blisko taboru.

– Dzięki ci, Boże, żem żyw dotąd! – szepnął z cicha.

I wzniosł oczy ku niebu, następnie myślą uleciał do polskich okopów. Zamek widać było z owej kępy doskonale, zwłaszcza że ozłociły go pierwsze promienie wschodzącego słońca. Może tam z wieży spogląda kto na stawy i trzciny przez perspektywę, a już tam Wołodyjowski i Zagłoba pewno cały dzień będą wypatrywać z wałów, czy go nie ujrzą wiszącego na jakiej beluardzie.

„Otóż nie ujrzą!” – pomyślał Skrzetuski i pierś napełniła mu się błogim uczuciem ocalenia.

– Nie ujrzą, nie ujrzą! – powtórzył kilkakrotnie. – Mało zrobiłem drogi, ale trzeba ją było zrobić. Bóg mi pomoże i dalej.

Tu zobaczył się już oczyma imaginacji za taborami – w lasach, za którymi stoją wojska królewskie: pospolite ruszenie z całego kraju, husarie, piechoty, regimenty cudzoziemskie – ziemia aż jęczy pod ciężarem ludzi, koni i armat, a między tym mrowiem sam król jegomość...

Potem ujrzał bitwę niezmierną, rozbite tabory – księcia z całą jazdą lecącego po stosach trupów, powitanie się wojsk...

Oczy bolące i popuchłe przymykały mu się pod nadmiarem światła, a głowa chyliła się pod nadmiarem myśli. Począła go ogarniać jakaś błoga niemoc, wreszcie wyciągnął się całą swą długością i usnął.

Trzciny sumiały. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo i ogrzewało gorącym spojrzeniem rycerza, suszyło na nim ubiór – on spał twardo, bez ruchu. Kto by go spostrzegł tak leżącego na kępie z okrwawioną twarzą, ten by sądził, że to leży trup, który wyrzuciła woda. Mijały godziny – on spał ciągle. Słońce dobiegło zenitu i poczęło schodzić na drugą stronę nieba – on spał jeszcze. Rozbudził go dopiero kwik przeraźliwy koni gryzących się na łące i głośnie wołania koniuchów smagających batami tabunne ogiery.

Przetarł oczy; spojrzął, przypomniał sobie, gdzie jest. Spojrzął w górę: na czerwonym od niedogastych blasków zachodu niebie migotały gwiazdy – przespał cały dzień.

Skrzetuski nie czuł się wypoczętym ani silniejszym; owszem, bolały go wszystkie kości. Lecz pomyślał, że właśnie nowy trud przywróci mu rzeźkość ciała – i spuściwszy nogi w wodę, bezzwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Szedł teraz tuż przy trzcinach czystą wodą, by szelestem nie zwrócić uwagi pasących na brzegach koniuchów. Ostatnie blaski zgasły i było dość ciemno, bo księżyc jeszcze się nie ukazał spoza lasów. Woda była tak głęboka, że Skrzetuski tracił miejscami grunt pod nogami i musiał płynąć, co przychodziło mu ciężko, bo był w ubraniu i płynął pod bieg, który – jakkolwiek leniwy – pchał go jednak nazad ku stawom. Ale za to najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzec tej głowy posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin.

Posuwał się więc dość śmiało, chwilami płynąc, a po większej części brodząc po pas i po pachy, aż wreszcie dotarł do miejsca, z którego oczy jego ujrzały po obu stronach rzeki tysiące i tysiące światła.

„To tabory – pomyślał – teraz Boże dopomóż!”

I słuchał.

Gwar zmieszanych głosów dochodził do jego uszu. Tak, były to tabory. Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze swoimi tysiącami wozów, namiotów, po prawym kosz tatarski – oba gwarne, hałaśliwe, pełne ludzkiego rozhoworu, dzikich dźwięków bębnow i piszczałek, ryku bydła, wielbłądów, rżenia koni, okrzyków. Rzeka przedzielała je stanowiąc zarazem przeszkodę dla kłótni i zabójstw, bo Tatarzy nie mogli spokojnie stać obok Kozaków. Była też w tym miejscu szersza, a może rozkopano ją umyślnie. Ale z jednej strony wozy, z drugiej trzcinowe szałas dochodziły, miarkując po ogniach, o kilkadziesiąt kroków od brzegów – nad samą zaś wodą stały zapewne straż.

Trzcina i sitowia rzedyły – widocznie naprzeciw obozowisk były szczyrkowate brzegi. Skrzetuski posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków – i zatrzymał się. Jakaś potęga i groza szły ku niemu od tych mrowisk ludzkich.

W tej chwili wydało mu się, że cała czujność i zaciekłość tych tysięcy istot ludzkich zwrócona jest ku niemu, i czuł wobec nich zupełną niemoc, zupełną bezbronność. Był sam jeden.

„Nikt tędy nie przejdzie!” – pomyślał.

Lecz posunął się jeszcze naprzód, bo ciągnęła go jakaś niepoohamowana, bolesna ciekawość. Chciał bliżej spojrzeć na tę straszliwą potęgę.

Nagle stanął. Las trzcin kończył się jakby nożem ucięty. Może też i wycięto je na szałas. Dalej czysta fala czerwieniła się krwawo od przeglądających się w niej ognisk.

Dwa wielkie i jasne płomienie paliły się tuż nad brzegami. Przy jednym stał Tatar na koniu, przy drugim mołojec z długą spisą w rękę. Obaj patrzyli na siebie i na wodę. W dali widać było innych, tak samo stojących na straży i patrzących.

Blaski płomieni rzucały jakoby ognisty most przez rzekę. Pod brzegami widać było szeregi małych łódek używanych do straży na stawie i rzece.

– Niepodobieństwo! – mruknął Skrzetuski.

I nagle chwyciła go rozpacz. Ani iść naprzód, ani się wracać! Oto doba ubiegała, jak tłukł się po błotach i bajorach, oddychał zgnitym powietrzem i mokł w wodzie na to tylko, by dotarłszy do tych właśnie taborów, przez które przejść się podjął, poznać, że to jest niepodobieństwem.

Lecz i powrót był niepodobieństwem: rycerz wiedział, że może znajdzie dość sił, by wlec się naprzód – nie znajdzie, by się cofać. W rozpacz jego była zarazem głucha wściekłość; w pierwszej chwili chciał wyjść z wody, zdławić straż, potem rzucić się na tłumy i zginąć.

Wiatr znowu zaszumiał dziwnym szeptem po trzcinach przynosząc zarazem głos dzwonów ze Zbaraża. Skrzetuski począł modlić się żarliwie i bił się w piersi, i wzywał ratunku niebios z siłą i rozpaczliwą wiarą tonącego; on modlił się, a kosz i tabor huczały złowrogo, jakby w odpowiedzi na modlitwę – czarne i czerwone od ognia postacie snuły się jak stada czartów po piekle; straż stała nieruchome – rzeka płynęła krwawą wodą.

– Ognie pogaszą, gdy noc głucha nastanie – rzekł sobie Skrzetuski i czekał.

Upłynęła jedna godzina i druga. Gwar zmniejszał się, ogniska istotnie poczęły z wolna przygasać – prócz dwóch strażniczych, które płonęły coraz silniej.

Straże zmieniały się i widocznym było, że tak będą stać aż do rana.

Skrzetuskiemu przeszło przez myśl, że może zdoła łatwiej w dzień się prześlizgnąć – lecz wnet rozstał się z tą myślą. W dzień brano wodę, pojono bydło, kąpiono się – rzeka musiała być pełna ludzi.

Nagle wzrok Skrzetuskiego padł na czółna. Po obu brzegach stało ich po kilkadziesiąt w szeregu, a ze strony tatarskiej sitowia dochodziły aż do pierwszych.

Skrzetuski zanurzył się po szyję w wodę i począł posuwać się z wolna ku nim mając oczy utkwione jak w tęczę w tatarskiego strażnika.

Po upływie pół godziny był tuż, tuż pierwszej łódki. Plan jego był prosty. Zadarte tyły czółen wznosiły się nad wodę tworząc nad nią rodzaj sklepienia, przez które głowa ludzka mogła się z łatwością przecisnąć. Jeżeli wszystkie czółna stały bokiem do boku tuż obok siebie, strażnik tatarski nie mógł zobaczyć przesuwałej się pod nimi głowy; więcej niebezpieczny był kozacki, ale i ten mógł nie dojrzeć, bo pod czółnami mimo przeciwległego ognia panował mrok.

Zresztą nie było innej drogi.

Skrzetuski nie wahał się dłużej i wkrótce znalazł się pod tyłami czółen.

Laźl na czworakach, a raczej czołgał się, bo woda była płytka. Był tak blisko stojącego na brzegu Tataru, że słyszał parskanie jego konia. Zatrzymał się przez chwilę i słuchał. Czółna na szczęście były zestosowane bokami. Oczy miał teraz utkwione w kozackiego strażnika, którego widział jak na dłoni. Ale ten patrzył w kosz tatarski. Rycerz minął z piętnaście czółen, gdy nagle usłyszał tuż nad brzegiem kroki i głosy ludzkie. Przyczał się natychmiast i słuchał. W podróży do Krymu nauczył się po tatarsku, i teraz dreszcz przebiegł go po całym ciele, gdy usłyszał słowa rozkazu:

– Siadać i jechać!

Skrzetuskiemu zrobiło się gorąco, chociaż był w wodzie. Jeżeli jadący siadą w to czółno, pod którym w tej chwili się ukrywa, to zginą!; jeżeli siadą w które ze stojących na przedzie, to także zginą!; bo pozostanie puste oświetlone miejsce.

Każda sekunda wydała mu się godziną. Wtem kroki zadudniły w deski, Tatarzy siedli w czwarte lub piąte czółno tuż za nim, zepchnęli je i poczęli płynąć w kierunku stawu.

Lecz czynność ta zwróciła na czółna oczy kozackiego strażnika. Skrzetuski przez jakie pół godziny ani drgnął. Dopiero gdy straż zmieniono, począł posuwać się dalej.

W ten sposób dotarł do końca czółen. Za ostatnim zaczynały się znów sitowia, a dalej trzciny. Dostawszy się do nich rycerz, zziąjany, spotniały, padł na kolana i dziękował Bogu całym sercem.

Posuwał się teraz nieco śmieiej, korzystając ze wszystkich powiewów, które napępniały szumem brzegi. Od czasu do czasu oglądał się za siebie. Ognie strażnicze zaczęły się oddalać, przesłaniać, migotać, słabnąć. Smugi trzciny i sitowia stawały się coraz czarniejsze, gęstsze i szersze, bo brzegi były bagnistsze. Straże nie mogły stać blisko – gwar obozowiska słabnął. Jakaś nadludzka siła skrzepiła członki rycerza. Darł się przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się, płynął i podnosił się znowu. Nie śmiał jeszcze wyjść na brzeg – ale prawie czuł się już ocalony. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo tak szedł, brnął, ale gdy znów obejrzał się – ognie strażnicze wydawały się jakby punkciki świecące w dali. Po kilkuset krokach znikły zupełnie. Księżyc zeszedł; naokoło była cisza. Wtem szum się ozwał większy i poważniejszy niż szum trzciny. Skrzetuski omal nie krzyknął z radości: las był z obu stron rzeki.

Wówczas skierował się ku brzegom i wychynął z trzciny. Bór sosnowy zaczynał się tuż za sitowiem i trzcunami. Zapach żywicy doszedł do jego nozdrzy. Gdzieniedzie w czarnych głębiach świeciły jak srebro paprocie.

Rycerz po raz drugi upadł na kolana i ziemię całował w modlitwie.

Był ocalony.

Potem zagłębił się w ciemność leśną, pytając samego siebie: dokąd ma iść? gdzie go zaprowadzą te lasy? gdzie jest król i wojsko?

Droga nie była skończona, nie była łatwa ani bezpieczna, ale gdy pomyślał, że wydostał się ze Zbaraża, że przekradł się przez strażę, błota i tabory, i półmilionowe blisko zastępy nieprzyjaciół – wtedy wydawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa przeminęły, że ten bór to gościniec jasny, który poprowadzi go wprost do królewskiego majestatu.

I szedł ten nędzarz zgłodniały, zziębnięty, mokry, uwalany we własnej krwi, w czerwonej rudzie i czarnym błocie – z radością w sercu, z nadzieją, że wkrótce inaczej, potężniej wróci do Zbaraża.

„Już nie zostaniecie w głodzie i bez nadziei – myślał o druhach w Zbarażu – bo króla sprowadzę!”

I cieszyło się to serce rycerskie bliskim ratunkiem dla księcia, dla regimentarza, dla wojska, dla Wołodyjowskiego i Zagłoby, i wszystkich tych bohaterów zamkniętych w zbaraskim okopie.

Głębie leśne otwierały się przed nim i osłaniały go cieniem.

ROZDZIAŁ XXIX

We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie, siedziało wieczorem trzech panów zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym kartami przedstawiającymi okolice, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnym piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka, i para łośiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokim poręczastym krześle, siedział człowiek mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę z długimi lokami spadającymi na plecy i ramiona. Rzadki czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś wraz z brodą wystawała silnie naprzód, nadając całej fizjonomii charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną senną martwością i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości lub gniewu mogły rzucać błyskawice, które nie każdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atlasowego kaftana i koronkowej kryzy, spod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcję tej niezwyklej postaci. W ogóle mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w niej coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następcą po bracie Władysławie.

Nieco za nim, w półcieniu, siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i beczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko, za stołem, trzeci pan, wsparty na łokciu, patrzył w karty przedstawiające okolice, podnosząc od czasu do czasu wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochół nad czołem dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego Państwa, mówca i dyplomata podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześniej zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześniej wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawią państwową – w obecnej chwili bliską ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowywujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo, z wyjątkiem Rzeczypospolitej, do bezpiecznej przystani pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego na przykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowywany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania – choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem – i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teorii zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.

Chcąc wzmocnić rząd i państwo rozpetał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nie tylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundiom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwały się kłęski: Żółtych Wód, Korsunia, Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogią krymską potęgą. Grom padał za gromem – pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przede wszystkim zgnieść, by móc w przyszłości z niego korzystać – a kanclerz zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył – i wierzył jeszcze – nawet Chmielnickiemu!

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorie; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są oczekiwany wprost przeciwne – aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, gorzocy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, u których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale kto z obawy, by skała leżąca na skłonie góry nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzyć się z siłami, ten przyspieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych – wzajem i na niego zwracały się wszystkie oczy jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tym bardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu – obwiniał i jego samego na równi z kanclerzem.

Siedzieli więc w Toporowie strapieni i smutni, nie wiedząc dobrze, co im począć należy, bo przy królu było tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Wici rozesłano za późno i zaledwie część pospolitego ruszenia ściągnęła do tego czasu. Kto był przyczyną tej zwłoki i czy nie była ona jednym więcej błędem upartej polityki kanclerza – tajemnica zaginęła między królem i ministrem – dość, że w tej chwili czuli się obaj bezbronni wobec potęgi Chmielnickiego.

Co ważniejsza jeszcze: nie mieli dokładnych o nim wieści. W obozie królewskim nie wiedziano dotąd, czy chan z całą potęgą znajduje się przy Chmielnickim, czy też towarzyszy tylko Kozakom Tuhaj-bej z kilkoma tysiącami ordy. Było to pytanie tak ważne, jak śmierć lub życie. Z samym Chmielnickim mógłby w ostateczności król poprobować szczęścia, choć i buntowniczy hetman dziesięć razy większą siłą rozporządzał. Urok imienia królewskiego znaczył dla Kozaków wiele – więcej może niż tłumy pospolitego ruszenia niesfornej i nie wyćwiczonej szlachty – ale jeżeli i chan był obecny, mierzyć się z taką przemocą było niepodobieństwem.

Tymczasem były najrozmaitsze o tym wieści, a nikt nic nie wiedział dokładnie. Przeworny Chmielnicki skupił się, nie wypuścił ani jednego oddziału mołojców ani zagonika Tatarów umyślnie, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman inny miał zamiar – oto zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a samemu zjawić się niespodzianie z całą potęgą tatarską i kozacką przed królem – otoczyć go wraz z wojskiem i wydać w ręce chana.

Więc nie bez powodu chmura okryła teraz twarz królewską, bo nie masz większej dla majestatu boleści jak poczucie niemocy. Jan Kazimierz wsparł się bezwładnie o grzbiet krzesła, rękę rzucił na stół i rzekł, ukazując na karty:

– Na nic to, na nic! Języków mi dostaniecie.

– Niczego i ja więcej sobie nie życzę – odparł Ossoliński.

– Czy podjazdy wróciły?

– Wróciły, ale nic nie przywiozły.

– Ani jednego jeńca?

– Tylko chłopów okolicznych, którzy nic nie wiedzą.

– A pan Pełka wrócił? To przecie sławny zagończyk.

– Miłościwy królu! – ozwał się zza krzesła starosta łomżyński – pan Pełka nie wrócił i nie wróci, bo poległ.

Nastąpiła chwila milczenia. Król utkwiał posępny wzrok w płonące świece i począł bębnić palcami po stole.

– Nie macieże żadnej rady? – rzekł wreszcie.

– Czekać! – rzekł poważnie kanclerz.

Czoło Jana Kazimierza pokryło się zmarszczkami.

– Czekać? – powtórzył – a tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem!

– Jeszcze czas jakiś wytrzymają – rzekł niedbale Radziejowski.

– Milczałbyś, mości starosto, gdy nie masz nic dobrego do powiedzenia.

– Właśnie, miłościwy panie, że mam radę.

– Jaką?

– Posłać kogo niby dla układów z Chmielnickim pod Zbaraż. Poseł przekona się, czy chan jest własną osobą, i z powrotem powie.

– Nie może być – rzekł król. – Teraz, gdyśmy Chmielnickiego za buntownika ogłosili i cenę nałożyli na jego głowę, i buławę nad Zaporozem Zabuskemu oddali, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania.

– To do chana wysłać – odrzekł starosta.

Król zwrócił pytający wzrok na kanclerza, który podniósł nań swe błękitne, surowe źrenice i po chwili namysłu ozwał się:

– Rada byłaby dobra, ale Chmielnicki bez żadnej wątpliwości posła zatrzyma – i dlatego na nic by się to nie przydało.

Jan Kazimierz machnął ręką.

– Widzimy – rzekł z wolna – że nie macie żadnego sposobu – tedy ja wam mój powiem. Oto każę trąbić wsiadanego i ruszę z całym wojskiem pod Zbaraż. Niechże się dzieje wola boża! Tam się dowiemy, czy chan jest, czy go nie ma.

Kanclerz znał niczym nie powstrzymaną odwagę króla i nie wątpił, że to uczynić gotów. Z drugiej strony, wiedział z doświadczenia, iż gdy król coś zamierzy i zatnie się w przedsięwzięciu, tedy żadne odmowy nie pomagają. Więc nie sprzeciwił się od razu, pochwalił nawet myśl, ale odradzał pośpiech: przekładał królowi, że można to uczynić jutro lub pojutrze – a tymczasem mogą nadejść pomyślne nowiny. Każdy dzień będzie powiększał rozprzeżenie między czernią, znękaną klęskami pod Zbarażem i wieścią o zbliżaniu się królewskim. Bunt może stopnieć od promieni majestatu jak śnieg od promieni słonecznych – ale trzeba mu dać czas. Król zaś nosi w sobie ocalenie całej Rzeczypospolitej i pod odpowiedzialnością wobec Boga i potomności nie powinien się narażać, tym bardziej że w razie nieszczęścia wojska zbarskie byłyby właśnie zgubione bez ratunku. Kanclerz mówił długo i wymownie – rzekłbyś: popis to jakiś krasomówczy. Aż wreszcie króla przekonał, a zarazem i zmęczył. – Jan Kazimierz wsparł się znowu o grzbiet krzesła mruczając z niecierpliwością:

– Róbcie, co chcecie, byłem miał języka na jutro.

I znów nastąpiła chwila milczenia. W oknie stanął ogromny złoty księżyc, ale w komnacie pociemniało, bo grzyby urosły na knotach świec.

– Która godzina? – pytał król.

– Północ blisko – odrzekł Radziejowski.

– Nie będę spał tej nocy. Obóz objadę, a wy jedźcie ze mną. Gdzie Ubald i Arciszewski?

– W obozie. Pójdę rzec, by konie podano – odpowiedział starosta.

I zbliżył się ku drzwiom. Wtem w sieni uczynił się jakiś ruch; słychać było przez chwilę żywą rozmowę, odgłos pospiesznych kroków; wreszcie drzwi otworzyły się na rozcież i wpadł zdyszany Tyzenhauz, rękodajny dworzanin królewski.

– Miłościwy królu! – zawołał – towarzysze ze Zbaraża!

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również i obydwom wyrwał się z ust okrzyk:

– Nie może być!!

– Tak jest! stoi w sieniach.

– Dawaj go sam! – zawołał; król klasnąwszy w dłoń. – Niech umorzy frasunek. Dawaj go sam, na Matkę Najświętszą!

Tyzenhauz zniknął w drzwiach i po chwili zamiast niego zjawiła się w nich jakaś wysoka, nie znana postać.

– Bliżej, mości panie! – wołał król – bliżej! Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu i na jego widok król, kanclerz i starosta łomżyński cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo: łachmany podarte na strzępki zaledwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną błotem i krwią; oczy płonące gorączkowym światłem, czarna, rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma. W tej chwili drzwi otworzyły się i weszła hurma dygnitarzy wojskowych i cywilnych: generałowie Ubald, Arciszewski, podkanclerzy litewski Sapieha, starosta rzeczycki, pan sandomierski. Wszyscy stanąwszy za królem patrzyli na przybysza – król zaś rzekł:

– Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale skurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać i zdołał wyszeptać tylko:

– Ze... Zbaraża!

– Wina mu dajcie! – rzekł jakiś głos.

Podano w mgnieniu oka napelniony kubek – przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas kanclerz zrzucił z siebie delię i okrył nią jego ramiona.

– Możesz teraz mówić? – pytał po jakimś czasie król.

– Mogę – odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

– Ktoś jest?

– Jan Skrzetuski... porucznik husarski...

– W czyjej służbie?

– Wojewody ruskiego.

Szmer rozszedł się po sali.

– Co słychać u was? co słychać? – pytał gorączkowo król.

– Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.

– Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! – mówił cichym głosem.

Po chwili znów spytał:

– Długo się możecie trzymać?

- Prochów brak. Nieprzyjacieli w wałach...
- Siła go?
- Chmielnicki... Chan ze wszystkimi ordami.
- Chan jest?
- Tak...

Nastało głucho milczenie. Obecni spoglądali po sobie – niepewność odmalowała się na wszystkich twarzach.

– Jakżeście mogli wytrzymać? – spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, jakby nowa wstąpiła weń siła; błyskawica dumy przebiegła mu przez twarz i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

– Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedmdziesiąt pięć wycieczek... I znowu nastąpiło milczenie.

Wtem król wyprostował się, wstrząsnął peruką jak lew grzywą, na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy płomieniały.

– Na Boga! – krzyknął – dosyć mi tych rad, tego stania, tej zwłoki! Jest chan czy go nie ma... przyszło pospolite ruszenie czy nie przyszło, na Boga! dosyć mi tego! Dziś jeszcze ruszamy pod Zbaraż!

– Pod Zbaraż! pod Zbaraż! – powtórzyło kilkanaście silnych głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się jak zorza.

– Miłościwy królu i panie – rzekł. – Przy tobie żyć i umierać!...

Na te słowa szlachetne serce królewskie zmiękło jak wosk i nie zważając na wstrętą postać rycerza pan ścisnął mu głowę rękoma i rzekł:

– Milszys mi niżeli inni w atlasach. Na Matkę Najświętszą, mniejszych starostwami nagradzają – jakoż nie będzie to bez nagrody, coś uczynił... Nie przecz! dłużnikiem ci jestem!

A inni zaraz poczęli wykrzykiwać za królem:

– Nie było jeszcze większego rycerza!

– Ten jest i między zbaraskimi najprzedniejszy!

– Nieśmiertelną chwałę pozyskał!

– Jakżeś to się przez Kozaków i Tatarów przedarł?...

– W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błędziłem... nie jadłem.

– Jeść mu dajcie! – krzyknął król.

– Jeść! – powtórzyli inni.

– Okryć go!

– Niech ci jutro konia i szaty dadzą – rzekł znowu król. – Na niczym ci zbywać nie będzie.

Wszyscy prześcigali się za przykładem króla w pochwałach dla rycerza. Wnet poczęto go znowu zarzucać pytaniami, na które z największą trudnością odpowiadał, bo osłabienie ogarniało go coraz większe i ledwie już na wpeł był przytomny. Wtem przyniesiono posiłek, a zarazem wszedł ksiądz Cieciszowski, kaznodzieja królewski.

Rozstąpili mu się dygnitarze, bo był to ksiądz wielce uczony, poważany i słowo jego prawie więcej jeszcze znaczyło u króla niż kanclerskie, a z ambony wypowiadał, bywało, takie rzeczy, których i na sejmie nie bardzo kto śmiało poruszyć. Otoczono go tedy i poczęto rozpowiadać, że oto przyszedł towarzysz ze Zbaraża, że tam księżę, lubo w głodzie i mizerii, gromi jeszcze chana, który jest obecny własną osobą, i Chmielnickiego, który przez cały zeszły rok tylu ludzi nie utracił, ilu pod Zbarażem – na koniec, że król chce ruszać na odsiecz, choćby mu z całym wojskiem zgorzeć przyszło.

Ksiądz słuchał w milczeniu poruszając wargami i spoglądając co chwila na wynędzniałego rycerza, który jadł przez ten czas, bo mu król nie kazał zważać na swą obecność i sam go jeszcze pilnował, a od czasu do czasu przepijał do niego z małego srebrnego kusztyczka.

– A jakże się zowie ów towarzysz? – spytał wreszcie ksiądz.

– Skrzetuski.

– Czy nie Jan?

– Tak jest.

– Porucznik księcia wojewody ruskiego?

– Tak jest.

Ksiądz wznosił pomarszczoną twarz w górę i znów modlić się począł, a potem rzekł:

– Chwalmy imię Pana, bo niezbadane są drogi, którymi człowieka do szczęśliwości i spokoju prowadzi. Amen.

Ja tego towarzysza znam.

Skrzetuski dosłyszał i mimo woli zwrócił oczy na twarz księdza, ale twarz, postać i głos obce mu były zupełnie.

– Więc waszmość to jeden z całego wojska podjąłeś się przejść przez obozy nieprzyjacielskie? – spytał go ksiądz.

– Poszedł przede mną towarzysz zacny, ale zginął – odpowiedział Skrzetuski.

– Tym większa twoja zasługa, żeś się potem iść ważył. Miarkuję po twojej nędzy, że straszna to musiała być droga. Bóg wejrzał na twą ofiarę, na twą cnotę, na twą młodość i przeprowadził cię.

Nagle ksiądz zwrócił się do Jana Kazimierza.

– Miłościwy królu – rzekł – więc to nieodmienne postanowienie waszej królewskiej mości iść na ratunek księciu wojewodzie ruskiemu?

– Modlitwom waszym, ojcze – odpowiedział król – poruczam ojczyznę, wojsko i siebie, bo wiem, że straszna to impreza, ale już nie mogę pozwolić, aby książę wojewoda zgorzał w tym nieszczęsnym okopie z takim rycerstwem, jak owo ten towarzysz, który tu jest przed nami.

– Bóg spuści wiktoryę! – zawołało kilkanaście głosów.

Książd wniósł ręce do góry i nastąpiła cisza w sali.

– *Benedico vos, in nomine Patris et Filii, et Spiritus sancti.*

– Amen! – rzekł król.

– Amen! – powtórzyły wszystkie głosy.

Spokój rozlał się po stroskanej dotychczas twarzy Jana Kazimierza i tylko oczy jego rzuciły blask niezwykły. Między zgromadzonymi rozległ się szmer rozmowy o bliskiej wyprawie, bo wielu jeszcze wątpiło, by król mógł wyruszyć natychmiast, on zaś wziął ze stołu szpadę i skinął na Tyzenhauza, by mu ją przypiął.

– Kiedy wasza królewska mość chcesz ruszyć? – pytał kanclerz.

– Bóg zdarzył noc pogodną – odparł król – konie się nie pogrzeją. Mości strażniku obozowy – dodał zwracając się ku dygnitarzom – każ otrąbić wsiadanego.

Strażnik ruszył natychmiast z komnaty. Kanclerz Ossoliński ozwał się z cichą uwagą, że nie wszyscy gotowi i że wozy nie będą mogły ruszyć przede dniem, ale król odparł natychmiast:

– Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, to niech zostanie.

Sala poczęła się wypróżniać. Każdy śpieszył do swej chorągwi, by ją „na nogi postawić” i do pochodu sprawić. Zostali w komnacie tylko król, kanclerz, książd i pan Skrzetuski z Tyzenhauzem.

– Miłościwy panie – rzekł książd – czegoście się mieli dowiedzieć od tego towarzysza, toście się już dowiedzieli. Trzeba mu też dać folgę, bo się ledwie trzyma na nogach. Pozwólże mnie wasza królewska mość wziąć go do mojej kwatery i przenocować.

– Dobrze, ojcze – odrzekł król. – Słuszne to są żądania. Niech go Tyzenhauz i kto drugi odprowadzi, bo sam już pewnie nie zajdzie. Idź, idź, towarzyszu miły, nikt tu lepiej od ciebie na spoczynek nie zarobił. A pamiętaj, żem ci dłużnikiem. O sobie wprzód zapomnę nim o tobie!

Tyzenhauz chwycił Skrzetuskiego pod ramię i wyszli. W sieniach spotkali starostę rzeczyckiego, który podparł z drugiej strony chwiejącego się rycerza; przodem szedł książd, przed nim zaś pacholik z latarnią. Ale pacholik niepotrzebnie świecił, bo noc była widna, cicha, ciepła. Wielki złoty księżyc płynął jak korab nad Toporowem. Z majdanu obozowego dochodziły gwar ludzki, skrzywienie wozów i odgłosy trąb grających pobudkę. Z dala przed kościołem oświetlonym blaskiem miesiąca widać już było gromady żołnierzy konnych i pieszych. We wsi konie rżały. Ze skrzywieniem wozów łączył się dźwięk łańcuchów i głuchy hurkot armat – gwar wzmagął się coraz bardziej.

– Ruszają już! – rzekł książd.

– Pod Zbaraż... na ratunek... – wyszeptał Skrzetuski.

I nie wiadomo, czy z radości, czy z trudów przebytych, czy dla obojga razem zesłał tak, że Tyzenhauz i starosta rzeczycki prawie go wlec musieli.

Tymczasem kierując się ku plebanii weszli między żołnierzy stojących przed kościołem. Były to chorągwie sapieżyńskie i piechota Arciszewskiego. Nie sprawieni jeszcze do pochodu, stali żołnierze bezładnie, tłocząc się miejscami i zagradzając przejście.

– Z drogi! z drogi! – wołał książd.

– A kto tam szuka drogi?

– Towarzysz ze Zbaraża.

– Czołem mu! czołem! – wołały liczne głosy.

I rozstępowali się zaraz, ale inni tłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc widzieć bohatera. I patrzyli zdumieni na tę nędzę, na tę twarz straszną, oświetloną blaskiem księżyca – i szeptali do siebie zdumieni:

– Ze Zbaraża, ze Zbaraża...

Z największym trudem doprowadził książd Skrzetuskiego do plebanii. Tam go wykapanego, obmytego z błota i krwi, kazał złożyć na łóżku miejscowego plebana, a sam wyszedł natychmiast do wojsk, które ruszały w pochód.

Skrzetuski był na wpół przytomny, ale gorączka nie pozwalała mu usnąć zaraz. Nie wiedział już jednak, gdzie jest i co się stało. Słyszał tylko gwar, tętent, skrzywienie wozów, grzmiący pochód piechoty, krzyki żołnierzy, odgłos trąb – i wszystko zlało się w jego uszach w jeden ogromny szum... „Wojsko idzie” – mruknął sam do siebie... Tymczasem szum ów począł się oddalać, słabieć, niknąć, topnieć... aż wreszcie cisza objęła Toporów.

Wówczas zdawało się Skrzetuskiemu, że razem z łóżem leci w jakąś przepaść bez dna...

ROZDZIAŁ XXX

Spał dni kilka, a i po przebudzeniu nie opuszczała go jeszcze zła gorączka – i długo jeszcze mającżył, gadał o Zbarażu, o księciu, o staroście krasnostawskim, rozmawiał z panem Michałem i z Zagłobą, krzyczał: „Nie tędy!”, na pana Longina Podbipiętę – o kniaziównie tylko ani razu nie wspomniał. Widać było, że ta siła niezmierna, przez którą zamknął w sobie raz na zawsze pamięć o niej, nie opuszczała go nawet w osłabieniu i chorobie. Natomiast zdawało mu się, że widzi nad sobą puciołowatą twarz Rzędziana, zupełnie jak widział ją wówczas, kiedy to księżę po konstantynowskiej bitwie wysłał go z chorągwiami pod Zaslaw, by tam wyściął kupy swawolne, a Rzędzian zjawił się niespodziewanie na noclegu. I ta twarz wprowadzała zamęt do jego myśli, bo mu się mającżyło, że czas stanął w swym biegu i że nic się od owej pory nie zmieniło. Oto jest znowu nad Chomorem i śpi w chacie, a zbudziwszy się ruszy do Tarnopola odprowadzić chorągwie... Krzywonos, pogromion pod Konstantynowem, uciekł do Chmielnickiego... Rzędzian nadjechał z Huszczy i siedzi nad nim... Skrzetuski chciałby przemówić, chciałby wydać polecenie pacholikowi, by kazał konie kulbaczyć – ale nie może... I znowu przychodzi mu do głowy, że nie jest nad Chomorem i że przecie od tego czasu było wzięcie Baru – tu pan Skrzetuski zacina się w bólu i nieszczęsna jego głowa znowu pogrąża się w ciemności. Nic już nie wie, nic nie widzi – lecz po chwili z tej nocy, z tego chaosu wyłania się Zbaraż... obleżenie... Więc nie jest nad Chomorem? A jednak Rzędzian siedzi nad nim, pochyla się ku niemu. Przez serca wycięte w okiennicach wpada do izby wiązka jasnego światła i oświeca doskonale twarz pacholka pełną troskliwości i współczucia...

– Rzędzian! – woła nagle pan Skrzetuski.

– O mój jegomość! że też już jegomość mnie poznał! – wykrzykuje pacholek i przypada do nóg pańskich – Myślałem, że już jegomość nigdy się nie rozbudzi...

Nastała chwila milczenia – słychać było tylko szlochanie pacholka, który wciąż ścisnął nogi pańskie.

– Gdzie jest? – pyta pan Skrzetuski.

– W Toporowie... Jegomość ze Zbaraża do króla jegomości przyszedł... Chwała Bogu! chwała Bogu!

– A król gdzie jest?

– Poszedł z wojskiem na ratunek księciu wojewodzie.

Nastała znowu chwila milczenia. Łzy radości spływały ciągle po twarzy Rzędziana, który po chwili zaczął powtarzać wzruszonym głosem:

– Że też ja jegomościne ciało jeszcze oglądam...

Potem wstał i otworzył okiennicę, a z nią i okno.

Poranne świeże powietrze wpadło do izby, a z nim i jasne światło dzienne. Z tym światłem wróciła Skrzetuskiemu cała przytomność...

Rzędzian usiadł w nogach łóżka...

– Tom ja ze Zbaraża wyszedł? – pytał rycerz.

– Tak jest, mój jegomość... Nikt tego dokazać nie mógł, czego jegomość dokazał, i z jegomościnej przyczyny król na ratunek poszedł.

– Pan Podbipięta przede mną próbował, ale zginął...

– O dla Boga! Pan Podbipięta zginął? Taki hojny pan i cnotliwy!... Aż mi dech zaparło... Zali oni takiemu mocarzowi mogli dać rady...

– Z łuków go ustrzelili...

– A pan Wołodyjowski i pan Zagłoba?

– Zdrowi byli, jakem wychodził.

– To chwała Bogu. Wielcy to jegomości przyjaciele... Jeno mi ksiądz mówić zakazał...

Rzędzian umilkł i przez czas jakiś pracował głową. Zamyślenie odbiło się wyraźnie na jego puciołowatym obliczu. Po chwili ozwał się:

– Jegomość?

– A czego?

– A co też się z fortuną pana Podbiپیęty stanie? Podobno tam wsiów i wszelkiej dobroci bez liku... Zali przyjaciołom czego nie zapisał, bo jak słyshałem, nie miał rodziny?

Skrzetuski nie odpowiedział nic, więc Rzędzian poznał, że mu nie w smak pytanie, i tak znów mówić począł:

– Ale chwalić Boga, że pan Zagłoba i pan Wołodyjowski zdrowi; myślałem, że ich Tatarzy ogarnęli... Siła my biedy razem przeszli... jeno mi ksiądz mówić zakazał... Ej, mój jegomość, myślałem, że już ich nigdy nie zobaczę, bo nas orda tak przycisnęła, że rady nijakiej nie było.

– Toś ty był z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą? Nic mi o tym nie wspominali.

– Bo i oni nie wiedzieli, czym ocalał, czym zginął...

– A gdzie to was orda tak przycisnęła?

– A za Płoskirowem, w drodze do Zbaraża. Bo my, mój jegomość, daleko, aż za Jampol, jeździli... jeno ksiądz Cieciszowski mówić zakazał...

Nastała chwila ciszy.

– Niechże wam Bóg zapłaci za wasze chęci i trudy – rzekł Skrzetuski – bo już wiem, po coście tam jeździli. Byłem i ja tam przed wami... na próżno...

– Ej, mój jegomość, żeby nie ten ksiądz... Ale to tak powiada: ja muszę z królem jegomością pod Zbaraż jechać, a ty (powiada do mnie) pana pilnuj, jeno mu nie mów nic, bo dusza z niego wyjdzie.

Skrzetuski tak dalece rozstał się od dawna z wszelką nadzieją, że i te słowa Rzędziana nie wykrzeszały w nim najmniejszej jej iskierki... Czas jakiś leżał nieruchomie, a wreszcie począł pytać:

– Skądżeś ty tu się wziął przy księdzu Cieciszowskim i przy wojsku?

– Mnie pani kasztelanowa sandomierska, pani Witowska, wysłała z Zamościa z oznajmieniem do pana kasztelana, że się w Toporowie z nim połączy... Mężna to jest pani, mój jegomość, i chce koniecznie przy wojsku być, byle się z panem kasztelanem nie rozłączać... Więc ja do Toporowa przyjechałem na dzień przed jegomością. Pani sandomierskiej rychło patrzeć... powinna by już być... ale cóż, kiedy on znowu z królem odjechał!

– Nie rozumiem, jakżeś ty mógł być w Zamościu, kiedyś z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą za Jampol jeździł. Czemuś to do Zbaraża z nimi nie przyjechał?

– Bo widzi jegomość, jak nas orda wsparła, tak już nie było żadnej rady; więc oni się we dwóch całemu czambułowi zastawili, a ja uciekłem i nie oparłem się aż w Zamościu.

– Szczęście, że nie zginęli – rzekł Skrzetuski – ale myślałem, żeś lepszy pacholek. Zali godziło ci się opuszczać ich w takiej opresji?

– Ej, mój jegomość, żeby to my byli sami, we trzech, pewno bym ja ich nie opuścił, bo mi się serce krajało, aleśmy we czworo byli... więc oni rzucili się na ordę, a mnie sami kazali... ratować... Żebym to ja był pewny, że jegomości radość nie zabije... bo to my za Jampolem... znaleźli... ale że ksiądz...

Skrzetuski począł patrzeć na pacholka i mrugać oczyma jak człowiek, który budzi się ze snu – nagle, rzekłbyś, zerwało się coś w nim, bo pobladł strasznie, siadł na łożu i krzyknął grzmiącym głosem:

– Kto z tobą był?

– Jegomość! hej, jegomość! – wołał pacholek przerażony zmianą, jaka zaszła w twarzy rycerza.

– Kto z tobą był? – krzyczał Skrzetuski i chwyciwszy za ramiona Rzędziana trząść nim począł i sam trząść się jak w febrze, i gniótł pacholka w żelaznych rękach.

– To już powiem! – wołał Rzędzian – niech ksiądz robi, co chce: panna z nami była, a teraz jest przy pani Witowskiej.

Skrzetuski zeszywniał, zamknął oczy i głowa jego opadła ciężko na poduszki.

– Rety! – wołał Rzędzian. – Pewno jegomość ostatnią parę puścił! Rety, com ja uczynił!... lepiej mi było milczeć. O dla Boga! jegomość najdroższy, niech no jegomość przemówi... Dla Boga! słusznie ksiądz zakazywał... jegomość! hej, jegomość!...

– Nic to! – ozwał się wreszcie Skrzetuski. – Gdzie ona jest?

– Chwała Bogu, że jegomość odżył... Lepiej już nic nie powiem. Jest z panią kasztelanową sandomierską... rychło ich tu patrzeć... Chwała Bogu!... niech no już jegomość nie umiera... rychło ich tu patrzeć... my do Zamościa uciekli... i tam ksiądz oddał pannę pani Witowskiej... dla przystojności... że to w wojsku swawolnicy bywają... Bohun ją uszanował, ale o przygodę nietrudno... Siła ja miałem kłopotów, tylko zem to żołnierzom mówił: „Księcia Jeremiego krewna!...”, więc szanowali... Wydałem też na drogę niemało...

Skrzetuski znowu leżał nieruchomie, ale oczy miał otwarte, do pułapu wzniesione i twarz bardzo poważną – widać modlił się. Gdy skończył, zerwał się, siadł na łożu i rzekł:

– Szaty mi daj – i każ konie kulbaczyć!

– A gdzie to jegomość chce jechać?

– Szaty prędzej daj!

– Jakby jegomość wiedział, że wszelakiego ochędostwa jest dosyć, bo i król przed odjazdem nadawał, i różni panowie nadawali. I trzy koniki bardzo foremne w stajni. Żebym to choć jednego takiego miał!... ale lepiej jeszcze jegomości poleżeć i wypocząć, bo siły w jegomości żadnej nie ma.

– Nic mi nie jest. Na konia mogę siadać. Na Boga żywego, pośpiesz się!

– Wiem ja to, że jegomościę ciało z żelaza – niechże i tak będzie. Tylko mnie jegomość przed księdzem Cieciszowskim obroni... Oto szaty tu leżą... lepszych i u bławatników ormiańskich nie dostanie... Niech się jegomość ubiera, a ja powiem, iżby polewki winnej przynieśli, bom też już sobie kazał księżemu słuźce uwarzyć.

To rzekłszy Rzędzian zakrzętnął się koło strawy, a Skrzetuski począł śpiesznie przywdziewać szaty zostawione w darze przez króla i panów. Tylko raz w raz chwycił pachółka w ramiona i cisnął go do wezbranej piersi, a zaś pachółek opowiadał mu wszystko *ab ovo*, jako Bohuna, posiezonego przez pana Michała, ale już podleczonego, we Włodawie spotkał i jako się od niego o kniaziównie wywiadał i piernacz uzyskał. Jak potem poszli z panem Michałem i panem Zagłobą do Waładynieckich jarów i ubiwszy wiedźmę i Czeremisa, kniaziównę uwieźli, a wreszcie jak wielkie spotykały ich niebezpieczeństwa, gdy przed wojskami Burlaja uciekali.

– Burlaja pan Zagłoba usiekł – wtrącił gorączkowo Skrzetuski.

– Bitny to jest mąż – odpowiedział Rzędzian – jeszcze też takiego nie widział, bo to jeden bywa mężny, drugi mowny, trzeci frant, a w panu Zagłobie wszystko w kupie siedzi. Ale najgorzej to już nam było, mój jegomości, w tych lasach za Płoskirowem, gdy nas orda wsparła. Pan Michał z panem Zagłobą zostali, by ich na siebie ściągnąć i pogoń wstrzymać, ja zaś rzuciłem się w bok ku Konstancynowu, Zbaraż omijając, bo już takim myślałem, że zabiwszy pana małego i pana Zagłobę, będą właśnie ku Zbarażowi za nami gnali. Jakoż nie wiem, jakim tam sposobem Bóg w miłosierdziu swoim wyratował pana małego i pana Zagłobę... Myślałem, że ich usieką. My tymczasem umykali z panną między Chmielnickim, który od Konstancynowa ciągnął, a Zbarażem, pod który Tatarzy poszli.

– Nie poszli oni tam zaraz, bo ich pan Kuszel wyparł. Ale mów prędzej!

– Żebym ja to był wiedział, alem nie wiedział, więcemy przeciskali się z panną między Tatarzy i Kozaki jak wąwozem. Szczęściem kraj był pusty, tak że nigdzieśmy żywego człeka nie spotkali, ni we wsiach, ni w miasteczkach, bo wszystko pouciekało, gdzie kto mógł, przed Tatarami. Ale dusza mi na ramieniu siedziała ze strachu, żeby to mnie nie ogarnęli, czegom też w końcu nie uniknął.

Skrzetuski przestał się ubierać i spytał:

– Jak to?

– A tak, mój jegomości; wpadłem na podjazd kozacki Dońca, brata onej Horpyny, u której panna w jarze siedziała. Szczęściem znałem go dobrze, bo mnie przy Bohunie widywał. Pokłoniłem mu się od siostry, pokazałem piernacz Bohunów i opowiedziałem wszystko: jako mnie Bohun po pannę posłał i jako mnie czeka za Włodawą. A on, że to był Bohunowi przyjacielem i wiedział o tym, że siostra panny strzeże, więc uwierzył. Myślałem, że puści i jeszcze opatrzy na drogę; ale on powiada tak: „Tam (powiada) pospolite ruszenie się zbiera, jeszcze wpadniesz w ręce Lachom; zostań powiada, ze mną, pojedziemy do Chmielnickiego; w obozie będzie dziewczynie najbezpieczniej, bo jej tam sam Chmielnicki będzie dla Bohuna strzegł.” Jak mi to powiedział, ażem zmartwiał, bo co tu na to odrzec? Mówię tedy, że Bohun na nią czeka i że szyja moja w tym, żebym ją zaraz odwiózł. A on na to: „To damy znać Bohunowi – a ty nie jedź; bo tam Lachy”. Zacząłem się spierać, on też się spierał ze mną, aż wreszcie rzecze: „Dziwno mi to, że się tak boisz między Kozaków iść – ej! czyś nie zdrójca!” Dopiero zobaczyłem, że nie ma innej rady, jak nocą umykać, bo już zaczął mnie podejrzewać. Siódme poty na mnie były, mój jegomości. Jużem tedy wszystko gotował do drogi, gdy pan Pełka od wojsk królewskich w nocy nadszedł.

– Pan Pełka? – rzekł wstrzymując dech Skrzetuski.

– A jakże, mój jegomości. Sławny to był zagończyk pan Pełka, którego niedawno poległ – Panie, świeć nad jego duszą! – Nie wiem, czyby kto lepiej potrafił od niego podjazd prowadzić i pod potęgą nieprzyjacielską się uwijać – chyba jeden pan Wołodyjowski. Owóż przyszedł pan Pełka, podjazd Dońcowy starł, że i noga nie uszła, a samego Dońca wziął do niewoli. Parę niedziel temu, jak go na pał wołami nawlekli – dobrze mu tak! Ale i z panem Pełką miałem biedy niemało, bo to był człek okrutnie na cnotę zawzięty... Panie, świeć nad jego duszą! Jużem się bał, aby panna, uszedłszy krzywdy od Kozaków, nie doznała gorszej od swoich... Dopierom powiedział panu Pełce, że to księcia naszego pana krewna. A on, trzeba jegomości wiedzieć, że jak naszego księcia, bywało, wspomniał, to czapkę zdejmował i na służbę się do niego zawsze wybierał... Więc zaraz zaczął pannę szanować i aż het, do Zamościa, do króla nas odprowadził, a tam ksiądz Cieciszowski (bardzo to święty ksiądz, mój jegomości) w opiekę nas wziął i pani kasztelanowej Witowskiej pannę oddał.

Skrzetuski odetchnął głęboko, po czym rzucił się na szyję Rzędziana.

– Przyjacielem mi będziesz, bratem, nie sługą – rzekł – ale teraz już jedźmy. Kiedy pani kasztelanowa miała tu stanąć?

– W tydzień po mnie – a już dziesięć dni jest... a ośm jegomości bez przytomności leżał.

– Jedźmy! jedźmy! – powtórzył Skrzetuski – bo mnie radość rozerwie.

Lecz nim skończył, dał się słyszeć tętent na podwórzu i okna zaćmiły się nagle końmi i ludźmi. Przez szyby dojrzał pan Skrzetuski naprzód starego księdza Cieciszowskiego, a przy nim wychudzone twarze pana Zagłoby, Wołodyjowskiego, Kuszla i innych znajomych wśród czerwonych dragonów książęcych. Rozległ się wesoły okrzyk, a po chwili hurma rycerzy z księdzem na czele wpadła do izby.

– Pokój zawarty pod Zborowem, oblężenie zdjęte! – wołał ksiądz.

Lecz Skrzetuski domyślił się zaraz tego na sam widok towarzyszy zbaraskich, a teraz był już w objęciach Zagłoby i Wołodyjowskiego, którzy odbierali go sobie wzajemnie.

– Powiedzieli nam, żeś żyw – krzyczał Zagłoba – ale tym większa radość, że cię tak rychło i w zdrowiu oglądamy! Umyślnieśmy tu po ciebie przyjechali... Janie! ani wiesz, jakąś się sławą okrył i jaka cię nagroda czeka!

– Król nagroził – rzekł ksiądz – ale król królów więcej obmyślił.

– Wiem już – odparł Skrzetuski. – Niech was Bóg nagrodzi! Rzędzian wszystko mi wyznał.

– I radość cię nie zadusiła? to i lepiej! *Vivat* Skrzetuski! *vivat* kniaziówna! – krzyczał Zagłoba. – A co, Janie! nie pisałeś mi o niej ani słowa, bośmy nie wiedzieli, czy żywa. Ale pacholek gracko z nią umykał. *O vulpes astuta!* księżę czeka na was oboje... Ha! aż pod Jahorlik jeździliśmy po nią. Zabiłem *monstrum* piekielne, które jej strzegło. Uciekało przed wami tych dwunastu chłopczyków, ale teraz ich dogonicie i przegonicie. Będę miał wnuki, mości panowie! Rzędzian, mów, zali wielkich przeszkód nie doznałeś? Imaginuj sobie, że całą orde wstrzymaliśmy we dwóch z panem Michałem! Pierwszym się rzucił na cały czambuł! W wykroty się przed nami chowali – nic nie pomogło! Pan Michał też dobrze stawał... Gdzie moja córuchna? Dajcie mi moją córuchnę!

– Niech ci Bóg szczęści, Janie! niech ci Bóg szczęści! – mówił mały rycerz biorąc ponownie w ramiona Skrzetuskiego.

– Niech wam Bóg zapłaci za wszystko, coście dla mnie uczynili. Słów mi nie staje. Życiem, krwią wam nie nagrodzę! – odpowiedział Skrzetuski.

– Mniejsza z tym! – wołał Zagłoba. – Pokój zawarty! kiepski pokój, mości panowie, ale trudno. Dobrze, żeśmy ten zapowietrzony Zbaraż opuścili. Będzie teraz spokój, mości panowie. Nasza to praca i moja, bo gdyby Burlaj żył dotąd, na nic by się układy nie zdały. Na weselisko pojedziem. Dalej, Janie! Trzymaj się ostro! Ani się domyślasz, jaki księżę pan ma dla cię prezent ślubny! Kiedy indziej ci powiem, a teraz, gdzie moja córuchna, u kaduka? Dawajcie tu moją córuchnę! Już jej Bohun nie porwie: pierwszej musiałby łyka porwać! Gdzie moja córuchna najmilsza?

– Właśnie na koń siadał, by jechać naprzeciw pani sandomierskiej – rzekł Skrzetuski. – Jedźmy, jedźmy, bo rozum stracę.

– Hajda, mości panowie! Jedźmy z nim razem. Czasu nie tracić! Hajda!

– Pani sandomierska nie musi być daleko – rzekł ksiądz.

– Jazda! – dodał pan Michał.

Ale Skrzetuski już był za drzwiami i skoczył na konia tak lekko, jakby nie dopiero co z łoża boleści powstawał. Rzędzian trzymał się jego boku, bo wołał z księdzem sam na sam nie zostawać. Pan Michał i Zagłoba przyłączyli się do nich – i jechali co koń wyskoczy na czele gromady, a cała gromada szlachty i czerwonych dragonów leciała toporowiecką drogą na kształt kraśnych płatków maku, które wiatr niesie.

– Hajda! – krzyczał Zagłoba bijąc piętami konia.

I tak lecieli z dziesięć stajañ, aż na skręcie gościńca ujrzeli tuż przed sobą szereg wozów i kolasek otoczony przez kilkudziesięciu pajuków; kilku z nich widząc naprzeciw zbrojnych ludzi ruszyło zaraz z konia pytać, co by byli za jedni?

– Swoi! od królewskiego wojska! – krzyknął pan Zagłoba. A to kto jedzie?

– Pani kasztelanowa sandomierska! – brzmiała odpowiedź.

Skrzetuskiego tak przybiło wzruszenie, iż sam, nie wiedząc, co czyni, zsunął się z konia i stanął, chwiejąc się, na boku gościńca. Czapkę zdjął, a po skroniach spływał mu pot obfity; i drżał ten rycerz – przed szczęściem – na całym cielem. Pan Michał zeskoczył również z kulbaki i chwycił w ramiona osłabłego rycerza.

Za nimi stanęli wszyscy na boku gościńca z podkrywanyimi głowami, a tymczasem szereg wozów i kolasek nadciągnął i począł przechodzić mimo. Z panią Witowską jechało kilkanaście różnych pań, które patrzyły ze zdziwieniem na rycerzy nie rozumiejąc, co ma znaczyć ta żołnierska procesja przy gościńcu.

Aż wreszcie w środku orszaku ukazała się kolaska ozdobniejsza od innych; oczy rycerzy ujrzały przez jej otwarte okna poważne oblicze sędziwej damy, a obok niej słodką i śliczną twarz Kurcewiczówny.

– Córuchna! – wrzasnął Zagłoba rzucając się na oślep ku karecie – córuchna! Skrzetuski jest z nami... Córuchna!

W orszaku poczęto wołać: „Stój! stój!” – uczynił się ruch i zamieszanie; tymczasem Kuszel z Wołodyjowskim prowadzili, a raczej wlekli Skrzetuskiego do karety, on zaś osłabł zupełnie i ciążył im coraz bardziej. Głowa zwisała mu na piersi i nie mógł już iść, i opadł na kolana przy stopniach kolaski.

Lecz w chwilę później silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymały osłabłą i wynędzniałą głowę rycerza.

Zagłoba zaś widząc zdumienie pani sandomierskiej wołał:

– To Skrzetuski, bohater ze Zbaraża! On to się przedarł przez nieprzyjaciół, on ocalił wojska, księcia, całą Rzeczpospolitą! Niech im Bóg błogosławi i niech żyją!

– Niech żyją! *vivant! vivant!* – wołała szlachta.

– Niech żyją! – powtórzyli książęcy dragoni, aż grzmot rozległ się po toporowieckich polach.

– Do Tarnopola! do księcia! na wesele! – wykrzykiwał Zagłoba. – A co, córuchna? skończona twoja niedola!... a dla Bohuna kat i miecz!

Ksiądz Cieciszowski oczy miał podniesione do nieba, a usta jego powtarzały cudne słowa natchnionego kanozdziei:

– „Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu...”

Usadzone Skrzetuskiego w karecie obok kniaziówny – i orszak ruszył dalej. – Dzień był cudny, pogodny, dąbrowy i pola pławiły się w świetle słonecznym. Nisko po ugorach i wyżej nad ugorami, i jeszcze wyżej w błękitnym powietrzu płynęły już tu i owdzie srebrne nitki pajęczyny, które późniejszą jesienią jakoby śniegiem pokrywają tamtejsze pola. I spokój był wielki naokoło, jeno konie parskały. rażno w orszaku.

– Panie Michale – mówił Zagłoba trącając strzemiem w strzemię Wołodyjowskiego – coś mnie znowu ułapiło za grzydkę i trzyma, jak to wówczas, kiedy pan Podbipięta – wieczny mu odpoczynek! – wychodził ze Zbaraża: ale gdy pomyślę, że się tych dwoje wreszcie znalazło, to tak mi lekko na sercu, jakbym kwartę petercymentu duszkiem wypił! Jeśli i ciebie małżeńska przygoda nie spotka, to na starość będziem ich dzieci hodować. Każdy do czego inszego się rodzi, panie Michale, a my dwaj lepsi chyba do wojny niż do żeniaczki.

Mały rycerz nie odpowiedział nic, jeno począł wąsikami mocniej niż zwykle ruszać.

Jechali do Toporowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie się mieli z księciem Jeremim połączyć i razem z jego chorągwiemi do Lwowa na wesele ruszyć. Przez drogę opowiadał Zagłoba pani sandomierskiej, co się w ostatnich czasach stało. Dowiedziała się więc, że król po nie rozstrzygniętej, morderczej bitwie pod Zborowem zawarł układ z chanem, niezbyt pomyślny, ale zapewniający przynajmniej spokój na czas jakiś Rzeczypospolitej. Chmielnicki na mocy układu pozostał nadal hetmanem i miał prawo z niezmiernych tłumów czerni wybrać sobie czterdzieści tysięcy rejestrowych, za które ustępstwo zaprzysiągł wierność i posłuszeństwo królowi i stanom.

– Niechybna to jest rzecz – mówił Zagłoba – że z Chmielnickim znowu przyjdzie do wojny, ale jeśli tylko buława naszego księcia nie minie, inaczej to wszystko pójdzie...

– Powiedzże waćpan Skrzetuskiemu najważniejszą rzecz – rzekł zataczając bliżej koniem mały rycerz.

– Prawda – rzekł Zagłoba. – Chciałem zaraz od tego zacząć, aleśmy tchu dotąd złapać nie mogli. Nic nie wiesz, Janie, co się po twoim wyjściu stało: że Bohun jest u księcia w niewoli.

Skrzetuski i Kurcewiczówna zdumieli na tę niespodziewaną wiadomość do tego stopnia, że słowa wyrzec nie mogli – tylko ona ręce otworzyła – i nastąpiła chwila milczenia, po czym dopiero Skrzetuski spytał:

– Jak to? jakim sposobem?

– Palec w tym boży – odpowiedział Zagłoba – nic innego, jeno palec boży. Układ już był zawarty i wychodziliśmy właśnie z tego zapowietrzonego Zbaraża, a książę wybiegł z jazdą na lewe skrzydło pilnować, by orda na wojsko nie napadła... że to oni często układów nie dotrzymują. Wtem nagle wataha z trzystu koni rzuciła się na całą jazdę książęcą.

– Jeden Bohun mógł taką rzecz uczynić! – zawołał Skrzetuski.

– On też to był. Ale nie na zbarskich żołnierzów Kozakom się porywać! Pan Michał wnet otoczył ich i wysieklł do nogi, a Bohun, dwa razy przez niego cięty, poszedł w lyka. Nie ma on szczęścia do pana Michała i sam się już musiał o tym przekonać, gdyż właśnie do trzech razy próbował. Ale on też nie czego innego, jeno śmierci szukał.

– Pokazało się – dorzucił pan Wołodyjowski – że chciał Bohun zdążyć koniecznie spod Waładynki do Zbaraża, wszelako, że to droga długa, więc nie zdążył, i gdy się dowiedział, że już pokój zawarty rozum mu się od wściekłości pomieszał i na nic już nie zważał.

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, bo taka to już jest fortuny odmienność – rzekł Zagłoba. – To jest szalony Kozak i tym szaleńszy, że desperat. Okrutna wrzawa podniosła się z jego powodu między nami i między hultajstwem. Myśleliśmy, że do wojny na nowo przyjdzie, bo książę pierwszy zakrzyknął, że układy złamali. Chmielnicki chciał, było, Bohuna ratować, ale chan się na niego zawziął, że to powiada: „Moje słowo i moją przysięgę na hańbę podałem.” I Chmielnickiemu chan wojną zagroził, a do naszego księcia przysłał czausa z oznajmieniem, że Bohun jest prywatny zbój – i z prośbą, żeby książę sprawy z tego nie czynił, a z Bohunem postąpił jak ze zbójem. Podobno też i o to chodziło chanowi, żeby Tatarzy jasyr mogli spokojnie odprowadzić, którego tyle nabrali, że za dwa hufnale chłopca będzie można w Stambule kupić.

– Cóż książę uczynił z Bohunem? – pytał niespokojnie Skrzetuski.

– Kazał, było, książę zaraz palik dla niego zastrugać, ale się potem rozmyślił i tak powiada: „Skrzetuskiemu go daruję, niechże z nim czyni, co chce.” Teraz w Tarnopolu Kozaczysko w podziemiu siedzi; cyrulik mu łeb opatruje. Mój Boże, ileż to razy dusza już powinna była z niego uciec! Żadnemu wilkowi psi tak skóry nie natarmosili, jako my jemu. Sam pan Michał trzy razy go pokąsał. Ale twarda to sztuka, choć i prawdę rzekłszy, człek nieszczęsny. Niech mu tam kat świeci! Nie mam ja już do niego rankoru, pomimo iż okrutnie na mnie nastawał, a niewinnie, bo i pijałem z nim, pospolitowałem się jak z równym póki na cię, córuchno, ręki nie podniosłem. Mogłem go też pchnąć w Rozłogach... Ale to już z dawna wiem, że nie masz żadnej wdzięczności na świecie i mało kto dobrym za dobre płaci. Niech go tam!...

Tu pan Zagłoba począł kiwać głową...

– A ty co z nim uczynisz, Janie? – spytał. – Żołnierze mówią, że forysia z niego zrobisz, bo chłop pokąsny, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś tak właśnie postąpił.

– Z pewnością tego nie uczynię – odrzekł Skrzetuski. – Wielkiej to jest fantazji żołnierz, a że nieszczęsny, tym bardziej go żadną chłopską funkcją nie pohańbię.

– Niech mu Bóg wszystko odpuści – rzekła kniaziówna.

– Amen! – dodał Zagłoba. – Prosi on śmierci jako matki, by go zabrała... i pewnie byłby ją znalazł, gdyby się był pod Zbaraż nie spóźnił.

Zamilkli wszyscy, nad dziwnymi zmianami fortuny rozmyślając, aż w oddaleniu ukazała się Grabowa, w której zatrzymali się na pierwszy popas. Zastali tam huk żołnierzy wracających ze Zborowa. Przyjechał i pan kasztelan sandomierski, Witowski, który szedł z pułkiem na spotkanie żony, i pan starosta krasnostawski, i pan Przyjemski – i moc szlachty z pospolitego ruszenia, której tędy droga do domostw wypadała. Dwór w Grabowej był spalony, również jak i wszystkie inne budynki, ale że dzień był cudny, cichy i ciepły, więc nie szukając dachu nad głową, wszyscy rozłożyli się w dąbrowie pod gołym niebem. Przywieziono też i znaczne zapasy jadła i napitków, więc

czeladź zaraz wzięła się żywo do przyrządzania wieczerzy. Pan sandomierski kazał rozbić kilkanaście namiotów w dąbrowie dla niewiast i dygnitarzy – i stanął jakby obóz prawdziwy. Rycerstwo kupiło się przed namiotami, chcąc się na kniaziównę i Skrzetuskiego napatrzeć. Inni rozmawiali o minionej wojnie; ci, co nie byli pod Zbarażem, jeno pod Zborowem, wypytywali żołnierzy książęcych o szczegóły oblężenia – i gwarno było, i wesoło, zwłaszcza że Bóg zdarzył dzień tak piękny.

Wodził więc rej pan Zagłoba między szlachtą, opowiadając po raz tysięczny, jak to Burląja zabił, a Rzędzian między czeladzią, która ucztę przygotowywała. Wszelako upatrzył zrečný pacholek stosowną chwilę i odciągnawszy Skrzetuskiego kęs na stronę, schylił się mu do nóg pokornie.

– Mój jegomość – rzekł – chciałbym i ja o łaskę jegomości prosić.

– Trudno by mi było odmówić ci czegokolwiek – odpowiedział pan Skrzetuski – gdyż przez ciebie wszystko, co najlepsze, się stało.

– Zaraz ja też myślałem – rzekł pacholek – że mi jegomość jakąś nagrodę obmyśli.

– Mów: czego chcesz?

Pucołowata twarz Rzędziana pociemniała, a z oczu strzeliła mu nienawiść i zawziętość.

– Jednej łaski proszę, niczego więcej nie chcę – rzekł – niechże mi jegomość Bohuna daruje.

– Bohuna? – rzekł ze zdziwieniem pan Skrzetuski. – Cóż ty chcesz z nim uczynić?

– Już ja, mój jegomość, pomyślę, żeby moje nie przepadło i żeby mu z lichwą zapłacić za to, że mnie w Czehrynie pohańbił. Wiem, że jegomość każe go pewnikiem zgładzić – niechże ja mu pierwej zapłacę!

Brwi Skrzetuskiego ściągnęły się.

– Nie może to być! – rzekł stanowczo.

– O dla Boga! wołałbym był zginąć – zawołał żałośnie Rzędzian. – Na tożem wyżył, by hańba do mnie przyrosła!

– Żądaj, czego chcesz – rzekł Skrzetuski – niczego ci nie odmówię, ale to nie może być. Wejdz w siebie, zapytaj ojców, jeśli nie grzeszniej będzie dotrzymać takowej obietnicy niżeli jej poniechać. Do boskiej karzącej ręki ty swojej nie przykładaj, aby się zaś i tobie nie dostało. Zawstydz się, Rzędzian. Ten człek i tak Boga o śmierć prosi, a przy tym ranny i w łkach. Czymże mu chcesz być? katem? Będziesz-li związanego hańbił albo rannego dobijał? zaliś Tatar czy rezun kozacki? Pókim żyw, na to nie pozwolę, i nie wspominaj mi o tym.

W głosie pana Jana było tyle siły i woli, że pacholek od razu stracił wszelką nadzieję, więc tylko rzekł płaczącym głosem:

– Jak on zdrów, to on i dwóm takim jak ja dałby rady, a jak chory, to mi się mścić nie przystoi – kiedyż ja mu za swoje zapłacę?

– Zemstę zostaw Bogu – rzekł Skrzetuski.

Pacholek usta otworzył, chciał jeszcze coś mówić, o coś się pytać, ale pan Jan odwrócił się i poszedł ku namiotom, przed którymi liczne zebrało się towarzystwo. W środku siedziała pani Witowska, a obok niej kniaziówna, naokół zaś rycerze. Przed nimi nieco pan Zagłoba, stojąc bez czapki, opowiadał tym, którzy byli tylko pod Zborowem, oblężenie Zbaraża. Słuchali go wszyscy dech w piersiach tamując; twarze mieniły się od wzruszenia i ci, co tam nie byli, z żalem myśleli o tym, że nie byli. Pan Jan siadł koło kniaziówny i wzięwszy jej rękę, do ust przycisnął, a potem wsparli się o siebie ramionami i siedzieli cicho. Słońce schodziło już z nieba i z wolna czynił się wieczór. Skrzetuski zaszłuchał się także – jakby czegoś nowego dla siebie słuchając. Pan Zagłoba obcierał czuprynę – i głos jego rozbrzmiewał coraz silniej... Rycerzom świeża pamięć lub imaginacja przywodziła przed oczy te krwawe dzieje: więc widzieli okop jakoby morzem otoczony i wściekle szturmy; słyszeli wrzaski i wycia, i huk armat i samopałów, widzieli kniazia w srebrnych blachach na okopie – wśród gradu kul... Potem nędzę, głód, owe noce czerwone, w których śmierć krążyła jak złowrogi, wielki ptak nad okopem... wyjście pana Podbipięty, Skrzetuskiego... I słuchali wszyscy, czasem oczy wznosząc do góry lub za główne szabel chwytając, a pan Zagłoba tak kończył:

– Jedna to teraz mogiła, jeden kopiec olbrzymi, a że pod nim nie leży sława Rzeczypospolitej i kwiat rycerstwa, i książę wojewoda, i ja, i my wszyscy, których lwami zbaraskimi sami Kozacy nazywają – on to sprawił!

To rzekłszy pan Zagłoba wskazał Skrzetuskiego.

– Jako żywo, tak jest! – wykrzyknęli Marek Sobieski i pan Przyjemski.

– Sława mu! cześć, dziękowanie! – poczęły wołać silne głosy rycerskie. – *Vivat Skrzetuski! Vivat młoda para!* Niech żyje bohater! – wołano coraz silniej.

Uniesienie ogarnęło wszystkich zebranych. Jedni biegli po kielichy, drudzy rzucali czapki w górę. Żołnierze poczęli dźwięczeć szablami – i wkrótce uczynił się jeden ogólny gromki okrzyk:

– Sława! sława! niech żyje! niech żyje!

Skrzetuski jak prawdziwy rycerz chrześcijański spuścił pokornie głowę – ale kniaziówna wstała, strząsnęła warkocze, rumieńce były jej na twarzy, a z oczu strzelała duma, bo ten rycerz miał być jej mężem, a sława męża pada na żonę jak światło słońca na ziemię.

* * *

Późną już nocą rozjechali się zgromadzeni w dwie strony. Państwo Witowscy, pan Przyjemski i starosta krasnostawski pociągnęli z pułkami w stronę Toporowa, a Skrzetuski z kniaziówną i chorągwią Wołodyjowskiego

do Tarnopola. Noc była tak pogodna jak i dzień. Roje gwiazd świeciły na niebie. Księżyc zeszedł i oświetlił pokryte pajęczyną pola. Żołnierze poczęli śpiewać; potem wstały białe opary z łąk i uczyniły z okolicy jakby jedno olbrzymie jezioro oświetlone blaskiem księżyca.

W taką to noc wychodził niegdyś Skrzetuski ze Zbaraża i w taką noc teraz czuł bicie serca Kurcewiczówny przy swoim.

EPILOG

Lecz tragedia dziejowa nie zakończyła się ani pod Zbarażem, ani pod Zborowem, a nawet nie zakończył się tam jej akt pierwszy. W dwa lata później zerwała się znów cała Kozaczyzna do boju z Rzeczpospolitą. Wstał Chmielnicki silniejszy niż kiedykolwiek, a z nim szedł chan wszystkich ord – i ciż sami wodze, którzy już pod Zbarażem stawali: więc dziki Tuhaj-bej i Urum-murza, i Artim-Girej, i Nuradyn, i Gałga, i Amurat, i Subagazi. Słupy pożarów, jęki ludzkie szły przed nimi – tysiące wojowników pokrywały pola, napępiały lasy, pół miliona ust wydawało okrzyki wojenne – i zdawało się ludziom, że przyszedł ostatni kres na Rzeczpospolitą.

Lecz i Rzeczpospolita przebudziła się już z odrętwienia, zerwała z dawną polityką kanclerza, z układami, z paktowaniem. Już było wiadomo, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może, więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty prócz mrowia ciurów i czeladzi.

Nikogo nie brakło z osób wchodzących do niniejszego opowiadania. Był książę Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizją, w której po starym służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli obaj hetmani, Potocki i Kalinowski, czasu tego już z niewoli tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarniecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca, i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski, i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III, i Ludwik Wejher wojewoda pomorski, i Jakub wojewoda malborski, i chorąży Konięcpolski, i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni, i senatorowie – cała Rzeczpospolita z naczelnym swym wodzem, królem.

Na polach Beresteczka spotkały się wreszcie owe krociowe zastępy i tam to stoczono jedną z największych bitew w dziejach świata, której odgłosem brzmiała cała ówczesna Europa.

Trwała ona trzy dni. Przez pierwsze dwa ważyły się losy – w trzecim przyszło do walnego boju, który przeważył zwycięstwo. Rozpoczął ów bój książę Jeremi. Dzień ów pierwszego spotkania był dniem tryumfu dla polityki straszliwego „Jaremy” – jemu więc pierwszemu przyszło na nieprzyjaciela uderzyć.

I widziano go na czele całego lewego skrzydła, jak bez zbroi, z gołą głową, gnał jak wichur po polu na olbrzymie zastępy złożone ze wszystkich konnych mołojców zaporoskich, ze wszystkich Tatarów krymskich, nohajskich, białogrodzkich, z Turków sylistryjskich i rumelskich, z Urumbałów, janczarów, Serbów, Wołochów, Perierów i innych dzikich wojowników zebranych od Uralu, Morza Kaspijskiego i błot Meockich aż do Dunaju.

I jak rzeka ginie z oczu w spienionych nurtach morskich, tak zginęły z oczu pułki książęce w tym morzu nieprzyjaciół. Chmura kurzawy wstała na równinie niby rozsiała trąba powietrzna i zakryła walczących...

Patrzyło na ten nadludzki bój całe wojsko – i król, a podkanclerzy Leszczyński wzniosł drzewo Krzyża Świętego i błogosławił nim ginących.

Tymczasem z drugiego boku zachodził wojsku królewskiemu cały tabor kozacki liczący dwieście tysięcy ludzi, najeżony armatami, ziejący ogniem, na kształt smoka wysuwającego powoli z lasów olbrzymie swe kłęby.

Lecz w nim wysunął cały ich ogrom – z owej kurzawy, w której zginęły pułki Wiśniowieckiego, poczęli wypadać jeźdźcy, potem ich dziesiątki, potem setki, potem tysiące, potem dziesiątki tysięcy – i pędzić ku wzgórzom, na których stał chan, otoczony przez wyborowe swe gwardie.

Dzikie tłumy uciekały w szalonym popłochu i bezładzie – pułki polskie gnały za nimi.

Tysiące mołojców i Tatarów zasłały pobojuwisko, a między nimi leżał, rozcięty koncerzem na dwoje, zakamieniały wróg Lachów, a wierny Kozaków sojusznik, dziki i mężny Tuhaj-bej.

Straszliwy książę tryumfował.

Lecz król spostrzegł okiem wodza tryumf książęcy i postanowił zgnieść ordy, nim tabor kozacki nadciągnie.

Ruszyły wszystkie wojska, huknęły wszystkie działa, roznosząc śmierć i zamieszanie; wnet brat chanowy, wspaniały Amurat, padł uderzony kulą w piersi. Zawrzały boleśnie ordy. Przerażony i ranny z samego początku bitwy chan spojrzął na pole. Z dala, wśród dźwięków i ognia, szedł pan Przyjemski i sam król z rajtarią, a z boków huczała ziemia pod ciężarem biegnącej do boju jazdy.

Wówczas zadrzał Islam-Girej – i nie dotrzymał pola, i pierzchnął, a za nim pierzchnęły bezładnie wszystkie ordy i Wołosza, i Urumbałowic, i konni mołojcy zaporoscy, i Turcy sylistryjscy, i poturczeńcy, jak chmura pierzcha przed wichrem.

Uciekających dopędził zrozpaczony Chmielnicki chcąc błagać chana, aby do bitwy powrócił – lecz chan ryknął na jego widok z gniewu, wreszcie kazał go Tatarom uchwycić, przywiązać do konia i porwał ze sobą.

Teraz pozostał tylko tabor kozacki.

Dowódca taboru, pułkownik kropiweński Dziedziała, nie wiedział, co się stało z Chmielnickim, lecz widząc klęskę i haniebną ucieczkę wszystkich ord – wstrzymał pochód i cofnąwszy się z taborom, usadowił się w bagnistych widłach Pleszowy.

Tymczasem burza zerwała się na niebie i lunęły niezmierne potoki deszczu. „Bóg ziemię obmywał po sprawiedliwej bitwie.”

Dżdże trwały kilka dni i kilka dni odpoczywały królewskie wojska, zmęczone poprzednimi bitwami – przez ten czas tabor opasywał się wałami i zmienił się w olbrzymią ruchomą fortecę.

Z powrotem pogody rozpoczęło się oblężenie – najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu widziano.

Sto tysięcy królewskiego wojska obległo dwukroćstotysięczną armię Dziedziały.

Królowi brakło armat, żywności, amunicji – Dziedziała miał nieprzebrane zasoby prochów, wszelkich zapasów, a oprócz tego siedemdziesiąt cięższych i lżejszych armat.

Ale na czele królewskich wojsk stał król – Kozakom brakło Chmielnickiego.

Wojska królewskie były ożywione świeżym zwycięstwem – Kozacy zwątpili o sobie.

Minęło kilka dni – nadzieja powrotu Chmielnickiego i chana znikła.

Wówczas rozpoczęły się rokowania.

Przyszli do króla pułkownicy kozaccy i bili mu czołem, prosząc zmiłowania, obchodzili namioty senatorów, czepiali się sukien, przyrzekając choćby spod ziemi wydstać Chmielnickiego i oddać go królowi.

Serce Jana Kazimierza nie było obce litości – chciał puścić do domów czerń i wojsko, byle wydano mu wszystką starszysznę, którą postanowił zatrzymać aż do chwili wydania Chmielnickiego.

Lecz taki właśnie układ nie był po myśli starszysznie, która za ogrom swych występów nie spodziewała się przebaczenia.

Więc w czasie układów trwały bitwy, rozpaczliwe wycieczki i codziennie lała się obficie krew polska i kozacka.

Mołojcy w dzień walczyli z odwagą i zaciekłością rozpaczy, lecz nocą chmary ich całe wieszały się pod obozem królewskim wyjąc ponuro o miłosierdzie.

Dziedziała skłaniał się do układów i sam chciał ponieść w ofierze głowę swą królowi, byle wykupić wojsko i lud.

Jednakże rozruchy powstały w kozackim obozie. Jedni chcieli się poddawać, inni bronić do śmierci, wszyscy zaś przemyśleli, jak by się wymknąć z taboru.

Ale najodważniejszym wydawało się to niepodobieństwem.

Tabor otoczony był widłami rzeki i olbrzymimi bagnami. Bronić się w nim można było całe lata, ale do odwrotu jedna tylko droga stała otworem – przez wojska królewskie.

O tej drodze nikt nie myślał w taborze.

Układy przerywane bitwami wlokły się leniwo; rozruchy w tłumach kozackich stawały się coraz częstsze. W jednym z takich rozruchów zrzucano z dowództwa Dziedziała i obrano nowego wodza.

Nazwisko jego wlało nową odwagę w upadłe dusze kozackie – i odbiwszy się gromkim echem w obozie królewskim, rozbudziło w kilku sercach rycerskich zatarte wspomnienia przebytych bólów i nieszczęść.

Nowy wódz zwał się Bohun.

Już poprzednio wysokie on zajmował stanowisko między kozactwem w radzie i boju. Głos powszechny ukazywał na niego jako na następcę Chmielnickiego, którego w nienawiści do Lachów jeszcze przewyższał.

Bohun pierwszy z kozackich pułkowników stanął wraz z Tatarami pod Beresteczkiem na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Brał udział w trziedniowej bitwie jeźdźców – i pogromiony wraz z chanem i ordami przez Jeremiego, zdołał wyprowadzić z pogromu większą część swych sił i znaleźć schronienie w taborze. Teraz po Dziedziała partia nieprzejednanych oddała mu naczelne dowództwo ufając, że on jeden potrafi uratować tabor i wojsko.

I istotnie młody wódz ani chciał słyszeć o układach – pragnął bitwy i krwi przelewu, choćby i w tej krwi sam miał utonąć.

Lecz wkrótce przekonał się, że z tymi zastępami nie można było już myśleć o przejściu zbrojną ręką po trupach królewskiego wojska – więc chwycił się innego sposobu.

Historia zachowała pamięć tych bezprzykładnych usiłowań, które współczesnym wydawały się godnymi olbrzyma, które mogły być ocalić wojsko i czerń.

Bohun postanowił przejść przez bezdenne bagna Pleszowej, a raczej zbudować przez te bagna taki most, by po nim mogli przejść wszyscy oblężeni. Więc lasy całe poczęły padać pod siekierami Kozaków i tonać w błotach; rzucano w nie wozy, namioty, kozuchy, świty – i most przedłużał się z dniem każdym.

Zdawało się, że dla tego wodza nie masz nic niepodobnego.

Król zwłóczył szturm nie chcąc przelewu krwi, lecz widząc te olbrzymie roboty poznał, iż nie ma innej rady, i kazał otrąbić w wojsku, by się na wieczór gotowano do ostatecznej rozprawy.

Nikt nie wiedział o tym zamiarze w taborze kozackim – most przedłużał się jeszcze całą noc poprzednią; rankiem zaś Bohun wyjechał na czele starszyny obejrzyć roboty.

Było to w poniedziałek, siódmego lipca 1651 roku. Ranek dnia tego wstał blady, jakby przerażony, zorze na wschodzie były krwawe, słońce wzeszło rude, chorobliwe, krwawy jakiś odbłask oświecał wody i lasy.

Z obozu polskiego wyganiano konie na paszę; tabor kozacki szumiał głosami rozbudzonych ludzi. Porozpalano ogniska i gotowano strawę poranną. Wszyscy widzieli odjazd Bohuna, jego orszaku i idącej za nim jazdy, z pomocą której wódz chciał spędzić wojewodę braclawskiego zajmującego tyły taboru i psującego z armat roboty kozackie.

Czerń patrzyła na odjazd spokojnie, a nawet z otuchą w sercu. Tysiące oczu odprowadzało młodego wojownika i tysiące ust mówiło za nim:

– Boże cię błogosław, sokole!

Wódz, orszak i jazda oddalając się z wolna od taboru doszli do brzegu lasu, mignęli jeszcze raz w porannym słońcu i poczęli się zasuwać za chaszczę.

Wtem jakiś straszny, przeraźliwy głos zakrzyknął, a raczej zawył przy bramie taboru:

– Lude, spasajtes!

– Starszyna ucieka! – krzyknęło naraz kilkanaście głosów.

– Starszyna ucieka! – powtórzyły setki i tysiące ludzi. Szmer poszedł przez tłumy, jak kiedy wichur uderzy w bór – i naraz krzyk okropny, nieludzki wyrwał się z dwukroćtysięcznej gardzieli:

– Spasajtes! spasajtes! Lachy! Starszyna ucieka!

Masy ludzkie wezbrały naraz na kształt rozszalałego potoku. Zdeptano ogniska, przewracano wozy, namioty, rozerwano ostrokoły; ściskano się, duszono. Straszliwa panika poraziła oblędem wszystkie umysły. Góry ciał zatamowały wnet drogę – więc deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków. Tłumy wylały się z majdanu, wpadały na pomost, spychały się w bagna, tonący chwytały się w konwulsyjne uściski i wyjąc do nieba o miłosierdzie, zapadali się w chłodne, ruchome błota. Na pomoście wszczęła się bitwa i rzeź o miejsca. Wody Pleszowej zapełniły się i zatkały ciałami. Nemezis dziejowa s płacęła straszliwie za Piławce Beresteczkiem.

Wrzaski okropne doszły do uszu młodego wodza i wnet zrozumiał, co się stało. Lecz na próżno zawrócił w tej chwili do taboru, na próżno leciał naprzeciw tłumom ze wzniesionymi do nieba rękami. Głos jego zginął w ryku tysięcy – straszliwa rzeka uciekających porwała go wraz z koniem, orszakiem i całą jazdą iniosła na zatracenie.

Wojska koronne zdumiały się na widok tego ruchu, który zrazu wielu za jakiś atak rozpaczliwy poczytało – lecz oczom trudno było nie wierzyć.

W kilka chwil później, gdy zdziwienie przeszło, wszystkie chorągwie nie czekając nawet rozkazów ruszyły na nieprzyjaciela, a w przodzie szła jak wichur chorągiew dragońska, na której czele leciał mały pułkownik z szablą nad głową.

I nastał dzień gniewu, kłęski i sądu... Kto nie był zduszony lub się nie utopił, szedł pod miecz. Spływały krwią rzeki tak, że nie rozpoznałeś, czy krew, czy woda w nich płynie. Obląkane tłumy jeszcze bezładniej zaczęły się dusić i spychać w wodę, i topić... Mord nappełnił te okropne lasy i zapanował w nich tym straszliwiej, że potężne watahy poczęły się bronić z wściekłością. Toczyły się bitwy na błotach, w kniejach, na polu. Wojewoda braclawski przeciął odwrot uciekającym. Próżno król rozkazywał powstrzymać żołnierzy. Litość zgasała i rzeź trwała aż do nocy; rzeź taka, jakiej najstarsi nie pamiętali wojownicy i na której wspomnienie włosy stawały im później na głowach.

Gdy wreszcie ciemności okryły ziemię, sami zwycięzcy byli przerażeni swym dziełem. Nie śpiewano *Te Deum* i nie łyż radości, lecz łyż żalu i smutku płynęły z dostojnych oczu królewskich.

Tak rozegrał się akt pierwszy dramatu, którego autorem był Chmielnicki.

Lecz Bohun nie złożył wraz z innymi głowy w tym dniu straszliwym. Jedni mówili, że spostrzegłszy kłękę, pierwszy ratował się ucieczką; inni, że ocalił go pewien rycerz znajomy. Prawdy nikt nie mógł dociec.

To tylko pewne, że w następnych wojnach częstokroć wypływało jego nazwisko między nazwiskami najślynniejszych wodzów kozackich. Postrzał z jakiejś mściwej ręki dosięgnął go w kilka lat później, lecz i wówczas nie przyszedł na niego kres ostatni. Po śmierci księcia Wiśniowieckiego, który z trudów wojennych umarł, gdy państwo łubniańskie odpadło od ciała Rzeczypospolitej, Bohun zawładnął większą częścią jego obszarów. Mówiono, że w końcu i Chmielnickiego nie chciał nad sobą uznawać. Sam Chmielnicki, złamany, przeklinany przez własny lud, szukał protekcji postronnych, dumny zaś Bohun odrzucał wszelką opiekę i gotów był szablą swobody swej kozackiej bronić.

Mówiono także, że uśmiech nie powstał nigdy na ustach tego szczególnego człowieka. Żył nie w Łubniach, ale w wiosce, którą z popiołów odbudował i która zwała się Rozłogi. Tam też podobno umarł.

Wojny domowe przeżyły go i ciągnęły się jeszcze długo. Przyszła potem zaraza i Szwedzi. Tatarzy stałe prawie gościli na Ukrainie zagarniając tłumy ludu w niewolę. Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą – i żadne usta długo nie mówiły: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.”

KONIEC